



SPRZEDAWCZYK

ZDOBYWCA NAGRODY BOOKERA 2016

P A U L
B E A T T Y



PAUL
BEATTY
SPRZEDAWCZYK

Z języka angielskiego przełożył
Piotr Tarczyński



Tytuł oryginału:
THE SELLOUT

Copyright © 2015, Paul Beatty
All rights reserved

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Piotr Tarczyński

Projekt okładki © Rodrigo Corral
Ilustracja na okładce © Matt Buck
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska
Zdjęcie autora: © Hannah Assouline

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Maria Zając, Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-393-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Gównno, które szuflujesz

I

II

III

IV

V

VI

Intelektualiści Pączków Pif-Paf

VII

VIII

Grosz do grosza albo zen i sztuka jeżdżenia autobusem i naprawiania związków

IX

X

Światła niewielkiego miasta. Interludium

Za dużo Meksykanów

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

Jabłka i pomarańcze

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

Nieźłagodzona czarność

XXIV

XXV

XXVI

Domknięcie

Podziękowania

Przypisy

Dla Althei Amrik Wasow

Prolog

Być może trudno uwierzyć w te słowa, kiedy mówi je czarny mężczyzna, ale nigdy niczego nie ukradłem. Nigdy nie oszukałem na podatkach ani w kartach. Nigdy nie wślizgnąłem się do kina bez biletu, nie zatrzymałem dla siebie reszty, którą wydał mi przez pomyłkę w drogerii kasjer, obojętnie podchodzący do zagadnienia wymiany towarowej oraz pozbawiony oczekiwań względem płacy minimalnej. Nigdy nie obrabowałem domu. Nie obrobiłem sklepu z alkoholem. Nigdy nie wszedłem do zatłoczonego autobusu czy metra, nie siadłem na miejscu zarezerwowanym dla seniorów, nie wyjąłem mojego gigantycznego penisa i z perwersyjną, acz strapioną miną nie zmasturbowałem się aż do wytrysku. Ale oto jestem w przepastnych salach Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, samochód – jak na ironię – zaparkowałem nielegalnie na Constitution Avenue, ręce mam skute za plecami, dawno już pożegnałem się z prawem do zachowania milczenia, pomachawszy mu na odchodne, kiedy zasiadłem na grubo obitym krześle, które – w dużej mierze jak ten kraj – nie jest aż tak wygodne, na jakie wygląda.

Nie przestałem się wiercić, odkąd wezwała mnie do tego miasta koperta z napisem WAŻNE!, wybitym wielkimi czerwonymi literami rodem z supermarketowej gazetki.

Szanowny Panie – głosił list. *Gratulacje, być może już Pan zwyciężył! Pańska sprawa została wybrana przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych spośród setek innych apelacji. Cóż za wspaniały zaszczyt! Stanowczo zaleca się, by przybył Pan co najmniej dwie godziny przed przesłuchaniem, wyznaczonym na 10:00, 19 marca roku Pańskiego...* List kończył się wskazówkami, jak dojechać do budynku Sądu Najwyższego z lotniska, stacji kolejowej i autostrady I-95, oraz zestawem odcinanych kuponów na różne atrakcje, obiady w knajpach, noclegi ze śniadaniem i tym podobne. Podpisu nie było. List kończył się po prostu:

Z poważaniem, Naród Stanów Zjednoczonych Ameryki

Waszyngton – jego szerokie ulice, konfundujące ronda, marmurowe posągi, kopuły, doryckie kolumny – ma przypominać starożytny Rzym (o ile ulice starożytnego Rzymu pełne były bezdomnych czarnych, psów szukających bomb, wycieczkowych autokarów oraz drzew kwitnącej wiśni). Wczoraj po południu, niczym jakiś obuty w sandały Etiop z ostępów najczarniejszej dżungli Los Angeles, wyprawilem się z mojego hotelu i przyłączyłem do hadźdzu odzianych w dzinsy kmiotków, którzy wolno i patriotycznie paradowali przed historycznymi zabytkami imperium. Gapiłem się z podziwem na pomnik Lincolna. Co by powiedział Uczciwy Abe, gdyby ożył i zdołał jakoś podnieść z tronu swoje ponad siedmiometrowe kościste ciało? Co by zrobił? Czy zatańczyłby breakdance'a? Zagrałby w cymbergaja? Przeczytałby gazetę i dowiedział się, że Unia, którą ocalił, stała się dysfunkcyjną plutokracją, że ludzie, których wyzwolił, są teraz niewolnikami rytmu, rapu i lichwy, że dziś jego umiejętności byłyby bardziej przydatne na boisku do koszykówki niż w Białym Domu? Mógłby przejąć piłkę, ruszyć do kontrataku, podskoczyć i rzucić brodatego trzypunktowca, zatrzymać się i pitolić, kiedy piłka wpada do kosza. Wielki Wyzwoliciel, nie możesz go zatrzymać, możesz jedynie próbować go zablokować.

Nie dziwota, że w Pentagonie nie ma nic do roboty, poza wywoływaniem wojen. Turystom

nie wolno nawet robić zdjęć na tle budynku, kiedy więc odziana w marynarskie mundury rodzina weteranów, wojskowych od czterech pokoleń, wręczyła mi jednorazowy aparat i poprosiła, żebym poszedł za nimi i potajemnie zrobił kilka zdjęć, jak stają na baczność, salutują i bez żadnego konkretnego powodu wykonują gest pokoju, z przyjemnością spełniłem swój obywatelski obowiązek. Na National Mall trwał jednoosobowy marsz na Waszyngton. Jakiś samotny biały leżał na trawie, lecąc sobie w kulki z perspektywą w taki sposób, że odległy pomnik Waszyngtona wyglądał jak wielki spiczasty kaukaski¹ wzwód wydobywający się z jego rozpiętych spodni. Chłopak wygłupiał się przed przechodniami, uśmiechał do aparatów w telefonach, pocierając swój fotopriapizm.

W zoo stanąłem przed klatką z naczelnymi i słuchałem jakiejś kobiety dziwującej się temu, jak „prezydencko” wygląda stuosiemdziesięciokilowy goryl, który siedział okrakiem na gołym dębowym pniu i uważnie przyglądał się swojemu zamkniętemu w klatce potomstwu. Kiedy jej chłopak, popukawszy palcem w tabliczkę informacyjną, zauważył, że „prezydencki” samiec przypadkowo ma na imię Baraka, kobieta zaczęła się głośno śmiać, aż zobaczyła mnie, innego stuosiemdziesięciokilowego goryla jak z obrazka, wpychającego sobie do ust coś, co mogło być resztką lodów na patyku albo banana Chiquita. Niepocieszona, zaczęła się kajać, płacząc i przepraszając, że powiedziała to, co miała na myśli, i że w ogóle przyszedłem na świat. „Mam bardzo dobrych przyjaciół, którzy są małpami”, wymusnęło się jej. Nadeszła moja kolej, żeby się roześmiać. Zrozumiałem, skąd jej się to wzięło. Całe to miasto jest freudowską pomyłką, ujawniającą betonowy wzwód amerykańskich postępów i występów. Niewolnictwo? Objawione Przeznaczenie? Sitcom *Laverne & Shirley*? Bierne przyglądanie się, jak Niemcy próbują wymordować wszystkich Żydów w Europie? Oto dlaczego tak bardzo jestem zaprzyjaźniony z Muzeum Sztuki Afrykańskiej, Muzeum Holocaustu, Muzeum Indian Amerykańskich, Narodowym Muzeum Kobiet w Sztuce. Ponadto, jeśli chcesz wiedzieć, córka mojej siostry wyszła za orangutana.

Wystarczy jednodniowa wycieczka po Georgetown i Chinatown. Niespieszny spacer obok siedziby prezydenta, siedziby Kongresu, siedziby ośrodka odwykowego i siedziby miejscowych dilerów i wszystko staje się zupełnie jasne. Czy to w starożytnym Rzymie, czy w dzisiejszej Ameryce, jesteś albo obywatelem, albo niewolnikiem. Lwem albo Żydem. Winnym albo niewinnym. Jest ci wygodnie albo niewygodnie. A tu, w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych, mając z jednej strony kajdanki, z drugiej śliskość skórzanego obicia, żeby nie klapnąć haniebnie dupskiem o pieprzoną podłogę, musiałem rozwalić się na krześle tak, że może w pokoju przesłuchań nie uznano by tego za przesadną nonszalancję, ale już na tej sali z pewnością kwalifikowało się jako obraza sądu.

Podzwaniając kluczami jak dzwonekami sań, urzędnicy sądowi wmaszerowują do sali parami, niczym wyprzęgnięte z wozu ostrzyżone na jeża perszerony, złączone miłością do Boga i ojczyzny. Na czele zaprzęgu napuszona babka z przewieszoną przez ramię tęczową szarfą z cytatami – lasencja, ale torbacz – stuka w moje krzesło. Chce, żebym siedział prosto, ale ponieważ znany jestem z obywatelskiego nieposłuszeństwa, z przekory odchylam się jeszcze bardziej i zaliczam głębę w bolesnej i niezdarnej próbie stawienia biernego oporu. Macha mi przed twarzą kluczem do kajdanek i solidnym bezwłosym ramieniem podnosi mnie do pionu, przysuwając krzesło do samego stołu, tak że w wypolituowanym na błysk, pachnącym cytrynową świeżością mahoniowym blacie odbijają się mój garniak i krawat. Nigdy wcześniej nie nosiłem garnituru, a facet, który mi go sprzedał, powiedział: „Będzie pan zadowolony. Spodoba się panu, jak będzie pan w nim wyglądał. Gwarantuję”. Facet, który wpatruje się we

mnie z odbicia w stole, wygląda jednak jak każdy ubrany w garnitur, nieznany ci z imienia ani z twarzy czarny mężczyzna z dreadami, warkoczykami, afro czy ogolony na łyso – jak kryminalista.

„Jak człowiek dobrze wygląda, to i czuje się dobrze”, zapewniał mnie też sprzedawca. Gwarantował mi to. Kiedy wrócę do domu, zażądam zwrotu moich stu dwudziestu dziewięciu dolarów, ponieważ nie podoba mi się, jak wyglądam. Jak się czuję. Czuję się jak mój garnitur – tani, niewygodny, rozchodzący się w szwach.

Gliniarze zazwyczaj spodziewają się podziękowań. Czy to kiedy wskazują ci drogę na pocztę, czy kiedy objają ci dupę na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, czy – jak w moim przypadku – kiedy cię rozkuwają, oddają ci trawę, lufkę i pozostałe akcesoria oraz wręczają pamiątkowe gęsie pióro Sądu Najwyższego². Ta policjantka jednak ma na twarzy wyraz współczucia już od rana, kiedy razem ze swoją ekipą spotkała mnie na sławetnym czterdziestym czwartym stopniu schodów Sądu Najwyższego. Pod frontonem z napisem RÓWNOŚĆ W OBLICZU PRAWA stali ramie w ramie, w kurtkach upstrzonych łupieżem opadłych płatków wiśni, mrużyli oczy w porannym słońcu i blokowali mi drogę do wejścia. Wszyscy wiedzieliśmy, że to komedia, zorganizowany w ostatnim momencie, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia pokaz siły państwa. Tylko cocker-spaniel tego nie załapał. Jego zwijana smycz zaterkotała, kiedy doskoczył do mnie i z wielkim entuzjazmem zaczął obwąchiwać mi buty i nogawki. Wsadził mi w krocze mokry, inkrustowany smarkami nos, po czym usiadł posłusznie obok, przy mojej nodze, z dumą waląc ogonem o ziemię. Zostałem oskarżony o zbrodnię tak odrażającą, że zapuszkowanie mnie za posiadanie marihuany na terenie federalnym to jak oskarżenie Hitlera o włączęgostwo albo wielkiej korporacji naftowej w rodzaju BP o rzucenie papierka na ziemię – po pięćdziesięciu latach wybuchów w rafineriach, toksycznych wycieków i bezwstydnie zakłamanych kampanii reklamowych. Czyszczę więc lufkę dwoma głośnymi uderzeniami o mahoniowy blat. Wymiatam na podłogę lepki kef, nabijam fikę wysokojakościowym produktem, na co policjantka, niczym dowódca plutonu egzekucyjnego zapalający dezenterowi ostatniego papierosa, posłusznie pstryka zażygałką i podtyka ją pod lufkę. Rezygnuję z przepaski na oczy i biorę najwspanialszego bucha w historii jarania trawy. Hej, dajcie znać każdemu, kogo profilowano rasowo, komu odmówiono aborcji, kto spalił flagę państwową, kto powoływał się na piątą poprawkę, i powiedzcie mu, żeby zażądał powtórzenia procesu, bo właśnie upalam się w najważniejszym sądzie tego kraju. Urzędnicy patrzą na mnie ze zdumieniem. Trwa mała proces³, a ja jestem żywym brakującym ogniwem ewolucji afroamerykańskiego orzecznictwa. Słyszę, jak cocker-spaniel skomle na korytarzu i drapie w drzwi, kiedy wypuszczam chmurę dymu wielkości grzyba atomowego – prosto w twarze postaci zdobiących fryz pod sufitem. Hammurabi, Mojżesz, Salomon – te wykute z żyłkowanego hiszpańskiego marmuru ucieleśnienia demokracji i uczciwości – Mahomet, Napoleon, Karol Wielki i jakiś przypakowany gostek w greckiej todze, stojący dokładnie nade mną, wszyscy spoglądają oskarżycielsko w dół, na mnie. Ciekawe, czy z taką samą pogardą patrzyli na chłopców ze Scottsboro⁴ i Ala Gore’a.

Tylko Konfucjusz wygląda na wyluzowanego. Chińska satynowa szata w sportowym stylu, ale z długimi rękawami, laczki kung-fu, broda i wąsy mistrza z Szaolin. Unoszę lufkę wysoko nad głowę i proponuję mu bucha: nawet najdłuższa podróż zaczyna się od jednego sztacha...

– To pierdolenie o „najdłuższej podróży” to Lao-ty – mówi.

– Dla mnie wy wszyscy jebani filozofowie poeci brzmicie tak samo – odpowiadam.

Być ostatnim w długim ciągu słynnych spraw odnoszących się do kwestii rasowych to niezły

trip. Przypuszczam, że konstytucjonaliści i paleontologowie kultury będą spierali się o moje miejsce w historii. Będą datować radiowęglowo moją lufkę i ustalać, czy jestem w prostej linii potomkiem Dreda Scotta⁵, tego kolorowego galimatiasu – niewolnika żyjącego w stanie bez niewolnictwa, który był człowiekiem dla swojej żony i dzieci, dla sądu, przed którym wytoczył sprawę swojemu panu, ale nie dla Konstytucji – jedynie własnością, czarnym dwunogiem, „nieposiadającym praw, które musiałyby szanować człowiek biały”. Będą ślęczyć nad aktami spraw, wertując dokumenta rejenta ze starych dobrych czasów panienki Scarlett, i próbować ustalić, czy wyrok w mojej sprawie potwierdzał czy unieważniał zasadę „oddzielni, lecz równi”, przyjętą wyrokiem w sprawie *Plessy kontra Ferguson*⁶. Będą przetrząsać plantacje, blokowiska oraz należące do beneficjentów akcji afirmatywnej podmiejskie pałace w stylu Tudorów, rozkopywać przydomowe ogródki, szukając resztek ducha dyskryminacyjnej przeszłości w skamieniałych kościach do gry i kostkach domina⁷, czyścić miotełką kurz ze spetryfikowanych kodeksów, aż oświadczą, że byłem „nieprzewidzianym precedensem pokolenia hip-hopu” w rodzaju Luthera „Luke’a Skyywalkera” Campbella⁸, rapera z wielką szparą między jedynkami, który przed Sądem Najwyższym zawalczył o swoje prawo do imprezowania i parodiowania, przysługujące białym od lat. Gdybym jednak był po drugiej stronie, wyrwałbym pióro z ręki prezesa Rehnquista i napisał długie zdanie odrębne, kategorycznie oświadczając, że „żadnemu fajansiarskiemu raperowi, którego największym hitem jest kawałek *Je, je, ruchać mi się chce*, nie przysługują prawa należne białemu czy szanującemu się bibojowi w zamiszowych pumach”.

Dym wypala mi gardło. „Równość w obliczu prawa!”, wykrzykuję, nie żeby do kogoś konkretnego – ot, dowód zarazem na moc tej trawy i na słabość mojej konstytucji. W dzielnicach takich jak ta, w której się wychowałem – ubogich pod względem *praxis*, ale bogatych w retorykę – ziomki mają powiedzenie: „Wolę, żeby mnie osądziło dwunastu, niż poniosło sześcioro”. To często powtarzana w rapsach maksyma, rozpaczliwy algorytm dla kogoś między młotem a kowadłem, pozorna deklaracja wiary w system, która tak naprawdę oznacza: strzelaj pierwszy, zaufaj obrońcy z urzędu i dziękuj Bogu, że wciąż jesteś zdrowy. Nie jestem aż tak oblatany, ale o ile wiem, ulica nie ma swojego sądu apelacyjnego. Nigdy nie słyszałem, by jakiś twardziel z narożnika pociągnął łyk burbona i powiedział: „Wolę mediację dziewiątki niż arbitraż na solo”. Ludzie walczyli i umierali, próbując załapać się na „równość w obliczu prawa”, którą tak radośnie reklamowano na fasadzie tego budynku, ale większość oskarżonych, winnych czy nie, tak daleko nie dociera. Ich apelacje rzadko kiedy wykraczają poza łzawą prośbę matki o Boże zmiłowanie czy o drugą hipotekę na domek babci. Gdybym wierzył w takie slogany, musiałbym przyznać, że sprawiedliwości miałem aż nadto – ale nie wierzę. Kiedy ludzie czują potrzebę ozdobienia budynku czy terenu napisem *Arbeit macht frei*, „Największe miasteczko na świecie” albo „Najszczęśliwsze miejsce na ziemi”, jest to wyraz niepewności, zawołowane wyjaśnienie, czemu zajmują nasze – ograniczone przecież – miejsce w czasie i przestrzeni. Byliście kiedyś w Reno w stanie Nevada? To najdupniejsze miasteczko na świecie, a jeśli Disneyland rzeczywiście byłby najszczęśliwszym miejscem na ziemi, to albo trzymano by ten fakt w sekrecie, albo wstęp byłby darmowy, a nie kosztowałby tyle co roczny dochód *per capita* jakiegoś małego kraju Afryki Subsaharyjskiej w rodzaju Detroit.

Nie zawsze tak sądziłem. Kiedy dorastałem, wydawało mi się, że wszystkie problemy czarnej Ameryki dałoby się rozwiązać, gdybyśmy tylko mieli motto. Zwiąże *Liberté, égalité, fraternité*, które moglibyśmy umieszczać nad skrzypiącymi bramami z kutego żelaza, wyszywać na świątecznych chorągiewkach czy kuchennych makatkach. Podobnie jak najlepsze

afroamerykańskie fryzury czy przykłady folkloru, musiałyby być proste, ale głębokie. Szlachetne, ale zarazem egalitarne. Wizytówka całej rasy, która na oko jest bezrasowa, ale dla znających się na rzeczy jest bardzo, bardzo czarna. Nie wiem, skąd chłopcy biorą takie pomysły, ale kiedy wszyscy twoi przyjaciele mówią o swoich rodzicach, używając ich imion, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że coś jest jednak nie halo. Czy w tej epoce ciągłej hysterii i kryzysu nie byłoby fajnie, gdyby rozbite murzyńskie rodziny mogły zebrać się wokół domowego ogniska, popatrzeć na kominek i przeczytać dodające otuchy słowa na prześlicznym zestawie ręcznie zdobionych pamiątkowych talerzy albo monet ze szlachetnego stopu metali, kupionych w telezakupach i tak już wyczyszczoną do zera kartą kredytową?

Inne grupy etniczne mają swoje motta. Naród Czikasawów ma na wizytówce „Niepokonani i nie do pokonania”, choć nie odnosi się to do gry w kasynie czy walki u boku Konfederatów w trakcie wojny secesyjnej. *Allahu Akbar. Shikata ga nai. Nigdy więcej. Absolwenci Harvardu, rocznik 1996. Chronić i służyć.* To coś więcej niż tylko pozdrowienia i oklepiane zwroty. To odnawiające energię kody. Językowe czy, wzmacniające nasze siły witalne i łączące nas z innymi istotami ludzkimi, które tak samo myślą, mają taki sam kolor skóry i taki sam numer buta. Jak to mówią nad Morzem Śródziemnym? *Stessa faccia, stessa razza.* Jedna twarz, jedna rasa. Każda rasa ma motto. Nie wierzycie? A znacie tego ciemnowłosego gościa z księgowości? Tego, co zachowuje się jak biały, mówi jak biały, ale nie wygląda do końca jak należy? Idźcie do niego. Zapytajcie, dlaczego meksykańscy bramkarze grają zawsze w tak zuchwały sposób albo czy burrito ze stojącego naprzeciwko food trucka można jeść bez obaw. Proszę bardzo. Zapytajcie. Szturchnijcie go. Pogłaszczcie po jego płaskiej indiańskiej potylicy i zobaczymy, czy się nie odwróci i nie wygłosi takiego *pronuciamiento*: *¡Por La Raza – todo! ¡Fuera de La Raza – nada!* („Dla rasy – wszystko! Poza rasą – nic!”).

Kiedy miałem dziesięć lat, spędziłem długą noc zakopany pod kołdrą i przytulony do Misia Słoneczne Serce. Dogmatyczny niczym Harold Bloom i obdarzony enigmatycznym wyczuciem języka, był najbardziej literacko utalentowanym spośród Troskliwych Misiów i moim najsurowszym krytykiem. W wilgotnych ciemnościach wiskozowej batjaskini, kiedy wspólnie staraliśmy się ocalić czarną rasę, używając najwyżej ośmiu wyrazów, próbował utrzymać pewnie latarkę w swoich serdelkowatych, prawie nieruchomych żółtych łapkach. Wykorzystując do czegoś moją przyswojoną w domu łacinę, rzucałem jakimś mottem, a następnie podtykałem je do akceptacji pod plastikowy nosek w kształcie serca. Moja pierwsza próba – *Czarna Ameryka: Veni, vidi, vici – pieczony kurczak!* – sprawiła, że Miś uniósł uszy i rozczarowany zamknął twarde plastikowe oczka. *Semper Fi, Semper Funky* zjeżyło mu poliestrową sierść. Kiedy zaczął ze złości walić łapą w materac, a następnie stanął na pękających żółtych odnóżach, odsłaniając niedźwiedzie kły i pazury, usiłowałem przypomnieć sobie, co radził podręcznik dla skautów w sytuacji, gdy przyjdzie nam stanąć oko w oko z rozwścieczonym kreskówkowym miśkiem, upojonym podkradzionym z kredensu winem oraz redaktorską władzą. „Kiedy natykasz się na rozjuszonego niedźwiedzia – zachowaj spokój. Przemawiaj łagodnie, nie ruszaj się, wyprostuj i pisz jasne, proste, podnoszące na duchu łacińskie sentencje”.

Unum corpus, una mens, una cor, unum amor.

Jedno ciało, jeden umysł, jedno serce, jedna miłość.

Nieźła. Miała w sobie coś z fajnej tablicy rejestracyjnej. Oczyma wyobraźni widziałem to wypisane kursywą na krawędzi medalu honoru przyznanego za wojnę rasową. Troskliwy Miś jej

nie hejtował, ale ze sposobu, w jaki tuż przed zaśnięciem zmarszczył nosek, wyczułem, że mój slogan sugerował jakiś rodzaj myślenia grupowego, a czy czarni nie narzekają ciągle, że traktuje się ich jak monolit? Nie rozwiązałem jego marzeń i nie powiedziałem mu, że tak naprawdę wszyscy czarni rzeczywiście myślą tak samo. Za nic by się do tego nie przyznali, ale każdy czarny uważa się za lepszego od jakiegoś innego czarnego. Ani Liga Miejska, ani Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych nigdy mi nie odpisały, więc czarne credo istnieje dziś tylko w mojej głowie, niecierpliwie czekając na ruch, na naród i – jak sądzę, wzięwszy pod uwagę wszechobecne dziś kreowanie marki – na logo.

Może nie potrzebujemy motta. Ile razy słyszałem, jak ktoś mówił: „Znasz mnie, czarnuchu, moje motto to...”? Gdybym był mądry, wykorzystałbym moją łacinę. Liczył sobie po dziesięć dolarów od słowa. Piętnaście, jeśli klient byłby spoza dzielnicy albo chciał, żebym przetłumaczył mu „To grę nienawidź, nie gracza”. Jeśli prawdą jest, że własne ciało to świątynia człowieka, mógłbym zarobić niezłą kasę. Otworzyć mały zakład na głównej ulicy, gdzie ustawiałyby się długa kolejka wytatuowanych klientów, którzy przeobrazili samych siebie w ekumeniczne miejsca kultu: ankhy, sankofy i krucyfiksy walczą o przestrzeń na brzuchu z azteckimi bóstwami słońca i jednogwiezdnymi galaktykami gwiazd Dawida. Chińskie znaki biegnące wzdłuż kręgosłupów i ogolonych łydek. Sinologiczne apele do zmarłych bliskich, które – zdaniem reflektantów – oznaczają: „Spoczywaj w pokoju, babciu Beverly”, a w rzeczywistości: „Kurciak Gongbao! Śmaćnego!”. Stary, to byłaby żyła złota, najebani jak patefony petenci przychodziliby o każdej porze dnia i nocy. Siedziałbym za grubym pleksi i miał jeden z tych metalowych podajników, których używa się na stacjach benzynowych. Pociągałbym za szufladę, a moja klientela – niczym grypsujący więźniowie – potajemnie wręczałaby mi swoje oświadczenia. Im większy twardeł, tym ładniejsze pismo. Im łagodniejsza kobieta, tym bardziej zaczepna maksyma. „Znasz mnie – mówiliby – moje motto to...”, rzucając do szuflady kasę, cytaty z Szekspira i *Człowieka z blizną*, ustępy z Biblii, podwórkowe aforyzmy i gangsterskie truizmy, zapisane wszystkim co popadnie, od krwi po kredkę do oczu. Czy to nabazgrane na zmiętolonej serwetce, na papierowym talerzu upačkanym sosem barbecue i sałatką ziemniaczaną, czy na starannie wyrwanej kartce z pamiętniczka, prowadzonego w sekrecie od czasu tej burdy w poprawczaku, o której nikomu nie powiem, bo będę miał przechujane, *Ya estuvo* (cokolwiek to znaczy), traktowałbym tę robotę poważnie. Są to bowiem ludzie, dla których zdanie „Cóż, jeślibym miał nóż na gardle...” nie jest opisem teoretycznym, i jeśli ktoś przyciskał ci zimną metalową lufę do wytatuowanego na skroni symbolu yin i yang, a ty żyjesz i możesz o tym opowiedzieć, to nie musisz znać księgi *I Czing*, żeby docenić kosmiczną harmonię świata i potęgę wydziaranego nad tyłkiem spermołapka. Jakie bowiem mogłoby być twoje motto, jeśli nie „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”? *Sic Jacobus Deo, ut Deus Jacobo*.

Kiedy biznes kręciłby się gorzej, przychodziliby, żeby pokazać mi moje dzieła. Błyszcząca w świetle ulicznych latarni starodawne liternictwo, analiza składniowa na opinających muskulaturę żonobjkach i sportowych stanikach. Cipa nie myszka, pomacanie dyszka... *Non rattus, sed cunnus, contrectare – nummus*. *Dativy* i *accusativy* błyszczą im na tętnicach. Jest coś wyjątkowego w tym, jak język nauki i romansu surfuje na falach tłuszczu ziomalki. Kurwa kurwie łba nie urwie... *Meretrix meretricis non abrumpet capitis*. Nieporadnie deklinowane rzeczowniki wyświełają się im na czołach jak na pasku informacyjnym – nigdy nie będą bielsi, nigdy nie będą czytać bielej. Kto donosi, o wpierdol się prosi... *Aut fidelitas, aut verberatus*. To nieidealny idealizm. Krew na wejściu, krew na wyjściu... *Sanguis pro ingressus, sanguis pro exitus*. To satysfakcja z patrzenia na swoje motto w lustrze i myślenia: Każdy czarnuch, który nie

jest paranoikiem, musi być wariatem... *Ullus niger vir quisnam est non insanus est rabidus* brzmi jak coś, co mógł powiedzieć Juliusz Cezar – gdyby był czarny. Kto się kurwą urodził, kanarkiem nie zdechnie... *Qui meretrice natus est, non morietur passere*. A jeśli coraz bardziej pluralistyczna Ameryka zdecyduje się kiedyś zamówić sobie nowe motto, to jestem do usług, bo mam w zanadrzu lepsze niż *E pluribus unum*.

Tarde mutantur et nos mutamur in illis... Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

Ktoś wyciąga mi z ręki fajkę.

– Ej, stary, to gównu się skończyło. Czas wziąć się do roboty, ziom.

Hampton Fiske, mój prawnik i stary znajomy, łagodnym ruchem ręki odwachlowuje ostatni dym zioła, po czym owiewa mnie chmurą antygrzybicznego odświeżacza powietrza w spreju. Jestem zbyt upalony, żeby coś powiedzieć, więc witamy się skinieniem głowy mówiącym „siemka”, uniesieniem brody i porozumiewawczym uśmiechem, bo obaj rozpoznajemy zapach. Tropikalna Bryza – ten sam towar, za pomocą którego ukrywaliśmy przed rodzicami dowody zbrodni, bo pachniał jak anielski pył. Gdyby matka wróciła do domu, zrzuciła espadryle i poczuła, że po chacie roznosi się aromat „jabłka z cynamonem” czy „truskawki ze śmietaną”, wiedziałyby, że paliliśmy. Jeśli jednak chata waliła PCP, zawsze mogła obwinić „wujka Ricka i jego kolegów” albo przeciwnie, nie powiedzieć nic, zbyt zmęczona, by mierzyć się z ewentualnością, że jej jedyne dziecko jest uzależnione od trawy maczanej w PCP, albo wreszcie liczyć, że problem sam minie.

Występowanie przed Sądem Najwyższym nie mieści się w kompetencjach Hampa, który jest obrońcą starej szkoły. Kiedy zadzwonisz do jego biura, zawsze włączy się automatyczna sekretarka. Nie dlatego, że jest zajęty, nie ma sekretarki albo dodzwoniłeś się w tym samym momencie co jakiś inny naiwniak, który zobaczył plakat Fiske’a na przystanku autobusowym czy numer 1-800-WOLNOSC, wydrapany na metalowym lusterku w celi aresztu lub na pleksi oddzielającym tylne siedzenie radiowozu. To dlatego, że Hamp lubi słuchać swojej automatycznej sekretarki, dziesięciominutowego wyliczenia jego sądowych triumfów i spraw unieważnionych z powodów proceduralnych.

Dodzwonili się państwo do kancelarii Fiske – każdy adwokat może wyrecytować listę zarzutów, my pomożemy je oddalić – Morderstwo. Niewinny – Jazda pod wpływem. Niewinny – Napaść na policjanta. Niewinny – Wykorzystywanie seksualne. Niewinny – Znęcanie się nad dzieckiem. Niewinny – Znęcanie się nad osobą starszą. Niewinny – Kradzież. Niewinny – Oszustwo. Niewinny – Przemoc domowa (ponad tysiąc spraw). Oddalenie zarzutów – Obcowanie seksualne z osobą niepełnoletnią. Oddalenie zarzutów – Zaangażowanie małoletniego w przestępstwo narkotykowe. Oddalenie zarzutów – Porwanie...

Hamp wie, że tylko najbardziej zdesperowani oskarżeni będą mieli tyle cierpliwości, by wysłuchać całej litanii, wyliczanki zawierającej chyba każdy paragraf kodeksu karnego hrabstwa Los Angeles, najpierw po angielsku, potem po hiszpańsku, wreszcie w tagalog. A właśnie takich ludzi lubi reprezentować. Nazywa nas wyklętym ludem ziemi. Ludzie zbyt biedni, by mogli sobie pozwolić na kablówkę, i zbyt głupi, by wiedzieć, że niczego nie tracą. Lubił powtarzać: „Gdybym to ja był obrońcą Jeana Valjeana, *Nędznicy* mieliby najwyżej sześć stron. Przywłaszczenie sobie bochenka chleba – oddalenie zarzutów”.

Moje zbrodnie nie są wymienione na nagraniu automatycznej sekretarki. Kiedy stanąłem przed sądem okręgowym, zanim jeszcze zapytano mnie, czy przyznaję się do winy, wysłuchałem listy wszystkich stawianych mi zarzutów. Streszczając – oskarżono mnie o wszystko, od sprofanowania Ojczyzny po spisek mający na celu włożenie kija w szprychy, kiedy wszystko

układa się tak dobrze. Osłupiały stałem przed sędzią, zastanawiając się, czy istnieje stan pośredni między byciem „winnym” a „niewinnym”. Dlaczego mam tylko taką alternatywę? Dlaczego nie mogę wybrać „żadne z powyższych” albo „obie odpowiedzi są prawidłowe”?

Po dłuższej chwili odwróciłem się wreszcie do człowieka w todzie i powiedziałem: „Wysoki Sądzie, przyznaję się do bycia człowiekiem”. Prowadzący rozprawę skwitował to wyrozumiałym chichotem i karą za obrazę sądu; Hampowi natychmiast udało się zaliczyć na jej poczet to, co już odsiedziałem, po czym w moim imieniu nie przyznał się do winy i półzartem zażądał przeniesienia rozprawy – zważywszy na wagę postawionych zarzutów – na przykład do Norymbergi albo Salem. Choć nie powiedział ani słowa, domyśliłem się, że nagle uświadomił sobie konsekwencje sprawy, którą wcześniej miał za prosty przypadek, absurd typowy dla centrów miast⁹ – i następnego dnia od razu postarał się o uprawnienia do występowania przed Sądem Najwyższym.

To jednak stare wieści. Teraz jestem w Waszyngtonie, dyndając na końcówce łańcucha prawnego, nastukany wspomnieniami i marihuaną. W ustach czuję cholerną suchość, zupełnie jakbym się właśnie obudził w autobusie linii numer 7, najebany w trzy dupy po długiej bezowocnej nocy spędzonej na imprezowaniu i uganianiu się za meksykańskimi laskami po molo w Santa Monica, wyglądaniu przez okno i powolnym, osłabionym przez marihuanę uświadamianiu sobie, że przegapiłem swój przystanek, nie mam pojęcia, gdzie jestem ani dlaczego wszyscy się na mnie patrzą. Jak ta kobieta w pierwszym rzędzie sali sądowej, opierająca się o drewnianą barierkę. Ma twarz zwinietą w supeł, wykrzywioną złością i pokazuje mi faka swoimi długimi, zgrabnymi, wymanikiurowanymi tipsami. Czarne kobiety mają piękne dłonie i z każdym sztychem, z każdym „pierdol się” o zapachu masła kakaowego, jej dłonie stają się coraz bardziej eleganckie. Są to dłonie poetki – jednej z tych nauczycielek poetek noszących mosiężne bransoletki i afro, które w swoich wierszach wszystko porównują do jazzu. Poród jest jak jazz. Muhammad Ali jest jak jazz. Filadelfia jest jak jazz. Jazz jest jak jazz. Wszystko jest jak jazz, tylko nie ja. Jestem dla niej anglosaskim przywłaszczaniem czarnej muzyki. Jestem Patem Boone’em z uczernioną szuwaksem twarzą¹⁰, śpiewającym ugrzecznioną wersję *Ain’t That a Shame* Fatsa Domino¹¹. Jestem każdą nutą niepunkowego brytyjskiego rocka, szarpniętą i brzdąkniętą, odkąd Beatlesi walnęli ten pobrzmiwający w głowie akord otwierający *A Hard Day’s Night*. A co z Bobbym *What You Won’t Do for Love* Caldwellem, Gerrym Mulliganem, Third Bass i Janis Joplin? Mam ochotę jej odwrzasnąć. A co z Erikiem Claptonem? Chwila moment, cofam to. Pieprzyć Erica Claptona. Obfite biusty mają pierwszeństwo. Przeskakuje barierkę, mija gliniarzy i doskakuje do mnie, swoimi tipsiarskimi pociskami kurczowo trzyma paszminę, która całą sobą mówi: „Czy nie widzisz, jakie to cholernie długie, miękkie, błyszczące i drogie? Będziesz traktował mnie jak królową, skurwysynu!”. Szal, wyglądający jak zdjęty z Toni Morrison, wlecze się za nią niczym kaszmirowy ogon latawca.

Naskakuje na mnie, spokojnie, choć niezrozumiale mamrocząc o czarnej dumie, okrętach niewolniczych, zasadzie trzech piątych¹², Ronaldzie Reaganiu, podatku wyborczym, marszu pastora Kinga na Waszyngton, micie, że Afroamerykanie nie potrafią grać na pozycji rozgrywającego, o tym, że nawet konie Ku Klux Klanu w białych czaprakach były rasistowskie i – najdobitniej – że trzeba chronić podatne umysły coraz bardziej redundantnej „młodej czarnej młodzieży”. Zrozumcie. Umysł chłopca z wodogłowie, który z twarzą ukrytą w kroczu nauczycielki oburącz obejmuje ją w pasie, bez wątplenia potrzebuje ochrony, a przynajmniej psychicznego zabezpieczenia. Spogląda na mnie wyczekująco, chce, żebym wyjaśnił mu, dlaczego nauczycielka tak go nienawidzi. Nie otrzymał odpowiedzi, uczeń wraca do ciepłej

wilgoci szczęsnego miejsca, nieświadomy stereotypu, że czarni mężczyźni nie wtykają *tam* nosa. Co mogłem mu powiedzieć?

– Wiesz, jak to jest, kiedy grasz w Węże i Drabiny, jesteś prawie na mecie, ale wyrzucasz szóstkę i lądujesz na tej długiej, naprawdę zakręconej czerwonej drabinie, którą spadasz z pola sześćdziesiątego siódmego na dwudzieste czwarte?

– Tak, proszę pana – odpowiada grzecznie.

– A zatem – mówię, głaszcząc go po kafarowatej głowie – to ja jestem tą długą czerwoną zjeżdżalnią.

Nauczycielka poetka z całej siły wymierza mi policzek. Wiem dlaczego. Jak wszyscy tutaj chce, żebym poczuł się winny. Chce, żebym okazał skruchę, żebym zalał się łzami, oszczędził państwu wydatków, a jej wstydu, że to ze mną dzieli swoją czarność. Ja również czekam, aż to znajome obezwładniające poczucie czarnej winy rzuci mnie na kolana. Zbije mnie z pantałyku pozbawionym znaczenia idiomatycznym pantałykiem, aż całkowicie pokłonię się przed Ameryką, łzawo błagając o wybaczenie moją dumną czarną historię. Nic się jednak nie dzieje. Jest tylko brzęczenie klimatyzacji i mój haj. Kiedy ochrona odprowadza ją na miejsce, razem z wlokącym się za nią z całych sił uczepionym jej szala chłopcem, policzek, który miał mnie boleć po wieczność, już nie piecze, a ja nie mogę zdobyć się na ani jeden wyrzut sumienia.

Taka sytuacja – jesteś sądzony za swoje życie i po raz pierwszy nie czujesz się winny. Wszechogarniająca wina, czarna jak więzienna koszykówka i szarlotka z fast foodu, wreszcie znika i czuję się prawie biały, wolny od rasowego wstydu, który studenciakowi w okularach każe drzeć przed piątkiem na stołówce, „dnem pieczonego kurczaka”¹³. Wprowadzie szkoła w wydrukowanych na kredowym papierze prospektach przechwalała się „różnorodnością”, ale żadne stypendium na świecie nie skłoniłoby mnie do ogryzania chrząstek z udka na oczach całego wydziału. Nie udziela mi się już to zbiorowe poczucie winy, które sprawia, że wiolonczelista z trzeciego rzędu, sekretarka administracyjna, magazynier, niezbyt-atrakcyjna-ale-jednak-czarna zwyciężczyni konkursu piękności nie zjawiają się w pracy w pewien poniedziałkowy ranek, by wystrzelać wszystkich białych skurwysynów. Jest to poczucie winy, które zmuszało mnie do mamrotania „moja wina” za każde skiepszczone podanie kozłem, za każdego oskarżonego o korupcję polityka, za każdego komika, który wybałusza oczy i gada po „murzińsku”, za każdy czarny film po roku 1968. Nie czuję się już jednak odpowiedzialny. Wreszcie rozumiem, że my, czarni, nie czujemy się winni tylko wtedy, kiedy naprawdę zrobimy coś złego, ponieważ to uwalnia nas od dysonansu poznawczego, jaki przynosi bycie równocześnie czarnym i niewinnym, przez co perspektywa pójścia do paki staje się na swój sposób wyzwoleniem. Tak samo jak podlizywanie się białym jest wyzwoleniem, głosowanie na republikanów jest wyzwoleniem, ślub z kimś białym jest wyzwoleniem – nawet jeśli tylko chwilowym.

Czuając się niewygodnie z tym, że jest mi tak wygodnie, podejmuję ostatnią próbę zjednoczenia się z moim ludem. Zamykam oczy, kładę głowę na stole i chowam swój szeroki nos w zgięciu ramienia. Skupiam się na oddychaniu, nie dopuszczam do siebie flag ani fanfar, przebieram w obszernym magazynie czarnych snów na jawie, aż dokopuję się do porysowanego archiwalnego nagrania z czasów walki o prawa obywatelskie. Unosząc je ostrożnie za delikatne krawędzie, wyjmuję ze świętej puszkii, nakładam na mentalną szpulę, montuję psychologiczną migawkę, mentalną żarówkę, która od czasu do czasu rozbłyśka w mojej głowie jakimś godnym uwagi pomysłem. Włączam projektor. Nie trzeba regulować ostrości. Rzeź zawsze filmuje się i utrwała w najwyższej jakości. Obraz jest krystalicznie czysty, na zawsze wypalony w naszej

pamięci i na plazmowych ekranach telewizorów. Niekończący się, zapętlony Miesiąc Czarnej Historii, ujadające psy, tryskające wodą szlauchy, widoczne pod tanimi fryzurami ociekające krwią guzy, bezbarwna krew na twarzach błyszczących od potu i światła reflektorów ekipy wieczornego serwisu informacyjnego – oto obrazy tworzące nasze zbiorowe superego na taśmie szesnastomilimetrowej. Dziś jednak mam ptasi mózdzek i nie mogę się skoncentrować. Taśma w mojej głowie zaczyna się marszczyć i przeskakiwać. Dźwięk się urywa i protestujący w Selmie¹⁴ padają jak kostki domina, zaczynają wyglądać jak murzyński Gang Olsena, który grupowo poślizgnął się na skórce od banana akcji afirmatywnej – idą ławą, po czym wykładają się na ulicy jak skłębiona masa kończyn i marzeń. Maszerujący na Waszyngton¹⁵ zmieniają się w zombie ruchu praw obywatelskich, w szeregi stu tysięcy somnambulików na tle pomnika Lincolna, którzy wyciągają sztywne, pazerne palce po należy im funt ciała. Główny zombie wygląda na wyczerpanego zmartwychwstawaniem, ilekroć ktoś chce oświadczyć, co czarni powinni, a czego nie powinni robić, co mogą, a czego nie mogą mieć. Nie wie, że mikrofon jest włączony, i pod nosem wyznaje, że gdyby tylko skosztował tych niesłodzonych pomyj, które na Południu, w segregowanych jadłodajniach, uchodziły za mrożoną herbatę, odwołałby całą tę awanturę o prawa obywatelskie. Jeszcze przed bojkotami, pobiciami i zabójstwami. Stawia na podium puszkę coli light.

– Coca-cola orzeźwia – mówi – coca-cola to jest to!

Mimo to nie czuję się winny. Jeśli rzeczywiście cofam się, pociągając za sobą całą czarną Amerykę, to nic mnie to nie obchodzi. Czy to moja wina, że jedyną wymierną korzyścią z całego ruchu praw obywatelskich jest to, że czarni nie boją się już psów, tak jak kiedyś? Nie, nie moja.

Urzędniczka sądowa wstaje, wali młotkiem i zaczyna recytować inkantację: *Czcigodni Prezes i sędziowie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych*.

Hampton podnosi mnie niezgrabnie i razem z resztą obecnych wstajemy z usłużnym szacunkiem, kiedy sędziowie, z całych sił starając się sprawiać wrażenie bezstronnych, wchodzą na salę rozpraw – mają fryzury z czasów Eisenhowera, na twarzach obojętne miny mówiące „kolejny dzionek w robocie”. Trudno, nie sposób wyglądać niepretensjonalnie, kiedy ma się na sobie szatę z czarnego jedwabiu, a Sędzia Murzyn¹⁶ z roztargnienia zapomniał zdjąć platynowego roleksa za pięćdziesiąt tysięcy. Przypuszczam, że gdybym miał robotę pewniejszą niż sam Ojczulek Czas, to też byłbym zadowolonym z siebie skurwysynem.

Słuchajcież! Słuchajcież! Słuchajcież!

Teraz, po pięciu latach ciągłych wyroków, apelacji, unieważnień, odroczeń i wstępnych przesłuchań, nie wiem nawet, czy jestem skarżącym czy oskarżonym. Wiem tylko, że sędzia ze skwaszoną miną i postrasowym chronometrem nie przestanie się na mnie gapić. Nie mruga, wbija we mnie świdrujące, nieubłagane spojrzenie, jest wściekły, że spieprzyłem jego polityczną użyteczność. Ujawniłem jego kryjówkę, jak dzieciak, który pierwszy raz odwiedza zoo – wściekły, że musi przechodzić obok klatki z gadami, w której na pierwszy rzut oka niczego nie ma, ale zatrzymuje się przy wybiegu i krzyczy: „Tam jest!”.

Tam jest, *Chamaeleo africanus symbolicus*, ukryty z tyłu, w zaroślach, oślizgłymi łapami mocno uczepiony gałęzi sądowniczej, pogrążony w wyluzowanym letargu, cichutko ogryza owoce niesprawiedliwości. „Co z oczu, to z serca” – brzmi motto czarnych pracowników, a teraz cały kraj może zobaczyć tego tu, dociskamy do szyby nasz zbiorowy nos, zdumieni, że tak długo mógł maskować swoją czarną jak smoła alabamską dupę na tle czerwono-biało-niebieskiej flagi Ameryki.

Każdy, kto ma sprawę przed tym czcigodnym trybunałem, Sądem Najwyższym Stanów

Zjednoczonych, niech zbliży się i przedstawi ją, Sąd bowiem rozpoczął obrady. Niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone i ten czcigodny trybunał!

Hamp szturcha mnie w ramię, przypominając tym samym, że bym nie papugował ani wełnowłosego sędziego, ani republiki, którą reprezentuje. To Sąd Najwyższy, a nie telewizyjna Sędzia Judy. Nie muszę nic robić. Nie potrzebuję kopii kwitów z pralni, policyjnych raportów, zdjęć wgniecionego zderzaka. Tutaj spierają się prawnicy, sędziowie zadają pytania, a ja po prostu odchylam się i czerpię przyjemność z mojego haju.

Prezes Sądu przedstawia sprawę. Jego opanowane maniery rodem ze Środkowego Zachodu skutecznie zmniejszają napięcie na sali.

– Wysłuchamy teraz argumentów stron w pierwszej sprawie dzisiejszego dnia, numer zero dziewięć dwa tysiące sześćset sześć...

Przerywa, pociera oczy i dochodzi do siebie.

– W sprawie zero dziewięć dwa tysiące sześćset sześć, *Ja kontra Stany Zjednoczone Ameryki*.

Żadnych wybuchów furii. Tylko chichot i przewracanie oczami, któremu towarzyszy przeciągnięte przez zęby głośnie: „Co ten skurwysyn sobie wyobraża? Że kim niby jest?”. Przyznaję, *Ja kontra Stany Zjednoczone* brzmi nieco megalomańsko, ale co mogę zrobić? Ja to Ja. Dosłownie. Umiarkowanie dumny potomek Jahów z Kentucky, jednej z pierwszych czarnych rodzin, które osiedliły się w południowo-zachodnim Los Angeles. Mogę prześledzić moje korzenie aż do tego pierwszego okrętu, którym moi przodkowie uciekli z Południa przed usankcjonowaną przez państwo opresją, czyli do autokaru Greyhounda. Kiedy przyszedłem na świat, mój ojciec – zgodnie z pokreconą tradycją zmieniania swojego nazwiska, właściwą żydowskim artystom oraz zazdroszczącym im nadętym czarnym nieudacznikom – postanowił przyciąć nasze rodowe miano, pozbyć się tego nieporęcznego „h”, tak jak Jack Benny pozbył się Benjamin Kubelsky’ego, Kirk Douglas Danielovitcha, jak Jerry Lewis Deana Martina, Max Baer Schmelinga, Sammy Davis Jr judaizmu, a Third Bass pomysłu reanimowania zespołu. Nie zamierzał pozwolić, by ta dodatkowa litera utrudniała mi życie tak jak jemu. Papcio lubił powtarzać, że nie zanglicyzował ani nie zafrykanizował mojego nazwiska, ale je zaktualizował, że urodziłem się, osiągnąwszy mój pełen potencjał, i mogę olać Masłowa, trzecią klasę i Jezusa.

Wiedząc, że najbrzydsze gwiazdy filmowe, najbielsi raperzy i najgłupszy intelektualista są często najbardziej szanowanymi reprezentantami swojego fachu, Hamp, adwokat, który wygląda jak kryminalista, pewnym ruchem kładzie na mównicy wykałaczkę, przelatuje językiem po złotych siekaczach, wygładza biały jak zęby mleczne workowaty dwurzędowy garnitur, wiszący na jego kościstym ciele jak balon, z którego uszło powietrze i który – w zależności od waszego gustu muzycznego – albo pasuje, albo gryzie się z jego kruczoczną trwałą à la Kleopatra i kolorem skóry godnym nokautu Mike’a Tysona w pierwszej rundzie. Niemalże oczekuję, że zwróci się do sądu słowami: „Alfonsi i alfonsiny, być może słyszeliście, że mój klient jest nieuczciwy, ale to mało powiedziane, mój klient jest bowiem szachrajem!”. W czasach kiedy działacze społeczni mają programy telewizyjne i miliony dolarów, niewielu ostało się ludzi pokroju Hamptona Fiske’a, występujących pro bono dupków, którzy wierzą w system i Konstytucję, ale potrafią dostrzec lukę między rzeczywistością a retoryką. I choć tak naprawdę nie wiem, czy faktycznie we mnie wierzy czy nie, to wiem, że kiedy podejmuje się bronienia czegoś nie do obrony, jego wiara nie ma żadnego znaczenia, jest to bowiem człowiek, który ma na wizytówce: „Dla biedaka każdy dzień jest luźnym piątkiem”.

Fiske ledwo zdążył wypowiedzieć słowa „Jeśli Wysoki Sąd pozwoli”, kiedy Czarny Sędzia niemal niepostrzeżenie przesunął się do przodu. Nikt by tego nie zauważył, gdyby nie zdradziło

go skrzypiące kółeczko obrotowego fotela. Z każdym odniesieniem do jakiejś zapomnianej części ustawy o prawach obywatelskich czy precedensowego orzeczenia sędzia obraca się niecierpliwie, a z każdym niespokojnym przesunięciem ciężaru ciała z jednego obwisłego, cukrzycowego półdupka na drugi fotel skrzypi głośniej i głośniej. Możesz zasymilować człowieka, ale nie ciśnienie tętnicze. Zdradza go żyła pulsująca gniewnie na środku czoła. Patrzy na mnie tym szalonym, czerwonoookim wzrokiem, na który u nas, w Dickens, mówimy „wzrok z Willowbrook Avenue”, bo to właśnie Willowbrook Avenue, ten czteropasmowy Styks, w latach sześćdziesiątych oddzielił białe dzielnice od czarnych, ale teraz, po ucieczce na przedmieścia białych i wszystkich, którzy mieli co do garnka włożyć, piekło rozpościera się po obu stronach ulicy. Brzegi tej rzeki są niebezpieczne i twoje życie może się raptownie zmienić, kiedy stoisz na przejściu dla pieszych i czekasz na zielone. Jakiś ziomek, przedstawiciel jakiegoś koloru, bandy albo jednego z pięciu etapów żałoby, może nagle zajechać swoim dwubarwnym coupé, otworzyć okno po stronie pasażera, wysunąć gnata i obdarzając cię tym samym spojrzeniem co Sędzia Murzyn, zapytać: „Skąd jesteś, durniu?”.

Prawidłowa odpowiedź brzmi oczywiście: „Znikąd”, ale czasami mogą tego nie dosłyszeć – kiedy zagłuszają cię pykający silnik bez tłumika, burzliwe obrady senackiej komisji, liberalne media kwestionujące twoje kwalifikacje, podstępna czarna suka oskarżająca cię o molestowanie seksualne. Czasami „Znikąd” nie jest wystarczająco dobrą odpowiedzią. Nie dlatego, że ci nie wierzą, nie dlatego, że „każdy skądś jest”, ale dlatego, że nie chcą ci uwierzyć. I teraz, straciwszy warstewkę patrycjuszowskiej uprzejmości, ten sędzia o skwaszonej gębie, siedzący na obrotowym fotelu z wysokim oparciem, nie różni się niczym od chojraka kursującego tam i z powrotem po Willowbrook Avenue, który okrzykiem „giwera!” zaklepał sobie miejsce strzelca – obok kierowcy – bo akurat ma jakąś broń.

Po raz pierwszy w swojej długiej karierze sędziego Sądu Najwyższego Sędzia Murzyn zadaje pytanie. Nigdy wcześniej się nie wtrącał, więc niezbyt wie jak. Wzrokiem prosi Sędziego Włocha o głos, powoli unosi spuchniętą, pokrytą plamami od cygara dłoń, ale jest zbyt wścibki, by czekać na pozwolenie, i głosem zaskakująco wysokim jak na czarnego faceta tych rozmiarów wyrzuca z siebie: „Oszalałeś, czarnuchu?”. Zniknęły obiektywność i opanowanie, pięściami rozmiarów połci szynki wali w ławę tak mocno, że ogromny, fikuśny połączony zegar zwisający z sufitu nad głową prezesa Sądu zaczyna się huścić w tę i we w tę. Czarny Sędzia przysuwa się zbyt blisko mikrofonu, wrzeszczy do niego, bo choć siedzę zaledwie kilka metrów od ławy, to różnice między nami mierzy się w latach świetlnych. Domaga się wyjaśnienia, jak to się dzieje, że w dzisiejszych czasach jakiś czarny może złamać uświęconą zasadę trzynastej poprawki i posiadać niewolnika. Jak mogłem świadomie zignorować czternastą poprawkę i oznajmić, że segregacja czasami zbliża ludzi. Jak wszyscy ludzie wierzący w system chce odpowiedzi. Chce wierzyć, że to Szekspir napisał wszystkie te książki, że Lincoln stoczył wojnę secesyjną, żeby uwolnić niewolników, a Stany Zjednoczone walczyły w drugiej wojnie światowej, żeby uratować Żydów, zaprowadzić na świecie pokój i demokrację. Że wrócą Jezus i dwa wejścia do kina w cenie jednego biletu. Nie należę jednak do Amerykanów z rodzaju panglosistów. Kiedy zrobiłem to, co zrobiłem, nie myślałem o nienaruszalnych prawach i dumnej historii naszego ludu. Zrobiłem to, co działało, i niby to od kiedy odrobina niewolnictwa i segregacji komuś zaszkodziła, a jeśli tak, to, kurwa, trudno.

Czasami, kiedy jest się tak upalonym jak ja teraz, zaciera się granica między myślą a mową i biorąc pod uwagę, jak pieni się Sędzia Murzyn, to ostatnie musiałem powiedzieć na głos: „...to, kurwa, trudno”. Wstaje, jakby chciał się bić. Kropla śliny z najgłębszych rejonów jego edukacji

na wydziale prawa w Yale usadowiła mu się na koniuszku języka. Prezes Sądu woła go po nazwisku i Sędzia Murzyn opanowuje się, płaska dupą na fotel. Do kieszeni chowa ręce, może nawet dumę, przełyka ślinę.

– Segregacja rasowa? Niewolnictwo? Niech cię, jebany skurwysynu, nie tak cię wychowali rodzice, wiem to dobrze! No, jedziemy z tym wieszaniem!

GÓWNO, KTÓRE SZUFLUJESZ

I

Przypuszczam, że tu właśnie leży problem – wcale nie wychowano mnie lepiej. Mój ojciec (niech Carl Jung ma go w swojej opiece) był znanym w pewnych kręgach psychologiem. Jako założyciel i – wedle mojej wiedzy – jedyny praktyk nowej dyscypliny, psychologii wyzwolenia, lubił chodzić po domu – vel klatce Skinnera – w białym kitlu. W tym czasie ja, niezdarny i roztargniony czarny szczur laboratoryjny, uczyłem się w domu, ściśle według zasad teorii rozwoju poznawczego Piageta. Nie karmiono mnie, ale podawano mi stymulanty apetytywne o temperaturze pokojowej. Nie karano, ale wyzwalano z moich odruchów bezwarunkowych. Nie kochano, ale wychowywano w atmosferze wykalkulowanej intymności oraz wysokiego poziomu zaangażowania.

Mieszkaliśmy w Dickens, getcie na południowym skraju Los Angeles, i choć zabrzmiało to dziwnie – dorastałem na farmie w centrum miasta¹⁷. Założone w 1868 roku Dickens, jak większość kalifornijskich miast (z wyjątkiem Irvine, które powstało jako wylęgarnia głupich białych republikańskich grubasów, ich chihuahua oraz uwielbiających takie psy wschodnioazjatyckich uchodźców), było najpierw osadą rolniczą. Akt lokacyjny stanowił, że „Dickens wolne będzie od Chińczyków, Hiszpanów wszelkiej maści, dialektów i nakryć głowy, Francuzów, rudych, francuskich piesków oraz niewykwalifikowanych Żydów”. Mimo to ojcowie założyciele w swojej cokolwiek ograniczonej mądrości przeznaczyli po wieczne czasy dwieście hektarów nad kanałem na coś, co określili mianem „rolniczych terenów mieszkalnych”, i tak oto powstała moja część Dickens, kwadrat dziesięć na dziesięć przecznic, nieoficjalnie zwany Farmami. Łatwo poznać, że jesteś już w Farmach, ponieważ chodniki – razem z twoimi felgami, radiem, cierpliwością i postępowymi poglądami – rozpływają się tam w powietrzu przepełnionym zapachem krowiego łajna i, jeśli wiatr wieje w dobrym kierunku, dobrej maryśki. Dorośli mężczyźni na góralach i ostrym kole wolno pedałużają po ulicach zapchanych stadami i tabunami wszelkiego rodzaju domowego ptactwa, od kur po pawie. Jeżdżą bez trzymanki, przeliczają małe pliki banknotów i podnoszą wzrok tylko po to, by pytająco unieść brew i wymamrotać: „Siema! Elo!”. Przed domami w ranczerskim stylu koła wozów przybite do drzew i ogrodzeń dają posmak pionierskiej autentyczności, a także maskują to, że na każdym oknie, każdym drzwiach i każdej klapie dla psa zamontowano więcej krat i kłódek niż w więziennej kantynie. Na gankach emeryci i ośmiolatki, którzy widzieli już wszystko, siedzą na rozklekotanych krzesłach ogrodowych, karbując je sprężynowcami i czekając, aż coś się wydarzy, bo w końcu zawsze coś się dzieje.

Przez dwadzieścia lat, które go znałem, Tata był tymczasowym dziekanem wydziału psychologii w dwuletnim West Riverside Community College. Dorastał w Lexington, w Kentucky, jako syn kierownika stajni w małej stadninie, miał więc sentyment do rolnictwa. Kiedy przyjechał na zachód, żeby objąć stanowisko na uczelni, możliwość zamieszkania w czarnej dzielnicy i równoczesnego hodowania koni była okazją, której nie zamierzał odpuścić, nawet jeśli nie mógł pozwolić sobie na hipotekę i koszty utrzymania.

Może gdyby był psychologiem porównawczym, niektórym koniom i krowom udało by się przeżyć dłużej niż trzy lata, a pomidory byłyby mniej robaczywe, ale w głębi duszy bardziej interesowała go wolność czarnych niż opryski i dobrobyt królestwa zwierząt. W jego

poszukiwaniach klucza do umysłowej wolności odgrywałem rolę Anny Freud, małego studium przypadku, i kiedy nie uczył mnie jeździć konno, odtwarzał słynne eksperymenty społeczne ze mną w roli zarówno grupy kontrolnej, jak i badawczej. Jak każde „prymitywne” murzyńskie dziecko mające tyle szczęścia, by osiągnąć stadium operacji formalnych, w końcu uświadomiłem sobie, że miałem gówniane dzieciństwo, którego nigdy nie zdołam zapomnieć.

Zważywszy, że metodologii mojego taty nie nadzorowała żadna komisja etyki, można zapewne uznać, że eksperymenty zaczęły się dość niewinnie. Na początku dwudziestego wieku behawioryści Watson i Rayner, chcąc udowodnić, że strach jest zachowaniem wyuczonym, wystawili dziewięciomiesięcznego Małego Alberta na neutralne bodźce: białe szczury, mały, pliki płonącego papieru. Początkowo badane niemowlę nie przejmowało się małpoksztalnymi, myszowatymi i ogniem, ale kiedy Watson zaczął łączyć widok szczura z nieznośnie głośnym dźwiękiem, u Małego Alberta wytworzył się lęk nie tylko na widok białego szczura, ale wszystkich puchatych rzeczy. Kiedy miałem siedem miesięcy, Papcio włożył do mojego łóżeczka zabawkowy radiowóz, zimne puszki piwa Pabst Blue Ribbon, przypinki z kampanii Richarda Nixona i egzemplarz *Economista*, ale lęku przed okazanymi bodźcami nauczyłem się inaczej – zamiast przeraźliwie walić w metalowy pręt, tata wyciągał rodzinny rewolwer i oddawał w sufit kilka ogłuszających strzałów, wrzeszcząc przy tym „Wypierdajaj do Afryki, czarnuchu!” tak głośno, że słycać go było nawet mimo *Sweet Home Alabama*, które napieprzało ze wzmacniaczy w salonie. Do dziś nie potrafię wysiedzieć na choćby najnudniejszym serialu policyjnym, darzę dziwną sympatią Neila Younga, a kiedy mam problemy z zaśnięciem, nie słucham nagrań z szumem deszczu czy morza, tylko taśm Watergate.

Rodzina legenda mówi, że od pierwszego do czwartego roku życia wiązano mi z tyłu prawą rękę, żebym stał się leworęczny, prawopółkulowy i zrównoważony. Miałem osiem lat, kiedy ojciec postanowił zbadać „efekt przechodnia” w odniesieniu do „czarnej społeczności”. Odtworzył niesławną sprawę Kitty Genovese z dojrzewającym mną w roli nieszczęsnej panny Genovese, którą w 1964 roku obrabowano, zgwałcono i zadźgano nożem na owładniętej znieczulicą nowojorskiej ulicy, kiedy dziesiątki świadków i sąsiadów obojętnie zignorowały jej płaczliwe wołanie o pomoc, o czym pisze się w każdym podręczniku psychologii. Stąd „efekt przechodnia”: im więcej ludzi wokół może pomóc, tym mniejsza jest szansa na to, że się pomoc otrzyma. Tata postawił hipotezę, że zasada ta nie odnosi się do czarnych, troskliwej rasy, której egzystencja zależała i zależy od pomagania sobie w potrzebie. Kazał mi stanąć na najruchliwszym skrzyżowaniu w okolicy, z kieszeni wysypywały mi się dolary, w przewodzie słuchowym zewnętrznym miałem błyszczący nowością gadżet elektroniczny, na szyi ciężki raperski złoty łańcuch, a na ramieniu – niczym serweta u kelnera – z niewiadomych przyczyn wisiał mi zestaw robionych na wymiar mat podłogowych do hondy civic. Zalewając się łzami, pozwoliłem własnemu ojcu napaść na mnie. Przywalił mi na oczach tłumy gapiów, którzy nie kazali na siebie długo czekać. Napaść nie trwała nawet dwóch ciosów w twarz, kiedy ludzie rzucili się na pomoc, nie mnie jednak, lecz ojcu. Pomogli mu skopać mi dupę, radośnie dokładając swoje trzy grosze w postaci ciosów łokciem czy rzutów rodem z telewizyjnego wrestlingu. Jakaś kobieta zastosowała profesjonalny i – patrząc wstecz – łaskawy chwyt duszący *hadaka jime*. Odzyskawszy świadomość, zobaczyłem, jak Ojciec zbiera dane do kwestionariuszy: przepytuje kobietę i innych napastników. Ich twarze wciąż ociekały potem, a przygniecione altruistycznym wysiłkiem piersi unosiły się ciężko. Wydawało mi się, że w ich uszach, jak w moich, wciąż rozbrzmiewają ich szaleny śmiech oraz moje przeraźliwe krzyki.

„Jak bardzo jesteś zadowolony ze swojego altruizmu?”
Niezadowolony Trochę zadowolony Bardzo zadowolony
1 2 3 4 5

W drodze do domu Papcio położył opiekuńczo rękę na moim obolałym ramieniu i wygłosił przeprosinowy wykład o tym, że nie wziął pod uwagę „zasady podczepienia”.

Kiedy indziej postanowił zbadać „służalczość i posłuszeństwo w pokoleniu hip-hopu”. Musiałem mieć jakieś dziesięć lat, kiedy posadził mnie przed lustrem, założył halloweenową maskę Ronalda Reagana, przypiął sobie do kitla starą odznakę kapitana linii lotniczych Trans World i oświadczył, że jest „figurą białego autorytetu”.

– Czarnuch w lustrze jest głupim czarnuchem – wyjaśnił mi skrzekliwym, przesłodzonym „białym głosem”, którego używają czasem kolorowi komicy, po czym przyklepił mi do skroni elektrody. Kable prowadziły do złowrogo wyglądającej konsoli, pełnej przycisków, pokręteł i staromodnych woltomierzy. – Zadasz chłopcu w lustrze serię pytań z leżącego na stole formularza, dotyczyć będą tej rzekomej „historii czarnuchów”. Jeśli udzieli niewłaściwej odpowiedzi albo nie odpowie w ciągu dziesięciu sekund, naciśniesz czerwony guzik i porazisz go prądem. Z każdą złą odpowiedzią napięcie będzie wzrastać.

Wiedziałem, że nie ma co błagać o litość, litość bowiem przyjęłaby formę tyrady, że dostałem to, na co sobie zasłużyłem czytaniem jedyne go komiksu, jaki kiedykolwiek miałem. Batman, numer 203, *Spektakularne sekrety batjaskini nareszcie odkryte*, porzucony przez kogoś na podwórzu zatechły egzemplarz z pozaginanymi rogami, który wniosłem do domu i niczym zraniony utwór literacki doprowadziłem do stanu czytelności. Była to pierwsza rzecz z zewnętrznego świata, którą w życiu przeczytałem, i kiedy pewnego razu, na przerwie w domowym nauczaniu, wyciągnąłem komiks, Ojciec go skonfiskował. Od tamtej pory, ilekroć czegoś nie wiedziałem albo miałem zły dzień na dziełni, wymachiwał mi przed nosem podartą okładką komiksu.

– Widzisz?! Gdybyś nie marnował życia na czytanie tego gówna, tobyś wiedział, że Batman nie uratuje ani twojej dupy, ani twojego ludu!

Przeczytałem pierwsze pytanie.

– Jak nazywały się dwie kolonie, z których przed uzyskaniem niepodległości w 1957 roku składało się zachodnioafrykańskie państwo Ghana?

Nie znałem odpowiedzi. Zastrzygłem uszami w oczekiwaniu ryku rakietowych silników batmobilu, pisku opon za rogiem, ale słycać było tylko odmierzający sekundy stoper ojca. Zacisnąłem zęby, położyłem palec na czerwonym przycisku i poczekałem, aż minie czas.

– Odpowiedź brzmi: Togoland i Złote Wybrzeże.

Posłusznie, tak jak przewidział mój ojciec, nacisnąłem guzik. Wskazówka woltomierza i mój kręgosłup wyprostowały się w tym samym momencie, a w lustrze zobaczyłem, jak przez sekundę czy dwie telepię się gwałtownie w tańcu świętego Wita.

Jezu.

– Ile to było woltów? – zapytałem, nie mogąc opanować drżenia rąk.

– Obiekt będzie zadawał jedynie pytania znajdujące się na kartce – powiedział zimno tata i nachylił się, żeby o kilka kliknięć przesunąć czarne pokrętko, które znalazło się teraz na XXX. – A teraz proszę przeczytać następne pytanie.

Wzrok mi się rozmył, co było zapewne reakcją psychosomatyczną, ale i tak wszystko straciło ostrość, niczym na pirackiej kopii oglądanej na płaskoekranowym telewizorze z bazaru, więc

żeby przeczytać następne pytanie, musiałem przysunąć drżącą kartkę pod sam nos.

– Ilu Afroamerykanów spośród dwudziestu trzech tysięcy ósmoklasistów zdających egzamin wstępny do Stuyvesant High, najbardziej elitarnego publicznego liceum Nowego Jorku, zdobyło wystarczającą liczbę punktów, by zostać przyjętym?

Kiedy skończyłem czytać, zaczęła mi lecieć krew z nosa, czerwone kropelki ściekały z lewego nozdrza i skapywały na stół w idealnie równych, jednosekundowych odstępach. Ignorując stoper, Ojciec zaczął odliczanie. Zerknąłem na niego podejrzliwie. Pytanie było zbyt aktualne. Ani chybi czytał przy śniadaniu „New York Timesa”. Nad miską płatków przygotowywał się do dzisiejszego eksperymentu, szukając rasowej amunicji. Z furią i szybkością przerzucał stronę za stroną, zaginając rogi gazety i wdychając zapach owsianki o poranku.

Co zrobiłby Batman, gdyby wpadł wtedy do kuchni i zobaczył ojca, który dla dobra nauki razi syna prądem? Cóż, sięgnąłby do batpasa i wyciągnął jedną z tych swoich kulek z gazem łzawiącym, a kiedy tata krztusiłby się dymem, wziąłby go i udusił – gdyby wystarczyło mu batliny na okręcenie tego tłustego, serdelkowatego karku – a następnie wypaliłby mu oczy laserem i miniaturowym aparatem zrobił kilka zdjęć dla batpotomności. Następnie wytrychem otworzyłby oldskulowego błękitnego karmanna-gnię cabrio (którym Papiro jeździł tylko do białych dzielnic) i spierdyngalalibyśmy. Oto co zrobiłby Batman. Ale mnie, tchórzliwej batciocie, którą byłem i jestem nadal, przyszło do głowy tylko zakwestionowanie kijowej metodologii tego pytania. Na przykład: ilu czarnych uczniów przystąpiło do egzaminu? Ile osób liczy średnio jedna klasa w Stuyvesant High?

Tym razem, zanim dziesiąta kropla krwi wylądowała na stole i zanim mój ojciec mógł wyrzucić z siebie odpowiedź (siedmioro), nacisnąłem czerwony guzik, aplikując sobie samemu szarpiący nerwy, hamujący wzrost impuls elektryczny o napięciu, które przeraziłoby samego Thora i odmóodziło już znieczuloną klasę czarnych wykształciuchów. Bo teraz nawet ja byłem już ciekaw. Chciałem zobaczyć, co się stanie, kiedy odda się czarnego dziesięciolatka nauce.

Dowiedziałem się mianowicie, że określenie „wypróżnić się” jest mylące, stało się bowiem dokładnie odwrotnie – to ja zostałem wypróżniony. Była to powódź stolca na miarę wielkich katastrof, które znamy z historii. Powódź Świętego Feliksa. Wielkie indonezyjskie tsunami. Nowy Orlean. W przeciwieństwie jednak do szesnastowiecznych Holendrów, europejskich turystów czy mieszkańców zalanego Okręgu Dziewiątego lokatorzy mojego przewodu jelitowego nie mieli gdzie uciec. Wodnisty komponent cuchnącej fali gówna i moczu, który nie rozgościł się wokół pośladek i jaj, spłynął mi po nogach, rozlał po tenisówkach i wokół nich. Nie chcąc zakłócać wiarygodności eksperymentu, Ojciec po prostu zatkał sobie nos i gestem polecił mi kontynuować. Dzięki Bogu znałem odpowiedź na pytanie trzecie – Ile komnat ma Wu-Tang?¹⁸ – bo gdyby było inaczej, mój mózg nabrałby koloru i konsystencji brykietu do grilla w dzień po czwartym lipca.

Mój intensywny kurs rozwoju dziecięcego dobiegł końca dwa lata później, kiedy Tata spróbował odtworzyć badanie doktorostwa Kennetha i Mamie Clarków, którzy używając czarnych i białych lalek, zbadali samoświadomość czarnych dzieci. Wersja mojego ojca była, rzecz jasna, trochę bardziej rewolucyjna. Ciut nowocześniejsza. Clarkowie usadzili przed dziećmi dwie lalki, obute w czarno-białe trzewiczki bobasy wielkości naturalnej, jedną czarną, drugą białą, po czym zaczęli pytać dzieciaki, którą wolą. Mój ojciec postawił przede mną dwie wymyślne dioramy i zapytał:

– Kto i co, synu, jakie społeczno-kulturowe podłoże jest spoko?

Diorama nr 1 przedstawiała Kena i Barbie z Malibu ubranych w pasujące do siebie stroje

plażowe. Stosownie do okoliczności mieli na sobie maski i rurki do nurkowania, relaksowali się nad brzegiem basenu. W dioramie nr 2 Martin Luther King, Malcolm X, Harriet Tubman i jakiś ciemnoskóry Wańka-Wstańka biegli (i turlali się) przez błotniste zarośla, uciekali przed sforą owczarków niemieckich, wiedzionych przez uzbrojoną bandę linczowników, która składała się z moich G.I. Joe w pelerynach Ku Klux Klanu.

– Co to? – zapytałem, wskazując na białą ozdóbkę choinkową, która obracała się powoli nad bagnem, migocząc i lśniąc jak dyskotekowa kula w popołudniowym słońcu.

– To Gwiazda Polarna. Uciekają w stronę Gwiazdy Polarnej. W stronę wolności.

Wzięłem do ręki Martina, Malcolma i Harriet, a żeby podroczyć się z tatą, zapytałem:

– Co to ma być, figurki *bezakcji*?

Martin Luther King wyglądał okej. Stylowo odziany w dopasowany połyskliwy czarny garnitur, do jednej ręki miał przyklejoną autobiografię Gandhiego, a do drugiej mikrofon. Malcolm ubrany był podobnie, ale miał okulary i trzymał płonący koktajl Mołotowa, który powoli topił mu rękę. Uśmiechnięty, nieokreślony rasowo Wańka, który niepokojąco przypominał dziecięcą wersję mojego ojca, spełniał swoje zadanie – kolebał się, ale nigdy nie wywracał, zarówno kiedy niepewnie kołysał się na mojej dłoni, jak i kiedy ścigali go rycerze białej supremacji. Coś nie tak było jednak z panią Tubman¹⁹. Odziano ją w ciasno opięty parciany wór, ale nie przypominałem sobie, żeby tego Mojżesza w spódnicy opisywano w moich podręcznikach do historii jako posągową laskę o wymiarach 90-60-90, z długimi jedwabistymi włosami, o wyskubanych brwiach i niebieskich oczach, z warami-obciążarami i sterczącymi cycuszkami.

– Tato, pomalowałeś Barbie na czarno.

– Chciałem utrzymać poziom atrakcyjności. Przyjąć pewien wspólny punkt odniesienia w kwestii wdzięku, żebyś nie mógł powiedzieć, że jedna lalka jest ładniejsza od drugiej.

Barbie z plantacji miała na plecach sznurek. Pociągnąłem za niego. „Matma jest trudna, chodźmy na zakupy”, powiedziała piskliwym, śpiewnym głosikiem. Wstawiłem czarnych bohaterów z powrotem do bagna na stole i ustawiłem im kończyny w pozie uciekinierów.

– Wybrałem: spoko są Ken i Barbie.

Straciwszy swój obiektywizm naukowca, Ojciec chwycił mnie za koszulę.

– Co? Czemu? – wrzasnął.

– Bo biali ludzie mają lepsze gadzety. Sam zobacz. Harriet Tubman ma gazową latarnię, kostur i kompas. Ken i Barbie mają quada i motorówkę. Też mi wybór.

Następnego dnia Ojciec spalił „wyniki badań” w kominku. Nawet na poziomie dwuletniej Wyższej Szkoły Tego i Owego obowiązuje zasada „publikuj lub giń”. Bardziej od tego, że nigdy nie zmniejszono mu pensum albo że nie dostał miejsca parkingowego opatrzonego nazwiskiem, bolało go, że okazałem się nieudanym eksperymentem społecznym. Statystycznie pomijalnym synem, który zniweczył nadzieje, jakie wiązał ze mną i całą czarną rasą. Musiałem oddać mu swój sennik. Moje kieszonkowe przestał nazywać „wzmocnieniem pozytywnym”, a zaczął określać je mianem „restytucji”. Choć nigdy nie przestał gonić mnie do „nauki książkowej”, niedługo potem kupił mi pierwszy szpadel, widły i maszynkę do strzyżenia owiec. Wysłał mnie na pole klepieniem w zadek, przypięwszy mi na zachętę do dzinsowych ogrodniczek słynny cytat z Bookera T. Washingtona: „Zaczerpnijcie swoimi wiadrami tam, gdzie jesteście”²⁰.

Jeśli istnieje niebo warte wysiłków, jakie ludzie podejmują, żeby się tam dostać, to przez wzgląd

na mojego ojca mam nadzieję, że wydają tam niebiańskie czasopismo psychologiczne. Takie, które publikuje rezultaty nieudanych eksperymentów, ponieważ docenianie niepotwierdzonych teorii i negatywnych wyników jest równie ważne jak publikowanie badań dowodzących, że – tak jak to zawsze udawaliśmy – czerwone wino to panaceum.

Nie wszystkie moje wspomnienia o Ojcu są złe. Choć oficjalnie byłem jedynakiem, Tatuś, jak wielu czarnych mężczyzn, miał mnóstwo dzieci. Obywatele Dickens byli jego potomstwem. Choć nie bardzo potrafił obchodzić się z końmi, w mieście znano go jako Zaklinacza Czarnuchów. Wzywany był, ilekroć jakiś czarnuch „kompletnie ocipiał” i należało go przekonać, żeby zszedł z drzewa albo krawędzi estakady. Ojciec łąpał swoją biblię psychologii, *Planowanie zmiany* Bennisa, Benne’a i Roberta China, karygodnie niedocenionego amerykańskiego psychologa chińskiego pochodzenia, którego mój tata nigdy nie spotkał osobiście, ale zawsze podawał jako swojego mentora. Większości dzieci czytano na dobranoc bajki i legendy; ja zasypiałem, słuchając rozdziałów o takich tytułach jak *Użyteczność modeli środowisk systemowych dla praktyków*. Mój ojciec był stanowczo praktykiem. Nie przypominam sobie sytuacji, żeby nie zabrał mnie ze sobą na zaklinalanie czarnucha. Po drodze przechwalał się, że społeczność czarnych jest do niego bardzo podobna: JPD.

– Już prawie doktoryzowana?

– Już prawie dobita.

Kiedy dojeżdżaliśmy na miejsce, sadzał mnie na dachu jakiegoś minivana albo stawiał na pobliskim śmietniku, wręczał mi notes i kazał robić zapiski. Policyjne koguty migotały, ludzie krzyczeli, rozbite szkło miękko trzeszczało mu pod butami z kozłej skóry, bardzo się o niego bałem. Tatuś miał jednak sposób na przystępowanie do nieprzystępnego. Ze współczującą, posępną miną i dłońmi w takiej samej pozycji jak figurka Jezusa z deski rozdzielczej podchodził do jakiegoś dzierżącego nóż świra o źrenicach wąskich jak atom, naprutego litrem hennessy’ego XO i popitką w postaci dwunastopaku piwa light. Nie zważając na zakrwawiony strój roboczy, upačkany mózgiem i materią kałową, ścisnął tego kogoś, jakby witał starego przyjaciela. Ludzie uważali, że to jego bezinteresowność pozwala mu podchodzić tak blisko, ale moim zdaniem wszystko polegało na głosie. Ojciec mówił doowopowym basem, wibrującym, niskim, w tonacji fis, który wbijał cię w ziemię jak Five Satins śpiewający *In the Still of the Night* oczarowujący nastolatka z fryzurą na Presleya. To nie muzyka łagodzi obyczaje, ale ciągła znieczulica. A głos Ojca potrafił uspokajać wściekłych i pozwalał im bez obaw skonfrontować się z własnymi lękami.

Już w podstawówce wiedziałem, że Kalifornia jest miejscem wyjątkowym. Po smaku granatów, który wyciskał łyzy radości, po tym jak letnie słońce nadawało naszym afro kolor sycylijskich pomarańczy, z uchachania, w które wprowadzała mojego ojca rozmowa o stadionie Dodgersów, białym zinfandelu i błyszczącym zielenią zachodzie słońca, który widział ze szczytu Mount Wilson. Jeśli się nad tym zastanowić, to prawie wszystko, co uczyniło wiek dwudziesty znośnym, zostało wynalezione w jakimś kalifornijskim garażu: komputer Apple’a, boogieboarding, gangsta rap. Dzięki karierze mojego ojca na polu zaklinalania czarnuchów byłem świadkiem narodzin tego ostatniego, kiedy pewnego zimnego, ciemnego, gettowego poranka, o szóstej, dwie przecznice od miejsca, gdzie dziś mieszkam, Carl „Kilo G” Garfield, halucynując po zinternalizowaniu swoich zapasów oraz złowieszczej poezji Alfreda Tennysona, wypadł z garażu, zerkając w notatnik Moleskina. W ręce wisiła mu dymiąca fajka. Było to w apogeum epoki cracku. Miałem jakieś dziesięć lat, kiedy wgramolił się do kabiny swojej wypasionej żółtej toyoty – TO i TA wydrapano i zamalowano, więc według napisu na klapie był to pikap marki

YO – i co tchu w płucach zaczął swoją gadkę, i wydeklamował bełkotliwy pentametr jambiczny, któremu rytm nadawały wystrzały z niklowanej trzydziestkiósemki oraz błagania jego mamuśki, żeby zabrał swoje gołe dupsko do domu.

SZARŻA LEKKO NAPRUTEGO CZARNUCHA

Litra pół, litra pół,
Litra pół i joł,
Ruszyli prosto w śmierć,
Wypiwszy setek sześć.
„Naprzód, lekko napruty
czarnuchu, skop im dupy!”
Ruszyli prosto w śmierć,
Wypiwszy setek sześć...

Kiedy brygada SWAT przybyła wreszcie na miejsce, przyciskając do piersi karabiny szturmowe, chowając się za platanami oraz drzwiami radiowozów, policjanci tak się chichrali, że ani jeden nie był w stanie oddać strzału.

Rzeczą ich nie pytać, jak, kurwa, żyć,
Rzeczą ich strzelać i dupy kryć.

Po prawej ich – czarnuchy,
Po lewej ich – czarnuchy,
Naprzeciw nich – czarnuchy
Z melanzu naprute szły.
I on, strzelanek król,
Pod gradem świszczących kul,
Ku paszczy Śmierci wiódł
Kumpli i suki swe.
Jakiż to straszny ból!
Gdy w boju wreszcie padł,
Po setkach sześciu i pół.

Kiedy mój ojciec, Zaklinacz Czarnuchów – z tym swoim błogim uśmiechem rozpląszczonym na twarzy – ominął policyjną barykadę, podszedł do dilerka w całkowitej rozsypce, objął go ramieniem okrytym miękkim tweedowym rękawem kurtki i wyszeptał mu do ucha jakieś mądrości, Kilo G zamrugał tępo, jak ochotnik z widowni otumaniony przez hipnotyzera z indiańskiego kasyna, po czym posłusznie oddał broń i klucze do swego serca. Policjanci zbliżyli się, żeby dokonać aresztowania, ale Ojciec nakazał im się cofnąć, zachęcając Kilo, żeby dokończył swój wiersz. Udając, że zna słowa, przyłączał się nawet na końcu każdej strofy.

Czy chwała ich kiedyś zgaśnie?
Cóż to za szarża! Właśnie,
Niech to usłyszcy świat!
Szacun dla szarży czarnucha!

Więc pociągnijmy bucha
I wzniesmy za niego setę!

Suki i radiowozy znikły w porannej mgle, zostawiając na środku ulicy tylko mojego ojca – półboskiego, chełpiącego się swoim humanitaryzmem. Odwrócił się do mnie buńczucznie.

– Czy wiesz, co powiedziałem temu psychotycznemu skurwysynowi, że wreszcie opuścił broń?

– Co powiedziałeś, Tato?

– Powiedziałem: „Bracie, musisz sobie zadać dwa pytania. Kim jestem? I jak mogę stać się sobą?”. To podstawa terapii skierowanej na klienta. Chcesz, żeby poczuł się ważny, poczuł, że to on czy ona sprawuje kontrolę nad procesem leczenia. Zapamiętaj to sobie, kurwa.

Chciałem zapytać go, dlaczego tym samym wspierającym tonem, którego używał w rozmowach ze swoimi „klientami”, nie rozmawiał ze mną, ale wiedziałem, że zamiast odpowiedzi dostanę pasem po dupie, a mój proces leczenia polegać będzie na okładach z merkurochromu oraz – w miejsce szlabanu – pięciu, a co najmniej trzech tygodniach aktywnego fantazjowania według szkoły Junga. Mknąc coraz dalej i dalej niczym jakaś odległa spiralna galaktyka, czerwone i niebieskie koguty obracały się cicho, ale wspaniale i rozświetlały cieniutką poranną warstwę nadmorskiej mgły niczym gettowa zorza polarna. Włożyłem palec w dziurę, którą zrobiła w drzewie pistoletowa kula, i pomyślałem, że jak ona, wbita w pień na głębokość dziesięciu słoików, nigdy nie opuści tej dzielnicy. Że pójdę do miejscowego liceum. Jako przeciętny maturzysta z sześciodzianowym i pełnym literówek CV będę kursował w tę i w tę między pośrednikami, parkingiem klubu ze striptizem i kursami na urzędnika państwowego. Poślubię, porucham i zabiję Marpessę Delissę Dawson, sukę z sąsiedztwa i moją jedyną miłość. Będę miał dzieci. Będę groził im wysłaniem do wojskowej szkoły z internatem i zapewnieniami, że jeśli zostaną aresztowane, to nie wpłacę kaucji. Będę czarnuchem grywającym w bilard w cyc-barze i zdradzającym żonę z blondyną, która stoi na serach w Trader Joe’s na skrzyżowaniu National i Westwood. Przestanę męczyć Ojca pytaniami o zaginioną matkę, doszedłszy wreszcie do wniosku, że macierzyństwo – jak trylogie artystyczne – jest stanowczo przereklamowane. Po zamartwianiu się przez całe życie, że nigdy nie karmiono mnie piersią i nigdy nie skończyłem *Władcy pierścieni*, *Raju* Toni Morrison i *Autostopem przez galaktykę*, skonam wreszcie – jak wszyscy Kalifornijczycy z klasy średniej – w tej samej sypialni, w której dorastałem, wpatrując się w stiuki na suficie i pęknięcia, które pojawiły się tam w czasie trzęsienia ziemi w sześćdziesiątym ósmym. Nie dotyczyły mnie zatem introspektywne pytania w rodzaju „Kim jestem?” i „Jak mogę stać się tą osobą?”, ponieważ już znałem na nie odpowiedzi. Jak całe Dickens byłem synem mojego ojca, wytworem mojego środowiska i niczym ponadto. Dickens było mną. A ja byłem moim ojcem. Problem polegał na tym, że zniknęli z mojego życia oboje – najpierw tata, potem miasto, a ja nagle zrozumiałem, że nie mam pojęcia, kim jestem, i ni chuja nie wiem, jak stać się sobą.

II

Z Zachodniej, czaruchu! Co?

III

Trzy podstawowe prawa gettowej fizyki to: czarnuchy, które się przypierdalają, zawsze będą się przypierdalać; bez względu na to, jaka jest pora dnia, jeśli pytasz o godzinę, usłyszysz: „Gdzieś między wpół do dupy a za kwadrans jajca”; a po trzecie, ilekroć zastrzelą osobę, którą kochasz, zdarzy się to, akurat gdy wrócisz na zimowe ferie, w połowie pierwszego roku studiów, kiedy pewnego popołudnia udasz się konno na zebranie miejscowego think tanku, Intelktualistów Pączków Pif-Paf, żeby spotkać się z ojcem i resztą osiedlowych mędrców, którzy wtłoczą w ciebie cydr, bułeczki z cynamonem i mądrości z terapii konwersyjnej. (Nie żeby twój ojciec sądził, że jesteś gejem, po prostu martwi się, że nigdy nie imprezujesz po jedenastej w nocy, a w twoim słowniku nie ma słowa „dupcia”). Noc jest zimna. Pilnujesz własnego nosa, rozkoszujesz się ostatnimi kroplami waniliowego shake’a i nagle natykasz się na tłoczące się wokół jakiegoś ciała stadko policjantów. Zsiadasz z konia. Podchodzisz bliżej i rozpoznajesz but, rękaw albo biżuterię. Mój ojciec leżał na skrzyżowaniu, twarzą do ziemi. Rozpoznałem go po ciasno zaciśniętej pięści. Żyły na wierzchu dłoni wciąż miał nabrzmiące i napompowane. Naruszyłem miejsce przestępstwa, kiedy podniosłem kłaczek z jego kołtuniastego afro, wyprostowałem mu pogięty kołnierzyk koszuli, zmiotłem mu kawałki żwiru z policzka i (według policyjnego raportu: „szczególnie rażąco”) kiedy położyłem dłoń w rozlewającej się wokół ciała plamie krwi, ku mojemu zaskoczeniu zimnej. A nie gorącej, buzującej czarną wściekłością i wieloletnią frustracją porządnego, choć nieco nawiedzzonego człowieka, który nigdy nie stał się tym, kim myślał, że jest.

– Syn?

Detektyw zmierzył mnie wzrokiem. Zmarszczył czoło, oczy mu latały w tę i we w tę, od jednego znaku szczególnego do drugiego. Niemalże widziałem, jak za lekceważącym uśmiezkiem taksował moje blizny, wzrost, budowę, porównując je z bazą poszukiwanych, którą miał w głowie.

– Tak.

– Ktoś ważny?

– Hę?

– Obecni na miejscu zdarzenia oficerowie powiedzieli, że kiedy ich zaatakował, krzyczał, cytuję: „Ostrzegam was, wy analni fiksaci, archetypy osobowości autorytarnej, nie wiecie, kim jest mój syn!”. Więc jak, ktoś ważny?

Kim jestem? I jak mogę stać się tą osobą?

– Nie, nie jestem nikim ważnym.

Kiedy twój tata umiera, powinieneś zapłakać. Złorzeczyć systemowi, ponieważ twój ojciec został zabity przez policję. Biadać nad tym, jak źle być kolorowym i należeć do niższej klasy średniej w tym policyjnym państwie, które chroni tylko białych bogaczy i gwiazdy filmowe wszystkich kolorów skóry, choć żadne gwiazdy azjatyckiej proweniencji akurat nie przychodzą mi do głowy. Ale nie płakałem. Sądziłem, że jego śmierć to sztuczka. Kolejny z jego wymyślnych planów, które miały mi uświadomić niedolę rasy czarnej i zmobilizować mnie do tego, żebym coś ze sobą zrobił. Spodziewałem się, że zaraz wstanie, otrzepie się i powie: „Widzisz, czarnuchu, jeśli coś takiego mogło się przytrafić najbystrzysznemu czarnemu na

świecie, wyobraź sobie, co może przytrafić się tobie. To, że rasizm umarł, debilu, to nie znaczy od razu, że przestali strzelać do czarnuchów bez pytania”.

Gdybym miał coś do gadania, miałbym w dupie bycie czarnym. Do dziś, kiedy robią spis powszechny, w rubryce RASA zaznaczam „Inna rasa” i z dumą wpisuję „Kalifornijczyk”. Oczywiście dwa miesiące później do moich drzwi dzwoni rachmistrz, patrzy na mnie i mówi: „Ty dumny czarnuchu. Co masz do powiedzenia na swoją obronę jako czarny?”. A jako czarny nigdy nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę. Stąd potrzeba motta. Gdybyśmy takie mieli, uniósłbym rękę, wykrzyknął je i trzasnął drzwiami prosto przed nosem rządu. No ale nie mamy. Mamrocę więc: „Przepraszam”, bazgrzę parafkę przy kwadraciku „Czarny, Afroamerykanin, Murzyn, tchórz”.

Nie, ta odrobina mobilizacji w moim życiu nie bierze się z rasowej dumy. Bierze się z tego samego wiekowego pragnienia, które wydało wielkich prezydentów i wielkich pretendentów, pierwszoligowych futbolistów i pierwszoligowych finansistów; edypalnego pędu sprawiającego, że mężczyźni robią mnóstwo durnot, których woleliby nie robić, jak zapisanie się na testy do drużyny koszykówki czy pobicie się z chłopakiem z sąsiedztwa, ponieważ w naszej rodzinie prawdziwy mężczyzna wprawdzie nie zaczyna, ale wie, jak kończyć. Mam na myśli najbardziej podstawową potrzebę: dziecięce pragnienie, by zadowolić ojca.

Wielu ojców rozwija w dzieciach tę potrzebę za pomocą beztroskiej manipulacji, która zaczyna się już w niemowlęctwie. Obdarowują dziecko lodami w zimny dzień, zabawą w samolot i dozwolonymi przez sąd rodzinny weekendowymi wycieczkami do muzeum nauki i nad jezioro Salton. Niekończące się prestidigitatorstwo – wyciąganie dolara zza ucha i hipnotyzerskie sztuczki z repertuaru pośredników nieruchomości, którzy pozwalają ci wierzyć, że już wkrótce twój będzie nie tylko widok na wzgórze, rozpościerający się z okna na drugim piętrze tego cuda w stylu Tudorów, ale i cały świat. A wszystko to wymyślone, żeby nas ogłupić; żebyśmy uwierzyli, że bez tatusiów i ich ojcowskiej opieki reszta naszego życia byłaby daremną, „aniemówiłem” bezmyszkomikową egzystencją. Później, w okresie dojrzewania, po kolejnym „przypadkowym” ciosie łokciem na podjeździe przed domem, pijackim plaskaczu w środku nocy, buchu w twarz metamfetaminą, natarciu ust papryczką jalapeño za powiedzenie „kurwa”, choć przecież tylko chciało się być jak Tatuś, zdajesz sobie wreszcie sprawę, że mrożone przyjemności i wycieczki do myjni samochodowej to jedynie telesprzedaż rodzicielstwa. Chachmęcenie i triki mające ukryć spadające libido, brak podwyżek, żal, że sami nie potrafili spełnić oczekiwań własnych ojców. Edypalne pragnienie zadowolenia Ojca ma taką siłę, że włada nawet taką dzielnicą jak moja, gdzie ojcostwo dokonuje się głównie *in absentia*, a dzieci i tak co noc siedzą posłusznie przy oknie, czekając, aż Tatuś wróci do domu. Mój problem oczywiście polegał na tym, że Tatuś był w domu cały czas.

Kiedy miejsce zdarzenia zostało sfotografowane, świadkowie przesłuchani, makabryczne żarty o trupach wypowiedziane, uniosłem, nie upuszczając shake’a, podziurawione kulami ciała Ojca i za stopy przeciągnąłem go przez wykonany kredą obrys, żółte numerki przy łuskach naboju, skrzyżowanie, parking i podwójne szklane drzwi. Usadziłem Ojca przy jego ulubionym stoliku, zamówiłem mu „to co zwykle” (duże mleko i dwa czekoladowe z posypką) i postawiłem je przed nim. Ponieważ dotarł na miejsce martwy i spóźniony trzydzieści pięć minut, zebranie już trwało, a przewodniczył mu Foy Cheshire, gasnąca gwiazda telewizji, niegdysiejszy przyjaciel mojego ojca i człowiek zbyt nerwowy, by zapełnić przywódczą lukę. Przez chwilę zrobiło się niezręcznie. Sceptyczni pifpafowcy patrzyli na przysadzistego Foya tak, jak Amerykanie musieli patrzeć na Andrew Johnsona po zastrzeleniu Lincolna.

Głośno wysiorbałem resztki shake'a. Sygnał, żeby kontynuowali, ponieważ właśnie tego chcialby mój ojciec.

Rewolucja Pączków Pif-Paf musi trwać. Ojciec założył Intelktualistów Pączków Pif-Paf dawno temu, kiedy zauważył, że miejscowa franczyza Pączków Pif-Paf to jedyne miejsce nienależące do czarnych albo Latynosów, które nie zostało spalone i splądrowane w czasie zamieszek²¹. Co więcej, pod całodobowe okienko podjeżdżali szabrownicy, policjanci i strażacy, bez wyjątku, żeby zatankować pączków, cynamonowych świderków i zaskakująco smacznej lemoniady w przerwach od walki z pożarem, zmęczeniem i upierdliwymi dziennikarzami, którzy podtykali mikrofon każdemu na wyciągnięcie ręki.

– Czy sądzi pan, że zamieszki coś zmieniają?

– No ba, jestem, kurwa, w telewizji, co nie?

Przez wszystkie lata istnienia Pączków Pif-Paf nigdy ich nie obrabowano, nie napadnięto, nie obrzucono jajami, nie pomalowano sprejem. Do dziś na artdekovskiej fasadzie franczyzy nie ma graffiti ani plam moczu. Klienci nie parkują na miejscach dla niepełnosprawnych. Rowerzyści zostawiają swoje pojazdy bez łańcuchów i bez nadzoru, ustawiają je równo niczym holendry przed stacją kolejową w Amsterdamie. Ta śródmiejska pączkarnia ma w sobie coś spokojnego, klasztornego niemalże. Jest czysta. Nieskazitelna. Pracownicy są zawsze grzeczni i zdrowi na umyśle. Może to przez przyciemnione światła, a może przez żywy wystrój, którego kolorystyka ma przywołać na myśl lukier z syropem klonowym i tęczową posypką. Tak czy owak, ojciec uznał pączkarnię za jedyne miejsce w Dickens, gdzie czarnuchy potrafią się zachować. Ludzie podawali sobie grzecznie zabielaacz do kawy. Nieznajomi uprzejmie wskazywali czubek nosa w powszechnie zrozumiałym geście „wytrzyj sobie z twarzy cukier puder”. Na dwudziestu kilometrach kwadratowych osławionej czarnej społeczności osiemdziesiąt metrów kwadratowych Pączkarni Pif-Paf było jedyną przestrzenią „społeczności”, gdzie można było poczuć oryginalne znaczenie łacińskiego *communitas*, gdzie obywatele mogliby hulać w gromadnej wspólności. Pewnego deszczowego niedzielnego popołudnia, niedługo po tym, jak zniknęły czołgi i uwaga mediów, mój ojciec zamówił to co zwykle. Usiadł przy stoliku najbliższym bankomatu i powiedział głośno, do nikogo konkretnego:

– Czy wiecie, że średni dochód rodziny białej wynosi sto trzysta tysięcy sto czterdzieści dziewięć dolarów rocznie, latynoskiej sześć tysięcy trzysta dwadzieścia pięć, a czarnych pięć tysięcy sześćset siedemdziesiąt siedem dolarów?

– Serio?

– Jakie masz źródła, czarnuchu?

– Ośrodek Badań Pew.

Wszystkie skurwysyny, od Harvardu po Harlem, szanują Ośrodek Badań Pew i kiedy zainteresowani klienci usłyszeli Ojca, zwrócili się w jego stronę na tyle, na ile mogli, skrzypiące fotele pączkarni bowiem obracały się tylko o sześć stopni w każdą stronę. Papić grzecznie poprosił kierownika, żeby przyciemnił oświetlenie. Włączyłem wiszący pod sufitem projektor, wsunąłem przezrocze i razem wyciągnęliśmy szyję w stronę sufitu, gdzie zmaterializował się wykres zatytułowany *Nierówność dochodów w zależności od rasy*, który unosił się niczym jakiś ciemny, obciążający, statystyczny cumulonimbus, mogący zepsuć plany naszego wspólnego, wesołego pikniku.

– Zastanawiałem się, co ten czarnuszek robi w pączkarni z pieprzonym projektorem.

Ani się obejrżeli, a Ojciec już wygłaszał improwizowany wykład na temat niegodziwości deregulacji oraz zinstytucjonalizowanego rasizmu, tu wrzucając jakiś makroekonomiczny

wykres, tam tabelkę z Milтона Friedmana. O tym, że to nie ukochane przez banki i media keynesowskie fagasy przewidziały ostatni kryzys finansowy, tylko ekonomiści behawioralni, którzy wiedzieli, że rynkami nie rządzą stopy procentowe ani wahnięcia PKB, ale raczej chciwość, lęk i złudzenia podatkowe. Temperatura dyskusji rosła. Z ustami pełnymi ciastek, wiórkami kokosowymi na wargach, klienci Pączków Pif-Paf pomstowali na niskie oprocentowanie rachunków i hucpę dostawcy kabłówki, który w lipcu nalicza odsetki od niezapłaconego abonamentu za usługę dostępną dopiero od sierpnia. Jakaś kobieta z policzkami tak wypchanymi makaronikami, że prawie jej pękły, zapytała Ojca:

– Ile zarabiają Chinole?

– Cóż, mężczyźni pochodzenia azjatyckiego zarabiają więcej niż każda inna grupa demograficzna.

– Nawet pedały? – wykrzyknął zastępca kierownika. – Jesteś pewien, że Azjaci zarabiają więcej niż pedały? Bo ja słyszałem, że pedały mają forsy jak lodu.

– Tak, nawet homoseksualiści, ale trzeba pamiętać, że mężczyźni pochodzenia azjatyckiego nie mają żadnej władzy.

– A co z gejami azjatyckiego pochodzenia? Czy skonstruowałeś model regresyjny i zbadałeś zależność rasy i orientacji seksualnej?

Ta przemyślana uwaga pochodziła od Foya Cheshire'a, z dziesięć lat starszego od Taty, który stał obok poidełka, z rękami w kieszeniach, w wełnianym swetrze, choć na zewnątrz były dwadzieścia cztery stopnie. Działo się to na długo, zanim zdobył sławę i pieniądze. Był wtedy asystentem w Instytucie Badań Miejskich na Uniwersytecie Kalifornijskim w Brentwood, mieszkał w Larchmont, z resztą losangeleszańskich intelektualistów, a w Dickens prowadził badania terenowe do swojej pierwszej książki, *Czarnopolis: Uporczywość afroamerykańskiego ubóstwa miejskiego i workowatych ciuchów*.

– Sądzę, że zbadanie zbieżności niezależnych zmiennych, od których zależą dochody, mogłoby dać interesujące współczynniki r . Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby wartość p oscylowała w okolicach zero przecinek siedemdziesiąt pięć.

Mimo że Foy sprawiał wrażenie bubka, Papcio od razu go polubił. Wprawdzie Cheshire urodził się i wychował w Michigan, ale Ojciec rzadko trafiał w Dickens na kogoś, kto rozumiał różnicę między testem t-Studenta a analizą wariancji. Po krzyżowym ogniu pytań nad pudłem pączków wszyscy – z miejscowymi i Foyem włącznie – ustalili, że będą się spotykać regularnie, i tak powstał Intelktualiści Pączków Pif-Paf. Tam jednak, gdzie mój ojciec widział okazję do wymiany informacji, działania na rzecz społeczności, doradztwa obywatelskiego, Foy dostrzegł przyznaną mu w wieku średnim przepustkę do sławy. Początkowo ich stosunki były dość koleżeńskie. Razem planowali strategię i uganiali się za kobietami. Ale po kilku latach Foy Cheshire stał się sławny, a mój ojciec nie. Foy nie był wielkim myślicielem, ale był wówczas niepomiaralnie lepiej zorganizowany niż Tata, którego największą siłą – i największą słabością – okazało się to, że wyprzedzał swój czas. Kiedy Ojciec tworzył niezrozumiałe i niepublikowalne teorie, łączył opresję czarnych z teorią gier oraz społecznym uczeniem się, Foy Cheshire prowadził telewizyjny talk-show. Rozmawiał z drugorzędnymi celebrytami i politykami, pisał artykuły do gazet i chodził na spotkania w Hollywood.

Pewnego razu, obserwując, jak Ojciec siedzi przy biurku i stuka w klawisze, zapytałem go, skąd biorą się jego idee. Odwrócił się, język miał zdrętwiały od szkockiej whisky.

– Prawdziwe pytanie brzmi nie „skąd biorą się idee”, ale „co się z nimi dzieje”.

– To co się z nimi dzieje?

– Cwelowate skurwysyny w rodzaju Foya Cheshire’a kradną je, zarabiają na nich niemałą kasę, po czym, jak gdyby nigdy nic, zapraszają cię na jebaną premierę.

Pomysłem, który Foy ukradł mojemu ojcu, był wyświetlany w sobotnie poranki serial animowany pod tytułem *Czarne fistaszki*, obsypany później nagrodami, pokazywany na całym świecie, dubbingowany w siedmiu językach, który w połowie lat dziewięćdziesiątych przyniósł Foyowi tyle pieniędzy, że kupił sobie wymarzony dom na wzgórzach. Publicznie Ojciec nawet się nie zająknął. Niczego nie zarzucił Foyowi na zebraniach, bowiem – jak to ujął – „naszemu ludowi rozpaczliwie brakuje wszystkiego prócz animozji”. W późniejszych latach, kiedy Los Angeles wypłuło Foya jak małomiasteczkowego chłopaka na gigancie – którym w głębi serca dalej był – kiedy wyczyścił konto na narkotyki i kolejne piegowate Kreolki, kiedy wytwórnia oskubała go z tantiem, a urząd podatkowy zajął mu za ukrywanie dochodów cały majątek z wyjątkiem domu i auta, Ojciec dalej nic nie mówił. Kiedy mając nóż na gardle, splukany i upokorzony Foy zadzwonił do mojego ojca z prośbą, żeby został jego Zaklinaczem Czarnuchów i wyciągnął go z samobójczego doła, ojciec dotrzymał tajemnicy lekarskiej. Nie wspomniał ani słowem o poceniu się nocą, o głosach, o zdiagnozowanej osobowości narcystycznej, o trzytygodniowym pobycie w szpitalu psychiatrycznym. A tej nocy, kiedy mój gorliwie ateistyczny Ojciec umarł, Foy modlił się i przemawiał nad jego pozbawionym życia ciałem, tulił je do piersi, a potem zachowywał się, jak gdyby krew, która zaplamiła mu olśniewająco białą koszulę Hugo Bossa, należała do niego. Po twarzy widać było, że mimo przemowy i poruszających słów o tym, jak to śmierć mojego ojca symbolizuje niesprawiedliwą dolę czarnych, jego wewnętrzny Robespierre cieszy się, że Taty już nie ma. Wraz ze śmiercią Ojca sekrety Foya stały się bezpieczne, a jego marzenia ściętej głowy, że Intelktualiści Pączków Pif-Paf staną się czarnym odpowiednikiem jakobinów, mogły stać się rzeczywistością.

Kiedy pifpafowcy debatowali nad tym, jak dokonać stosownej zemsty, zarządziłem wczesną przerwę w obradach – przeciągnąwszy ciało taty obok lodówki z napojami, przewiesiłem trupa przez koński zad, jak w westernach. Wisiał twarzą w dół, ręce i nogi dyndały mu w powietrzu. Początkowo członkowie klubu próbowali mnie powstrzymać. No bo jak śmiem zabierać męczennika, zanim zdążą sobie z nim zrobić zdjęcie. Wtedy przyszedł czas na policję, która radiowozami zastawiła ulicę i zagroziła mi drogę. Krzyczałem i przeklinałem. Zatoczyłem koło na skrzyżowaniu, każdemu, kto się zbliży, grożąc kopem podkową w czoło. W końcu zadzwonili po Zaklinacza Czarnuchów, ale Zaklinacz Czarnuchów nie żył.

Policyjny negocjator, kapitan Murray Flores, nieraz współpracował z moim ojcem przy zaklinaniu czarnuchów. Znał swój fach na tyle, by nie próbować się podlizywać. Uniósłszy głowę Taty i spojrzawszy mu w twarz, z obrzydzeniem splunął na ziemię i powiedział:

– Cóż mogę powiedzieć?

– Może mi pan powiedzieć, jak to się stało.

– To był „przypadek”.

– Co znaczy „przypadek”?

– To znaczy, tak między nami, że pański tata zatrzymał się na światłach za ubranymi po cywilnemu oficerami Orosco i Medina, którzy rozmawiali z bezdomną kobietą. Kiedy zmieniło się kilkakrotnie z zielonego na czerwone, pański ojciec śmignął obok nich i skręcając w lewo, coś wrzasnął, w związku z czym oficer Orosco wlepił mu mandat i udzielił surowego pouczenia. Pański ojciec powiedział...

– „Przyjmę albo mandat, albo kazanie, ale nie oba”. Podpieprzył to Billowi Russellowi.

– Właśnie. Zna pan swojego ojca. Oficerowie poczuli się urażeni, wyciągnęli broń, pański tata

zaczął uciekać, jak każdy normalny człowiek na jego miejscu. Strzelili mu cztery razy w plecy i zostawili denata na środku skrzyżowania. Więc już pan wie. Musi mi pan dać wykonywać moją pracę. Musi pan pozwolić systemowi pociągnąć ludzi do odpowiedzialności. Proszę mi tylko wydać ciało.

Zadałem kapitanowi Floresowi pytanie, które wielokrotnie zadawał mi Ojciec:

– Czy wie pan, ilu oficerów policji w historii Los Angeles zostało skazanych za zabójstwo na służbie?

– Nie.

– Odpowiedź brzmi: „Ani jeden”. Nie ma więc żadnego pociągania do odpowiedzialności. Zabieram go.

– Dokąd?

– Pochowam go w ogródku. Trzeba robić to, co robić trzeba.

Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wcześniej widział glińiarza gwizdzącego w gwizdek. Nie na żywo. Kapitan Flores użył jednak swojego mosiężnego gwizdka i gestem kazał odsunąć się reszcie oficerów, Foyowi oraz protestującym pif-pafowcom. Blokada rozstała się i poprowadziłem bardzo powolny kondukt pogrzebowy pod 205 Bernard Avenue.

Ojciec zawsze marzył o tym, żeby mieć na własność dom przy 205 Bernard Avenue. Nazywał go Ponderosa. „Międzyrasowa adopcja, dzierżawa ziemi i leasing nieruchomości są dla naiwniaków”, lubił powtarzać, przeglądając prospekty banków, które oferują pożyczki bez wkładu własnego, i obliczając na kalkulatorze wymyślone raty hipoteki.

– Moje wspomnienia... To będzie, lekko licząc, jakieś dwadzieścia tysięcy na początek... Możemy zastawić biżuterię twojej mamy za pięć, sześć tysi... I choć za wyjęcie pieniędzy z twojego funduszu na studia naliczają karną opłatę, to jeśli wyciągniemy je teraz, będziemy tuż-tuż od kupienia domu na własność...

Nigdy nie było żadnych wspomnień, jedynie tytuły, które wykrzykiwał pod prysznicem, ruchając jakąś robiącą balony z gumy do żucia dziewiętnastoletnią „koleżankę z uniwersytetu”. Wychylał mokrą głowę przez drzwi i zza kłębów pary pytał, co sądzę o „Interpretacji czarnuchów” albo moim ulubionym „Jestem wporzo. Jesteś wporzo”. Nie było też biżuterii. Moja matka, była Piękność Tygodnia czasopisma „Jet”, nie miała żadnych błyskotek ani świecidełek – nie na wyrwanej z gazety poblakłej stronie, która wisiała nad głową mojego łóżka. Była skromnie ufryzowanymi, krągłymi przestworzami ud i błyszczyka, które w bikini ze złotej lamy spoczywały na basenowej trampolinie. Wiedziałem o niej tylko tyle, ile podawał obszerny biogram w prawym dolnym rogu zdjęcia. „Laurel Lescook jest studentką z Key Biscayne na Florydzie, lubi jazdę na rowerze, fotografię i poezję”. W dorosłym życiu zdołałem odnaleźć pannę Lescook. Była asystentką prawną w Atlancie i pamiętała mojego ojca – nigdy go nie spotkała, ale po tym, jak we wrześniu 1977 roku opublikowano jej zdjęcie, zaczął zasypywać ją propozycjami małżeństwa, upiorną poezją i zdjęciami swojego penisa w erekcji, zrobionymi kodakiem instamatic. Zważywszy na to, że moje oszczędności na studia wynosiły dwieście trzydzieści sześć dolarów i siedemdziesiąt dwa centy – łączną sumę, jaką dostałem na swoją nader skromną czar(n) micwę – że nie istniały ani ojcowski rękopis, ani matczyzna kolekcja biżuterii, moglibyście pomyśleć, że nigdy nie weszliśmy w posiadanie tego domu. Traf jednak chciał, że z powodu nieuzasadnionej śmierci ojca z ręki policji oraz dwumilionowego odszkodowania, które później dostałem, w pewnym sensie i ojciec, i ja ugryźliśmy ziemię w tym samym dniu.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że z tych dwóch wydarzeń to *jego* gryzienie ziemi

jest bardziej metaforyczne. Jak jednak wykazała nawet najpobieżniejsza doroczna inspekcja Departamentu Żywności i Rolnictwa stanu Kalifornia, nazywane 205 Bernard Avenue, niecałego hektara żyznej niemal jak powierzchnia Księżyca działki w cieszącym się najgorszą renomą getcie hrabstwa Los Angeles, z pozbawionym silnika kamperem Winnebago Chieftain z 1973 roku w roli stodoły, rozsypującym się, zatłoczonym, objętym dopłatami do czynszu domem-kurnikiem z kurkiem na dachu tak zardzewiałym, że nie zdołały go ruszyć ani wiatry Santa Ana, ani El Niño, ani tornado w osiemdziesiątym trzecim, z opanowanym przez muszki owocówki dwudrzewowym gajem cytrynowym, inwentarzem w postaci trzech koni, czterech świń, kozy, która zamiast tylnych giczy ma kółka ze sklepowego wózka, dwunastu kocich przybłęd i jednej krowy oraz zawsze obecnego cumulonimbusa much krążących nad nadmuchiwanym basenem („stawem rybnym”), pełnym gazu bagiennego w stanie ciekłym i sfermentowanego szczurzego gówna; nieruchomości, którą tego samego dnia, kiedy mój tata postanowił powiedzieć ubranemu po cywilnemu oficerowi Edwardowi Orosco, żeby „ruszył swojego gównianego forda crown victoria i przestał blokować jebane skrzyżowanie!”, wykupiłem od banku za środki pożyczone na poczet tego, co sąd potem wycenił na dwa miliony dolarów, przyznane mi jako odszkodowanie za rażącą pomyłkę wymiaru sprawiedliwości; no więc nazwanie tej niedofinansowywanej, zaniedbanej, afrorolniczej parceli w centrum getta „gospodarstwem” byłoby zbytnim przesunięciem granicy dosłowności. Gdybyśmy to my z Papciem, a nie Pielgrzymi, założyli Jamestown, Indianie spojrzeliby na nasz zwiędły, splątany labirynt kukurydzy i kumkwatów, po czym rzekli: „Odwołujemy dzisiejszy kurs uprawy kukurydzy, czarnuchy, bo se tu za chuja nie poradzicie”.

Kiedy dorastasz na farmie pośrodku getta, zauważasz, że prawdą jest to, co mówił ci Ojciec w czasie porannych obowiązków: ludzie jedzą gówno, które im szuflujesz. Że tak jak świnię wszyscy mamy głowy w korycie. Choć wieprze nie wierzą w Boga, *American dream* i że pióro jest potężniejsze od miecza, wierzą w karmę równie desperacko, jak my wierzymy w niedzielną gazetę, Biblię, miejskie czarne radio i ostry sos²². W wolne dni często zapraszał sąsiadów z całej okolicy, żeby popatrzyli, jak pracuję. Choć na papierze Farmy były terenem rolniczym, sól tej ziemi dawno już porzuciła rolniczy styl życia na rzecz areału ogródkowego – tu pełnowymiarowe boisko do koszykówki, tam kort tenisowy, w rogu może jakiś domek gościnny. Choć kilka rodzin nadal ma kurniki, jakąś krowę, prowadzi szkołę jazdy konnej dla trudnej młodzieży, byliśmy jedynymi, którzy próbowali rolnictwa na poważnie. Chcieliśmy skorzystać ze złożonej po wojnie secesyjnej, ale już zapomnianej obietnicy. Czterdzieści akrów i muł²³.

– Ten czarnuszek nie będzie jak wy, czarnuchy! – krzyczał ojciec, jedną ręką trzymając się za fiuta, a drugą wskazując na mnie. – Mój syn będzie czarnuchem renesansu. Będzie z tego skurwiela Galileusz naszych czasów!

Wtedy otwierał butelkę seagrama, rozdawał papierowe kubki, dodawał lodu i wlewał do dzinu trochę cytrynady. Siedzieli później na ganku, gapiąc się na mnie, jak zbieram truskawki, groszek czy na co tam, kurwa, był sezon. Najgorsza była bawełna. Mniejsza o schyłanie się, ciernie, ciągnące się smuty Paula Robesona (lecące na cały regulator, żeby zagłuszyć mariachich, których puszczała Lopezowie drzwi obok), o to, że sadzenie, podlewanie i zbieranie bawełny było kompletną stratą czasu, bo i tak nie mieliśmy czym cesać – bawełny znaczy się, bo sami mogliśmy nacieszać się dżinem w styropianowym kubku, który trzymał Ojciec. Zbieranie bawełny było do dupy, bo wprawiało Tatusia w nostalgiczny nastrój. Sentymentalny pijak, pełen dumy i dżinu z sokiem, zaczynał przechwalać się przed naszymi czarnymi sąsiadami, że nigdy nie spędziłem ani jednego dnia w przedszkolu i nigdy nie bawiłem się z innymi dziećmi

w piaskownicy. Zarzekał się, że moją niańką i mamką była maciora Suzy Q i że w rywalizacji rodzeństwa „Murzyniátko kontra świniátko” przegrałem ze świńskim geniuszkiem imieniem Savoir Faire.

Kumple Tatusia przypatrywali mi się, jak profesjonalnie zbieram z suchych łądyg torebki bawełny, czekając, aż chrumknę i obalę orwellowski porządek społeczny, potwierdzając tym samym moje świńskie wychowanie.

1. Wszystko, co chodzi na dwóch nogach, jest wrogiem.
2. Wszystko, co chodzi na czterech nogach albo ma sześć skrzydełek i ciasteczko, jest przyjacielem.
3. Żaden Świniuch nie będzie nosić szortów jesienią, a co dopiero zimą.
4. Żaden Świniuch nie będzie przysypiać.
5. Żaden Świniuch nie będzie przyjmować lodów od nieznajomego.
6. Wszystkie Świniuchy są równe, ale niektóre Świniuchy są głównie warte.

Nie pamiętam, żeby mój ojciec wiązał mi prawą rękę na plecach ani żebym wychowywał się w chlewie, ale pamiętam, jak wpychałem Savoir Faire’a – z rękami na jego szorstkim, utuczonym mlekiem zadzie – na drewnianą rampę wiodącą do przyczepy. Ojciec, ostatni kierowca na ziemi, który zamiast kierunkowskazów używał rąk, brał zakręty powoli, pouczając mnie, że najlepszą porą na świniobicie jest jesień, ponieważ nie ma tylu much, a mięso można zostawić na zewnątrz – bo kiedy się je zamrozi, jakość się pogarsza. Jechałem bez pasów, jak każde dziecko wychowane w epoce sprzed fotelików i poduszek powietrznych. Uklęknąłem i przez maleńkie okno popatrzyłem w tył, na Savoir Faire’a – skazanego na zagładę parzystokopytnego geniusza, który przez całą drogę do rzeźni kwiczał jak stuosiemdziesięciokilowa suka.

– Bingo, ty jebany skurwielu! Wygrałeś ostatnią partię scrabble, ubabrałeś pionki słuzem, zatopiłeś mój czteromasztowiec.

Na światłach Tatus wystawił przez okno rękę, zginał ją w łokciu, spód dłoni kierował w tył.

– Ludzie jedzą głównie, które im szuflujesz! – ryczał, przekrzykując radio, kierując autem, zmieniając pas, przełączając kierunkowskaz, machając ręką, skręcając w lewo, śpiewając wspólnie z Ellą Fitzgerald i czytając listę bestsellerów „Los Angeles Timesa” – jakimś cudem wszystko naraz.

Ludzie jedzą głównie, które im szuflujesz.

Chciałbym móc powiedzieć: „Tego dnia, kiedy pochowałem ojca w ogródku, stałem się mężczyzną” albo jakiś inny pocieszny amerykański bulszit, ale tamtego dnia poczułem jedynie ulgę. Nigdy więcej udawania obojętności, kiedy mój ojciec walczy o miejsce parkingowe na giełdzie rolnej. Zakrzykuje matrony z Beverly Hills, które próbują egzekwować prawo przejazdu luksusową kareta i parkują swoje gigantyczne auta na miejscu oznaczonym napisem TYLKO KOMPAKTY. *Ty tępa, nafaszerowana lekami dzido. Jeśli nie wycofasz tego pierdolonego rżęcha z mojego miejsca, to przysięgam na Boga, jebnę cię w tę twoją przeciwzmarszczkową mordę i trwale wymażę pięćset lat uprzywilejowania białych i pięćset tysięcy dolarów, które wydałaś na operacje plastyczne.*

Ludzie jedzą głównie, które im szuflujesz. Czasami, kiedy podjeżdżam konno pod okienko

drajw-sru albo kiedy widzę kabriolet pełen nietutejszych *vatos*, niemogących uwierzyć własnym oczom i wskazujących palcem na czarnego *vaquero*, który wypasa stado na usianych śmieciami polach, pod liniami wysokiego napięcia, które stoją wzdłuż West Greenleaf Boulevard niczym wieże Eiffla, przypominam sobie całe to gównno szuflowane mi przez ojca, aż jego marzenia stały się moimi. *Bulszium ad infinitum*. Czasami, kiedy ostrzę lemiesz albo strzygę owce, czuję się tak, jak gdyby żadna chwila mojego życia nie należała do mnie, lecz każda z nich była tylko jednym z jego *déjà vu*. Nie, nie brakuje mi ojca. Żałuję tylko, że nigdy nie miałem odwagi zapytać go, czy to rzeczywiście prawda, że sensomotoryczne i przedoperacyjne stadia rozwoju spędziłem z jedną ręką przywiązaną do pleców. To tyle w kwestii wkraczania w życie z jakąś ułomnością. Mniejsza o bycie czarnym. Nauczcie się raczkować, jeździć na rowerku, zasłaniać twarz podczas gry w a kuku! i konstruować sensowną teorię umysłu – a wszystko to mając tylko jedną rękę.

IV

Nie znajdziecie Dickens na żadnej mapie Kalifornii, ponieważ pięć lat po śmierci mojego ojca i rok po tym, jak skończyłem studia, także i ono przepadło. Obyło się bez głośnego pożegnania. Dickens nie odeszło z hukiem, jak Nagasaki, Sodoma z Gomorą czy mój tata. Usunięto je z mapy po cichu – jak te miasta w Związku Radzieckim podczas zimnej wojny, jeden incydent atomowy po drugim. Dickens nie zniknęło jednak z powodu wypadku, lecz na skutek ewidentnego spisku, zawiązanego przez mieszkańców coraz zamożniejszych sąsiednich gmin, którzy chcieli, by wartość ich domów z garażami na dwa samochody nie spadała, a ciśnienie się im nie podnosiło. Kiedy na początku stulecia zaczął się boom na rynku mieszkaniowym, wiele niezamożnych dzielnic w hrabstwie Los Angeles przeszło nieruchomościowy lifting. W przyjemnych dotychczas enklawach robotniczych zaczęły się szerzyć sztuczne cycki i sztuczne statystyki przestępczości, fałszywe dyplomy, przeszczepianie włosów i drzew, liposukcje i latinosukcje. Nocami, tuż przed świtem, kiedy rady dzielnic, stowarzyszenia właścicieli i nieruchomościowi magnaci wykombinowali już wspólnie wyraziste nazwy dla pozbawionych wyrazu osiedli, wysoko, na słupie telefonicznym, zapalał się migoczący śródziemnomorskim błękitem wielki znak. I kiedy rozpływała się mgła, mieszkańcy oczekującego na gentryfikację kwartału budzili się i orientowali, że od dziś mieszkają w Zielonym Potoku, Zachodniej Dolinie albo na Wzgórzach La Cienega. Choć w obrębie dziesięciu kilometrów nie ma żadnych cech topograficznych w rodzaju potoków, dolin czy wzgórz. Dzisiejsi andżelesanie uważali się kiedyś za mieszkańców zachodniej, wschodniej albo południowej dzielnicy i toczyli w sądach długie batalie o to, czy ich urocze trzypokojowe wiejskie domki znajdują się w granicach Bliskiego Beverlywood czy Dalekiego Beverlywood.

Dickens przeszło transformację innego rodzaju. Pewnego przejrzystego poranka mieszkańcy tej części Los Angeles wstali z łóżek i dowiedzieli się, że ich miasto nie zmieniło nazwy, ale znaki WITAJCIE W MIEŚCIE DICKENS wyparowały. Nie było żadnego oficjalnego komunikatu, artykułu w gazecie, newsa w wiadomościach. Nikt się nie przejął. Na swój sposób większość mieszkańców Dickens poczuła ulgę, że jest znikąd. Oszczędzało im to wstydu – na zadawane w niezobowiązujących rozmowach pytanie „Skąd jesteś?” nie musieli już odpowiadać „Z Dickens”, a następnie obserwować, jak rozmówca wycofuje się przeproszająco. „Wyrazy współczucia. Nie zabijaj mnie!” Plotka głosiła, że władze hrabstwa cofnęły nam statut miejski z powodu powszechnej wśród tutejszych polityków korupcji. Zamknięto komisariat policji i komendę straży pożarnej. Jeśli zadzwoniło się do dawnego ratusza, odbierała rzucająca mięsem nastolatka imieniem Rebecca. *Nie, żaden czarnuch imieniem Dickens tu nie mieszka, więc przestań, kurna, dzwonić!* Międzyszkolne rady rodziców rozwiązano. Internetowe wyszukiwarki zaczęły pokazywać tylko „Dickens, Charles John Huffam” i jakieś zapyziałe hrabstwo w Teksasie, nazwane tak na cześć pewnego nieszczęsnego naiwniaka, który może zginął pod Alamo, a może nie.

Przez kilka lat po śmierci mojego ojca dzielnica traktowała mnie jak następnego Zaklinacza Czarnuchów. Chciałbym móc powiedzieć, że podjąłem się tego obowiązku z powodu rodzinnej dumy i obywatelskiej troski, ale prawda jest taka, że robiłem to, bo nie miałem żadnego życia prywatnego. Zaklinanie czarnuchów wyciągało mnie z domu, od roli i zwierząt. Spotykałem

interesujących ludzi i próbowałem ich przekonywać, że bez względu na to, ile mają w sobie heroiny i R. Kelly'ego, z całą pewnością *nie potrafią* latać. Kiedy mój ojciec zaklinał, nie wydawało mi się to aż tak trudne. Niestety, natura nie obdarzyła mnie jego dźwięcznym *basso profundo* wyjętym z reklamy luksusowego samochodu. Mam przeraźliwie piskliwy głos i powagę „najwstydliviejszego” członka waszego ulubionego boysbandu. Chudego, delikatnego chłopca, który w teledyskach siedzi na tylnym siedzeniu kabrioletu i zawsze obywa się bez dziewczyny, a tym bardziej solówki. Dostałem więc megafon. Próbowaliście kiedyś oczarować kogoś przez megafon?

Aż do zniknięcia miasta nie miałem zbyt wiele pracy. Byłem policyjnym negocjatorem jakoś co drugi miesiąc, farmerem, który na boku zaklinał sobie czarnuchów. Wymazanie Dickens sprawiło jednak, że co najmniej raz w tygodniu stawałem boso i w piżamie na podwórku jakiegoś blokowiska i z megafonem w ręce gapiłem się na jakąś zrozpaczoną matkę z niedokończoną ondulacją, która na drugim piętrze majtała dzieckiem za balustradą balkonu. Kiedy zaklinał mój ojciec, najwięcej roboty było w piątkowy wieczór. Każdy dzień wypłaty oznaczał zalew dwubiegunowych biedaków. Taki delikwent, wydawszy wszystko naraz, zmęczony i nieusatisfakcjonowany słynną z chujozoy nocną ramówką, uwalniał swoje dupsko spomiędzy przyspawanych do kanapy otyłych krewnych oraz niesprzedanych kosmetyków Avonu, wyłączał radio, które w kuchni napieprzało kolejne piosenki wychwalające cnoty piąteczkowych balang w klubie, opierdalania flaszek, rozpierdalania czarnuchów i pierdolenia cipek (w tej kolejności), odwoływał wizytę u specjalisty od zdrowia psychicznego albo w salonie piękności, gdzie dziewczyna po latach strzyżenia włosów wciąż umie zrobić tylko jedną fryzurę – na wałki, na blond i na bok – po czym wybierał piątek, „dzień Wenus”, bogini miłości, piękna i niezapłaconych rachunków, żeby zabić się, zabić kogoś, albo i jedno, i drugie. Na mojej wachcie ludzie pękali kiedy indziej. Środek tygodnia. Środa. Dzień loda. I tak oto bez żadnego mambo džambo, hokus-pokus ani zielonego pojęcia, co mam powiedzieć, naciskałem przycisk i przesywający uszy głośny pisk przywracał megafon do trzeszczącego życia. Połowa ludu niewybranego czekała, aż wkroczę do akcji i wypowiem zaklęcie; druga połowa oczekiwała, że szlafrok się rozsunie i wyskoczą spod niego nabrzmiące mlekiem cycki.

Czasami zaczynam od żartu, otwieram wielką kopertę i udaję z całych sił gospodarza jakiegoś popołudniowego talk-show, ogłaszam: „Jeśli chodzi o ośmiomiesięcznego Kobe Jordana Kareema LeBrona Mayweathera III, *nie* jestem jego ojcem... A szkoda”. I jeśli tylko nie jestem zbyt podobny do prawdziwego ojca dziecka, matka zaśmieje się i upuści prosto w moje rozstawione ramiona bachora, pieluchy i całe to gówno.

Zazwyczaj nie jest tak łatwo. W nocnym powietrzu jest tyle melancholii, co w *Mississippi Goddam* Niny Simone i trudno się skupić. Fioletowe siniaki na twarzy i rękach. Frotowy szlafrok spuszczone zalotnie na ramiona ujawnia nagle, że kobieta jest mężczyzną. Mężczyzną po terapii hormonalnej – ma piersi, wygolone łoniaki, zaskakująco kształtne biodra i dzierżące bejsbola konkubenta, który pod opiętą żonobijką i przekrzywioną czapką wpierdolką może jest mężczyzną, a może tylko jest „męski”, ale tak czy inaczej, kręci się po parkingu na ciężkiej szajbie, grożąc, że rozwali mi łeb, jeśli powiem coś nie tak. Dziecko, opatulone na niebiesko, bo niebieski jest dla chłopców z Cripsów²⁴, za grube, albo za chude, ryczy co sił w płucach, aż chciałbyś, żeby się zamknęło, albo – co gorsza – jest tak ciche, że zważywszy na okoliczności, pewnie martwe. A w tle niezmiennie przez rozsuwane szklane drzwi, wydymając firanki, zawsze cicho leci Nina Simone. Właśnie przed takimi kobietami ostrzegał mnie ojciec. Otumanione przez dragi i skurwysynów kobiety, które siedzą po ciemku, splukane, usychają z miłości, palą

jednego papierosa za drugim, przyciskając telefon do ucha, dzwonią na wypródkę do K-Earth 101 FM, radia złote przeboje, żeby poprosić o puszczenie Niny Simone albo The Shirelles, *Dedicated to the One I Love* znanej również jako *Piosenka dla czarnuchów, którzy biją i odchodzą*.

– Trzymaj się z daleka od suk, które lubią Ninę Simone i przyjaźnią się z pedałami – mówił. – One nienawidzą mężczyzn.

Trzymane za małe pięty dziecko zakreśla w powietrzu wielkie koła, niczym piłka do softballu w ręce miotacza. A ja stoję tam bez sensu, z głupim wyrazem twarzy, Zaklinacz Czarnuchów bez tajemnic i zaklęć, którymi mógłbym zaklinać. W tłumie słychać pomruk, że nie wiem, co robię. I rzeczywiście nie wiem.

– Przestań się opierdalać, stary, bo zapiszesz to dziecko.

– Zabijesz.

– Łodewa, czarnuchu. Po prostu coś powiedz.

Wszyscy myślą, że po śmierci taty pojechałem na studia, skończyłem psychologię i wróciłem, żeby kontynuować jego wzniosłe dzieło. Nie interesują mnie jednak teoria psychoanalizy, plamy Rorschacha, kondycja ludzka i służba społeczności. Poszedłem na Uniwersytet Kalifornijski w Riverside, bo mieli tam przyzwoity wydział rolnictwa. Skończyłem zootechnikę z nadzieją, że zmienię ziemię Taty w wylęgarnię i będę hodował strusie, które wówczas, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, mogłem sprzedawać szybko zmieniającemu się wachlarzowi raperów, zawodników wybieranych w pierwszej rundzie draftu NBA, drugoplanowym bohaterom hollywoodzkich superprodukcji. Po raz pierwszy w życiu dostawał taki bilet na samolot w pierwszej klasie, odkładał na kolana wysłużony magazyn pokładowy na dziale *Biznes* i myślał sobie, że warto jakoś zainwestować „kapustę”: „Niech mnie, strusie mięso to faktycznie przyszłość!”. Wydawało się, że to łatwy interes. Pożywne, zatwierdzone przez Federalną Agencję Żywności i Leków strusie steki sprzedaje się po czterdzieści pięć dolarów za kilo, pióra po pięć dolarów za sztukę, a guzłkowate brązowe skóry warte są dwieście dolarów każda. Prawdziwe pieniądze miałem dostawać ja – za sprzedawanie rozplodowych samców czarnuworyszom, bo przeciętny ptak daje ledwie niecałe dwadzieścia kilo mięsa, bo Oscar Wilde nie żyje i piór oraz kapeluszy z piórami nie nosi już nikt z wyjątkiem drag queen po czterdziestce, bawarskich puzonistów, naśladowców Marcusa Garveya oraz damulek z Południa, które popijają Mint Julep i obstawiają gonitwy na derbach Kentucky, ale nigdy w życiu nie kupiłyby nic od czarnego – nawet gdyby miał do zaoferowania sekret wiecznej młodości i dwadzieścia centymetrów kutasa. Doskonale wiedziałem, że nie da się wyhodować tych ptaków, nie miałem też kapitału początkowego, ale dość rzec, że kiedy byłem na drugim roku, z katedry rolnictwa małoobszarowego zniknęło kilka dwunożnych pomocy naukowych, bowiem – jak to mówią dilerzy – „Jak nie ja, to ktoś inny”. I wiercie mi na słowo, że to, co wydały złote jaja, porzucone niegdyś przez splukane dziś gwiazdy jednego sezonu, nadal biega sobie dziko po górach San Gabriel.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie skończyłeś czasem psychologii, jak twój tato?

– Znam się na hodowli zwierząt, a i to niewiele.

– Kurwa, kiedy te suki mają kłopoty właśnie przez małżeństwa z tymi zwierzętami, więc lepiej powiedz coś tej jałówce.

Miałem drugi fakultet z agronomii i zarządzania, ponieważ profesor Farley, z którą miałem wstęp do rolnictwa, powiedziała, że jestem urodzonym ogrodnikiem. Że jeśli zechcę, zostanę

następnym George'em Washingtonem Carverem²⁵. Musiałem tylko przyłożyć się i znaleźć własny odpowiednik orzeszka ziemnego. „Własne warzywo”, zażartowała, kładąc mi na dłoni jedno ziarenko *phaseolus vulgaris*. Każdy, kto kiedykolwiek zawitał do Tacos Tity i skosztował tłustej, kremowej, odsmażonej brei z frijole, polanej grubą, półcentymetrową warstwą topionego cheddara, dobrze wie, że fasola osiągnęła już stan genetycznej doskonałości. Pamiętam, jak zastanawiałem się, dlaczego akurat George Washington Carver. Dlaczego nie mogłem być następnym Gregorem Mendlem, następnym kimś tam, kto wynalazł krasnale ogrodowe, a nawet – choć nikt chyba nie wytrzymałby tego jazgotu – starym McDonalodem, który farmę miał? Postanowiłem zatem wyspecjalizować się w roślinach najistotniejszych dla mnie z kulturowego punktu widzenia – arbuzech²⁶ i trawie. W najlepszym razie jestem rolnikiem samozaopatrzeniowym, ale trzy czy cztery razy do roku zaprzęgam konia do wozu i tarabanię się przez Dickens, zachęcając do kupna moich towarów. Z boomboksa napieprza wtedy *Watermelon Man* Mongo Santamarii. Mówi się, że dudnienie z oddali tej piosenki przerywa mecze letniej ligi koszykówki, kończy przed czasem wiele maratonów gry w „dzwoń do drzwi i dawaj dyla” czy sesji gry w Double Dutch²⁷, a także zmusza do podjęcia niełatwej decyzji kobiety i dzieci, które na skrzyżowaniu Compton i Firestone czekają na ostatni autobus, żeby dojechać na weekendowe widzenie w areszcie miejskim.

Choć kwadratowe arbuzy nietrudno uprawiać i sprzedają je od lat, ludzie nadal szaleją na ich punkcie. I jak z tym czarnym prezydentem – moglibyście pomyśleć, że po dwóch kadencjach patrzenia na gościa w garniturze, który co roku wygłasza orędzie do narodu, przyzwyczailibyście się do widoku kwadratowych melonów, ale jakoś się nie da. Te w kształcie piramidy też się świetnie sprzedają, a w okolicach Wielkanocy handlują też takimi w kształcie króliczków, które genetycznie zmodyfikowałem – kiedy zmrużyć oczy, czarne linie na skórce układają się w napis *Jezus Zbawiciel*. Znikają z wozu od ręki. Ale to smak każe klientom wracać. Wyobraźcie sobie najlepszego arbuza, jakiego kiedykolwiek jedliście. Teraz dodajcie szczyptę anyżu i brązowego cukru. Pestek nie chce się wypluwać, bo chłódzą usta niczym słodkie resztki pokrytej colą kostki lodu, która topi się na koniuszku języka. Nigdy tego nie widziałem, ale ponoć ludzie wbijali zęby w mojego arbuza i od razu mdleli. Wyratowawszy klienta, który prawie utonął w głębokim na dwadzieścia centymetrów dmuchanym plastikowym baseniku, pielęgniarze nie pytają, czy gość miał udar słoneczny ani o historię chorób serca w rodzinie. Z twarzami umazanymi lepkiem czerwonym nektarem, który został im po oddychaniu usta-usta, z czarnymi pestkami na policzkach, przerywają oblizywanie warg po to tylko, by zapytać: „Skąd wzięliście tego arbuza?”. Czasem, kiedy jestem w obcej dzielnicy i po latynoskiej stronie Harris Avenue, gapię się na bezpańską kozę, podchodzi jakaś banda szczeniaków, prosto ze szkółki dla *cholo*, smażąc w słońcu swoje świeżo wygolone łby – łapią mnie za ramiona i z głębokim szacunkiem mówią: *Por la sandía... gracias*.

Ale nawet w słonecznej Kalifornii nie da się uprawiać arbuźców cały rok. Zimowe noce są chłodniejsze, niż to się ludziom wydaje. Dziesięciokilowe arbuzy dojrzewają całe wieki i wysysają z gleby azot, jakby to był saletrowy crack. Moją podstawową uprawą jest zatem marihuana. Rzadko ją sprzedają. Większość mojej kasy nie pochodzi z zioła, to raczej kieszonkowe, poza tym nie chcę, żeby jakieś skurwiele doskakiwały do mnie w środku nocy. Od czasu do czasu wyciągam trzy i pół grama, a niespodziewający się niczego ziom, przyzwyczajony przecież do towaru prima sort, leży przed moim domem, ubabrany chwastami i ziemią, skręca się ze śmiechu z nogami zaplątanymi w ramę roweru, bo zapomniał, jak na nim jeździć. Unosi dumnie jointa, którego ani na chwilę nie wypuścił z ręki, i pyta:

- Jak nazywa się to gówno?
- Ataksja – odpowiadam.

Podczas domówki na parkiecie LaChichotka, którą znam od podstawówki, przestaje wreszcie gapić się w lustro – twarz się jej podoba, ale nie do końca ją rozpoznaje – odwraca się do mnie i zadaje mi trzy pytania. Kim jestem? Kim jest ten czarnuch, który wtyka mi język w ucho, ocierając się o moją dupę? Co ja, kurwa, palę? Odpowiedzi na jej pytania brzmią: Bridget „LaChichotka” Sanchez; twój mąż; prozopagnozję. Czasem ludzie pytają, dlaczego *zawsze* mam towar prima sort, ale każdą podejrzaną ciekawość można zbyć wzruszeniem ramion i beznamietnym „No wiesz, znam kilku białasów...”.

Zapalę blanta. Zaciągnę się i zrobię wydech. Dobre zioło brzydko pachnie. Ten wilgotny, rzadki obłok dymu, który jebie jak zakwit sinic, śnięte ryby i smażące się w słońcu mewy na Huntington Beach, sprawi, że kobieta przestanie wirować dzieckiem. Zaproponuję jej bucha, wilgotny koniec najpierw. Kiwnie głową. To anglofobia, odmiana, którą dopiero co wyhodowałem, ale tego nie musi wiedzieć. Wszystko, byle tylko znaleźć się bliżej. Podejdę w pokojowych zamiarach, wespnę się po porośniętej bluszczem pergoli albo stanę na ramionach jakiegoś dużego czarnucha. Znajdę się na wyciągnięcie ręki, będę mógł jej dotknąć. Pogłaskzę ją metodami, których używałem na uczelni wobec koni pełnej krwi po całym dniu pracy studenckiej – galopach i swobodnej jeździe wierzchem. Pogładzę ją po uszach. Dmchnę jej delikatnie w nozdrza. Pomasuję jej stawy. Przeczeszę włosy. Wpakuję zioło w dzióbek zachłannych ust. Kiedy poda mi dziecko i zejść ze schodów, ku wiwatującemu tłumowi, wyobrażę sobie, że Gregor Mendel, George Washington Carver, a nawet mój ojciec byłiby ze mnie dumni. Kiedyś zapytam ich – przywiązywanych do noszy albo pocieszanych przez zrozpaczoną babcię – „Dlaczego środa?”.

V

Dematerializacja Dickens jednych dotknęła bardziej, innych mniej, ale moich usług najbardziej potrzebował stary Sorgo Jenkins. Sorgo zawsze był trochę niezrównoważony, ale mój ojciec tak naprawdę nigdy się nim nie zajmował. Przypuszczam, że jego zdaniem utrata siwowłosej pamiątki z czasów Wuja Toma nie byłaby wielką stratą dla dzielnicy, więc to do mnie należało „załatwienie tego durnego czarnucha”. W pewnym sensie Sorgo był pierwszym czarnuchem, którego zaklinałem. Nie zliczę, ile razy musiałem okrywać go kocem, ponieważ postanowił popełnić samobójstwo metodą „na gangusa” – pójść na czerwono do dzielni niebieskich, na niebiesko do czerwonych albo zawitać u brązowych i zacząć się wydzierać: *¡Yo soy el gran pinche mayate! ¡Julio César Chávez es un puto!*. Wspinał się na palmy i deklamował miejscowym grepsy z Tarzana, „Ja Tarzan, ty Shaniqua!”. Ja zaś musiałem błagać kobiety na dzielni, żeby opuściły broń, po czym przekonać Sorga, żeby zlął, do czego służył mi fikcyjny kontrakt z jakąś dawno zamkniętą wytwórnią filmową, który gwarantował aktorowi zaliczkę w postaci piwa i orzeszków. Kiedyś w Halloween wyrwał dzwonek do drzwi i przypiął sobie kable do jąder – ilekroć dzwonili przebierańcy, zamiast słodczy i zdjęcia z autografem otrzymywali serię mrozących krew w żyłach wrzasków, które ucichły dopiero, kiedy przedarłszy się przez ciżbę sadystycznych wróżek i superbohaterów, odciągnąłem z guzika palec ośmioletniej Batgirl na wystarczająco długo, żeby namówić Sorga do podciągnięcia spodni i opuszczenia żaluzji.

Dickens, rzekoma Światowa Stolica Morderstw, nigdy nie przyciągało wielu turystów. Od czasu do czasu grupa odwiedzających po raz pierwszy w życiu Los Angeles studenciaków zatrzymywała się na ruchliwym skrzyżowaniu ciut dłużej, żeby drżącą ręką nakręcić dwudziestosekundowy filmik, na którym ich auto podskakuje w górę i w dół, a oni bujają się jak dzikusy i wrzeszczą: „Patrzenie! Jesteśmy w Dickens, w Kalifornii. I co wy na to, cieniasy?”, a potem wkleić w internecie relację ze swojego miejskiego safari. Kiedy jednak zniknęły wszystkie znaki WITAJCIE W DICKENS, a wraz z nimi odpowiednik fontanny di Trevi, do którego trzeba wrzucić monetkę, miejscy voyeryści przestali przyjeżdżać. Czasami pojawiali się prawdziwi turyści. Głównie starzy emeryci, którzy w kamperach na blachach z innego stanu krążyli po ulicach, szukając ostatnich śladów swojej młodości. Tamtych cudownych lat, do których obiecują zabrać nas politycy, czasów, kiedy silna i szanowana Ameryka była krainą moralnych cnót i taniej benzyny. A pytanie lokalsa: „Przepraszam, czy wie pan, gdzie mogę znaleźć Sorga?” było jak pytanie jakiejś biedaszansonistki, czy zna drogę do San Jose.

Sorgo Jenkins jest ostatnim żyjącym członkiem klanu urwisów²⁸, świrniętej bandy uliczników, którzy od szalonych lat dwudziestych po reaganowskie lata osiemdziesiąte na całym świecie robili wodę z mózgu brzuchatym gliniarzom i wagarowali siedem dni w tygodniu, a w niedzielę dwukrotnie, w kinie na porankach, a popołudniami w telewizji. W połowie lat trzydziestych Sorgo został zatrudniony przez wytwórnię Hala Roacha jako dubler Billiego „Grysika” Thomasa, rzekomo za trzysta pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Odbierał kasę i czekał na swoją chwilę, grając drugoplanowe rólki: małego niemego braciszka, którym trzeba było się zająć, kiedy Matka odwiedzała Tatkę w więzieniu, kolorowego chłopca siedzącego na tyłku zbiegłego muła. Robił co mógł, siedząc w ostatnim rzędzie jednoizbowej szkoły urwisów

i rzucając od czasu do czasu jakąś jednozdaniową kwestię. Na mówiące niemowleta, dzikusów z Borneo i puszczanie baniek mydlanych nosem przez Carla „Lucernę” Switzera reagował karykaturalnym przewracaniem oczami i swoim znakiem rozpoznawczym – okrzykiem „Jupikajej!”. Cierpliwie znosił niedostateczne wykorzystywanie jego czarnińskiej słodyczy, wiedział bowiem, że pewnego dnia wejdzie w za duże ciżemki poprzedników, wielkich Murzynańtek swoich czasów. Zajmie należne mu miejsce w panteonie szyderców, obok Kuskusa, Szaleja i Grysika, niosąc w lata pięćdziesiąte dziedzictwo łapserdackiego rasizmu w meloniku. Epoka żywych lalek czarnulek oraz filmów krótkometrażowych dobiegła wszakże końca, zanim zdążył nadejść czas Sorga. Całej czarności, której potrzebowało Hollywood, dostarczała prawiebiałość Harry’ego Belafonte i Sidneya Poitiera, ponura „Murzyńskość” Jamesa Deana oraz wielka, nadludzka, afrodycka dupiatość Marilyn Monroe.

Kiedy fani znajdują jego dom, Sorgo wita ich szerokim blendamedowym uśmiechem i przybija z nimi piątkę artretyczną dłonią. Częstoje ich wieloowocową oranżadą z wysoką zawartością witaminy C oraz – jeśli mają szczęście – kawałkiem mojego arbuza. Wątpię, by opowiadał swoim starzejącym się fanom te same historie, którymi dzielił się z nami. Trudno powiedzieć, jak zaczął się mój romans z Marpessą Delissą Dawson. Jest starsza ode mnie o trzy lata i znam ją całe życie. Od dziecka mieszka na Farmach, jej matka prowadziła w domu Szkołę Jazdy Konnej i Gry w Polo „Od rana do wieczora”. Dzwonili do mnie, ilekroć brakowało im pokazowego skoczka albo czwartego zawodnika w młodzieżowej drużynie polo Zulusi. Nie byłem zbyt dobry ani w jednym, ani w drugim, ponieważ konie appaloosa są chujowymi skoczkami, a w polo nie można używać lewej ręki. Kiedy byliśmy młodszy, razem z Marpessą i resztą okolicznych dzieciaków biegaliśmy po szkole do domu Sorga, bo co może być fajniejszego niż oglądanie *Klanu urwisów* z jednym z urwisów? W tamtych czasach samemu było się pilotem do telewizora – ojciec wrzeszczał „Shawn! Don! Mark! Niech któryś zejdzie i zmieni, kurwa, ten kanał!” – ustawienie na starym przenośnym czarno-białym telewizorze bez jednej anteny i wszystkich przycisków kapryśnej stacji, jak nadający z Corony na UHF-ie Channel 52, KBSC-TV, wymagało precyzji neurochirurga. Trzeba było w nieskończoność podpinać hydrauliczne szczypce do metalowych pokrętełek, szukać takiego kąta, który w pionie czy w poziomie wytworzyłby choć tyci moment siły, pozwalający zmieniać kanały. Kiedy jednak na ekranie pojawiał się *Klan urwisów* i rozlegał się szczebiot saksofonów z lecącej w czołówce piosenki, zbieraliśmy się wokół siwowłosego Sorga i rozgrzanej do czerwoności spirali piecyka niczym niewolnicze dzieci przy ognisku starego wuja Remusa²⁹.

– Opowiedz nam kolejną historyjkę, wuju Remusie, to znaczy Sorgo.

– Mówiłem wam kiedyś, jak w czasie jubileuszu dwudziestolecia wydupczyłem Darłę w scenografii do Najbardziej Męskiego Klubu Mizoginów?

Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale Sorgo, jak każda dziecięca gwiazda, która wiele lat po przerwaniu kariery wciąż stoi w poświacie reflektora, był zdrowo pierdolnięty. Uważaliśmy, że jest zabawny, kiedy ocierał się o telewizor, ilekroć na ekranie pojawiały się kręczone od dołu, odsłonięte majteczki Darli. „W prawdziwym życiu nie skąpiła tak piczki jak w filmach”. Wałąc krocem w ekran, wrzeszczał: „To za Lucernę, Mickeya, Świniaka, Żabola, Grubcia, Dżola, tego zarozumiałego cwela Wally’ego i resztę klanu!”, akcentując swoją libidinalną wyliczankę coraz brutalniejszymi pchnięciami. Dość rzec, że Sorgo ma w sobie złość. Biorąc się z poczucia, że nie jest tak sławny, jak być powinien.

Kiedy nie pochłaniały go seksualne wspominki, Sorgo lubił przechwalać się, że mówi płynnie w czterech językach, bo każdy odcinek kręcono czterokrotnie: po angielsku, francusku,

hiszpańsku i niemiecku. Pierwszy raz, kiedy nam to powiedział, roześmialiśmy mu się w twarz, bo cała rola jego mentora, Grysika, sprowadzała się do szczerzenia szpary między zębami, mówienia „Okej, Prymus” tym swoim sepleniącym uber-murzyniastym, a „Okej, Prymus” brzmi tak samo w każdym języku świata.

Któregoś razu leciał jeden z moich ulubionych odcinków, *Breja i mleko*. W chwili gdy cały klan zasiadł do stołu w internacie szkoły Bleak Hill, Sorgo ściszył dźwięk. Dobrotliwy Stary Kapitan czekał na emeryturę. Jego żona, pomarszczona i humorzasta jak shar pei w klatce u hycła, zaplująca się i syczała na dzieci. Jeden z urwisów, źle wykonawszy poranne obowiązki, szepcze do ucha drugiego kwestię, której nie musieliśmy słyszeć, bo słyszeliśmy ją z milion razy.

- Nie pij mleka – powiedzieliśmy głośno.
- Dlaczego? – zapytał cichutko płowowłosy chłopiec.
- Jest zepsute – wyszeptaliśmy jednogłośnie.

Nie pij mleka. Podaj je dalej. I Sorgo właśnie to zrobił – każdego kolejnego urwisa, który ostrzegwał swojego sąsiada, zdubbingował w innym języku.

- *No bebas la leche. ¿Porqué? Está mala.*
- *Ne bois pas le lait. Pourquoi? C'est gate.*
- *Trink die Milch nicht! Warum? Die ist schlecht.*

Nie pij mleka. Dlaczego? Jest zepsute.

Mleko było zepsute, w rzeczywistości bowiem był to płynny gips, który nie zdążył jeszcze zastygnąć, Sorgo zaś zepsuł żywot dziecięcej gwiazdy. Czasami, po szczególnie brutalnym przemontowaniu jakiejś sceny w imię poprawności politycznej, tupał i się krzywił.

– Byłem w tej scenie! Wycięli mnie! Prymus znajduje lampę Aladyna, pociera ją i mówi: „Życzę sobie, żeby Sorgo był małpą. Życzę sobie, żeby Sorgo był małpą!”, i wielkie, kurwa, nieba, oto jestem jebaną małpą.

– Małpą?

– Kapucynką, ściślej rzecz biorąc. Grałem małpę, używając metody Stanisławskiego, kochani. Wylatuję na ulicę, wpadam do baru, gdzie jakiś czarnuch migdali się ze swoją dupą, zamyka oczy, nachyla się w oczekiwaniu na buzi-buzi, ale ona mnie zauważa, daje dyla i ten dureń składa pocałunek na moich wielkich różowych małpich ustach. Sikali po nogach ze śmiechu. *Chłopak z lampy*, najwięcej czasu ekranowego w moim życiu. Biję się z całym oddziałem policji, a pod koniec filmu razem z Prymusem jemy ciasto i rządymy całym pieprzonym miasteczkiem. I powiem wam, że Prymus był bez cienia wątpliwości najzajebistszym białasem w dziejach. Jupikajej!

Trudno stwierdzić, czy rzeczywiście zmieniono go w prawdziwą małpę, czy też wytwórnia Hala Roacha, która nie słynęła z wysublimowanych efektów specjalnych, po prostu otworzyła zawsze aktualną Wielką Księgę Amerykańskich Stereotypów i skorzystała z prostego, jednopunktowego przepisu na „Murzyńskie Małpie Harce”: 1. Wystarczy dodać ogon. Tak czy owak, w pokoju montażowym zaczęły piętrzyć się celulozowe skrawki ocenzonego slapstickowego rasizmu i stało się jasne, że Sorgo był w *Klanie urwisów* kimś w rodzaju etatowego „czarnuszka”. Jego kariera filmowa to kronika wyciętych z ostatecznej wersji scen, w których ląduje na nim coś białego: jajka sadzone, farba, lawina mąki krupczatki. Wytrzeszcza oczy ze strachu i z powodu nadczynności tarczycy, czasem na widok ducha w opuszczonym domu, czasem Świętego Ducha wstępującego w ochrzczonych Murzynów, którzy zaczynają gadać językami i lunatykować w miejscowej leśnej gęstwinie, a czasem wreszcie – koszuli, która

powiewa beztrąsko na sznurze do suszenia bielizny niczym nadymający się upiór hoodoo. Sorgo boi się tak, jakby się miał zesrać. Robi się biały jak albinos. Jego długie kręcone włosy prostują się nagle wprost proporcjonalnie do przerażenia, a on leci prosto na drzewo, przez płot albo szybę w oknie. I ciągle raził go prąd – po części dlatego, że był niezdara, a po części z woli Boga, którego gromy, rzekomo bijące gdzie popadnie, nigdy nie chybiały rowka tej zakrytej ogrodniczkami dupy. W *No nie, Benie Franklinie*, kiedy Pies Pietrula zjada prototyp latawca wykonany przez Prymusa okularnika, któż zgłasza się na ochotnika, żeby posłużyć za zastępstwo? Oczywiście Sorgo. Przymocowany do uszytej przez Betsy Ross ogromnej flagi, odziany jedynie w poszarpane niewolnicze bryczesy i trójgraniasty kapelusz ze sterzącym metalowym drutem, na szyi ma tabliczkę, na której rozmazanymi literami napisano: OTO SĄ CZASY, KIEDY DUPY LUDZI WYSTAWIONE ZOSTAJĄ NA PRÓBĘ – NATHAN HAIL³⁰. Czarna polatucha unosi się wysoko na niebie, szybuje przez siekący deszcz, dmący wichur i kanonadę błyskawic. Słychać grzmot, błyskają iskry i Prymus przygląda się uważnie świecącemu, naelektryzowanemu szkielecowi przymocowanemu do sznurka od latawca. Już ma powiedzieć „Eureka!”, kiedy coś mu przerywa – to Sorgo, wysoko w górze, zaklinowany między gałęziami drzewa, dymiąca kupka popiołów, której fosforyzują oczy i zęby i która kopci się z każdego otworu ciała, wypowiada najdłuższą kwestię w swojej karierze: „Jupikajej! Odkryłem elektryczność!”.

Z czasem, wraz z nadejściem kablówki, gier wideo, a w ósmej klasie ponętnych cycków Melanie Price, która lubiła pokazywać je w oknie sypialni, rozpoczynając swoje striptizy mniej więcej w porze, kiedy zaczynał się *Klan urwisów*, członkowie bandy jeden po drugim przestawali odwiedzać Sorga po szkole, aż zostaliśmy tylko ja i Marpessa. Nie jestem pewien, czemu się nie zmyła. Też mogła się poszczycić parą piętnastoletnich cycków w obcisłym topie. Czasami pod drzwiami podchodzili starsi chłopcy i chcieli z nią pogadać. Musieli jednak siedzieć na ganku, bo zawsze czekała, aż skończy się *Klan urwisów*. Chciałbym wierzyć, że już wtedy się jej podobałem, ale wiem, że to raczej litość i poczucie bezpieczeństwa sprawiały, że Marpessa spędzała ze mną czas między trzecią trzydziści a czwartą. W końcu jaką krzywdę mogą zrobić szkolony w domu trzynastoletni wieśniak oraz podstarzały zaprzaniec, którzy pogryzają winogrona i oglądają klan urwisów odstawiający w ogródku fikuśną rewiew z siedmiolatkami o chrapliwych głosach oraz kolorowymi dziećmi stepującymi jak szalone w rolach głównych?

– Marpessa?

– No?

– Wytrzymaj się, masz mokrą brodę.

– Nie tylko ją mam mokrą, mówię ci. Te cholerne winogrona są faktycznie dobre. Naprawdę sam je hodujesz?

– Mhm.

– Czemu?

– Praca domowa.

– Twój ojciec jest pojebany.

Przypuszczam, że właśnie to pokochałem w Marpessie najpierw – jej niepohamowaną niestosowność. No i jej cycki pewnie też. Choć, jak mówiła za każdym razem, kiedy przyłapała mnie na tym, że się na nie gapię: nawet gdybym miał cień szansy, to i tak bym nie wiedział, co z nimi zrobić. Z czasem starsi chłopcy, ruchacze z kasą z dragów, wygrali ze wzniosłym urokiem śpiewającego *Home on the Range* Lucerny w kowbojskim kapeluszu i na bardzo długo zostaliśmy tylko ja, Sorgo i winogrona. Nigdy nie żałowałem, że nie bawiłem się z przyjaciółmi

w podglądanie. Zawsze wiedziałem, że jeśli Marpessa będzie jadła moje winogrona i skapywała ich sokiem swoje obfite przedsięwzięcie, to prędzej czy później te jej twarde sutki przewiercą się przez mokre plamy na koszulce.

Niestety, gruczoły sutkowe w trójwymiarze zobaczyłem po raz pierwszy dopiero w przeddzień szesnastych urodzin, kiedy obudziłem się i ujrzałem nad sobą Tashę, jedną z „asystentek” mojego ojca. Siedziała na brzegu mojego łóżka. Naga, waląca muszkatem i postkoitalnym piżmem, czytała na głos Nancy Chodorow: *Matki są kobietami, oczywiście, matka bowiem to rodzic płci żeńskiej. (...) Możemy mówić o ojcu „matkującym” dziecku, jeśli jest jego głównym opiekunem albo zachowuje się w sposób opiekuńczy. Ale nigdy nie powiemy, że matka dziecku „ojcuje”*. Do dziś, kiedy jestem sam, dotykam się, myśląc o cyckach Tashy i o tym, jak Freudowska hermeneutyka nie ma zastosowania w Dickens. Miejscu, gdzie częściej niż rzadziej to dzieci wychowują rodziców, gdzie kompleksy Edypa i Elektry są proste, bo synowie, córki, ojczymowie, macochy, „kuzyni”, bez znaczenia, wszyscy wyruchują się wzajemnie, a zazdrość o penisa nie występuje, bo czasami czarnuchy mają po prostu *za dużo* kutasa.

Nie wiem dokładnie dlaczego, ale czułem, że jestem coś winien Sorgowi za wszystkie te popołudnia, które spędziliśmy w jego domu z Marpessą. Że w szaleństwie, z którym musiał się borykać, było coś, co sprawiło, że jestem względnie normalny. I pewnego wietrznego środowego poranka, jakieś trzy lata temu, podczas zasłużonej późnoporannej drzemki usłyszałem we śnie głos Marpessy. Mówiła tylko „Sorgo”. Kiedy wygramoliłem się na dwór, na drzwiach Sorga znalazłem przyklepioną taśmą klejącą pospiesznie nagryzmołoną kartkę: *Na tyłó*. Pismo było koślawe, w stylu *Klanu urwisów*, ale zaskakująco czytelne. „Tył” oznaczał miejsce, gdzie Sorgo przechowywał relikwie. Mała przybudówka, pięć na pięć, niegdyś zagracona skarbami z planu *Klanu...* – rekwizytami, zdjęciami, kostiumami. Niewiele tych pamiątek zostało. Większość z nich – zbroja, w której ostrzeliwany pestkami Prymus wygłaszał mowę Marka Antoniusza w *Szpanerskim Szekspirze*, słynny sterczący kosmyk Lucerny, cylinder i frak, w których Grysik dyrygował orkiestrą w Klubie Prymusa i zarabiał „setki tysięcy dolarów” w *Rewii Klanu urwisów 1938 roku*, wykonany ze złomu wóz strażacki, którym odbito Jane z rąk bogatego dzieciaka w prawdziwym wozie strażackim, kazoo, flety i łyżki, czyli sekcja dęta Międzynarodowej Orkiestry Srebrnej Struny – dawno już trafiła do lombardu i została sprzedana.

Sorgo, jak zapowiedział, był „na tyłó”; goły jak święty turecki, z pętlą na szyi, wisiął na drewnianej krokwi. Pół metra od niego stało rozłożone krzeselko z napisem ZAREZERWOWANE, a na nim ksero programu do *Kurtyny* – istny monodram desperacji. Pętla zrobiona była z rozciągniętej do granic możliwości gumowej linki, więc gdyby rozmiar buta miał ciut większy niż trzydzieści dziewięć, dotykałby stopami podłogi. Jego twarz przybrała barwę ciemnoniebieską – przyglądałem się, jak zahuszał nim przeciąg. Przeszło mi przez myśl, żeby pozwolić mu umrzeć.

– Odetnij mi penisa i wpakuj mi go do ust – wycharczał, kiedy do jego płuc wróciło powietrze.

Okazuje się, że duszenie powoduje erekcję, więc jego brązowy członek wyrastał niczym gałązka spomiędzy kudłatej gęstwiny siwych włosów łonowych. Sorgo podskakiwał szaleńczo niczym starodawny bączek zarówno z niedotlenienia mózgu (i tak już przeżartego przez alzheimera), jak i dlatego, że równocześnie próbował dokonać samospalenia. Pierdolić Brzemie

Białego Człowieka, Sorgo Jenkins był moim brzemieniem, więc kopniakiem przewróciłem kanister z benzyną i wytrąciłem mu z ręki zapalniczkę. Wróciłem do domu – idąc, nie biegnąc – po nożyce ogrodowe i jakiś balsam do ciała. Nie spieszyłem się, ponieważ wiedziałem, że rasistowskie Archetypy Murzyna, jak *Dzieciaki Bebe*, nigdy nie umierają, ale się mnożą³¹. I ponieważ „nafta”, która chlapnęła mi na koszulkę, śmierdziała jak napój Zima³², ale przede wszystkim ponieważ ojciec zawsze mówił, żeby nie wpadać w panikę, kiedy ktoś z sąsiedztwa postanowi się powiesić: „czarni za chuja pana nie potrafią wiązać węzłów”.

Kończąc to całe robienie scen i odcinam samolinczującego się historyka. Kładę go delikatnie na dywanie z wiskozy i głaszczę po łysiejącej głowie. Usmarzał i zażawił mi pachę, kiedy wmasowywałem mu kortyzon w podrażnioną sznurem szyję, przeglądając równocześnie program. Na drugiej stronie widniało zdjęcie naszego chłopaka, jak w towarzystwie Braci Marx relaksuje się na planie niewypuszczonego do kin sequela *Kaczej zupy*, pod tytułem *Czarna dupa*. Bracia Marx siedzą na ustawionych tyłem krzesłach reżyserskich, podpisanych GROUCHO, CHICO, HARPO i ZEPPO. Na szarym końcu rzędu stało wysokie krzesło podpisane DEPRESSO. A na nim siedzi po turecku sześćioletni Sorgo z wymalowanym pod nosem grubym siwym wąsem Groucha. Podpis na fotografii brzmiał: *Sorgowi Jenkinsowi, „shvartze owtze” naszej rodziny. Serdeczności od Marxów – Groucho, Karl, Skid i in.* Pod spodem widniała notka biograficzna Sorga. Smutna lista jego mizerynych osiągnięć, brzmiąca raczej jak list pożegnalny:

Sorgo Jenkins (Sorgo Jenkins) – Sorgo z przyjemnością podkreśla, że zarówno jego debiut, jak i łabędzi śpiew miały miejsce na scenie Teatru Repertuarowego Zaplecze. W roku 1933 Sorgo po raz pierwszy zaprzął do pracy swoje dzikie, rozczochrane afro, kiedy zadebiutował jako wyjący, porzucony Dzikusek w oryginalnym *King Kongu*. Uniknął stratowania w pobliżu Wyspy Czaszki i od tamtej chwili specjalizował się w graniu czarnoskórych chłopców³³ w wieku lat od ośmiu do osiemdziesięciu. Jego najslawniejsze role to: *Czarny Książę* – Chłopiec stajenny (nieuwzględniony w napisach), *Wojna światów* – Chłopiec gazeciarz (nieuwzględniony w napisach), *Kapitan Blood* – Chłopiec okrętowy (nieuwzględniony w napisach), *Charlie Chan i Ku Klux Klan* – Chłopiec do bicia (nieuwzględniony w napisach). Każdy film kręcony w Los Angeles w latach 1937–1964: Chłopiec pucybut (nieuwzględniony w napisach). Inne role: Chłopiec na posyłki, Chłopiec hotelowy, Chłopiec z ferajny, Chłopiec czyszczący baseny, Chłopiec zamiatający ulice, Chłopiec od rzeźnika, Chłopiec utrzymanek (film erotyczny) oraz symboliczny inżynier NASA (Chłopiec) w oscarowym filmie *Apollo 13*. Sorgo pragnie podziękować fanom, którzy wspierali go przez tyle lat. Cóż to była za długa i dziwna droga!

Gdyby ten nagi starzec łkający na moim podółku urodził się gdzieś indziej, na przykład w Edynburgu, być może dziś nosiłby już tytuł szlachecki. „Powstań, sir Sorgo, baronie Dickens. Sir Asfalcie. Sir Bam z Bo”. Gdyby był Japończykiem i zdołał przetrwać wojnę, kryzys gospodarczy i zespół Shonen Knife, to całkiem możliwe, że zostałby jednym z tych osiemdziesięciokilkuletnich aktorów teatru Kabuki, których traktuje się z takim szacunkiem, że kiedy wchodzi na scenę w drugim akcie *Kyô Ningyô*, wita się ich oklaskami, a konferansjer ogłasza przerwę i zapowiada przyznanie im rządowej pensji. „W roli kurtyzany Oguruma, Lalki z Kyoto, Żyjący Skarb Narodowy Japonii, Sorgo »Kokojin« Jenkins VIII”. Miał jednak pecha urodzić się w kalifornijskim Dickens i w Ameryce Sorgo nie budzi dumy: jest Narodową Żenadą. Problemem afroamerykańskiego dziedzictwa, czymś, co należałoby usunąć, wykreślić

z historii rasy jak taniec juba³⁴, serial *Amos 'n' Andy*, załamek Dave'a Chappelle'a oraz tych, którzy piszą „Walętyнки”.

Przyłożyłem usta do pokrytej woskowiną maźłowiny Sorgowego ucha.

– Dlaczego, Sorgo?

Nie wiedziałem, czy mnie rozumie. Na twarzy miał ten śnieżnobiały uśmiech minstrela³⁵, szeroki i służalczy, którym promieniał w moją stronę. Jest coś nienormalnego w tym, że dziecięcy aktorzy w pewnym sensie się nie starzeją. Zawsze zostaje jakiś rys, który nie przemija i sprawia, że zachowują wieczną młodość – nawet jeśli zapomniani. Przypomnijcie sobie policzki Gary'ego Colemana, zadarty nosk Shirley Temple, zakola Eddiego Munstera, płaską pierś Brooke Shields, promienny uśmiech Sorga Jenkinsa.

– Dlaczego, massa? Bo kiedy zniknęło Dickens, zniknąłem i ja. Nie dostaję już listów od fanów. Od dziesięciu lat nie miałem gościa, bo nikt nie wie, gdzie mnie znaleźć. Chcę być znowu ważny. Czy to zbyt wiele dla starego zaprzańca, massa? Czuć się ważnym?

Pokręciłem głową, ale miałem jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego środy?

– Nie wiesz? Nie pamiętasz? To była ostatnia mowa, jaką wygłosił twój ojciec na spotkaniu Pączków Pif-Paf. Opowiadał, że bunty niewolnicze w przeważającej większości wybuchały w środy, bo czwartki były tradycyjnie dniem chłosty. Nowojorska rewolta, zamieszki w Los Angeles, bunt na pokładzie *Amistad*, każde jedno gówno – powiedział Sorgo, szczerząc się drętwo od ucha do ucha, niczym kukielka brzuchomówcy. – Było tak, odkąd pierwszy raz postawiliśmy stopę na tej ziemi. Czasem ktoś zostaje wybatożony albo zatrzymany i zrewidowany, bez względu na to, czy zrobił coś złego czy nie. Więc czemu się nie odważyć i nie popajacować w środę, skoro w czwartek cię obiją, co nie, massa?

– Sorgo, nie jesteś niewolnikiem, a ja z pewnością nie jestem twoim panem.

– Massa – powiedział, a uśmiech zniknął mu z twarzy, po czym zaczął kiwać głową w ten żalony sposób właściwy ludziom, których uważasz za gorszych od siebie, kiedy załapią, że uważasz ich za gorszych od siebie. – Czasami musimy po prostu przyjąć to, kim jesteśmy, i stosownie do tego się zachowywać. Ja jestem niewolnikiem. Oto kim jestem. Urodziłem się, żeby grać tę rolę. Niewolnika, który, tak się złożyło, jest również aktorem. Ale bycie czarnym to nie metoda Stanisławskiego. Lee Strasberg w swojej szkole może nauczyć cię, jak być drzewem, ale nie nauczy cię, jak być czarnuchem. To ostatnie ogniwo między fachem a celem i nie będziemy o tym więcej mówić. Do końca życia będę twoim czarnuchem, i tyle.

Nie mogąc rozróżnić między prawdziwym sobą a cikliwym motywem „Zawdzięczam ci życie, więc będę twoim niewolnikiem”, Sorgo ostatecznie postradał zmysły i w tamtej chwili powinienem był go oddać do szpitala. Zadzwoić po policję, żeby założyli mu kaftan. Ale w czasie którejś popołudniowej wizyty w Domu dla Emerytowanych, Zapominających i Zapomnianych „Kinoteka Hollywood” zmusił mnie, żebym mu obiecał, że nigdy nie oddam go do zakładu. Nie chciał podzielić losu swoich starych przyjaciół: Slickera Smitha, Chattanooga Browną czy Beulah „Mammy” McQueenie, którzy przed podróżą do niebiańskiego blueboksa zgłaszają się do jeszcze jednego castingu i z łoża śmierci starają się o rolę w filmie jakiegoś debutanta po zaocznych studiach z reżyserstwa na Uniwersytecie Kalifornijskim, który w swoim dyplomowym projekcie chciałby mieć jakąś gwiazdę, choćby zgrzybiałą i przygasłą.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, w czwartek, Sorgo stał przed moim domem bez butów i koszuli, przywiązany do skrzynki pocztowej, domagając się, żebym go wychłostał. Nie wiem, kto związał mu ręce, ale wiem, że Sorgo związał je mnie.

- Massa.
- Przestań, Sorgo.
- Chcę podziękować za uratowanie mi życia.
- Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. Twoja rola w *Klanie urwisów* sprawiła, że moje dzieciństwo było jakkolwiek znośne.
- Chce mnie pan uszczęśliwić?
- Wiesz, że tak.
- Więc niech mnie pan wychłosta. Niech mnie pan wychłosta prawie do ostatniego bezwartościowego czarnego tchu. Bij mnie, massa, ale nie zabijaj. Bij mnie tylko tyle, żebym poczuł, czego mi brakuje.
- Nie ma jakiegoś innego sposobu? Nic innego cię nie uszczęśliwi?
- Niech pan przywróci Dickens.
- Wiesz, że to niemożliwe. Jak miasto zniknie, to już nie wraca.
- Więc wie pan, co robić.

Mówią, że trzeba było aż trzech zastępców szeryfa, żeby odciągnąć mnie od tego czarnucha, bo łołem jego czarną dupę, jakby nie było jutra. Tatuś powiedziała, że doświadczyłem „rozdwojenia jaźni”. Na to zawsze zwałał wszystkie moje lania. Otwierał *DSM* (w pierwszej wersji z 1952 roku), świętą księgę zaburzeń psychicznych, tak starą, że definiowała homoseksualizm jako „dysleksję libidinalną”, wskazywał na hasło „Rozdwojenie jaźni”, po czym czyścił okulary i powoli zaczynał się tłumaczyć:

- Rozdwojenie jaźni jest czymś w rodzaju psychicznego bezpiecznika. Kiedy umysł doświadcza nagłej fali stresu i pierdół, wyłącza się, po prostu wyłącza twoją świadomość i urywa ci się film. Działasz, ale nieświadomy swoich poczynań. Tak więc rozumiesz, że choć nie pamiętam, żebym złamał ci nos...

Chciałbym móc powiedzieć, że z mojej fugi dysocjacyjnej obudziłem się, pamiętając tylko piekący ból, kiedy Sorgo delikatnie przykładął nasączone wodą utlenioną waciki do sińców, które przyprawili mi policjanci. Do końca życia będę jednak pamiętał dźwięk, jaki wydawał wyciągany ze szlufek, ocierający się o lewisy skórzany pas. Świst tego dwustronnego czarno-brązowego bicia, który przecinał powietrze i z traskiem rozrywanej skóry spadał z całej siły na grzbiet Sorgo. Łzy w oczach, radość i wdzięczność, jaką mi okazywał, kiedy czołgał się – nie żeby uciec od chłosty, ale żeby dostać w skórę. Pragnąc zamknąć raz na zawsze te stulecia tłumionego gniewu i dziesięciolecia nieodwzajemnionej służalczości, ścisnął mnie i błagał, bym okładał go mocniej. Jego czarne ciało przyjmowało świst i uderzenia bicia jękami rozkoszy. Nigdy nie zapomnę, jak Sorgo, zalewając krwią ulicę, odmawiał, jak każdy niewolnik w dziejach, wniesienia zarzutów. Nigdy nie zapomnę, jak prowadził mnie łagodnie do domu, prosząc zebranych gapiów, by mnie nie osądzali, bo ostatecznie kto szepcze do ucha Zaklinaczowi Czarnuchów?

- Sorgo.
- Tak, massa.
- Co byś mi wyszeptał do ucha?
- Że myśli pan zbyt wąsko. Że ratowanie całego Dickens przez megafon, po kolei, czarnucha za czarnuchem, nigdy się nie uda. Musi pan myśleć w szerszych kategoriach niż pański ojciec. Zna pan powiedzenie „Nie widzieć lasu zza drzew”?
- Oczywiście.
- No to musi pan przestać patrzeć na nas indywidualnie, bo teraz, massa, czarnuchy zasłaniają

panu plantację.

VI

Mówią, że nie jest łatwo być alfonsem. Cóż, właścicielem niewolników też nie. Niewolnicy – jak dzieci, psy, kości do gry, sypiący obietnicami politycy i, najwyraźniej, prostytutki – nie robią tego, o co ich prosisz. I kiedy twój osiemdziesięciokilkuletni czarny rab pracuje rzetelnie najwyżej piętnaście minut dziennie, ale kurewsko lubi być karany, to nie cieszysz się zbyt wieloma znanymi z filmów przywilejami właściciela plantacji. Żadnego „biada mi”, żadnego śpiewania w polu *Zstąp, Mojżeszu*. Żadnych miękkich czarnych piersi, w które można wtulić głowę. Żadnych miotełek z piór. Żadnego *Zachodźże słońeczko*. Żadnych wystawnych kolacji przy świecach, niekończących się dokładek glazurowanej miodem szynki, ziemniaczanego purée i warzyw wyglądających tak zdrowo jak nigdzie na ziemi. Nigdy nie było mi dane doświadczyć tego bezgranicznego zaufania między panem a poddanym. Po prostu miałem zasuszonego czarnego staruszka, który wiedział tylko jedno – gdzie jego miejsce. Sorgo nie potrafił naprawić koła od wozu. Przekopać jebanej grządki. Nawet po tym polu chodzić. Umiał jednak giąć się w pas i z kapeluszem w ręku stawiał się do roboty, gotów pracować między pierwszą a pierwszą piętnaście, czy coś koło tego. Czyli robić to, na co miał ochotę. Czasami praca polegała na tym, że wkładał szmaragdowo-różowe rajtuzy, brał do ręki lampę naftową i stawał przed moim domem jako naturalnej wielkości murzyn ogrodowy³⁶. Innego razu postanawiał być ludzkim podnóżkiem i kiedy naszedł go duch służalczości, padał na czworaka do nóg mojego konia albo przy pace mojego pikapa i czekał tam, aż wejdem na jego grzbiet i udam się na niechcianą przejażdżkę – do monopolowego albo na aukcję bydła. Najczęściej jednak praca Sorga polegała na obserwowaniu, jak pracuję *ja*. Wgryzał się w śliwkę Burbanka (odpowiednie zbilansowanie słodczy i cierpkoci zajęło mi sześć lat uprawy) i krzyczał: „Niech mnie, panie, te śliwki som dobre! Japuńskie, he? Ma pan rękę do roślin jak skurwysyn! Wsadziłeś ją pan Godzilli w radioaktywną dupe czy co?”.

Wierzcie mi zatem na słowo, że niewolenie ludzi jest wyjątkowo stresującym przedsięwzięciem. Nie żebym coś przedsiębrał – siłą narzucono mi władzę nad tym cierpiącym na kliniczną depresję poddanym. I żeby było jasne: próbowałem „wyzwolić” Sorga niezliczoną ilość razy. Zwykle powiedzenie mu, że jest wolny, nic nie dawało. Któregoś razu, słowo daję, praktycznie porzuciłem go w górach San Bernardino jak niechcianego psa, ale wymiękłem, kiedy natknąłem się na porzuconego strusia z nalepką Snoop Dogga na ogonie. Poprosiłem nawet Hamptona, żeby wymyślił jakiś akt wyzwolenia; spisał go dziewiętnastowiecznym językiem i zapłacił dwieście dolców skrybie, który wykaligrafował dokument na starodawnym pergaminie znalezionym w pewnym sklepie z antykami w Beverly Hills, bogacze bowiem najwyraźniej dalej używają takich rzeczy. Po co? Któż to wie. Zważywszy na stan naszego systemu bankowego, być może wrócili do zakopywania skarbów i sporządzania map.

„Do wszystkich zainteresowanych – głosił dokument – Aktem niniejszym wyzwalam, uwalniam, rozkiełzam, trwale oswobadzam i puszczam wolno mojego niewolnika imieniem Sorgo Jenkins, który znajduje się w mem posiadaniu od trzech niedziel. Ów Sorgo jest przeciętnej postury, maści i inteligencji. Niech każdy czytający ten akt wie, że Sorgo Jenkins jest od dziś wolnym człowiekiem rasy czarnej. Poświadczam to własnoręcznym podpisem, 17 października roku Pańskiego 1838”. Sztuczka się nie udała. Sorgo po prostu ściagnął spodnie,

nasrał mi w pelargonie, wytarł dupę swoją wolnością i oddał mi ją.

– Przeciętej inteligencji? – zapytał, unosząc siwą brew – Po pierwsze, wiem, który mamy rok. Po drugie, prawdziwa wolność to prawo do bycia niewolnikiem. – Włożył spodnie i przeszedł na swój hollywoodzki dialekt plantacyjny. – Wiem, że nikt mnie nie zmusza siłom, ale tego niewolnika nigdy się nie pozbendzisz. Wolność może pocałować mnie w mojom czarnom, postsecesyjnom dupe.

Niewolnictwo musiało być cholernie dochodowe, żeby komuś chciało się borykać z całą tą umysłową udreką, choć czasami, po upalnym dniu kastrowania koźląt i naprawiania ogrodzeń, rozwalam się na ganku, patrzę, jak zmierzch rozprasza ciężki rudy smog wiszący nad centrum miasta, a Sorgo przynosi z domu dzbanek zimnej lemoniady. I jest coś szalenie satysfakcjonującego w widoku kropli, które pojawiają się i spływają po plastikowej powierzchni naczynia. Sorgo napełnia mi szklanę, wchlupuje jedną kostkę lodu za drugą, odpędza muchy, osłania moją twarz przed upałem. Zanurzony w chłodnym powietrzu i Tupacu lecącym z samochodowego radia czuję tę odświeżającą nutkę władztwa, którą musieli czuć panowie konfederacji. Niech mnie, gdyby Sorgo zawsze był tak spokojliwy, też bym ostrzelał z armat Fort Sumter.

We czwartki, przypadkowo z rozmysłem, Sorgo rozlewał mi lemoniadę na nogi, wysyłając – jak drapiący o drzwi wyjściowe pies – niezbyt subtelny sygnał, że czas coś zdziałać.

– Sorgo.

– Tak, massa? – unosił z nadzieją głos, głaszcząc się wyczekująco po zadku.

– Czy wybrałeś terapeutę?

– Patrzyłem w internecie i wszyscy terapeuci są biali. Stoją w lesie albo przed regałem, obiecują udane związki, satysfakcję zawodową i seksualną. Jakim cudem na zdjęciach nigdy nie mają upierdliwych dzieciaków albo nie ruchają swoich partnerów, doprowadzając ich do orgazmu? Gdzie praktyczny dowód?

Mokra plama na moich spodniach rozszerzała się na całe uda i sięgała kolan.

– Okej, wsiadaj do auta – mówiłem.

Dziwna rzecz, ale Sorgowi nie przeszkadzało, że wszystkie dominy w Pałce, Zapałce, Dwóch kijach, klubie sado-maso w Zachodniej, które wynajmowałem, by wymierzały kary za mnie, były białymi kobietami. Jego ulubionym lochem tortur była sala Bastylia. Tam Pani Dorothy, blada brunetka o krwawoczerwonych ustach w dzióbek, którym zawstydziliby Scarlett O’Harę, całkiem goła, jeśli nie liczyć kepi Armii Unii, przywiązywała Sorga do krzyża i z całych sił łoła mu skórę. Mocowała mu na genitaliach jakieś ustrojstwo i domagała się, by wyśpiewał wszystko na temat uzbrojenia oraz ruchów wojsk Unii. Po wszystkim panna Dorothy wtykała głowę do taksówki, całowała Sorga w policzek i wręczała mi rachunek. Przy dwustu dolcach za godzinę plus „bonusach rasowych” zaczęło robić się tego dużo. Pierwsze pięć „asfaltów”, „bambusów” i „dzikusów” było za darmo. Potem każde wyzwisko kosztowało trzy dolary, a „czarnuch” – dziesięć dolców za użycie w każdej możliwej formie, odmianie, wymowie czy pochodnej. Bezdyskusyjnie. Po każdej sesji Sorgo wyglądał jednak na tak szczęśliwego, że prawie się opłacało. Szczęście Sorga nie było jednak moim szczęściem, nie było szczęściem miasta, a ja nie potrafiłem wymyślić, jak przywrócić Dickens, aż do pewnego wyjątkowo ciepłego wiosennego popołudnia, kiedy to wracaliśmy do domu z Pałki, Zapałki, Dwóch kijów.

Utknęliśmy z Sorgiem na stodziesiątce, niecierpliwie przejeżdżając z pasa na pas. Szło nam niezłe, aż na odcinku między zjazdami na czterystąpiątkę i stopiątkę zaczął robić się korek. Ojciec miał teorię, że najlepszymi kierowcami są biedacy, bo nie stać ich na ubezpieczenie, więc

muszą prowadzić auto tak, jak żyją – ostrożnie. Brnęliśmy między nieubezpieczonymi gratami i zardzewiałymi rżechami. Jechały bez wyjątku równo dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, łopocąc wstawionymi w miejsce szyb workami na śmieci. Sorgowi powoli mijał masochistyczny haj, z każdym kolejnym zjazdem z autostrady ulatywały mu wspomnienia sesji, choć nie ból. Dotykał sińca na ramieniu i pytał sam siebie, skąd się to wzięło. Wyjąłem blanta ze schowka i zaproponowałem mu leczniczego bucha.

– Wiesz, kto był zjarusem? – rzucił, odmówiwszy trawki. – Mały Scotty Beckett.

Scotty był wielkookim Urwisem, kompanem Prymusa. Nosił rozciągnięty wełniany sweter i przekrzywioną bejsbolówkę, ale ten białas był tak słodki i tak wyzbyty patosu, że nie wytrzymał długo.

– Taak? A co z Prymusem? Ćpał?

– Prymus niczego nie brał, tylko ruchał laski. Oto co robił Prymus.

Otwarłem okno. Nadal nie poruszaliśmy się zbyt szybko i smrodliwy dym marihuany wisiał w powietrzu jak poczucie winy. Mówi się, że *Klan urwisów*, jak *Makbet*, był przeklęty i że wszyscy grający w nim aktorzy zmarli przerażająco przedwczesną śmiercią.

URWIS	WIEK	PRZYCZYNA ŚMIERCI
Lucerna	42	Postrzelony trzydzieści razy w twarz (po razie w każdy pieg) w czasie awantury o pieniądze
Grysik	49	Zawał serca
Dychacz	19	Katastrofa samolotu szkoleniowego
Darla Hood	47	Według Sorga zaruchał ją na śmierć. W rzeczywistości – żółtaczką
Grubcio	21	Leżało mu coś na sercu. Nieodwzajemniona miłość do panny Crabtree i sto czterdzieści kilogramów tłuszczu przy metrze pięćdziesięciu wzrostu
Żabol	16	Potrącony przez ciężarówkę
Pies Pietrula	7	Połknął budzik

Sorgo wiercił się w fotelu, macając nabrzmiące czerwone pręgi na plecach i zastanawiając się, dlaczego leci mu krew. Kurwa, może powinienem był dać mu umrzeć. Może powinienem był wypchnąć go z auta na lepki, spękany asfalt Harbor Freeway. Ale co by to dało? Ruch zupełnie ustał. Na szybkim pasie dachował jakiś jaguar, brzydki amerykański model. Ugolfiony pasażer, który wyszedł z tego bez szwanku, opierał się o barierkę i czytał książkę w twardej oprawie, jedną z tych, które widuje się tylko w lotniskowych księgarniach. Honda sedan z rozwaloną dupą oraz jej pasażer – oboje dymiący i rozpląszczeni – leżeli na środkowym pasie, czekając, aż zawiozą ich na – odpowiednio – wysypisko i cmentarzysko. Nazwy modeli jaguarów brzmią jak rakiety: XJ-S, XJ8, E-Type. Hondy brzmią jak auta zaprojektowane przez pacyfistów i dyplomatów ONZ: Passport, Partner, Life. Sorgo wyszedł z auta, żeby odblokować korek. Machając rękami jak szalenciec, którym przecież był, zaczął segregować auta według koloru – nie lakieru karoserii, ale skóry kierowców.

– Murzyny? Do tyłu, sukinsyny! Białasy? Na lewe pasy! Brązowi w tył zwrot, jak beżowi! Żółtki za białasami, lewymi pasami. Czerwoni, nikt was nie dogoni! Mulacie, naprzód, bracie! –

Jeśli nie umiał kogoś skategoryzować od razu, pytał kierowców, jakiego są koloru. – Chicano? Co to za kolor? Nie możesz po prostu wymyślać sobie rasy, skurwielu. *Puto*? Mam twoje *puto* gdzieś, *pendejo*! Wybierz sobie pas, czarnuchu, i trzymaj się go! Tam, gdzie pasujesz!

Kiedy przyjechali gliniarze z flarami, a ruch wreszcie się upłynął, Sorgo wdrapał się z powrotem do pikapa, zacierając ręce, jak gdyby czegoś dokonał.

– Tak się załatwia sprawy. Nauczył mnie tego Sammy Słoneczko. Zwykł mawiać: „Czas nikomu nie służy, za to czarnuch usłuży każdemu za ćwierćdolarowy napiwek”.

– Kto to jest Sammy Słoneczko, do kurwy nędzy?

– Już tam nie interesuj się, kim jest Sammy Słoneczko. Wy, nowe czarnuchy, macie czarnych prezydentów i golfistów. Ja mam Sammy’ego Słoneczko. Z pierwszego *Klanu urwisów*. I kiedy mówię pierwszego, mam na myśli to, że Sammy naprawdę był pierwszy. I kiedy ratował bandę z nieprawdopodobnych tarapatów, to było prawdziwe ponadpartyjne przywództwo.

Sorgo opadł na fotel, założył ręce za głowę, wyjrzał przez okno i zarazem zajrzał w swoją przeszłość. Zmieniłem stację i ciszę wypełnił mecz Dodgersów. Sorgo tęsknił za starymi, dobrymi czasami i Sammym Słoneczko. Ja tęskniłem za Vinem Scullym, melodyjnym głosem obiektywizmu, który komentował mecze na żywo. Dla bejsbolowego purytanina jak ja stare, dobre czasy oznaczały grę sprzed zmian, bez wyznaczonych pałkarzy, rozgrywek międzyligowych, sterydów i dupków w zatkniętych niepewnie na czubku głowy czapkach z daszkiem, którzy stoją w gotowości na polu zewnętrznym i próbują dostrzec piłkę, która leci wysoko i ginie w oślepiających promieniach słońca. Z kolei dla mnie i Tatusia, dwóch biednych czarnuchów mówiących po angielsku, którzy z ustami pełnymi hotdodgersów i coli spędzali czerwcową noc w towarzystwie ciem i kleli na drużynę, która zajęła piąte miejsce, stare, dobre czasy oznaczały epokę Garveya, Ceya, Koufafa, Dusty’ego, Drysdale’a i Lasordy. Dla Sorga były to czasy dowolne, byle mógł uosabiać amerykański prymitywizm. Bo to znaczyło, że jeszcze żyje, a przecież czasem brakuje zainteresowania nawet temu Murzynowi, do którego na jarmarku rzucają piłką, żeby wrzucić go do zbiornika z wodą³⁷. A ten kraj – ta licealna kryptociota, ten udający białego Mulat, ten neandertalczyk nieustannie wyskubujący swoją monobrew – potrzebuje ludzi takich jak Sorgo. Potrzebuje kogoś, w kogo będzie mógł rzucać piłką, pedała do zgnojenia, czarnucha do skopania, kogoś, na kogo będzie mógł najechać czy nałożyć embargo. Czegoś działającego jak bejsbol, co będzie powstrzymywać ten nieustannie mizdrzący się przed lustrem kraj przed spojrzeniem w nie naprawdę i przypomnieniem sobie, w której szafie schowane są trupy. Tamtej nocy Dodgersi przegrali trzeci mecz z rzędu. Sorgo wyprostował się w fotelu i ręką przetarł przednią szybę, które nagle zaparowała.

– Już w domu? – zapytał.

Byliśmy w połowie drogi między zjazdami El Segundo i Rosecrans Avenue i wtedy do mnie dotarło: był tam kiedyś znak DICKENS – NASTĘPNY ZJAZD. Sorgo tęsknił za starymi, dobrymi czasami. Ja tęskniłem za Ojcem, który w drodze ze stanowego targu w Pomona do domu nastawiał radio na mecz Dodgersów, budził mnie kuksańcem w samą porę, żebym przetarł oczy, zobaczył napis DICKENS – NASTĘPNY ZJAZD i zdał sobie sprawę, że jestem w domu. Niech mnie, brakowało mi tego znaku. A czym są tak naprawdę miasta, jeśli nie znakami i odgórnie wytyczonymi granicami?

Zielono-biała tabliczka nie kosztowała wiele: aluminiowa płyta wielkości małżeńskiego łóżka, dwa dwumetrowe metalowe pręty, jakieś słupki drogowe i flary, dwie pomarańczowe kamizelki odbłaskowe, dwie puszki farby w spreju, kilka kasków i jedna bezsenna noc. Dzięki ściągniętemu z sieci *Podręcznikowi zestandaryzowanej sygnalizacji drogowej* miałem dokładną

specyfikację: od odpowiedniego odcienia zieleni (Pantone 342), przez wymiary (150 na 90 centymetrów), wielkość liter (20 centymetrów) i czcionkę (Highway Gothic). Po długiej nocy malowania, przycinania tablicy do właściwego rozmiaru i nanoszenia na drzwi ciężarówki (przez szablon, zmywalną farbą) napisu USŁUGI BUDOWLANE SAMMY'EGO SŁONECZKO zawróciliśmy z Sorgiem w stronę autostrady. Montowanie sygnalizacji drogowej – poza wylewaniem cementu – nie różni się zbytnio od sadzenia drzew. W świetle reflektorów zabrałem się do pracy. Zerwałem bluszcz, wykopałem dziury i wstawiłem znak. W tym czasie Sorgo, słuchając jazzowej stacji KKJZ, zasnął na siedzeniu pasażera.

Kiedy nad estakadą El Segundo Avenue wstało słońce, poranny ruch zaczynał się już na poważnie. Wśród trąbienia klaksonów, huku helikopterów w górze, szczęku zmienianych biegów siedzieliśmy z Sorgiem na poboczu, podziwiając nasze dzieło. Znak był dokładną kopią wszystkich innych egzemplarzy „zestandaryzowanej sygnalizacji drogowej”, które widuje się w drodze do pracy. Zabrało to tylko kilka godzin, ale czułem się jak Michał Anioł w Kaplicy Sykstyńskiej po czterech latach ciężkiej pracy albo jak Banksy po sześciu dniach przeglądania internetu w poszukiwaniu pomysłów, które mógłby ukraść, i trzech minutach wcielania ich w życie metodą chodnikowego wandalizmu.

– Znaki to potężna rzecz, massa. Prawie ma się wrażenie, że gdzieś z tego smogu wyłoni się Dickens.

– Sorgo, co jest lepsze: chłosta czy widok tego znaku?

Sorgo zastanowił się chwilę.

– Bat robi dobrze skórze, ale znak robi dobrze sercu.

Kiedy tamtego ranka wróciliśmy do domu, uderzeniem o stół kuchenny otworzyłem butelkę piwa, wysłałem Sorga do domu i zdjęłem z półki ostatnie wydanie *Atlasu Thomasa*. Z dziesięciu i pół tysiąca kilometrów kwadratowych hrabstwa Los Angeles większość – jak dno oceanu – wciąż pozostaje nieodkryta. Choć do zrozumienia ponad ośmiuset stron *Atlasu hrabstwa Los Angeles wydawnictwa Thomasa* potrzeba zaawansowanego kursu geodezji, jest to istna zbindowana Pocahontas dla każdego nieustraszonego odkrywcy, który próbuje przemierzać rozległe połacie miejskiej dziczy. Nawet w czasach GPS-ów i wyszukiwarek leży na przednim siedzeniu każdej taksówki, ciężarówki, auta z wypożyczalni i żaden Sureño³⁸ wart swojego „kalifornijskiego stopu”³⁹ nie da się zabić bez swojego egzemplarza. Otworzyłem *Atlas Thomasa*. Ojciec co roku przynosił do domu nowe wydanie i pierwsze, co robiłem, to szukałem stron 704–705 oraz przybliżonego położenia naszej chaty, 205 Bernard Avenue. Znalezienie mojego domu w tej wielgachnej księdze jakoś mnie zakorzeniło. Czułem, że świat mnie kocha. Teraz jednak 205 Bernard Avenue leżało pośrodku bezimiennej brzoskwiniowej sekcji mapy. Regularną siatkę ulic z każdej strony ograniczała autostrada. Chciało mi się płakać. Bolesna była myśl, że Dickens wygnano w zaświaty pełne niewidzialnych społeczności Los Angeles. Ścisłe tajne bastiony mniejszości jak Avenidas⁴⁰ czy Dony, które nigdy nie doczekały się wzmianki w *Atlasie Thomasa* i nie potrzebowały ani jej, ani oficjalnych granic czy obciachowych tablic, które głoszą „Wjeżdżasz do...” albo „Opuszczasz...”. Kiedy bowiem głos w twojej głowie (ten, który – jak klniesz się na wszystkie świętości – nie jest głosem uprzedzenia ani rasizmu) mówi ci, żebyś zamknął okna i zablokował drzwi, wiesz, że wjechałeś do Dżungli albo do Fruittown⁴¹, a kiedy przestajesz wstrzymywać oddech, wyjechałeś. Znalazłem niebieski marker i na stronach 704–705 krzywo narysowałem zarys mojego rodzinnego miasta – z pamięci, najlepiej jak potrafiłem,

po czym wielkimi literami w barwach Dodgersów nabazgrałem DICKENS i dorysowałem pod spodem mały piktogram znaku drogowego, który właśnie zainstalowałem. A jak kiedyś stracę cierpliwość, to dostawię jeszcze dwa znaki. Jeśli więc kiedyś będziecie zapieprzać na południe stodziesiątką i migną wam dwie żółto-czarne plamy oznajmiające PROSZĘ UWAŻAĆ NA SPADAJĄCE CENY NIERUCHOMOŚCI oraz UWAGA – NISKO LATAJĄCE POCISKI, ZA 100 M CZARNI STRZELAJĄ DO CZARNYCH, będziecie wiedzieli, komu dziękować za przydrożne ostrzeżenie.

INTELEKTUALIŚCI
PĄCZKÓW PIF-PAF

VII

W niedzielę, ustawiwszy znak, postanowiłem oficjalnie ogłosić plan przywrócenia do życia miasta Dickens. Jakaż byłoby lepsza sposobność niż zebranie Intelektualistów Pączków Pif-Paf, najbliższego odpowiednika reprezentacji parlamentarnej, na jaką było nas stać.

Smutna ironia afroamerykańskiego życia polega – między wieloma innymi – na tym, że każde banalne, zdeorganizowane zgromadzenie nazywa się „organizacją”. A zebrania czarnych organizacji nigdy nie zaczynają się punktualnie, więc nie sposób określić, kiedy przyjechać, żeby się elegancko spóźnić, ale zarazem nie przepuścić całego spotkania. Nie chciałem wysłuchiwać całego porządku obrad, więc poczekałem, aż minie połowa meczu Raidersów. Od śmierci mojego ojca Intelektualiści Pączków Pif-Paf zdegenerowali się w klubik czarnych z klasy średniej, którzy mieszkają na przedmieściach, wykładają na uczelniach, sikają z radości na widok celebrytów i spotykają się na dwumiesięcznicach, żeby ponadskakiwać na wpół znanemu Foyowi Cheshire’owi. Choć czarna Ameryka ceni upadłych bohaterów, trudno powiedzieć, czy bardziej imponowała im jego prężność czy to, że mimo wszystkiego, co przeżył, wciąż jeździł zabytkowym mercedesem 300SL z roku 1956. Tak czy owak, kręcą się dookoła, chcąc mu zaimponować przemysleniami na temat nędzy tubylczej czarnej społeczności, która – co zauważyliby od razu, gdyby tylko na sekundę zdjęli z oczu rasowe klapki – nie jest już czarna, ale w przeważającej mierze latynoska.

W spotkaniu brali udział głównie ci członkowie, którzy pojawiali się co drugi tydzień, pozostający z tymi, którzy przychodzili co drugi miesiąc, w nieustannym sporze na temat dokładnego znaczenia słowa „dwumiesięcznica”. Wszedłem do pączkarni, akurat gdy rozdawano ostatnie egzemplarze „Pikawy”, biuletynu z aktualnymi statystykami na temat Dickens. Stanąwszy z tyłu, przy jagodach w tempurze, wziąłem gazetkę do ręki i przyłożyłem ją do nosa, wdychając słodką woń świeżej farby powielacza, a dopiero potem pobieżnie rzuciłem okiem na biuletyn. „Pikawa” była medium społecznym, które mój ojciec zaprojektował tak, by przypominało indeks giełdowy Dow Jones. Z wyjątkiem tego, że towary i najważniejsze spółki zastąpił społecznymi bolączkami i problemami. To, co zawsze rosło – bezrobocie, ubóstwo, bezprawie, śmiertelność noworodków – rosło dalej. Wszystko, co zawsze spadało – poziom wykształcenia, alfabetyzacja, długość życia – spadało jeszcze bardziej.

Foy Cheshire stał pod zegarem. Przez dziesięć lat nie zmienił się wiele, jeśli nie liczyć dodatkowych trzydziestu pięciu kilo. Nie był wiele młodszy od Sorga, ale nigdy nie posiwiął i miał tylko kilka zmarszczek mimicznych. Na ścianie za nim wisały dwa oprawione zdjęcia wielkości plakatów. Jedno przedstawiało pudełko absurdalnie puszystych, smakowitych pączków; wyglądały zupełnie inaczej niż pomarszczone, zakalcowate „świeże” wypieki, które w witrynie obok czerstwiały na moich oczach. Drugie było kolorowym portretem Papcia. Dumnie prezentował spinę do krawata Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, kędziory miał idealnie ufryzowane. Wycofałem się na pozycje obronne. W sali panował nastrój tak poważny, że musieli mieć wiele do omówienia i miało minąć trochę czasu, zanim pifpafowcy dojdą do „spraf różnych”.

Foy trzymał dwie książki i machał nimi przed zebranymi jak magik, który szykuje się do sztuczki z kartami. *Wybierzcie kulturę, jakąkolwiek kulturę.* Uniósł wysoko jedną z książek i –

choć był z Hollywood Hills, a wcześniej z Grand Rapids w Michigan – zwrócił się do słuchaczy afektowanym, przeciągniętym zaśpiewem pastora metodystów z Południa.

– Pewnej nocy, nie tak dawno temu – powiedział Foy – próbowałem przeczytać moim wnukom tę oto książkę, *Przygody Hucka Finna*. Nie zdołałem jednak dojść dalej niż do strony szóstej, w książce tej bowiem pełno jest TEGO słowa! I choć moje skarby są najbystrzejszymi i najbitniejszymi dziesięciolatkami, jakich znam, nawet one nie były w stanie docenić *Hucka Finna* samego w sobie. Oto dlaczego pozwoliłem sobie przepisać na nowo arcydzieło Marka Twaina. Tam, gdzie pojawiało się obrzydliwe „słowo na cz”, wstawiłem „wojownik”, a słowo „niewolnik” zamieniłem na „ciemnoskóry ochotnik”.

– Dobrze gada! – krzyknął tłum.

– Poprawiłem też dykcję Jima, podkreśliłem trochę fabułę i zmieniłem tytuł na *Wolne od pejoratywów przygody oraz wędrówki intelektualne i duchowe Afroamerykanina Jima i jego młodego protegowanego, białego brata, Hucka Finna, którzy wyruszają na poszukiwania zaginionej czarnej komórki rodzinnej*.

Foy uniósł wysoko egzemplarz zredagowanej przez siebie wersji, żeby wszyscy ją zobaczyli. Wzrok mi trochę szwankuje, ale przysięgłbym, że na okładce dostrzegłem tratwę płynącą w dół potężnej Missisipi: nawigował nią Huck Finn, a obok, przy sterze, stał Kapitan Afroamerykanin Jim, z rękami wspartymi na wąskich biodrach, obciachową bródką i trenchem Burberry na ramionach – dziwnym zbiegiem okoliczności takim samym, jaki właśnie miał na sobie Foy.

Nigdy nie lubiłem tych spotkań, ale odkąd zginął Tata, chodziłem na nie, jeśli akurat nie było czegoś pilnego na farmie. Zanim mianowano Foya Czołowym Myślicielem, zastanawiano się nad przyuczeniem mnie, żebym wszedł w buty Ojca i został liderem grupy. Kim Dżong Unem gettowego konceptualizmu. W końcu przejąłem przecież po Ojcu obowiązki Zaklinacza Czarnuchów. Odmówiłem. Wyłgałem się argumentem, że za mało wiem o czarnej kulturze. Dysponowałem tylko jednym pewnikiem na temat kondycji ludzkiej Afroamerykanów: że nie znamy takich pojęć jak „za słodkie” i „za słone”. I przez następne dziesięć lat, mimo niezliczonych kalifornijskich zniewag i okrucieństw wobec czarnych, biednych, kolorowych (Propozycje 8 i 187⁴², zanik opieki społecznej, *Crash* Davida Cronenberga, protekcyjna dobroć Dave’a Eggersa), nie powiedziałem ani słowa. Kiedy Foy odczytywał listę obecności, nigdy nie wywoływał mnie moim prawdziwym nazwiskiem, ale krzyczał po prostu: „Sprzedawczyk!”. Ze szczwanym i niedbałym uśmiechem patrzył mi w oczy, mówił: „Jest” i stawał znaczek przy moim nazwisku.

Foy oparł się o biurko i złożył dłonie w piramidkę w uniwersalnym geście, który oznajmia: najmądrzejszy z obecnych pragnie coś powiedzieć. Mówił głośno i prędko, z każdym słowem szybciej i dobitniej.

– Wnioskuje, byśmy przeszli do kolejnego punktu: żądania, by wpisać moją politycznie uczciwą wersję *Hucka Finna* na listę lektur szkolnych każdego liceum – oświadczył. – To zbrodnia, że całe pokolenia czarnego ludu dorastają bez możliwości doświadczenia tego... – Foy obczaił tylną okładkę oryginału – ...tego przezabawnie malowniczego klasyka amerykańskiej literatury.

– Czarnego ludu czy czarnego narodu? – To, że przemówiłem po raz pierwszy od lat, zaskoczyło nas obu. Skoro jednak przyszedłem, żeby coś powiedzieć, to czemu nie zacząć od rozgrzania strun głosowych? Ugryzłem oreo⁴³, które odważnie przeschmuglowałem na zebranie. – Jak jest poprawnie? Nigdy nie wiem.

Foy zignorował mnie, pociągnąwszy łyk uspokajającego cappuccino. On i reszta tego

niedickensowego stadka należeli do przerażającego podzbioru czarnych mędrców likantropów, których zwykłem nazywać „czarnuchołakami”. Za dnia czarnuchołaki są mieszczańskimi erudytami, ale z nadejściem każdego kolejnego cyklu Księżyca, roku podatkowego i dorocznej oceny profesury stroszą szczecinę, wślizgują się w długie do ziemi futra i etole z norek, szczerzą kły. Zstępują ze swoich wież z kości słoniowej i korporacyjnych sal konferencyjnych, żeby grasować na dzielni: pić drinki, słuchać słabego bluesa i wyc do księżyca. Odkąd rozpląnęła się jego sława – a może i fortuna – czarnuchołak Foy Cheshire na swoje mgliste, gettowe żerowisko wybrał Dickens. Zazwyczaj staram się za wszelką cenę unikać czarnuchołaków. Najbardziej przeraża mnie wcale nie to, że zostanę intelektualnie rozerwany na strzępy, ale przesadny upór, z jakim obstają, żebym zwracał się do wszystkich – zwłaszcza ludzi, których nie mogę znieść – „Bracie Taki-a-taki” i „Siostrze Taka-a-taka”. Czasami, żeby ulżyć sobie w nudzie, zabierałem ze sobą Sorga. Zwłaszcza że mówił to, co ja myślałem.

– Dlaczego tutaj zjadacie końcówki wyrazów i gadacie po superczarnemu, skurwiele, ale jak pojawiacie się na chwilę w telewizji, to brzmicie jak Kelsey Grammer, któremu wetknięto kij w dupę?

Musiałem jednak poprosić Sorga, żeby przestał przychodzić, kiedy dotarła do niego powtarzana wszędzie plotka, że za miliony z gromadzonych przez lata tantiem Foy Cheshire kupił prawa do najbardziej rasistowskich filmów *Klanu urwisów*. Sorgo wrzeszczał i tupał. Przy każdym punkcie programu histeryzował:

– Gdzie jest mój *Klan urwisów*, czarnuchu?! Gdzie są moje filmy?!

Sorgo zarzekał się, że na tych taśmach uwieczniono jego najlepsze popisy aktorskie. Jeśli to prawda, nie sposób wybaczyć temu samozwańczemu strażnikowi czerności, że na zawsze odebrał światu najlepsze przykłady amerykańskich uprzedzeń rasowych w jakości Blue-ray i z dźwiękiem Dolby Surround. Prawie wszyscy wiedzą jednak, że plotka, jakoby najbardziej rasistowskie filmy *Klanu urwisów* należały do Foya Cheshire’a, jest tylko miejską legendą – jak aligatory w kanałach i rakotwórcza guma do żucia.

Foy, zawsze kuty na cztery nogi, na moją bezczelność i moje oreo odpowiedział torbą drogich cannoli. Żaden z nas nie zniżyłby się do tego, żeby jeść gówno, które podają w Pączkach Pif-Paf.

– To jest poważna sprawa. Brat Mark Twain używa „słowa na cz” dwieście dziewiętnaście razy. To średnio sześćdziesiąt osiem setnych „słowa na cz” na stronę *in toto*.

– Gdyby mnie ktoś pytał, Mark Twain i tak używał słowa „czarnuch” nie dość – wymamrotałem.

Usta miałem wypełnione co najmniej czterema ulubionymi ciastkami Ameryki, więc nie sądzę, żeby ktoś mnie zrozumiał. Chciałem powiedzieć więcej. Na przykład dlaczego zrzucam winę na Marka Twaina, skoro sami nie macie cierpliwości i odwagi, by wyjaśnić waszym dzieciom, że „słowo na cz” istnieje i że nadejdzie taka chwila w ich spędzonym pod kloszem życiu, że ktoś ich kiedyś nazwie „czarnuchem” albo – co gorsza – sami nazwą „czarnuchem” kogoś innego. Nikt nie będzie mówił o nich per „czarniutkie eufemisiątka”, co amerykański słownik przyjąłby z taką radością – Czarnuch! Zapomniałem jednak zamówić mleka, żeby mieć z czym przełknąć ciasteczka. I tak oto przepadła mi okazja, żeby wyjaśnić Foyowi i jemu podobnym, że Mark Twain głosi następującą prawdę: przeciętny czarny czarnuch moralnie i intelektualnie przewyższa przeciętnego białego czarnucha. Ale nie, te nadęte czarnuchy z Pif-Paf chcą zakazać słowa, odwymyślić arbuzy, mycie fiuta w umywalce, poranne charkanie i wieczny wstyd z powodu tego, że ma się włosy łonowe, które kształtem i kolorem przypominają ziarenka pieprzu. Oto różnica między większością uciśnionych ludów świata

i amerykańskimi czarnymi. Oni ślubują nigdy nie zapomnieć, a my chcemy pozbyć się wszystkiego z naszej historii, zakopać, utajnić, zamknąć i wyrzucić klucz. Chcemy, żeby w oczach świata reprezentował nas ktoś taki jak Foy Cheshire – ktoś, kto pouczy łąwę przysięgłych, by nie brała pod uwagę stuleci kpin i stereotypizacji, ale udawała, że te oto pożałuj się-Boże czarnuchy zaczynają z czystym kontem.

Foy dalej leciał gadką telemarketera:

– „Słowo na cz” jest najobrzydliwszym i najplugawszym słowem w języku angielskim. Wątpię, by ktoś chciał to kwestionować.

– Przychodzą mi do głowy plugawsze słowa niż „czarnuch” – zgłosiłem się na ochotnika. Przełknąwszy wreszcie kleistego gluta o smaku czekolady z kremem, przymknąłem jedno oko i uniosłem nadgryzione ciastko tak, że gigantyczną głowę Foya otoczyło ciemnobrązowe półkole, niczym dobrze ufryzowane afro firmy Nabisco – z napisem OREO pośrodku.

– Na przykład jakie?

– Na przykład wszystkie kończące się na -eczka: Murzyneczka, Żydóweczka, aktoreczka, żoneczka, inżyniereczka. Stokrotnie bardziej wolałbym, żeby nazywano mnie „czarnuchem” niż „dupeczką”.

– Problematiczne – mruknął ktoś, używając słowa wytrychu, którym czarni myśliciele określają wszystkich i wszystko, co sprawia, że czują się nieswojo, bezsilnie i boleśnie świadomi, że nie ma odpowiedzi na wszystkie pytania takich dupków jak ja. – Po co tu, do kurwy nędzy, przyłazisz, skoro nie masz nic produktywnego do powiedzenia?

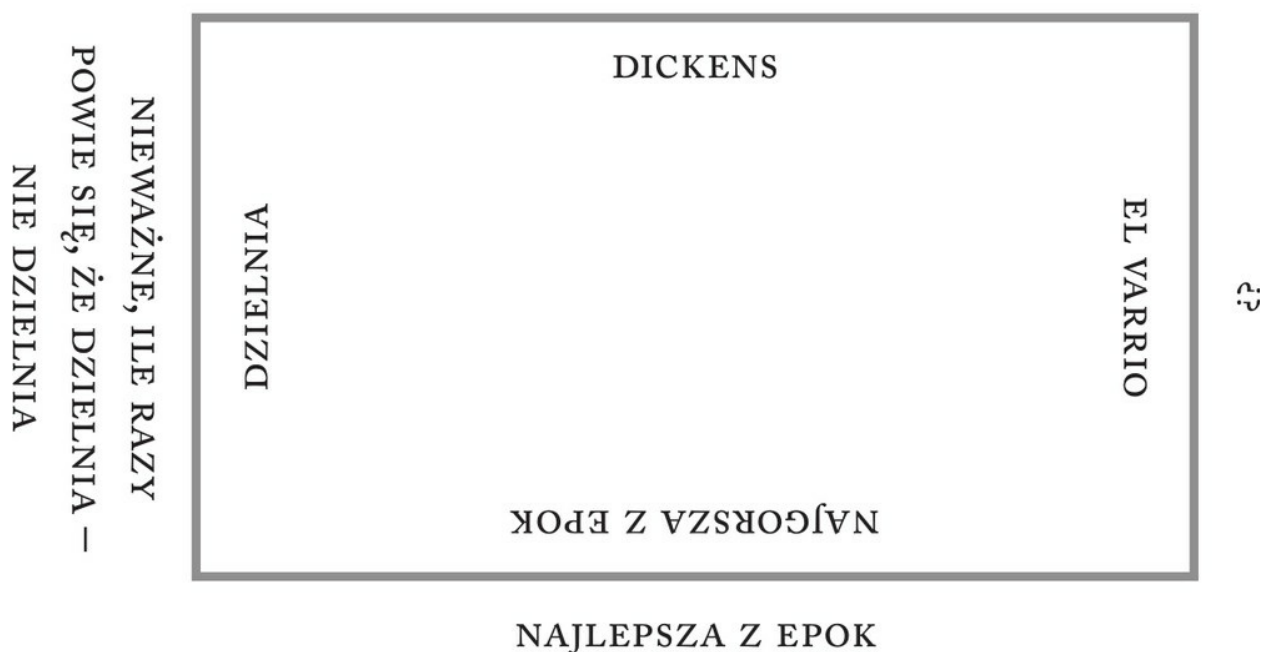
Foy uniósł ręce, prosząc o spokój.

– Intelktualiści Pączków Pif-Paf szanują każdy wkład do dyskusji. Może niektórzy nie wiedzą, ale ten sprzedawczyk jest synem naszego założyciela. – Odwrócił się do mnie z wyrazem politowania. – Dalej, Sprzedawczyku. Przyszedłeś tu, żeby coś powiedzieć, więc mów.

Podczas prezentacji na zebraniu Pif-Pafów jesteś zazwyczaj zobowiązany do używania BlackpowerPointa, opracowanego przez Foya Cheshire’a pakietu „afroamerykańskiego oprogramowania”. Niewiele różnił się od produktu Microsoftu, tylko czcionki nazywały się Timbuktu, Harlem Renaissance i Arial Very Black. Otworzyłem schowek na szczotki. Obok mopów i wiader wciąż leżał stary grafoskop. Lustro i jedyny arkusz przezroczystej folii były brudne jak więzienne okna, ale nadawały się do użytku.

Poprosiłem zastępcę menadżera, żeby przygasił światła, po czym narysowałem poniższy schemat i wyświetliłem go na korkowym suficie:

BIAŁA AMERYKA



Wyjaśniłem, że granice należy namalować sprejem na chodnikach i że linię demarkacyjną winny wyznaczać konstrukcje z luster i laserów z zasilaczami wysokonapięciowymi albo – zaproponowałem – jeśli cena okazałaby się zaporowa, mogę po prostu wykonać objazd tych dwudziestu kilometrów i namalować tę kilkucentymetrowej szerokości linię białą farbą. Kiedy usłyszałem, jak z moich ust padają słowa „objechać” i „linia demarkacyjna”, zrozumiałem, że podchodzę do tego poważniej, niż mi się wydawało – nawet jeśli sądziłem, że wymyślam wszystko na poczekaniu. I tak, „przywracam miasto Dickens”.

Śmiech. Wybuchy i fale głębokiego czarnego śmiechu, o jakim w takich filmach jak *Przemięło z wiatrem* marzą dobroduszni plantatorzy. Śmiech, który słyszy się w szatniach drużyn koszykarskich, za kulisami rapowego koncertu, na zapleczu całkiem białego wydziału studiów afroamerykańskich Uniwersytetu Yale, kiedy jakiś gościnny wykładowca z fiu-bździum w głowie i na głowie ośmieli się zasugerować, że istnieje związek między Franzem Fanonem, egzystencjalizmem, teorią strun a bebopem. Kiedy chór szyderców wreszcie ucichł, Foy wytarł z oczu łzy rozbawienia, zjadł ostatnie cannolo, wsunął się za mnie i zdjął ze ściany zdjęcie mojego ojca, oszczędzając tym samym Papciowi wstydu oglądania, jak jego syn bezcześci rodzinny intelekt.

– Powiedziałeś, że zamierzasz przywrócić Dickens? – zapytał Foy, przełamując lody pytaniem, bo na każdym spotkaniu jest tak, że ktoś musi zacząć pierwszy.

– Tak.

– Mamy więc, i myślę, że mówię w imieniu większości obecnych, tylko jedno pytanie: dlaczego?

Oczekiwałem po wszystkich, że się przejmą, ale tak się nie stało, więc byłem trochę zraniony. Wróciłem na swoje miejsce i trochę odpłynąłem. Jednym uchem słuchałem zwyczajowych diatrib na temat rozpadu czarnych rodzin i zapotrzebowania na czarny biznes. Czekałem, aż Foy powie „i tego typu rzeczy”, co w języku czarnych intelektualistów oznacza: „Przyjęto. Bez

odbioru”.

– ...i tego typu rzeczy.

Wreszcie. Spotkanie dobiegło końca. Ludzie się rozchodzili, obracałem w palcach ostatnie oreo, kiedy nagle znikąd wysunęła się żylasta czarna dłoń i chwyciła ciastko, które zniknęło między wąskimi wargami.

– Starczy ci dla całej rasy, czarnuchu?

Złodziej ciastek, z kępkami trwale wyprostowanych, nawiniętych na obłądnie różowe włoki włosów wciśniętych pod prześwitujący czepek kąpielowy oraz wielkimi kołami dyndającymi z obojga uszu, przypominał bardziej jakąś Blanche albo Madge niż cieszącego się złą sławą bandziora o ksywce Kuzyn Król („Kuz”). Cichutko, bardzo cichutko, przekląłem Kuza, kiedy przejechał językiem po pokrytych metalem zębach, czyszcząc ze stomatologicznego mostka resztki czekoladowej dobroci.

– Tak mi mówili nauczyciele, kiedy żułem gumę albo jakieś inne gówno: „Starczy ci dla całej klasy?”.

– Się wie, czarnuchu.

Odkąd znam Kuza, nigdy nie odbyłem z nim prawdziwej rozmowy, która wykraczałaby poza „Się wie, czarnuchu”. Nikt zresztą nie odbył, ponieważ nawet w wieku średnim jest wciąż bardzo wrażliwy i jeśli powiesz coś nie tak, pokaże to całemu światu – płacząc na twoim pogrzebie. Nikt zatem nie wdaje się z nim w pogaduchy: kiedy do ciebie mówi, nieważne co i nieważne, kim jesteś, mężczyzną, kobietą czy dzieckiem, próbujesz jak najgłębszym basem odpowiedzieć: „Się wie, czarnuchu”.

Kuzyn Król wiernie przychodził na zebrania Intelktualistów Pączków Pif-Paf od czasu, kiedy mój zaklinający czarnuchów ojciec przekonał jego matkę, żeby zlaźła z torów. Z rękami i nogami obwiązany skakanką rzuciła się na tory kolejki, wrzeszcząc: „Kiedy jakaś biała suka ma problem, to jest damą w opałach! Kiedy czarna suka ma problem, to jest oszustką, która kiwa opiekę społeczną i stanowi ciężar dla społeczeństwa. Jakim cudem nigdy nie trafiają się czarne damy w opałach? Roszpunko, Roszpunko, spuść swoje dredy!”. Wrzeszczała tak głośno, że jej samobójcze tyrady zagłuszały dzwonek opadającego szlabanu i ryk syreny nadjeżdżającego pociągu niebieskiej linii metra. Kuzyn Król nazywał się wtedy Curtis Baxter. Pamiętam, jak podmuch przejeżdżającego pociągu rozmazał łzy na twarzy małego Curtisa, który patrzył, jak mój ojciec tuli w ramionach jego matkę. Pamiętam tory kolejowe, podrdzewiałe, brzęczące, wciąż zbyt gorące, żeby ich dotknąć.

A zatem: starczy ci dla całej rasy, czarnuchu?

Dorósłszy, Curtis został Kuzynem Królem. Gangusem szanowanym za mózg i brawurę. Jego ekipa, Szybkozwinni Gilziarze, była pierwszym gangiem, który szkolił własnych lekarzy. Wybuchła strzelanina na bazarze i od razu pojawiali się goście z noszami, żeby zabrać rannych i opatrywać ich w położonym gdzieś za linią frontu szpitalu polowym. Trudno powiedzieć, czy było to smutne czy imponujące. Niedługo po wprowadzeniu tej innowacji złożył wniosek o przyjęcie do NATO. *Wszyscy są w NATO, więc dlaczego nie Cripsy? Chcesz powiedzieć, że nie skopalibyśmy dupy Estonii?*

Się wie, czarnuchu.

– Muszę z tobą pogadać o kilku sprawach.

– Się wie, czarnuchu.

– Ale nie tu.

Kuz podniósł mnie za rękaw i wyprowadził za drzwi, prosto w mglistą noc jak wyjętą z *Psa*

Baskerville'ów. Jeśli przegapi się zmierzch, nagle zmiana dnia w noc jest zawsze uderzająca, obaj więc przystanęliśmy na chwilę, pozwalając, by na twarzach osiadły nam cisza oraz ciepła, wilgotna mgła. Czasami trudno powiedzieć, co bardziej wlecze się w nieskończoność: uprzedzenia i dyskryminacja czy te cholerne spotkania. Cuz zwinął lekko dłoń, przyjrzał się swoim długim wymanikiurowanym paznokciom, po czym uniósł jedną ze swoich konkretnie wyskubanych brwi i się uśmiechnął.

– Najważniejsze jest „przywrócenie Dickens”. Pierdolić, co mówi reszta tych jebanych czarnuchów spoza dzielni, pies ich trącał. Pif-Pafów z Dickens jest tam tylko garstka, ale ci, co byli, wcale się nie śmiali. Więc jazda z tym koksem, ziom, bo jak się zastanowić, to w sumie dlaczego czarni nie mogą mieć własnych chińskich knajp?

– Się wie, czarnuchu.

I wtedy zrobiłem coś, czego nigdy się po sobie nie spodziewałem. Wdałem się w konwersację z Kuzynem Królem, ponieważ musiałem wiedzieć – nawet jeśli miałoby mnie to kosztować życie albo, w najlepszym razie, reputację „cichego skurwiela”, jaką cieszyłem się na kwadracie.

– Muszę cię o coś zapytać, Kuzynie.

– Mów mi Kuz, ziom.

– Dobra, Kuz. Dlaczego chodzisz na te spotkania? Nie powinieneś gdzieś się bujać, dilować i tak dalej?

– Kiedyś żem chodził, coby słuchać twojego ojca. Ten czarnuch wymiatał, niech spoczywa w pokoju. Teraz chodzę tylko na zaś; gdyby tym pifpafowym czarnuchom przyszło do głowy naprawdę zapuścić się na dzielnię, rozpuścić jadaczki i takie tam. W ten sposób przynajmniej mogę udzielić ziomalom wyprzedzającego ostrzeżenia, jak jakiś Paul Revere. Przy land cruiserze jednego, przy mercu klasy C dwóch. Burzuje nadchodzą! Burzuje nadchodzą!

– Kto gdzie nadchodzi?

Był to Foy. Spotkanie dobiegło końca, a on ładował się do auta, jak reszta czarnuchołaków. Gotowi, by ruszyć na żer. Curtis „Kuzyn Król” Baxter nie zaszczycił Foya odpowiedzią. Po prostu odwrócił się na pięcie swojego converse’a i odbujał się w mglistą noc. Solidnie przechylony w prawo, jak pijany marynarz z zapaleniem ucha wewnętrznego. Krzyknął do mnie jeszcze:

– Pomyśl o tych czarnych chińskich knajpach! I zaruchaj! Strasznie spinasz dupę!

– Nie słuchaj go, ruchanie jest przereklamowane.

Odwiązałem i dosiadłem konia, kiedy Foy otworzył dwa pudełka leków na receptę i wysypał sobie na dłoń trzy białe tabletki.

– Zero przecinek zero zero jeden – powiedział, potrząsając dłonią, żebym na pewno zobaczył pigułki. Zoloft i lexapro.

– Co, dawka?

– Nie, kurwa, moje rejtingi oglądalności. Twój tata uważał, że jestem dwubiegunowy, ale tak naprawdę jestem dwulicowy. I ty chyba też.

Udał, że chce mi zaproponować pigułki, po czym delikatnie położył je sobie na języku i pociągnął łyk z wyglądającej na drogą srebrnej butelki. Po tym, jak zaprzestano emitowania jego kreskówek, Foy miał jeszcze serię porannych talk-show. Każda kolejna porażka spadała w ramówce na coraz wcześniejszą godzinę. Podobnie jak Bloodsi nie używają litery „C”, bo to pierwsza litera ich przeciwników, Cripsów (Coca-Cola to Koka-Kola⁴⁴), tak Foy swoją przynależność do gangu okazuje zamianianiem słowa „fakt” na słowo „czarny”. W programach

o takich nazwach jak *Czarny czy fikcja?* albo *Czarnoid* przeprowadzał wywiady z każdym: od światowych przywódców po umierających muzyków. Jego najnowszą odsłoną było nadawane na lokalnym kanale nonsensowne forum dyskusji rasowej pod tytułem *Czarni po czarnych*. Szło to o piątą rano w niedzielę. Na całym świecie tylko dwoje czarnuchów nie śpi o piątą rano – Foy Cheshire i jego makijażystka.

Człowieka, który w garniturze, butach i dodatkach ma na sobie jakieś pięć tysięcy dolców, trudno określić mianem rozmemłanego, ale z bliska, w świetle latarni, tak właśnie wyglądał. Pognieciona, wyblakła koszula. Mankiety nogawek jego jedwabnych spodni były postrzępione i ubrudzone ziemią. Miał porysowane buty i waliło od niego likierem miętowym. Pic na wodę, fotomontaż. Mike Tyson powiedział kiedyś: „Tylko w Ameryce możesz być bankrutem i mieszkać w pałacu”.

Foy zakręcił flaszkę i wcisnął ją w kieszeń. Spodziewałem się, że teraz, kiedy nikt nie patrzy, przeobrazi się w czarnuchołaka. Wysunie kły i pazury. W myślach zadałem sobie pytanie: czy czarne wilkołaki mają kręconą sierść? No chyba, co nie?

– Wiem, co kombinujesz.

– Co kombinuję?

– Masz teraz mniej więcej tyle samo lat co twój ojciec, kiedy zginął. I przez dziesięć lat na żadnym zebraniu nie powiedziałeś ani słowa. Dlaczego akurat dziś postanowiłeś mówić o tym debilnym pomysle z przywróceniem Dickens? Bo próbujesz przejąć Pif-Pafów, odebrać to, co zapoczątkował twój ojciec.

– Nie sądzę. Możesz sobie zatrzymać każde stowarzyszenie, które pogadanki na temat zagrożenia cukrzycą urządza w pączkarni.

Być może powinienem to wtedy dostrzec. Ojciec miał kwestionariusz, za pomocą którego sprawdzał, czy ktoś traci zmysły. Mawiał, że ludzie często biorą charakterystyczne cechy załamania nerwowego za przejawy silnej osobowości. Emocjonalny dystans. Zmiany nastroju. Sny o potędze. Jeśli chodzi o obumieranie od środka, to znam się tylko na drzewach, a nie na ludziach – z wyjątkiem Sorga, który był otwartą księgą, niczym te plastry z pnia sekwoi, które ogląda się w muzeach nauki. Drzewo na swój sposób wycofuje się w głąb. Na liście wychodzą plamy. Czasem na korze pojawiają się zrakowaciałe narośla i pęknięcia. Gałęzie są w dotyku wysuszone na wiór albo miękkie i gąbczaste. Najlepiej jednak patrzeć na korzenie. To one zakotwiczą drzewo w ziemi, trzymają je w miejscu na tej wirującej w kosmosie kulce gówna. A jeśli są popękane, pokryte grzybem i naroślami... no cóż... Pamiętam, jak patrzyłem na korzenie Foya: drogie brązowe półbuty. Były zdarte i zakurzone. Zważywszy na pogłoski o pozwie rozwodowym jego żony, o bankructwie, o zerowej oglądalności jego programu, może powinienem był się domyślić.

– Mam na ciebie oko – powiedział, wślizgując się do samochodu. – Pączki Pif-Paf to wszystko, co mi zostało. To moje gówno, nie pozwolę ci go spierdolić.

Zatrąbił dwa razy na pożegnanie i tyle go widziałem. Merc Foya pomknął zygzakiem w dół El Cielo Boulevard, osiągając naddźwiękową w chwili, kiedy mijał Kuza – nawet z takiej odległości tej powolnej bujawy nie dało się pomylić z niczym innym. Nie zdarza się to często, ale raz od wielkiego dzwonu jakiś członek Klubu Intelktualistów Pączków Pif-Paf powie coś pomysłowego, jak „czarne chińskie knajpy” albo „zaruchać”.

– Się wie, czarnuchu – powiedziałem głośno.

I po raz pierwszy powiedziałem to szczerze.

VIII

Zdecydowałem, że granicę namaluję. Nie żeby lasery były takie drogie (choć te o mocy, jakiej potrzebowałem, chodziły po kilkaset dolców za sztukę), po prostu zorientowałem się, że malowanie skłania do kontemplacji. Zawsze lubiłem rutynę. Mechaniczna powtarzalność zaklejania kopert przemawia do mnie, wydaje mi się jakąś fundamentalną afirmacją życia. Byłbym dobrym robotnikiem w jakiejś fabryce, magazynierem albo hollywoodzkim scenarzystą. Ilekroć w szkole musiałem nauczyć się czegoś na pamięć, na przykład układu okresowego pierwiastków, Ojciec przypominał mi, że kluczem do nudnych zadań jest myślenie nie o tym, *co* się robi, ale o znaczeniu tej czynności. Choć kiedy zapytałem go, czy z psychologicznego punktu widzenia niewolnictwo nie byłoby mniej szkodliwe, gdyby niewolnicy myśleli o nim jak o „ogrodnictwie”, dostałem w skórę tak, że nawet Kunta Kinte⁴⁵ by się skrzywił.

Kupiłem w chuj białej farby w spreju i specjalną maszynę do zaznaczania odległości i linii bocznych na boiskach. Przed porannymi obowiązkami, kiedy jeszcze nie było ruchu, wiozłem dupę na konkretne miejsce, rozstawiałem majdan na środku drogi i malowałem linię. Nie przejmując się zbyttno ani swoim strojem, ani tym, żeby było równo, wytyczałem granicę. O intelekcie intelektualistów z Pączkarni Pif-Paf niech świadczy to, że żaden z nich nie miał bladego pojęcia, co robię. Większość tych, którzy mnie nie znali, brała mnie za performerera albo za wariata. To drugie określenie całkiem mi pasowało.

Ale po kilku tysiącach metrów białych zawijasów dla każdego mieszkańca Dickens powyżej lat dziesięciu stało się jasne, co robię. Grupy bezdomnych i wagarujących nastolatków same z siebie zaczęły przychodzić i strzec linii. Z mokrej farby podnosili liście i gruz. Przeganiali rowerzystów i pieszych, żeby nie rozmazywali granicy. Czasami, kiedy rano wracałem na miejsce, gdzie skończyłem poprzedniego dnia, okazywało się, że ktoś już mnie wyręczył. Dokończył moją linię własną linią, często w innym kolorze. Czasami linia nie była wcale linią, ale kroplami krwi, nieprzerwanym ciągiem graffiti, którym ktoś podpisał się pod moim dziełem jako *__AsAsfalt VelGangusWariatZ63Zachodniej__*, albo, jak na rogu przed Centrum Kryzysowym LGBTDL Miasta Los Angeles dla Chicanos, Czarnych, Niegiejów i Wszystkich, Którzy Czują się Niewspierani, Niedocenieni i Wykorzystywani przez Hitowe Programy Kabłówki, szeroką na metr i długą na czterysta metrów tęczą, biorącą początek w kociołkach pełnych złotych kondomów. W połowie Victoria Boulevard, gdzie most El Harvard zaczyna przekraczać strumyk, ktoś przeciął moją linię fioletowym napisem *100 smootów*⁴⁶. Do dziś nie wiem, co to znaczy, ale zasadniczo chcę powiedzieć, że przy takiej pomocy dokończenie granicy nie zabrało wiele czasu. Policjanci, którzy często znali mnie z powodu mojej pracy i moich arbusów, nierzadko eskortowali mnie radiowozami. Ze starymi wydaniem *Atlasu Thomasa* w rękę sprawdzali, czy moja linia przebiega poprawnie. Nie przeszkadzały mi dobrotliwe docinki oficera Mendez:

- Co robisz?
- Szukam zaginionego miasta Dickens.
- Malując białą linię na środku drogi, która już ma pośrodku dwie żółte linie?
- Zaświerzbionego kundla, który przyłazi ci do ogródka, kochasz tak samo jak szczeniaczka, którego dostałaś na urodziny.

– To porozwieszaj ulotki – powiedziała, wręczając mi szkic, który pospiesznie narysowała na odwrocie plakatu z jakimś poszukiwanym.

ZAGINĘŁO: RODZINNE MIASTO

Czy widziałeś moje miasto?

Opis: Głównie czarne i brązowe. Trochę samozańskie.

Przyjazne. Wabi się Dickens.

Nagroda czeka w niebiosach.

Jeśli masz jakieś informacje, zadzwoń pod numer: 1-(800)-DICKENS.

Doceniłem pomoc i przy użyciu gluta przeżutej gumy przylepiłem ulotkę do najbliższego słupa telefonicznego. Dla szukającego zguby decyzja, gdzie powiesić notkę, jest jedną z najtrudniejszych w życiu. Ja wybrałem miejsce na dole słupa, między plakatem koncertu Armii Wuja Jama w Centrum Weterana („Wuj Jam cię potrzebuje! Służba i balety w kalifornijskim Los Afganistan! Allah Ak-otwarty-bar od 21:00 do 22:00!”) a ulotką zachęcającą do tajemniczej „pracy twoich marzeń”, w domu i za patyka tygodniowo. Miałem nadzieję, że ten, kto rozwiesił tę ulotkę, odbył poważną rozmowę ze swoim działem HR, bo szczerzę wątpię, by zarabiali tam choćby trzysta tygodniowo, i zdecydowanie nie pracowali z domu.

Dokończenie granicy i wymalowanie znaków zabrało mi jakieś półtora miesiąca i ostatecznie nie byłem pewien, co zdziałiałem, ale fajnie było zobaczyć, jak dzieciaki spędzają soboty: obchodzą miasto, uważnie stawiają tip-topki, żeby nie został nawet centymetr nienadepniętej linii. Czasami natykałem się na członka emeryckiej społeczności naszego miasta, który stał na środku ulicy, nie potrafiąc przekroczyć pojedynczej białej linii, ze zdumionym wyrazem twarzy, ponieważ nie znał odpowiedzi na pytanie, które sam sobie zadawał: skąd takie przywiązanie do *tej* strony białej linii? Skoro po drugiej stronie było dokładnie tyle samo niepozbiętych psich gówien. Skoro trawa – tyle, ile jej tam rosło – za chuja nie wydawała się tam bardziej zielona. Skoro czarnuchy były tam tak samo nieistotne, ale z jakiegoś powodu uważały, że przynależą do *tej* strony. I dlaczego? Skoro była to tylko linia.

Muszę przyznać, że po tym, jak ją namalowałem, przez kilka dni też miałem opory, żeby ją przekraczać, bo koślawość, z jaką otaczała resztki miasta, przypominała mi kredowy obrys, niepotrzebnie zrobiony przez policję wokół ciała mojego ojca. Podobała mi się jednak ta sztuczka. Sugestia solidarności i wspólnoty, które symbolizowała. I choć nie zdołałem przywrócić Dickens tak do końca, to przynajmniej udało mi się je objąć kwarantanną. A wspólnota plus kolonia trędowatych to całkiem niezły początek.

GROSZ DO GROSZA ALBO ZEN I SZTUKA JEŹDŹENIA
AUTOBUSEM I NAPRAWIANIA ZWIĄZKÓW

IX

Czasami w środku nocy budzi cię zapach. Chicago ma wiatr Hawk⁴⁷, a Dickens, mimo świeżo odmalowanej bariery, ma Odór: wypalający oczy, bezbarwny miazmat siarki i gówna, powstający w rafinerii naftowej w Wilmington i oczyszczalni ścieków w Long Beach. Niesiony w głąb lądu przez stale wiejące w tym kierunku wiatry Odór robi się wilgotny i gryzący, kiedy opary mieszają się ze smrodem podstarzałych lowelasów wracających do domu z nocnego imprezowania w Newport Beach, zlanych potem, dolewką tequili i litrami wody kolońskiej Drakkar Noir. Mówi się, że Odór zmniejsza wskaźniki przestępczości o dziewięćdziesiąt procent, ale kiedy smród wali cię w twarz o trzeciej nad ranem, pierwsza rzecz, jaka przychodzi ci do głowy, to: zabić Guya Laroche'a.

Którejś nocy, ze dwa tygodnie po tym, jak namalowałem granicę, Odór zrobił się wyjątkowo srogi i nie mogłem zasnąć. Próbowałem czyścić stajnie w nadziei, że zapach świeżego końskiego łajna usunie mi z nozdrzy piekący smród. Nie zadziałało i żeby stłumić opary, musiałem zasłonić twarz nasączoną w occie szmatą. Sorgo wszedł do stajni z miską w prawej ręce i moją pianką do surfowania przewieszoną przez lewe ramię. Był ubrany jak brytyjski kamerdyner, włącznie z frakiem i szykownym akcentem prosto z *Downton Abbey*.

– Co tu robisz?

– Zobaczyłem światło i pomyślałem, że być może tego wieczora życzy pan sobie czarnego haszu⁴⁸ i nieco świeżego powietrza.

– Sorgo, jest czwarta nad ranem. Dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Z tego samego powodu co pan. Na zewnątrz jebie jak z dupy menela.

– Skąd wytrzasnąłeś smoking?

– W latach pięćdziesiątych każdy czarny aktor miał smoking. Szedłeś w nim na casting do roli lokaja albo kelnera i studio sikało ze szczęścia po nogach: „Chłopcze, zaoszczędziłeś nam pięćdziesiąt dolców! Bierzemy cię!”.

Zioło z rana i troszkę surfingu to niezły pomysł. Byłbym zbyt upalony, żeby jechać na plażę samochodem, ale miałbym wymówkę, żeby po raz pierwszy od miesiąca zobaczyć moją dziewczynę. Złapać falę i niucha mojej maleńkiej? To jak upiec dwie pieczenie na jednym blancie, że tak powiem. Sorgo odprowadził mnie do salonu, zakręcił obrotowym fotelem Tatusia i poklepał zagłówek.

– Niech pan siada.

Gazowy kominek z rykiem obudził się do życia, a ja wetknąłem skuna w płomień, podпалиłem pod fajkę, pociągnąłem długiego bucha i zanim zdążyłem wydmuchnąć, już byłem naćpany. Najwyraźniej zostawiłem tylne drzwi otwarte, bo do pokoju wtarabaniło się jedno z nowo narodzonych cieląt – lśniące, czarne, nie miało nawet tygodnia i nie przyzwyczaило się jeszcze do dźwięków i zapachów Dickens. Stało i gapiło się na mnie swoimi wielkimi brązowymi oczami. Dmuchałem mu w pysk haszyszem i razem poczuliśmy, jak opuszcza nas stres. Jak schodzi nam ze skóry warstwa czerni, jak melanina skwierczy i rozplywa się w nicość niczym tabletką musująca w szklance kranówki.

Mówi się, że każdy papieros skraca życie o trzy minuty, ale dobry haszysz sprawia, że śmierć wydaje się bardzo odległa.

Z oddali dobiegło staccato strzelaniny. Ostatnia wymiana ognia tamtej nocy, a po niej terkot śmigieł policyjnego helikoptera. Cielę i ja walnęliśmy na spółę podwójnego łyskacza w charakterze klina. Sorgo rzucił się do drzwi. W dół ulicy popędziła defilada ambulansów. Gestem, którym kamerdyner podaje palto angielskiemu lordowi, Sorgo wręczył mi deskę. Czasem zazdroszczę Sorgowi tej jego obojętności, udawanej czy nie. On – w przeciwieństwie do Ameryki – przewrócił stronę. Problem z historią jest właśnie taki – lubimy myśleć o niej jako o księdze. Że wystarczy przewrócić stronę i iść, kurwa, dalej. Ale historia to nie papier, na którym ją wydrukowano. To pamięć, a pamięć to czas, emocje, pieśń. Historia to rzeczy, które w tobie zostają.

– Panie, pomyślałem, że powinien pan wiedzieć: w przyszłym tygodniu mam urodziny.

Wiedziałem, że coś się święci. Był zbyt usłużny. Ale co możesz dać niewolnikowi, który nie pragnie nawet wolności?

– No to super. Pojedziemy na wycieczkę czy coś. Czy tymczasem byłbyś tak miły i zaprowadził cielę do obory?

– Nie zajmuję się zwierzętami.

Nawet jeśli powietrze nie śmierdzi, kiedy idziesz ulicami getta w piance do surfowania i z deską pod pachą, nikt się do ciebie nie przypierdala. Może raz od wielkiego dzwonu jakiś ciekawski dzieciak z gnatem za pasem pogapi się, otaksuje cię wzrokiem z góry na dół, zastanowi się, ile dostałby w lombardzie za wintydzową deskę tri-fin firmy Town & Country. Czasami zatrzymują mnie tacy przed pralnią samoobsługową, zdumieni gapią się na ziomala w japonkach, jeden szczypie mnie w poliuretanową czarną skórę.

– Oblukaj to, ziom.

– Co je?

– A klucze to gdzie w tym trzymasz?

Stodwudziestkapiątka do El Segundo przytoczyła się o czasie. Piąta czterdzieści trzy rano. Pneumatyczne drzwi otwarły się z tą potężną, syczącą sprawnością, którą tak lubię, a siedząca za kierownicą autobusu kobieta powitała mnie przyjacielskim: „Ruszaj się, skurwielu, smród wpuszczasz”. Kierowczyni o numerze legitymacji 632 sądzi, że nie jesteśmy już parą – tylko dlatego, że przed laty poślubiła tego byłego gangsta rapera (dziś umiarkowanie znanego z telewizji glinę i sprzedawcę wysokoprocentowego piwa), MC Polota, urodziła mu czwórkę bachorów i załatwiła mi sądowy zakaz zbliżania się do niej i dzieci na mniej niż sto pięćdziesiąt metrów, bo łąziłem za nimi do domu, wrzeszcząc: „Wasz tatuś nie odróżnia asonansu od elegii! Jak śmie nazywać się poetą?!”.
Zająłem moje zwyczajowe miejsce, najbliżej wejścia, rozwalilem się i wyciągnąłem stopy w przejściu, dzierżąc deskę jak wykonaną z włókna szklanego afrykańską tarczę, którą z całych sił broniłem się przed kanonadą wypluwanych wyzwisk i pestek słonecznika.

– Pierdol się.

– Pierdol się.

Wygnany i zraniony wycofałem się na tył autobusu i ułożywszy deskę na ostatnich siedzeniach, położyłem się na niej jak fakir o złamanym sercu, który śpi na łożu z gwoździ, próbując zastąpić ból emocjonalny bólem fizycznym. Autobus włókł się w dół Rosecrans, a nieodwzajemniona miłość mojego życia, Marpessa Delissa Dawson, wywoływała przystanki niczym buddyjski *jikijitsu*, podczas gdy jakiś wariat trzy rzędy przede mną recytował poranną

mantrę: *Rozjebię tę czarną sukę. Rozjebię tę czarną sukę. Rozjebię tę czarną sukę. Rozjebię tę czarną sukę.*

W hrabstwie Los Angeles jest więcej samochodów niż w jakimkolwiek innym mieście na świecie. Nie mówi się jednak, że jakaś połowa z nich ustawiona jest na pustakach, na udających ogródki skrawkach zakurzonej ziemi, które ciągną się od Lancaster do Long Beach. Te niezbyt mobilne automobile razem z napisem *Hollywood*, wieżami Simona Rodii w Watts oraz liczącą pięć i pół tysiąca metrów kwadratowych rezydencją Aarona Spellinga są tym w Los Angeles, co jako tako może równać się z cudami starożytnej sztuki inżynieryjnej: Partenonem, Angkor Wat, piramidami, wiekowymi świątyniami Timbuktu. Dwu- i czterodrzwiowe zardzewiałe antyki opierają się wiatrom i kwaśnym deszczom czasu, choć – tak jak w przypadku Stonehenge – nie mamy pojęcia, czemu służą te stalowe zabytki. Czy są pomnikami wystawionymi zajeblaszonym i wykurwistym hot rodom i lowriderom, które zaszczycają okładki magazynów o tuningowaniu aut? Może ornamenty z tej konkretnej dzielnicy i pletwy na karoserii łączą się jakoś z układem gwiazd i przesileniem zimowym? Może to mauzolea, miejsca spoczynku kierowców i kochanków z tylnych siedzeń? Wiem tylko, że każde z tych metalowych trucheł oznacza jeden samochód na drodze mniej i jednego pasażera autobusu wstydu więcej. Wstydu, w Los Angeles bowiem liczy się przestrzeń, a poczucie własnej wartości zależy od tego, w jaki sposób ktoś się po tej przestrzeni porusza. Chodzenie plasuje się na równi z żebraniem na ulicy. Taksówki są dla cudzoziemców i prostytutek. Rowery, deski i rolki dla obsesjonatów zdrowia i dzieciaków, ludzi, którzy nie muszą się nigdzie dostać. A wszystkie samochody, od luksusowych gablot z importu po rżęchy z gazetowych ogłoszeń, są symbolami statusu, bez względu bowiem na to, jak dziadowską mają tapicerkę, kiepskie resory czy zjebany lakier, auto – każde auto – jest lepsze niż jeżdżenie autobusem.

– Alameda! – wrzasnęła Marpessa i na pokład wbiegła jakaś kobieta obładowana zbyt wieloma reklamówkami, z torebką wciśniętą z całych sił pod pachę. Przeszła na tył pojazdu, szukając wolnych miejsc. Nowych w L.A. wyczuwam na kilometr. To ci, którzy wchodzą do autobusu, uśmiechając się i pozdrawiając innych pasażerów, bo wydaje im się – wbrew wszystkim znakom na niebie i ziemi – że konieczność skorzystania z publicznego transportu to jedynie tymczasowe niepowodzenie. To ci, którzy siedzą pod banerami zachęcającymi do bezpiecznego seksu, lekko zdziwieni zerkają znad powieści Breta Eastona Ellisa, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że nie wszyscy wokół nich są jak bohaterowie takiej książki: biali i zamożni. To ci, którzy podskakują, jakby wygrali na loterii, kiedy odkrywają, że In-N-Out Burger ma zarówno menu tajne, jak i supertajne. „Kotlet grillowany w musztardzie? Ja pierdołę!” To ci, którzy rzucają się po „otwarty mikrofon” w klubie komediowym Laugh Factory. Uprawiają jogging po chodnikach, próbując przekonać samych siebie, że film, w którym zagrali w zeszłym tygodniu, ten z jazdą na dwa baty, to pierwszy krok na drodze do większych i lepszych rzeczy. *La pornographie est la nouvelle nouvelle vague.*

Wielu rodziców przechwala się pierwszymi słowami swoich dzieci. Mama. Tata. Kocham cię. Przestań. To niestosowne. Mój ojciec z kolei lubił chwalić się tym, jakie były jego pierwsze słowa do mnie. Nie „cześć”, nie jakaś modlitwa, ale zdanie z pierwszego rozdziału każdego *Wstępu do psychologii społecznej*: „Wszyscy jesteśmy naukowcami społecznymi”. Przypuszczam, że moje pierwsze badanie terenowe odbyło się w autobusie.

Kiedy byłem młody, miejski transport autobusowy nazywał się STM. Oficjalne rozwinięcie skrótu brzmiało Szybki Transport Miejski, ale dla andżelesan z takich dziur jak Watts, La Puente czy South Central, zbyt młodych albo zbyt biednych, by prowadzić samochód, oznaczał:

„Śmierdzi, Telepie, Mordują”. Pierwszy artykuł naukowy napisałem w wieku lat siedmiu, nosił tytuł: *Wzorce siadania pasażerów według płci i pochodzenia rasowego przy kontroli zmiennych: klasy, wieku, zatłoczenia i zapachów ciała*. Wnioski były dość oczywiste. Kiedy ludzie muszą przy kimś usiąść, prywatną przestrzeń kobiet naruszają jako pierwszą, a czarnych jako ostatnią. Jeśli jesteś czarnym mężczyzną, nikt – nawet inny czarny mężczyzna – nie usiądzie obok ciebie, chyba że naprawdę nie ma wyjścia. W takim wypadku ostrożnie kładzie dupsko obok i niezmiennie wita cię jednym z trzech pytań, które mają oszacować poziom stwarzanego przez ciebie zagrożenia:

1. Gdzie mieszkasz?
2. Widziałeś? (wstaw nazwę imprezy sportowej albo filmu o czarnych)
3. Nie wiem, skąd jesteś, ziomuś, ale widzisz ten nóż/tego gnata/tę zaraźliwą wysypkę? Nie leć ze mną w kulki, a ja nie będę leciał z tobą, dobra?

Z tego, jak ręce ciążyły jej do ziemi, widać było, że torby ma ciężkie, że kurczowo trzyma się swoich zakupów i marzeń. Choć była wykończona – z każdym wybojem i podskokiem zużytego zawieszenia coraz bardziej – wolą stać, niż usiąść obok mnie. Przyjeżdżają do L.A. i chcą być biali. Nawet ci, którzy biologicznie są biali, nie są biało-biali. Biali jak siatkówka plażowa w Laguna Beach. Biali jak Bel Air. Biali jak ryż w sushi. Biali jak Spicolli⁴⁹. Biali jak Brett Easton Ellis. Biali jak przedstawianie się trzema imionami. Biali jak oddawanie kluczyków do auta parkingowemu. Biali jak przechwalanie się swoim argentyńskim, portugalskim, indiańskim pochodzeniem. Biali jak zupa pho. Biali jak paparazzi. Biali jak „Wywalono mnie kiedyś z telemarketingu, a teraz patrz, sławny jestem”. Biali jak *calabaza*. Biali jak „Uwielbiam Los Angeles. To jedyne miejsce, gdzie jednego dnia możesz pójść na narty, na plażę i na pustynię”.

Zamiast usiąść obok mnie, trzymała się swojej wizji. Nie żebym się jej dziwił, bo kiedy autobus dotarł do Figueroa Boulevard, w środku nie brakowało ludzi, przy których sam nie chciały usiąść. Jak ten pojeb, który raz po raz naciskał przycisk *Stop*.

– Zatrzymaj ten jebany autobus! Chcę wysiąść! Gdzie, kurwa, jedziesz?

Nawet tak wcześniej rano prośba o zatrzymanie autobusu nie na przystanku była niczym prośbienie załogi Apollo 11, żeby w drodze na Księżyc zatrzymała się na chwilę pod monopolowym.

– Zatrzymaj ten kurewski autobus, powiedziałem. Spóźnię się do pracy, ty tłusta krowo jebana!

Kierowcy, strażnicy więzienni, komendanci obozów koncentracyjnych, wszyscy oni mają właściwy sobie sposób zarządzania ludźmi. Niektórzy lubią śpiewać pasażerom. Uspokajają ich wesołymi kawałkami ze złotej ery jazzu, jak *Tea for Two* albo *My Funny Valentine*. Inni wolą się chować w fotelu: nie wychylają nosa i pozwalają osadzonym rządzić wariatkowem czy autobusem, ale na wszelki wypadek nie zapinają pasów, gdyby nagle trzeba było się pospieszenie ewakuować. Marpessa nie była rygorystką, ale popychadłem też nie. Jej zwykły dzień pracy pełen był bójek, kradzieży torebek, gapowiczów, molestowania seksualnego, kopania siedzeń, picia alkoholu w miejscach publicznych, narażania życia i zdrowia dzieci, stręczycielstwa, zasłaniania widoku osobie prowadzącej, nie mówiąc już o usiłowaniu morderstwa od czasu do czasu. Przedstawiciel jej związku zawodowego mawia, że w tym kraju co trzy dni jakiś kierowca autobusu pada ofiarą napaści, a Marpessa dawno już postanowiła, że nigdy nie będzie ani numerkiem w statystyce, ani czyjąś „tłustą krową”. Nie wiem, jak rozwiązała ten problem –

życzliwym słowem czy groźnym machnięciem metalowego czarnuchobija, który trzymała za fotelem – bo zasnąłem i obudziłem się dopiero, kiedy dojechaliśmy do El Segundo. Jej głośne „Przystanek końcowy!” odbiło się echem po pustym autobusie.

Wiem, że chciała, bym wyszedł tylnymi drzwiami, ale nawet cięższa o piętnaście kilo i ubrana w ohydny komunistycznobury uniform wyglądała niebywale słodko. Jadąc autostradą, nie sposób nie gapić się na psa, który wystawia głowę za okno samochodu, a ja nie mogłem oderwać oczu od Marpessy.

– Zamknij usta, muchy ci nalecą.

– Tęskniłaś za mną?

– Tęsknić za tobą? Nie tęskniłam za nikim od czasu, kiedy umarł Mandela.

– Mandela umarł? Myślałem, że żyje wiecznie.

– No, tak czy owak, masz odpowiedź.

– A więc jednak tęsknisz.

– Tęsknię za twoimi cholernymi śliwkami. Słowo daję, czasem budzę się w środku nocy i marzę o tych twoich śliwkach i kurewsko soczystych granatach. Prawie się z tobą nie rozstałam, bo nie mogłam przestać myśleć: skąd indziej wytrzasnę melony, które smakują jak wielokrotny orgazm?

To w autobusie odnowiliśmy naszą przyjaźń z dzieciństwa. Miałem siedemnaście lat, nie miałem auta ani zielonego pojęcia o czymkolwiek. Ona miała dwadzieścia jeden i była tak spoko, że nawet niedopasowany uniform STM w kolorze wodorostów wyglądał na niej jak ciuch haute couture. Z wyjątkiem odznaki. Nikt, nawet John Wayne, nie daje rady z odznaką. Wtedy jeździła czterystatrzydziestkączwórką – z centrum do Zuma Beach. Trasą, która za Santa Monica była właściwie pusta, nie woził się nią nikt z wyjątkiem wypaleńców, meneli i sprzątaczek, które robią w willach Malibu i bungalowach nad oceanem. Surfowałem w Venice i w Santa Monica. Przy wieży ratownika numer 24. Czasem 20. Bez konkretnego powodu. Fale były chujowe. Tłumy. Ale od czasu do czasu widziałem innego niebiałego surfera. W przeciwieństwie do Hermosy Redondo czy Newport leżą znacznie bliżej Dickens, ale na falach dominowały tam straightedge’owe jezusy-szajbusy, które przed każdym setem całowały krzyżyk, a między sesjami słuchały prawicowych stacji radiowych. W górę wybrzeża, na trasie Marpessy, było bardziej luzacko. Zachodnia. AC/DC, Slayer, radio KLOS-FM. Jeźdźcy fal, heleniarze, naspidowane wschodem słońca i English Beatem szkielety, oczyszczające organizmy i zwalczające trądzik cutbackami i wyboistymi floaterami na spienionych falach. Ale gdziekolwiek byś surfował, jacyś skurwiele okupują mieliznę.

Zachodni kraniec Rosecrans Avenue, gdzie ulica kończy się ślepo piaskiem, jest czterdziestym drugim równoleżnikiem⁵⁰, rozgraniczającym dwie części wybrzeża hrabstwa Los Angeles: wyluzowaną i spiętą. Od Manhattan Beach na południe do Cabrillo nazywają cię czarnuchem i liczą, że zwiejesz. Od El Porto na północ, do Santa Monica, nazywają cię czarnuchem i liczą, że będziesz się bił. A w Malibu i za nim wzywają policję. Zacząłem jeździć autobusem coraz dalej i dalej na północ wybrzeża, żeby móc spędzać więcej czasu na pogaduchach z Marpessą. Nie widywaliśmy się tak naprawdę, odkąd zaczęła umawiać się ze starszymi chłopakami i przestała zachodzić do Sorga. Po dwóch godzinach przerzucania się opowieściami o życiu w slumsach Dickens i o tym, co wyrabia Sorgo, trafiałem kilometry od domu, surfowałem z fokami i delfinami w coraz bardziej odległych miejscach, jak Topanga, Las Tunas, Amarillo, Blocker, Escondido, Zuma. Włąziłem na prywatne plaże, gdzie ociekający wodą miejscowi miliarderzy gapił się na mnie, jakbym był gadającym morsem z rozłożystym jak wierzba afro,

który przechodzi po ich piaszczystym podwórku, puka w przesuwne szklane drzwi i pyta, czy mógłby skorzystać z telefonu i łazienki. Z jakiegoś powodu niesurfujący biali ufają jednak bosemu czarnuchowi z deską pod pachą. Może myślał sobie: Za bardzo obciążony, żeby prysnąć z telewizorem, a poza tym dokąd niby miałby uciec?

Po całej wiosnie weekendowego surfowania Marpessa zaufała mi na tyle, by pójść ze mną na mój bal maturalny. Ponieważ moja klasa składała się z jednej osoby, była to bardzo prywatna, dwuosobowa impreza, gdzie rolę szofera i przywoitki odgrywał mój ojciec. Poszliśmy tańczyć do Dillons, gdzie wpuszczano małolatów poniżej dwudziestego pierwszego roku życia – pagody disco, w której panowała taka segregacja jak nigdzie w L.A. Na pierwszym piętrze – nowa fala. Na drugim piętrze – soulowa lista przebojów. Na trzecim piętrze – rozmemłane reggae. Na czwartym piętrze – banda, salsa, merengue i trochę bachaty, daremna próba podkradzenia klienteli Florentine Gardens przy Hollywood Boulevard. Ojciec odmówił wejścia wyżej niż na drugie piętro. Skorzystaliśmy z okazji, żeby się od niego uwolnić, i śmierzącymi schodami czmychnęliśmy na trzecie piętro, gdzie baunsowaliśmy do Jimmy’ego Cliffa i I-Threes, po czym rozbiliśmy obóz za głośnikami, łożąc kolejne mai tai i stojąc tak blisko ekipy Kristy McNichol, jak tylko się dało, żeby nie przypierdała się ochrona, przekonana, że jesteśmy etatowymi czarnymi „przyjaciółmi” nastoletniej gwiazdki. Potem poszliśmy do Coconut Teasers, żeby zobaczyć The Bangles, gdzie Marpessa rozpuszczała plotę, że główną wokalistkę rucha jakiś facet o imieniu Prince.

Przez to, że nie słyszałem wcześniej o Jego Książęcej Mości, prawie dostałem w dupę. I prawie oddaliłem chwilę mojego pierwszego pocałunku na Bóg wie jak długo, ale oto wczesnym rankiem, po megawypasionym śniadaniu u Denny’ego, pędziliśmy dziesiątką sto trzydzieści na godzinę na szybkim pasie, ułożeni z tyłu pikapa na poduszkach z worków nasion i paszy, na przemian walcząc na kciuki i na języki. Graliśmy w „kto walnie najślabiej”. Całowaliśmy się. Rzygaliśmy. Znowu całowaliśmy.

– Nie mów „z jęczyzkiem” – poradziła. – Mów „pójść w ślinę” albo „robić ślimaka”, bo inaczej wyjdiesz na niedoświadczonego.

Zamiast patrzeć przed siebie, Ojciec ciągle się odwracał, natrętnie gapiąc się przez okienko, przewracając oczami na widok mojej techniki macania piersi, kpiąc ze spastycznego sposobu, w jaki kiwałem głową przy całowaniu. Dawał mi powszechnie stosowany znak „Wydupcz ją wreszcie” – zdejmował ręce z kierownicy, jedną dłoń związał w kółko i raz za razem wtykał w nie palec wskazujący drugiej. Pierdolił strasznie dużo jak na człowieka, który bodaj tylko raz w życiu ruchał się z kimś innym niż jego studentka, czego byłem żywym dowodem.

Wierzyć się nie chce, jak dużo naszego związku spędziliśmy w ruchu – w autobusie, na przejażdżkach, z tyłu pikapa, na konnych wycieczkach do Baldwin Theater. Marpessa kładła stopy na kierownicy i zakrywała twarz wyciurany egzemplarzem *Procesu* Kafki. Nie mam pewności, ale chciałbym myśleć, że zasłaniała uśmiech. Większość par ma swoje piosenki. My mieliśmy książki. Autorów. Artystów. Nieme filmy. W weekendy leżeliśmy nago na sianie, strzepując sobie z pleców kurze pióra i kartkując „L.A. Weekly”. Przeczytawszy o urządzanej w LACMA retrospektywie Gerharda Richtera, Davida Hammonsa, Elizabeth Murray czy Basquiata, stukaliśmy w kartkę palcem i mówiliśmy: „Patrz, wystawiają nasze płótna”. W sklepie Amoeba Records przy Sunset Boulevard godzinami przetrząsaliśmy kosze używanych filmów. Znajdywaliśmy *Na Zachodzie bez zmian* Remarque’a i mówiliśmy: „Patrz, odnawiają cyfrowo nasz film”, po czym odstawialiśmy macanko w dziale hongkońskiego kina akcji. Ale to Kafka był naszym geniuszem. Na zmianę czytaliśmy sobie na głos *Amerykę* i *Przypowieści*.

Czasami czytaliśmy je w niezrozumiałym niemieckim i tłumaczyliśmy na bieżąco za pomocą luźnych skojarzeń. Czasami włączaliśmy muzykę i tańczyliśmy: breakdance – *Przemiana*, przytulaniec – *Listy do Mileny*.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że przypominam ci Kafkę?

– To, że spaliłeś kilka swoich gównianych wierszy, nie znaczy, że będę cię uważała za drugiego Kafkę. Jego ludzie próbowali powstrzymać przed spaleniem swoich dzieł, a ja podałam ci zapalnik.

Trafiony. Drzwi autobusu otwarły się i do środka wpadł słony zapach oceanu, złóż ropy i mewiego guana. Zawahałem się na ostatnim stopniu, mocując się z deską, jak gdybym miał problem z wyniesieniem jej przez drzwi.

– Co u Sorga?

– W porządku. Próbował się zabić jakiś czas temu.

– Jest zupełnie pojebany.

– Ano. Bez zmian. Wiesz, zbliżają się jego urodziny. Mam pewien pomysł, mogłabyś mi pomóc.

Marpessa odchyliła się w fotelu i położyła książkę na brzuszysku rozmiarów drugiego trymestru.

– Jesteś w ciąży?

– Drops, nie pogrążaj się.

Była na mnie wściekła, ale nie mogłem przestać się uśmiechać, bo nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz powiedziała do mnie „Drops”. Nie jest to może przydomek twardej, ale nie miałem innej ksywy, pod którą znano by mnie na dzielni. Kiedy byłem mały, mówiło się, że mam wyjątkowe szczęście. Nigdy nie doskwierały mi żadne z typowych dla getta bolączek. Nigdy mną nie telepano. Nigdy nie złapałem anemii sierpowatej, tężca, wczesnej cukrzycy, krzywicy, grzybicy ani żadnej innej „-icy”. Żule napadały na moich kolegów, ale mnie zostawiały w spokoju. Gliniarze jakoś nigdy nie fatygowali się, żeby założyć mi kartotekę albo nelsona na szyję. Nigdy nie musiałem mieszkać przez tydzień w samochodzie. Nikt nigdy nie pomylił mnie z gnojkiem, który kogoś zastrzelił, zgwałcił, wydał, zapłodnił, molestował, zaniedbał, obraził albo wisiał komuś kasę. Królicza Stópka, Gwiazdne Dziecko, Czterolistna Kurwamać Koniczynka – żadne z tych przezwisk nie chwyciło, aż wreszcie, kiedy miałem jedenaście lat, Ojciec zapisał mnie wbrew mojej woli do udziału w miejskim dyktandzie, sponsorowanym przez nieistniejący już „Dickens Bulletin”, gazetę tak czarną, że drukowano ją odwrotnie, białą na czarnym: „**Rada miejska Białasowa zatwierdziła podwyżki...**”. W finale zmierzyłem się z Nakeshją Raymond. Ona miała słowo „omphaloskepsis”, ja miałem „drops”. I odtąd, aż do tamtej nocy, kiedy zginął mój ojciec, słyszałem: *Drops, wybierz za mnie numerki. Drops, dmuchnij na moje kości. Drops, zdaj za mnie egzamin urzędniczy. Drops, pocałuj moje dziecko*. Tjaa, odkąd Papcio dostał w czapę, ludzie trzymają się na dystans.

– Drops... – Marpessa założyła ręce, żeby przestały jej się trząść. – Przepraszam za to, jak cię wcześniej potraktowałam. Ta kurewska praca...

Czasami myślę sobie, że nie istnieje coś takiego jak mierzalna inteligencja, a jeśli tak, to w żadnym wypadku nie jest ona wskaźnikiem czegokolwiek, szczególnie w przypadku kolorowych. Może i debil nie zostanie neurochirurgiem, ale geniusz może być zarówno kardiologiem, jak i siedzieć w okienku na poczcie. Albo za kierownicą autobusu. Być kierowczynią autobusu, która podjęła kilka chujowych życiowych decyzji. Zawsze siedziała z nosem w książce, ale po naszym krótkim związku zabijała się w oldskulowym niedoszłym

raperze, brutalu, który rano wyciągał ją za niedoczesane włosy i zmuszał, żeby jeszcze w śpiochach chodziła po San Fernando Valley i robiła obczajkę w sklepach z biżuterią. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego ochrona nie wzywała od razu policji – dziesięć minut po otwarciu młoda Afroamerykanka wchodziła jak zombie do sklepu, gapiła się na strażników i kamery, po czym wychodziła, licząc na głośną odległość w krokach między brylantowymi kolczykami a broszkami.

Z sińcami wokół oczu pojawiała się u mnie, chowając się w cieniu, jak femme fatale z filmu noir, poszukiwana za nadreagowywanie i niedocenywanie samej siebie. Studia nie były dla niej, bo uważała, że praca czyni z czarnych kobiet nieodzowne, dobrze opłacane trójki i czwórki, ale przecież nie jedynki czy dwójki. Czasami nie ma niczego złego we wczesnym macierzyństwie. Daje ci kopa, otrzeźwia, prostuje. Marpessa stała przy kuchennych drzwiach, jadła zerwaną prosto z drzewa brzoskwinię. Krew z nosa i wargi zmieszała się z sokiem, skapywała jej po policzku na koszulę i nieskazitelne ongiś trampki. Słońce za jej plecami przemieniało końce skołtunionych, nieuczesanych włosów w płomienistą aureolę wstydu i rozdwojonych końcówek. Nie chciała wejść do środka, powiedziała tylko: „Wody mi odeszły”, co oczywiście roztopiło mi serce. Jedną wariacką jazdę i jedno znieczulenie zewnątrzoponowe później Martin Luther King Junior, Szpital, znany również jako Krwawy King, zrobił coś jak należy. Dziecko (drugie imię Drops), ten żrący mleko, żujący sutki koszmar, przez którego składasz wniosek o prawo jazdy kategorii D, przypomina ci, że obok Kafki, Gwendolyn Brooks, Einsteina i Tołstoja najbardziej na świecie lubisz prowadzić. Ciągłe jechać, łagodnie i powoli kierować autobusem i swoim życiem, do zajezdni, na zasłużony odpoczynek.

– Więc pomożesz mi z Sorgiem?

– Wypierdajaj z autobusu, bardzo cię proszę.

Za przekręceniem kluczyka autobus zawarczał, zbudzony do życia. Marpessa była następną: zamknęła mi drzwi przed nosem, ale powoli.

– Wiesz, to ja namalowałem tę linię wokół Dickens.

– Słyszałam coś o tym. Ale czemu?

– Przywracam miasto. Ciebie też!

– No to życzę szczęścia.

Czasami czujesz się bardziej jak surfer nie wtedy, kiedy czekasz na następną falę, leżąc brzuchem na desce i gapiąc się w zamglony horyzont, ale kiedy podskakujesz w górę i w dół Ocean Avenue na pace głównianego pikapa, w towarzystwie obszarpanych rdzennych blond białasów, prawie tak ciemnych jak ty, o twarzach spalonych słońcem, łuszczących się niczym naklejane na bagażniku znaczki Local Motion. To miło, że zaproponowano ci podwózkę, w zamian proponujesz bucha. Bierzesz macha, podajesz dalej, modląc się na każdym kalifornijskim wyboju, żeby joint się nie rozpieprzył, po czym nagle następuje hamowanie z gatunku „ożeż-jestem-zduty-jak-ja-pierdołę-stary-czy-to-ja-czy-te-światółka robią się coraz mniejsze?”.

– Niesamowity towar, stary. Skąd bierzesz to gówno?

– Znam kilku Holendrów.

X

Kiedy tamtego zimowego dnia w objętej segregacją Alabamie Rosa Parks odmówiła ustąpienia miejsca białemu mężczyźnie, została „matką nowoczesnego ruchu na rzecz praw obywatelskich”. Dziesięciolecia później, pewnego nieokreślonego pod względem pogody popołudnia, w podobno nieobjętej segregacją części kalifornijskiego miasta Los Angeles Sorgo Jenkins nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł ustąpić miejsca białemu. Dziadek postrasowego ruchu na rzecz praw obywatelskich, znany jako Zastój, usiadłszy z przodu autobusu, na brzegu fotela przy przejściu, rzucał okiem na każdego nowego pasażera. Dickens jest jednak – i tu miał pecha – miastem tak czarnym jak grzywka Azjaty, tak brązowym jak Miś Yogi i po czterdziestu pięciu minutach jazdy wypełnionym autobusem – i to wypełnionym jedynie przedstawicielami mniejszości – przy Poinsettia Avenue weszła jakaś kobieta z dredami, niosąc pod pachą zwiniętą matę do jogi; najbliższy odpowiednik białej osoby, na jaki mógł liczyć.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała radośnie, stanąwszy przy nim. Pot po sesji Bikram jogi kapał jej z twarzy na rękaw Sorga.

– Jakim cudem wszyscy wiedzą, że mam dziś urodziny?

– Jest napisane z przodu autobusu. Wielkie, jasne światła: *Autobus 125 Wszystkiego najlepszego, Sorgo! Jupikajej, skurwysynu!*

– Aha.

– Dostałeś coś fajnego na urodziny?

Sorgo wskazał na niebiesko-białe znaczki, niewiele większe od paczki papierosów, naklejone pod oknami w przedniej części autobusu.

MIEJSCA ZAREZERWOWANE DLA OSÓB STARSZYCH, NIEPEŁNOSPRAWNYCH I BIAŁYCH
Personas Mayores, Incapacitados y Güeros Tienen Prioridad de Asiento

– To jest mój prezent urodzinowy.

Kiedyś Dickens świętowało urodziny Sorga jako wspólnota. Nie żeby urządzano jakieś parady albo wręczano mu klucze do miasta, ale ludzie zbierali się pod jego domem i uzbrojeni w jajka, bezy oraz pistolety na wodę skandowali „Jupikajej!”. Na zmianę dzwoniłi do drzwi, a kiedy gospodarz otwierał, krzyczeli: „Wszystkiego najlepszego, Sorgo!” i rzucali ciastami albo jajami w jego lśniąco czarną twarz. Wniebowzięty, wycierał się do czysta, zmieniał ubranie i przygotowywał się do wizyty kolejnej grupki radosnych życziwców, ale wraz ze zniknięciem miasta zniknęła także ta urodzinowa tradycja. Zostałem tylko ja – pukałem do drzwi Sorga i pytałem, co w *tym roku* chciałby dostać na urodziny. Odpowiadał zawsze tak samo: „Nie wiem. Załatw mi trochę rasizmu i będzie wporzo”. Następnie patrzył, czy nie chowam za plecami jakiegoś zgniętego pomidora albo torebki z mąką. *Jacyś kolesie przyłóżą i walą ci pomidorem w pysk? Zazwyczaj kupowałem mu jakiś bibelot związany z historią czarnych. Parzę porcelanowych Murzynków grających na bandžo pod glicynią, zrobioną ze skarpety małpę z twarzą Obamy, parę tych okularów, które zawsze zjeżdżają z afroamerykańskich i azjatyckich nosów.*

Kiedy zauważyłem, że Sorgo ma urodziny tego samego dnia co Rodney Glen King⁵¹, 2 kwietnia, olśniło mnie, że w arizońskiej Sedonie znajduje się czakram energii, mistyczne miejsce, w którym przybywający doświadczają odmłodzenia i przebudzenia duchowego, to w Los Angeles muszą być czakramy rasizmu. Miejsca, gdzie odwiedzający doświadczają przemożnej melancholii i poczucia etnicznej bezwartościowości. Miejsca jak pobocze Foothill Freeway, gdzie życie Rodneya Kinga – a poniekąd także Ameryki i jej dumnego przekonania, że gra fair – zaczęło staczać się w spiralę bez dna. Rasowe czakramy, jak skrzyżowanie Florence i Normandie, gdzie niewydarzony kierowca Reginald Denny dostał w twarz pustakiem, ćwiartką i stuleciami frustracji⁵². Chavez Ravine, gdzie zamieszkaną od pokoleń meksykańsko-amerykańską dzielnicę zburzono, a mieszkańców wysiedlono siłą i pobito, nie dając grosza odszkodowania – wszystko po to, żeby zbudować stadion Dodgersów z dużym parkingiem i pysznymi hotdodgersami. Czakram przy Siódmej Ulicy, między Mesa i Centre, gdzie w 1942 roku zaparkował długi rząd autobusów, pierwszy przystanek na drodze do masowego internowania Amerykanów japońskiego pochodzenia. Gdzież indziej Sorgo byłby najszczęśliwszy, jeśli nie na pokładzie autobusu linii 125, toczącego się przez Dickens, które samo w sobie było rasowym czakramem. Miejsce po prawej stronie, trzy rzędy od przedniego wejścia, wirujące epicentrum rasizmu.

Znaczkę były tak dobrze podrobione, że większość ludzi nie zauważała różnicy i nawet kiedy je „przeczytałeś”, świadomość robiła ci psikusa i widziałeś tam to co zawsze: MIEJSCA ZAREZERWOWANE DLA OSÓB STARSZYCH I NIEPEŁNOSPRAWNYCH. Skarga joginki była pierwsza, ale nie jedyna, z którą tamtego dnia musiała zmierzyć się Marpessa. Kiedy czarny kot wychynął z worka, cała masa pasażerów zaczęła napierdalać i jojczyć. Wskazywać na naklejki i kręcić głową z niedowierzaniem – nie dlatego, że miasto ma czelność przywrócić segregację w miejscach publicznych, ale że zabrało mu to aż tyle czasu. Darmowe małpki whisky J&B, kawałki tortu o smaku oreo i zblazowana riposta Marpessy: „To jest Los Angeles, najbardziej rasistowskie miasto świata, więc co niby chcecie z tym, kurwa, zrobić?“, uśmierzyły ich gniew tylko trochę.

– Co za bzdura! – zawołał jakiś facet, po czym poprosił o dokładkę tortu i dolewkę whisky. – I mówią zupełnie szczerze, czuję się *urazony*.

– A niby co to znaczy: „czuję się urażony”? – zapytałem nieodwzajemnioną miłość mojego życia, zwróciwszy się do jej odbicia w panoramicznym lusterku wstecznym. Namówienie Marpessy, żeby zmieniła swoją stodwudziestkępiątkę w imprezownię na kółkach, nie było trudne; kochała Sorga tak samo jak ja. Obiecane pierwsze wydanie *Mojego Giovanniego* Baldwina też nie zaszkodziło. – To nawet nie jest emocja. Co mówi o twoich uczuciach, że „czujesz się urażony”? Żaden wielki reżyser teatralny nigdy nie powiedział aktorowi: „Dobra, w tej scenie potrzebujemy prawdziwych emocji, wyjdź tam i pokaż mi, jak bardzo jesteś urażony!”.

Dłonią w skórzanej mitence Marpessa operowała drążkiem skrzyni biegów z tak energiczną zręcznością, że z niepokojem zacząłem wiercić się na siedzeniu.

– No rzeczywiście, a mówi to akurat nieopierzony wsiurek, który nigdy w życiu nie poczuł się urażony, bo buja głową w obłokach.

– Dlatego że jeśli poczułbym się urażony, to nie wiedziałbym, co robić. Kiedy jest mi smutno, to płaczę. Jeśli wesoło, to się śmieję. A co robię, kiedy jestem urażony? Wyraźnie i kategorycznie oświadczam, że czuję się urażony, po czym prychem i odwracam się na pięcie, żeby móc napisać list do burmistrza?

- Jesteś chorym pojebem, a te cholerne znaczki, które zrobiłeś, cofają czarnych o pięćset lat.
- I jeszcze jedno, jakim cudem nigdy nie słyszy się: „Wow, pchnąłeś czarnych pięćset lat do przodu”? Dlaczego nikt nie mówi czegoś takiego?
- Wiesz, kim jesteś? Jesteś jebanym rasowym zбочeńcem. Przebrany za jebanego białasa zakradasz się na cudze podwórka i wąchasz ich brudne pranie, żeby móc sobie strzepać. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, do cholery, ludzie umierali za to, żebyś mogła mieć tę robotę, a ja ci się dałam namówić, żeby wprowadzić segregację w autobusie.
- Sprostowanie. Mamy dwudziesty szósty wiek, ponieważ dziś pchnąłem czarnych pięćset lat do przodu, aż wyprzedzili wszystkich na całej planecie. A poza tym zobacz, jaki Sorgo jest szczęśliwy.

Marpessa spojrzała w lusterko i rzuciła okiem na solenizanta.

– Nie wygląda na szczęśliwego. Wygląda na nabzdyczonego.

Miała rację. Sorgo nie wyglądał na szczególnie zadowolonego, ale z drugiej strony goście na motorach, którzy rozgrzewają silniki na szczycie piętnastometrowej rampy, wpatrując się w bezmiar pustyni i stromiznę Wielkiego Kanionu, też nie sprawiają wrażenia szczęśliwych. Kiedy jednak tak stał na czatach, wypatrując *lepszyc*, „kaukaskich” pobratymców, wczepiony w oparcie przed sobą, nerwowo przebiegając wzrokiem okolicę, niczym samobójcza gazela szukająca po całym Serengeti lwa, któremu mogłaby się złożyć w ofierze, trzeba było przyjąć, że śmiertelnie niebezpieczne wyczyny stanowią nagrodę samą w sobie. Oczywiście kiedy przy Avalon Boulevard do autobusu wsiadła biała lwica, istny cud natury, i zaczęła wrzucać do biletomatu grosz za groszem – Sorgo, płochliwa czarnuchozela, gapił się w przeciwną stronę, ignorując wysyłane przez stado sygnały, że oto na pokładzie znalazł się drapieżnik. Przerwana szeptami cisza. Uniesione brwi. Zmarszczone nosy. Kiedy wreszcie poczuł woń kobiety, było już prawie za późno. Przyczaiła się za nim, zasadzając się na swój łup zza słoniowatego mężczyzny ubranego od stóp do głów w strój bejsbolowy i czytającego jakiś sportowy magazyn. Wreszcie w starzejącej się kudłatej głowie Sorga zadziałał system wczesnego ostrzegania i ryknął: „Uwaga! Białaska!”, co włączyło mu tryb „Tak, psze pani”. Nieproszony i niepytany zwolnił swoje siedzenie w sposób tak oślizgły, tak służalczo murzyński, że wyglądało to nie tyle na propozycję, co na ofiarowanie. Dla niego miejsce to – choćby i twarde, plastikowe, brązowopomarańczowe – było jej przyrodzonym prawem, jego gest zaś stanowił hołd, dawno odwiekaną zapłatę dla bogów białej wyższości. Gdyby tylko potrafił wstać na zgiętym kolanie, na pewno by to zrobił.

Jeśli uśmiech jest po prostu odwróconym do góry nogami grymasem, to wyraz zadowolenia na twarzy Sorga, kiedy pomaszerował na tył autobusu, był odwróconym dąsem. Sądzę, że ponieważ to właśnie dlatego nikt wtedy nie zaprotestował. Poznaliśmy minę, którą przywdział, sami ją mamy w naszej kolekcji. Nosimy tę uśmiechniętą maskę w tylnej kieszeni spodni i wyjmujemy niczym złodziej w banku, kiedy chcemy ukraść sobie trochę prywatności albo dać emocjonalnego dyla. Z największym wysiłkiem powstrzymałem się, żeby nie paść przed kobietą na kolana i nie zacząć błagać, by uczyniła mi ten zaszczyt i usiadła na moim miejscu. Czasami myślę, że ten bierny uśmieszek drewnianego Indianina z trafiki jest wytworem selekcji naturalnej. To „przetrwanie najbezrozumniejszych” i jesteśmy jak te czarne ćmy z książki o ewolucji, uczepione ciemnego, pokrytego sadzą pnia, niewidoczne dla drapieżników, a mimo to wciąż wystawione na zagrożenie. Zadaniem ciemnolicej ćmy jest zajęcie czymś ćmy białej. Podczas gdy sama jest przyklejona do drzewa złą poezją, jazzem i obciachowym stand-upem na temat różnic między białą ćmą a czarną. „Dlaczego białe ćmy zawsze lecą do światła, wjebują

się w drzwi, okna i tak dalej? Jakoś nigdy nie widzi się, żeby czarne tak robiły. Głupie, trzepocące skurwiele”. Cokolwiek, byle przyciągnąć do siebie białą ćmę i zmniejszyć ryzyko, że padniemy ofiarą drapieżnych ptaków, ochotniczej armii albo Cirque de Soleil. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego na tych zdjęciach biała ćma niezmiennie wisiała na pniu ponad czarną. Co takiego chciano zasugerować w tych podręcznikach? Że choć biała ćma wystawia się na większe ryzyko, wciąż znajduje się wyżej na ewolucyjnej i społecznej drabinie? Tak czy owak, przypuszczam, że ta czarna ćma miała taką samą minę jak Sorgo, usługowe oblicze właściwe wszystkim czarnym członkom *Lepidoptera* i *Hominidae*. Ta niezależna od ciebie chęć usłużenia, ujawniająca się, ilekroć ktoś podchodzi do ciebie w sklepie i pyta: „Czy pan tu pracuje?”. Wyraz twarzy, którego w pracy nie masz tylko w kiblu, mina, z jaką patrzysz na białego, który mija cię i protekcyjnie klepie po ramieniu ze słowami: „Dobra robota, tak trzymaj”. Mina, z jaką nieszczerze przyznajesz, że awans istotnie przypadł lepszemu, choć w głębi duszy i on, i ty wiecie, że to ty jesteś lepszy, a tak w ogóle to najlepsza jest ta laska z drugiego piętra.

Kiedy więc Sorgo, przygarbiona alegoria służalczości, wstał i zrobił tę minę, wszyscy w autobusie poczuli, jakby i oni mieli obok białego, który wrócił z wakacji na Karaibach, podwinął rękawy i chce porównywać opaleniznę. Poczuli się jak Azjaci pytani: „Nie, nie, ale skąd jesteś *naprawdę*?”. Jak Latynosi pytani o zezwolenie na pobyt, a biuściaste kobiety pytane: „One są prawdziwe?”.

Dopiero kiedy Marpessa zauważyła, że nieznamąca biała przejechała trzygodzinną trasę z El Segundo Plaza do Norwalk i z powrotem, nabrała podejrzeń, ale było już za późno. Autobus zrobił się prawie pusty, a jej zmiana dobiegała końca.

– Znasz ją, prawda?

– Nie, nie znam.

– A ja ci nie wierzę.

Marpessa zrobiła balon z gumy do żucia, po czym włączyła mikrofon na desce rozdzielczej, wypełniając autobus nagłośnioną szyderą.

– Halo, proszę pani. Czy panienka z włosami w kolorze jasny blond, która czuje się przesadnie komfortowo w wozie pełnym czarnuchów i Meksykanów, a mówiąc „Meksykanów”, mam na myśli wszystkich: ze środkowej, północnej i południowej Ameryki, rdzennych lub nie, mogłaby podejść na przód autobusu? Dziękuję.

Zmrok zapadał nad El Porto i kiedy biała kobieta spacerowym krokiem szła w stronę Marpessy, słońce przelewało się przez przednią szybę w oślepiających, zachodzących na siebie fioletowych i pomarańczowych promieniach, rozświetlając dziewczynę jak zwyciężczynię konkursu piękności. Nie zauważyłem wcześniej, jak była ładna. Zbyt ładna. Nietrudno było uznać, że Sorgo ustąpił jej miejsca nie dlatego, że była biała, ale dlatego, że była tak kurewsko ładna, i myśl ta nakazała mi przemyśleć raz jeszcze cały ruch na rzecz praw obywatelskich. Może rasa nie miała z tym nic wspólnego. Może Rosa Parks nie ustąpiła miejsca, bo wiedziała, że facet cierpi na okrutne gazy albo jest jednym z tych irytujących typów, którzy dopytują cię, co czytasz, po czym, niepytani, zaczynają mówić, co oni czytają, co chcieliby przeczytać, co żałują, że przeczytali, a co mówią wszystkim, że przeczytali, ale tak naprawdę nie przeczytali. Może jak te białe licealistki, które po lekcjach ruchają się z czarnymi mięśniakami w sali do ZPT, ale kiedy tatuś się o tym dowiaduje, krzyczą „gwałt!”, Rosa Parks – po tych całych aresztowaniach, protestach, strajkach, mediach – musiała krzyczeć „rasizm!”, bo co niby miała powiedzieć? „Odmówiłam ustąpienia mu miejsca, bo zapytał mnie, co czytam”? Murzyni by ją zlinczowali.

Marpessa spojrzała na mnie, potem na jedyną białą pasażerkę, po czym zatrzymała autobus na środku ruchliwego skrzyżowania i z całą grzecznością publicznego pracownika otworzyła drzwi.

– Wszyscy, których nie znam osobiście: wypierdalać.

„Wszyscy” odnosiło się do leniwego skejta i dwóch dzieciaków, które spędziły ostatnią godzinę z tyłu autobusu, liżąc się po szyjach, splecione jak Grupa Laokoona. W mgnieniu oka znaleźli się na środku Rosecrans Avenue, w rękach trzymali darmowe bilety zastępcze, które furkotały bezsensownie w bryzie od morza. Już miała do nich dołączyć Miss Rajdów Wolności⁵³, kiedy Marpessa zagroziła jej przejście jak gubernator Wallace wejście do budynku Uniwersytetu Alabamy w roku 1963⁵⁴.

W imieniu największych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi, wyznaczam na piasku linię i rzucam rękawicę do stóp tyranii, mówiąc: segregacja teraz, segregacja jutro, segregacja na zawsze.

– Jak się nazywasz? – zapytała Marpessa, zbaczając autobusem na północ, do Las Mesas.

– Laura Jane.

– Cóż, Lauro Jane, nie wiem, skąd znasz tego tu zajeżdżającego nawozem durnia, ale mam nadzieję, że lubisz imprezy.

W przeciwieństwie do tych drogich, statecznych, jednodniowych rejsów na wyspę Catalina spontaniczna impreza urodzinowa na kółkach na Pacific Coast Highway była darmowa i wymiałała jak skurwysyn. Nasz krążownik nadbrzeżnej szosy miał wszystko. Otwarty bar. Zdeptane puszki. Stolik do gry w shuffleboard. Kasyno, w którym hazard mógł przybrać postać albo domina, albo cymbergaja. Flipera o nazwie Get Like Me i salę disco. Okrętem dowodziła Kapitan Marpessa, pijąc i klnąc jak wkurwiony pirat. Ja odgrywałem rolę bosmana, szefa pokładu, krupiera, barmana i didżeja. Po drodze, z *Five Minutes of Funk* Whodinię na cały regulator, podjechaliśmy pod drajw-sru Jack in the Box naprzeciwko mola w Malibu, gdzie zamówiwszy pięćdziesiąt tacos i w chuj sosu, zabraliśmy jeszcze grupkę pasażerów – cała nocna zmiana złożyła natychmiastowe wymówienie, po czym, nie zdejmując fartuchów, papierowych czapeczek i tego całego gówna, zaokrętowała się na nasz statek. Gdybym miał kartkę i długopis – a autobus miałby kibel – dokleiłbym jeszcze jeden napis: PRZED POWROTEM DO ŻYCIA WSZYSCY PRACOWNICY MUSZĄ UMYĆ RĘCE I UMYSŁY.

Za Pepperdine University, gdzie szosa zwęża się do stromo opadającej dwupasmówki, która przypomina rampę do gwiazd, po zmroku nie ma zbyt wiele światła. Od czasu do czasu jakieś nadjeżdżające auto błysnie długimi. Jeśli ma się szczęście, na plaży będzie płonąć pojedyncze ognisko, a odbijający się w falach księżyc nada Pacyfikowi szklisty połysk czarnego obsydianu. Na tym samym odcinku krętej drogi po raz pierwszy próbowałem kiedyś podrywać Marpessę. Pogłaskałem ją po policzku. Nie skrzywiła się, co uznałem za dobry znak.

Choć autobus podskakiwał na drodze, Sorgo spędził większość jazdy, stojąc pośrodku parkietu, uparcie trzymając się uchwytu nad głową i – pośrednio – historii amerykańskiej dyskryminacji. W okolicy Puerco Beach Laura Jane zdołała jednak wydobyć go z tego pradawnego otumanienia, ocierając się rytmicznie miednicą o jego tyłek i mizając go po uszach. Nazywaliśmy to kiedyś „ocierando”. Podskakiwała wokół Sorga z rękami w górze, wybijając pupą bit. Po skończonej piosence przeszła na dziób kadłuba, rozpychając się łokciami; na meszku nad górną wargą perliły się jej krople potu. Niech mnie, była naprawdę niezła.

– Zajebiaszcza impreza.

Radio z bzycczeniem wróciło do życia, a dyspozytorka zafrasowanym tonem wypowiedziała słowa „obecna lokalizacja”. Marpessa ściszyła muzykę, powiedziała coś, czego nie usłyszałem, posłała do mikrofonu całusa i wyłączyła radio. Jeśli Nowy Jork jest „miastem, które nigdy nie zasypia”, to Los Angeles jest „miastem, które zawsze zasypia na kanapie”. Za parkiem imienia Lea Carrillo cała Pacific Coast Highway wygląda się i kiedy księżyc znika za górami Santa Monica, zamalowując nocne niebo na smoliście czarno, można, jeśli nadstawić ucha, usłyszeć dwa dość szybko po sobie następujące ciche pyknięcia. Pierwsze to dźwięk czterech milionów telewizorów wyłączanych w salonach, drugi to dźwięk czterech milionów telewizorów włączanych unisono w sypialniach. Filmowcy i fotografowie często mówią, że w Los Angeles słońce jest wyjątkowe – złote i słodkie, spływa z nieba jak Vermeer, Monet i miód na śniadaniowym toście razem wzięci. Ale tutejszy księżyc – czy raczej jego brak – jest równie wyjątkowy. Kiedy zapada noc, to znaczy, kiedy naprawdę zapada, temperatura obniża się o pięć stopni, całkowita ciemność obejmuje cię jak wody płodowe, otula jak kochanka ścieląca łóżko, w którym nadal leżysz, i przez ten krótki moment pomiędzy wyłączeniem jednych telewizorów a włączeniem drugich robi się cicho – zanim otworzą się wieczorowe kluby w Inglewood, zanim zabrzmi kakofonia iście sylwestrowych strzelanin, zanim bulwary Santa Monica, Hollywood, Whittier i Crenshaw powoli zaludnią się kurwami – wtedy andżelesanie pozwalają sobie na chwilę zadumy. Dzięki składają nocnym knajpom w Koreatown. Dzięki składają Mariachi Square. Dzięki składają chili burgerom i kanapkami z pastrami. Dzięki składają Marpessie, przyglądającej się badawczo przez zmrużone oczy gwiazdom, prowadzącej raczej na azymut, niż dokąd droga ją wiedzie. Opony solidnie tarły o asfalt, autobus toczył się przez stratosferę i wtedy Marpessa usłyszała drugie pyknięcie. Włączyła z powrotem muzykę i lada chwila Sorgo oraz reszta zespołu baletowego Jack in the Box znowu odstawiali piruety i menuety na środku autobusu, śpiewając na głos piosenkę Toma Petty’ego.

– Skąd cię wytrzasnął? – zapytała Marpessa Laurę Jane, z oczami wciąż utkwionymi w Drodze Mlecznej.

– Wynajął mnie.

– Jesteś prostytutką?

– Prawie, cholera. Aktorką. Po godzinach dorabiam jako niewolnica w BDSM, żeby zapłacić rachunki.

– Pewnie trudno o role, jeśli musisz się w tym babrać. – Marpessa zmrużyła oczy, spojrzała na Laurę Jane z ukosa, przygryzła wargę i z powrotem wbiła wzrok w nocne niebo. – Widziałam cię w czymś?

– Robię głównie w telewizyjnych reklamach, ale nie jest łatwo. Ilekroć się o coś staram, producenci patrzą na mnie tak jak ty przed chwilą i mówią: „Nie dość podmiejska”, co w języku branży oznacza „zbyt żydowska”.

Wyczuwszy, że andżelesańska chwila ciszy nie oczyściła do końca czakr Marpessy, Laura Jane przyłożyła swoją ładną buźkę do jej zazdrosnej mordy, policzek do policzka. Kiedy tak wpatrywały się w lusterko, wyglądały jak podmienione, szczipione głowami bliźniaczki syjamskie. Jedna czarna i w średnim wieku, druga biała i młoda: wspólny mózg, ale nie proces myślowy.

– Aż chciałabym być czarna – powiedziała biała bliźniaczka, uśmiechając się i głaszcząc ciemniejszą siostrę po rozpalonych policzkach. – Czarni dostają każdą robotę.

Marpessa widocznie nastawiła autopilota, bo jej ręce oderwały się od kierownicy i zacisnęły wokół szyi Laury Jane. Nie dusząc dziewczyny, ale zdecydowanym ruchem poprawiając jej

kołnierzyk sukienki, sygnalizując swojej niegodziwej bliźniaczce, że w każdej chwili może się na nią rzucić, kiedy tylko jej połowa mózgu da znak.

– Słuchaj, nie wydaje mi się, żeby czarni „dostawali *każdą* robotę”. A nawet jeśli tak, to dlatego, że na Madison Avenue wiedzą, że z każdego zarobionego dolara czarnuchy wydadzą dolara dwadzieścia na gówno, które zobaczą w telewizji. Weźmy na przykład normalną reklamę luksusowego samochodu...

Laura Jane skinęła głową, jakby naprawdę słuchała, sprytnie obejmując Marpessę, żeby dosięgnąć kierownicy. Na sekundę skręciliśmy na podwójną ciągłą, ale Laura Jane zrećźnie sprowadziła autobus na właściwy pas.

– Luksusowe samochody, powiadasz?

– Subtelny przekaz reklamy luksusowego samochodu brzmi: „My w mercedesie, bmw, lexusie, cadillacu czy chuj wie gdzie jesteśmy koniunkturalistami wierzącymi w koniunkturę dla każdego. Widzisz tego przystojnego Afroamerykanina za kierownicą? Chcielibyśmy, abyś i ty, o święty, upragniony konsumencie rasy białej i płci męskiej w przedziale wiekowym między trzydziestką a czterdziestkąpiątką, rozwalony w fotelu, wydał swoje pieniądze i wstąpił do naszego szczęśliwego, beztroskiego, pozbawionego uprzedzeń świata. Świata, w którym czarny mężczyzna prowadzi auto, siedząc prosto, a nie opadając w fotelu tak nisko i tak na bok, że widać tylko połyskujący czubek jego dumnej łepetyny”.

– A co w tym złego?

– Ponieważ podprogowy przekaz brzmi: „Spójrz, leniwy, tłusty, podatny na marketing, pozalsięboże biały facecie. Nacieszyłeś się trzydziestosekundową fantazją o czarnuchu dandysie, który do swojego zamku w stylu Tudorów jeździ aerodynamicznym wytworem precyzyjnej niemieckiej myśli inżynierskiej, więc lepiej weź się w garść, stary, i nie pozwól, żeby ten małpizson, który prowadzi wóz z szyberdachem i posłusznie płaci cenę sugerowaną przez producenta, przegonił cię i ukradł ci amerykańskie marzenie!”.

Na wzmiankę o amerykańskim marzeniu Laura Jane zeszywniała i oddała kierownicę Marpessie.

– Czuję się urażona – powiedziała.

– Bo użyłam słowa „czarnuch”?

– Nie, bo jesteś piękną kobietą, która po prostu jest czarna, i jesteś zbyt bystra, by nie wiedzieć, że problemem tu jest nie rasa, tylko klasa.

Laura Jane złożyła głośnego, mokrego całusa na czole Marpessy, po czym odwróciła się na pięcie swojego louboutina i wróciła do pracy. W locie chwyciłem rękę ukochanej, ratując Laurę Jane przed niespodziewanym ciosem w kark.

– Wiesz, dlaczego biali nigdy nie są „po prostu” biali? Dlatego że oni wszyscy sądzą, że Bóg „po prostu” czuwa nad ich szczęściem, oto dlaczego!

Kciukiem starłem szminkę z jej zagniewanego czoła.

– A te kocopały o ucisku klasowym niech opowiada Indianom i drontom dodo. Gadanie, że „powinam wiedzieć”. Jest Żydówką, *sama* powinna wiedzieć.

– Nie powiedziała, że jest Żydówką. Powiedziała, że *biorą ją* za Żydówkę.

– Jebany sprzedawczyk z ciebie. Dlatego rzuciłam cię w cholere. Nigdy nie bronisz swoich. Jesteś pewnie po jej stronie.

Godard traktował robienie filmów jako działalność krytyczną, a Marpessa tak samo traktowała kierowanie autobusem, ale w każdym razie uważałem, że Laura Jane miała rację. Bez względu na to, jak niby wyglądają Żydzi – od Barbry Streisand do nominalnie żydowskawej Whoopi

Goldberg – w reklamach nigdy nie widuje się ludzi, którzy wyglądają „żydowsko”, tak jak nigdy nie widuje się „miejskich” (a zatem „groźnych”) czarnych, przystojnych Azjatów czy Latynosów o ciemnej karnacji. Jestem pewien, że te grupy też wydają nieproporcjonalnie dużą część dochodów na zbędne gówno. No i, oczywiście, w idyllicznym świecie telewizyjnej reklamy homoseksualiści są istotami mitycznymi, choć akurat reklam z jednoróżcami i krasnoludkami widuje się więcej niż z gejami czy lesbijkami. I może w telewizji jest zbyt wielu niegroźnych afroamerykańskich aktorów. Ich dyplomy Akademii Teatralnej Yale i szekspirowskie wykształcenie idą na marne, kiedy stoją wokół barbecue, wypowiadając takie kwestie jak: „Proszę, ziomalcze. Przebóg, wiedz li, że budweiser zaprawdę królem jest piw. Mierzwi bałwanom ich pieniste czuby. Od kudłatych głów w koronach to szczęście odpęda”.

Jeśli się jednak nad tym zastanowić, to w reklamach samochodów nigdy, przenigdy nie ma tylko jednej rzeczy – i nie chodzi o Żydów, homoseksualistów ani czarnych z dzielni, lecz o korki.

Autobus zwolnił, kiedy Marpessa skręciła w lewo i zabrała nas z szosy na ukrytą krętą lokalną dróżkę. Minęliśmy powoli jakieś wapienne skałki, rozklekotane drewniane schodki na plażę i opuszczony parking. Zmieniła bieg, wrzuciła na luz i przez wydmy wjechała autobusem na plażę, gdzie zaparkowała równoległe do horyzontu i – jako że nadchodził przypływ – z pół metra od morza.

– Bez obaw, te wozy są w stanie przebrnąć przez wszystko, od lawin błotnych po głównianą kanalizację. Autobus w Los Angeles musi być prawie amfibią. Gdybyśmy ich użyli do lądowania w Normandii, to druga wojna światowa skończyłaby się dwa lata wcześniej.

Drzwi – przednie i tylne – otwarły się na oścież, a Pacyfik sympatycznie zachlupotał o dół schodków, zamieniając autobus w jeden z tych bungalowów na Bora-Bora, które stoją na słupach pięćdziesiąt metrów w głąb morza. Wydawało mi się, że lada chwila pojawi się tu na skuterze wodnym sprzedawca z Jack in the Box z ręcznikami oraz dokładką burgerów i shake’ów waniliowych.

Al Green śpiewał o miłości i szczęściu. Laura Jane rozebrała się do naga. W słabym świetle autobusu jej cienka, gładka, biała skóra opalizowała jak macica perłowa. Dumnie przemaszerowała obok nas.

– Grałam kiedyś syrenę w reklamie tuńczyka. Muszę przyznać, że rzeczywiście nie było żadnej czarnej laski na planie. Dlaczego nie ma żadnych afroamerykańskich syren?

– Bo czarne kobiety nie znoszą moczyć włosów.

– Aha.

Następnie złapała się aluminiowej kratki, powygiwała trochę jak striptizerka na rurze i rzuciła się do wody. A za nią ekipa z Jack in the Box, też nago, jeśli nie liczyć papierowych czapeczek.

Sorgo podszedł na przód autobusu i spojrzał tęskno w morze.

– Panie, czy jesteśmy nadal w Dickens?

– Nie, Sorgo, już nie.

– To gdzie jest Dickens? Tam, za wodą?

– Dickens istnieje w naszych głowach. Prawdziwe miasta mają granice. I znaki. I miasta partnerskie.

– A będziemy mieli to wszystko?

– Mam nadzieję.

– Aha, panie, a kiedy wydobędziemy moje filmy od Foya Cheshire’a?

– Kiedy tylko przywrócimy Dickens. Wtedy zobaczymy, czy Foy je ma, obiecuję.

Sorgo stanął na chwilę przy drzwiach i w pełnym ubraniu sprawdził wodę czubkiem półbuta.

– Umiesz pływać?

– Ano. Nie pamięta pan *Łowów na grubą rybę*?

Zapomniałem o tym makabrycznym odcinku *Klanu urwisów*. Gang pryska na wagary i trafia na pokład rybackiego trawlera, wysłanego na poszukiwania terroryzującego okolicę rekina. Ponieważ Pies Pietrula zjadł przynętę, mały Sorgo zostaje wysmarowany tranem i ukłuty w palec, zawieszony za pasek na haczyku wędki i opuszczony do wody w charakterze przynęty na rekina. Pod wodą, żeby nie utonąć, wysysa powietrze z całej ławicy rozdymek. Węgorz elektryczny wielokrotnie razi go prądem w krocze. Odcinek kończy się sceną, w której wielka ośmiornica z wdzięczności za przegonienie krwiożerczego drapieżnika (przenikliwy śpiew Lucerny działa pod wodą jak odstraszasz rekinów) pryska na chłopców czarnym tuszem. Kiedy upaprana dzieciarnia wraca do domu, na mołu czeka grupa zaniepokojonych rodziców, w tym także mamcia Sorga i Grysika z do-ragiem⁵⁵ na głowie, która papla: „Grysik, mówiłam twojemu tatce, że siem nie zajmuję jego innymi dzieckami!”.

Marpessa zasnęła z głową na moich kolanach, a ja gapiłem się w ocean, wsłuchany w szum załamujących się fal i wybuchy śmiechu. Przede wszystkim jednak oczarowała mnie mieniąca się różowym koralem nagość Laury Jane, jej włosy łonowe dumnie przemierzające przejrzystą wodę niczym ruda kępka jedwabistej trawy morskiej. Rozchylenie nóg, zalotne zerknięcie – i już zniknęła pod wodą. Marpessa szturchnęła mnie mocno w żebro. Zebrałem się w sobie, żeby nie dać jej satysfakcji, rozcierając bolące miejsce.

– Spójrz na siebie. Ślinisz się na widok białaski jak każdy jeden czarnuch z L.A.

– Białe laski w ogóle mnie nie ruszają. Wiesz przecież.

– Gównno prawda, to twoja erekcja mnie obudziła.

– Terapia awersyjna.

– Co takiego?

Wzdrygnąłem się na samą myśl o opowiadaniu jej, jak ojciec zakładał mi na głowę tachistoskop i przez trzy godziny wyświetlał na ułamek sekundy zdjęcia zakazanego owocu tamtych czasów: rozkładówek „Playboya”. Bettie Page, Betty Grable, Barbra Streisand, Twiggy, Jayne Mansfield, Marilyn, Sophia Loren, po czym wlewał mi do gardła koktajl z wymiotnicy prawdziwej i piżmianu jadalnego. Wyrzygiwałem wnętrzości, kiedy puszczał na głos folkowe piosenki Buffy Sainte-Marie i Lindy Ronstadt. Bodźce wizualne działały, ale dźwiękowe niezbyt. Do dziś, kiedy czuję się trochę zdołowany, nastawiam sobie Rickie Lee Jones, Joni Mitchell albo Carole King, które propsowały Kalifornię wiele lat przed Biggiem, Tupakiem czy którymkolwiek z Kanadyłców. Jednak jeśli dobrze przyjrzeć się moim żrenicom w odpowiednim świetle, można dostrzec w nich wypalone jak na przecenionej plazmie z hipermarketu odbicie rozkładówki z gołą Barbi Benton.

– Nic. Po prostu nie lubię białych dziewczyn, i tyle.

Marpessa usiadła i złożyła mi głowę na ramieniu.

– Drops? – Pachniała jak zawsze: zasypką dla niemowląt i designerskim szamponem. Niczego więcej nie potrzebowała. – Kiedy się we mnie zakochałeś?

– *Kolor spalonego tosta* – wymieniłem tytuł bestsellerowych wspomnień pewnego gościa z Detroit. Miał „szaloną” białą matkę, która nie chciała, żeby jej dzieci zostały straumatyzowane przez słowo „czarny”, więc wychowała je jako brązowe: nazywała je beżoidami, obchodziła Miesiąc Historii Brązowych i tak dalej. Rósł w przekonaniu, że ma ciemny kolor skóry, bo jego nieobecny ojciec była trafiona piorunem magnolia na podwórku blokowiska. – Dałaś się

przekonać mojemu ojcu, żeby wstąpić do Klubu Książki Pączkarni Pif-Paf. Wszyscy zachwycali się tą książką, ale w trakcie spotkania autorskiego wsiadłaś na gościa. „Mam już, kurwa, dość tego, że czarne kobiety zawsze opisuje się, używając odcienia skóry! Ta w kolorze miodu! Tamta w kolorze gorzkiej czekolady! Moja babka ze strony ojca była brązowa jak mokka, jak café au lait, brązowa jak jebany chleb razowy! Dlaczego białych postaci nigdy nie porównuje się do jedzenia i gorących napojów? Dlaczego w tych rasistowskich książkach bez porządnego zakończenia nie ma białych bohaterów, których skóra miałaby barwę jogurtu, skorupki jajka, serka wiejskiego, odtłuszczonego mleka?! Oto dlaczego czarna literatura jest do dupy!”

– Powiedziałam: „czarna literatura jest do dupy”?

– Aha. A ja straciłem głowę.

– Bo biali też mają różne karnacje, do cholery.

Niespodziewanie mocna fala zatrzęsała autobusem. W świetle reflektorów zauważyłem, że z lewej nadciąga następna. Zrzuciłem buty i skarpetki, rozerwałem koszulę i popłynąłem jej na spotkanie. Marpessa stała w drzwiach, po łydki w podnoszącej się wodzie, z rękami przyłożonymi do ust, żeby było ją słyszać przez uderzające fale i wycie coraz silniejszego wiatru, który dął z południowego zachodu.

– Nie chcesz wiedzieć, kiedy ja zakochałam się w tobie?

Jakby kiedykolwiek była we mnie zakochana.

– Zakochiwałam się w tobie za każdym razem, kiedy szliśmy coś zjeść. Mówiłam sobie: „Boże, nareszcie jakiś czarny facet, który nie upiera się, że musi siedzieć przodem do drzwi! Nareszcie czarnuch, który nie musi udawać, że jest gościem! Nie musi być ciągle ostrożny, bo taki z niego kurewski twardziel, że w każdej chwili ktoś może chcieć mu zajebać!”. Jak mogłam się w tobie nie zakochać?

Kluczem do bodysurfingu na dobrej fali jest wyczucie czasu. Trzeba poczekać na ten moment, kiedy przyływ wpycha ci żołądek aż w podbrzusze. Zrobić dwa uderzenia rękami przed załamaniem i kiedy tylko prąd sprawi, że poczujesz się lekki jak piórko, zrobić jeszcze z trudem dwa uderzenia, unieść podbródek, jedną rękę przycisnąć do ciała, drugą wyprostować, dłonią w dół, lekko zgąć w łokciu i po prostu popłynąć w stronę brzegu.

Światła niewielkiego miasta. Interludium

Nigdy wprawdzie nie rozumiałem koncepcji miasta partnerskiego, ale zawsze mnie ona fascynowała. Sposób, w jaki te bliźniacze, jak się je czasem nazywa, miasta wybierają się i zalecają do siebie, przypomina bardziej kazirodztwo niż adopcję. Niektóre związki, jak Tel Awiwu i Berlina, Paryża i Algieru, Honolulu i Hiroszimy, mają sygnalizować koniec wrogości oraz początek ery pokoju i dobrobytu. Są aranżowanymi małżeństwami, w których miasta z czasem uczą się kochać siebie nawzajem. Inne to małżeństwa z przymusu, bo wieki wcześniej, na pierwszej randce, która wymknęła się spod kontroli, jedno miasto (np. Atlanta) zapłodniło inne (np. Lagos). Niektóre miasta żenią się dla pieniędzy i prestiżu, inne po to, żeby wkurwić ojczyznę. *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad? Kabul!* Raz na jakiś czas dwa miasta spotykają się i zakochują w sobie z powodu wzajemnego szacunku i wspólnego zamiłowania do pieszych wycieczek, burz i klasycznego rock and rolla. Na przykład Amsterdam i Sztambuł. Buenos Aires i Seul. Ale w dzisiejszych czasach, kiedy przeciętne miasto jest zbyt zajęte bilansowaniem budżetu i dbaniem, by infrastruktura nie rozsypała się w drobny mak, większość miast ma problemy ze znalezieniem bratniej duszy, więc zwracają się do organizacji Miasta Partnerskie Świata – międzynarodowej swatki, która szuka wybranków serca samotnych miast. Choć dwa dni po imprezie urodzinowej Sorga wciąż miałem kaca (jak cała reszta Dickens), byłem wniebowzięty, kiedy odebrałem telefon od pani Susan Silverman, konsultantki miejskiej, która zadzwoniła w sprawie mojego wniosku.

– Dzień dobry. Dzwonię, żeby powiedzieć, że z przyjemnością zajęliśmy się pańskim zgłoszeniem do Międzynarodowego Bractwa Miast, ale mamy problemy ze zlokalizowaniem Dickens na mapie. To gdzieś w pobliżu Los Angeles, prawda?

– Kiedyś byliśmy oficjalnym miastem, ale teraz jesteście raczej terytorium okupowanym. Jak Guam, Samoa Amerykańskie czy Morze Spokojne.

– Więc jesteście państwo nad oceanem?

– Tak, oceanem smutku.

– No cóż, to nie szkodzi, że nie jesteście miastem uznawanym, MPŚ łączył już wcześniej takie organizmy. Na przykład nowojorski Harlem i włoska Florencja, z powodu swoich renesansów. Dickens nie miało renesansu, prawda?

– Nie, nie mieliśmy nawet jednego dnia oświecenia.

– Bardzo mi przykro, ale chciałabym wiedzieć, czy są państwo społecznością nadbrzeżną, bo to by wiele zmieniało. Właśnie przepuściłam państwa dane demograficzne przez Urbanę, nasz program dopasowujący, i mam dla państwa trzy potencjalne miejscowości.

Chwyciwszy atlas, próbowałam odgadnąć imiona szczęśliwych wybranków. Wiedziałem, że nie ma co liczyć na Rzym, Nairobi, Kair czy Kioto, ale byłem pewien, że jest szansa na jakąś ślicznotkę z drugiego rzędu – Neapol, Lipsk czy Canberę.

– Spójrzmy, oto trzy miasta partnerskie w kolejności dopasowania... Ciudad Juárez, Czarnobyl, Kinszasa.

Nie do końca rozumiałem, jak znalazł się tam Czarnobyl, zwłaszcza że to nawet nie miasto,

ale Juárez i Kinszasa były jednak dużymi ośrodkami o profilu globalnym – nawet jeśli nie mogły pochwalić się nieposzlakowaną opinią. Ale na bezrybiu i rak ryba.

– Bierzemy wszystkie trzy! – krzyknąłem do słuchawki.

– Wszystko pięknie, ale obawiam się, że wszystkie trzy odrzuciły Dickens.

– Co? Dlaczego? Z jakich powodów?

– Juárez, znane jako „miasto, które nigdy nie przestaje krwawić”, uważa, że w Dickens jest za dużo przemocy. Czarnobyl wahał się, ale ostatecznie uznał, że bliskość rzeki Los Angeles i oczyszczalni ścieków stanowi jednak istotny problem. Wyraził też obawy na temat zdumiewająco beztroskiego podejścia obywateli do ogromnego zanieczyszczenia środowiska. Natomiast Kinszasa, stolica Demokratycznej Republiki Konga...

– Niech mi pani nie mówi, że Kinszasa, najbiedniejsze miasto najbiedniejszego kraju świata, gdzie średni dochód *per capita* wynosi jeden dzwonek dla kozy, dwie pirackie kasety Michaela Jacksona i trzy łyki wody pitnej rocznie, uznała, że jesteśmy zbyt biedni, by się z nami stowarzyszać.

– Nie, uważają, że Dickens jest zbyt czarne. Wydaje mi się, że ujęli to następująco: „Te zapóźnione amerykańskie czarnuchy są sto lat za Murzynami!”.

Byłem zbyt zawstydzony, by przyznać się Sorgowi, że moje próby znalezienia naszemu Dickens miasta partnerskiego spęły na niczym, więc zwodziłem go trochę, zamiast powiedzieć mu to czarno na czarnym.

– Gdańsk jest wstępnie zainteresowany. Zastanawiają się też Mińsk, Kirkuk, Newark i Nyack.

W końcu skończyły mi się miasta kończące się na „k” czy jakkolwiek inną literę. Na znak rozczarowania Sorgo ustawił na podjeździe do góry dnem plastikową skrzynkę, wszedł na nią i wystawił się na aukcję. Bez koszuli, z obwisłymi piersiami, stał obok wbitego w trawnik napisu: NA SPRZEDAŻ – UŻYWANY NIEWOLNIK – MURZYN – BITY TYLKO W CZWARTKI – DOBRY TEMAT DO POGADUSZEK PRZY KAWIE.

Stał tak przez ponad tydzień. Trąbienie klaksonem nie ruszało go ani o milimetr, więc kiedy chciałem wyjechać samochodem, musiałem wrzasnąć: „Uwaga, kwakrzy!” albo „Nadciąga Frederick Douglass⁵⁶ i ci przekłęci abolicjoniści! Ratuj się kto może!”, co sprawiało, że pierzchał i chronił się w polu kukurydzy. Ale w dniu, w którym musiałem wyjechać na spotkanie z hurtownikiem jabłek, Sorgo był wyjątkowo uparty.

– Sorgo, czy mógłbyś ruszyć dupę?

– Nie bede tyrał dla pana, co nie umi nawet załatwić prostej sprawy i znaleźć miasta partnerskiego. Dziś ten tu czarnuch polowy odmawia ruszenia się z tego miejsca.

– Czarnuch polowy? Nie żebym tego oczekiwał, ale nie ruszasz tu przecież nawet małym palcem. Spędzasz cały czas w jacuzzi. Polowy czarnuch, dobre sobie, jesteś pieprzonym czarnuchem saunowo-pinacoladowym. A teraz rusz dupę!

Ostatecznie wybrałem trzy miasta partnerskie – każde z nich było, jak Dickens, prawdziwym miastem, które zniknęło w podejrzanych okolicznościach. Pierwsze były Teby. Nie starożytne egipskie miasto, ale gigantyczna scenografia do niemego filmu Cecila B. DeMille’a *Dziesięcioro przykazań*. Od 1923 roku leżała zasypana piaskiem wydmy Nipomo na kalifornijskim wybrzeżu nieopodal Guadalupe. Zbudowana w skali, ale ogromna – z drewnianymi bramami, hypostylowymi świątyniami, sfinksami z papier *mâché* i legionem statystów w roli centurionów i żołnierzy. Może któregoś dnia burza odłoni je i zmiecie piasek, żeby Mojżesz mógł powieść Izraelitów z powrotem do Egiptu, a Dickens w przeszłość.

Następnie kwitnące, niewidzialne miasto Dickens zawiązało braterską unię z dwiema innymi

miejscowościami: austriackim Döllersheim i Zaginionym Miastem Uprzywilejowania Białych Mężczyzn. W Döllersheim, dawno już nieistniejącej wiosce w północnej Austrii, rzut granatem od czeskiej granicy, urodził się dziadek Hitlera ze strony jego *Mutter*. Legenda głosi, że tuż przed wojną, chcąc wymazać swoją kartotekę medyczną (jedno jądro, operacja plastyczna nosa, zdiagnozowany syfilis i zdjęcie jako paskudne niemowlę), swoje prawdziwe nazwisko (Schicklgruber-Bush) i żydowskie pochodzenie, Führer nakazał oddziałom szturmowym wykazać się w szturmowaniu i zbombardować miasteczko do epoki Pierwszej Rzeszy. Jako wymazywanie historii okazało się to dość skuteczną strategią, ponieważ na temat Hitlera wiadomo dziś na sto procent bardzo niewiele: tyle tylko, że był wzorcowym dupkiem, pozbawionym humoru frustratem i niespełnionym artystą, choć właściwie można to powiedzieć prawie o każdym.

O zaszczyt bycia trzecim miastem partnerskim Dickens licytowały się w tajemnicy wymarłe miejsca z całego świata. Ekscytującą kandydatką była opuszczona Warosia, niegdyś tętniąca życiem dzielnica wieżowców cypryjskiej Famagusty, ewakuowana w trakcie tureckiej inwazji i od tamtego czasu ani nie zburzona, ani nie zasiedlona ponownie. Dostaliśmy także ofertę od stacji Bokor, niezamieszkanego francuskiego kurortu, którego rokokowe ruiny do dziś niszczą w kambodżańskiej dżungli. Imponująca prezentacja sprawiła, że na prowadzenie wysunęła się leżąca na wschód od Jawy wyspa Krakatoa. Mocnymi kandydaturami były również miasta zniszczone przez wojny i ewakuowane – Oradour-sur-Glane we Francji, Paoua i Goroumo w Republice Środkowoafrykańskiej. Ostatecznie jednak doszliśmy do wniosku, że nie możemy zignorować żarliwych próśb Zaginionego Miasta Uprzywilejowania Białych Mężczyzn, kontrowersyjnej miejscowości, której istnieniu przeczyło tak wielu (najczęściej uprzywilejowanych białych mężczyzn). Inni kategorycznie stwierdzają, że jego mury zostały nieodwracalnie zburzone przez szturm hip-hopu i prozy Roberta Bolaño. Że popularność hosomaki z pikantnym tuńczykiem i czarnego prezydenta Stanów Zjednoczonych były dla dominacji białych mężczyzn tym, czym koce z wirusem ospy dla istnienia rdzennych Amerykanów. Skłonni do wiary w wolną wolę i wolny rynek twierdzą, że Zaginione Miasto Uprzywilejowania Białych Mężczyzn samo przypieczętowało swój los, że ciągły strumień płynących z góry sprzecznych ze sobą edyktów religijnych i świeckich namieszał w głowie łatwo ulegającemu wpływom białemu mężczyźnie. Przyprawiło go to o takie lęki społeczne i psychologiczne, że przestał się ruchać. Przestał głosować. Przestał czytać. I co najważniejsze, przestał myśleć, że jest pępkiem świata, który pozjadał wszystkie rozumy – a przynajmniej rozumiał, że nie powinien sprawiać takiego wrażenia publicznie. Tak czy inaczej, ulicami Zaginionego Miasta Uprzywilejowania Białych Mężczyzn nie dało się już dłużej chodzić. Nie można było karmić ego głoszeniem mitologicznych truizmów w rodzaju „To my zbudowaliśmy ten kraj!”, kiedy wszędzie wokół jacyś brązowi mężczyźni bez przerwy stukali młotkami, naprawiali samochody i przygotowywali światowej klasy francuskie potrawy. Nie mogłeś dłużej krzyknąć „Ameryka, pokochaj ją albo się wynoś!”, kiedy w głębi duszy marzyłeś, żeby zamieszkać w Toronto. Mieście, które w rozmowach z innymi określałeś jako „tak kosmopolityczne”, ale naprawdę myślałeś „nie za bardzo kosmopolityczne”. Jak mogłeś – w myślach lub na głos – nazywać kogoś „czarnuchem”, skoro twoje własne dzieci, śnieżnobiałe i porządne, nazywały cię „czarnuchem”, ilekroć nie chciałeś im pożyczyć samochodu? Kiedy codziennie „czarnuchy” robiły rzeczy, których podobno nie były w stanie robić: pływały na olimpiadach czy dbały o własny trawnik. Dobry Boże, jeśli dalej tak to będzie wyglądać, któregoś dnia – Boże broń – jakiś czarnuch wyreżyseruje dobry film. Ale nie martw się,

Zaginione Miasto Uprzywilejowania Białych Mężczyzn, prawdziwe czy urojone – Sorgo i ja jesteśmy z tobą i z dumą uczyniliśmy cię miastem partnerskim Dickens, znanego jako Ostatni Bastion Czerności.

ZA DUŻO MEKSYKANÓW

XI

– Za dużo Meksykanów – mruknęła Charisma Molina.

Idealnym francuskim manikiurem zasłoniła usta, żeby nikt jej nie usłyszał. Nie po raz pierwszy słyszałem w miejscu publicznym ten rasistowski komentarz. Już kiedy obuci w mokasyny rdzenni Amerykanie łązili w tę i we w tę po Camino Real, szukając źródła tych irytujących dzwonów, które napierdały w każdy niedzielny poranek, płosząc muflony i psując duchowe wędrówki na meskalinie, Kalifornijczycy narzekali na Meksykanów. Indianie, którzy szukali ciszy i spokoju, ostatecznie odnaleźli Jezusa, pracę przymusową, bat i kalendarzyk małżeński. „Za dużo Meksykanów”, szeptali do siebie, kiedy nikt nie patrzył, na polach pszenicy i w tylnych ławach kościołów.

Biali, którzy nigdy nie mieli do powiedzenia czarnym nic poza „Miejsc nie ma”, „Jeszcze tu jest brudne” i „Rzucaj piłkę!”, nareszcie mieli nam coś do powiedzenia. I w upalne dni w San Fernando Valley, kiedy temperatura dochodzi do czterdziestu stopni, a my nosimy im zakupy do auta albo wrzucamy listy do skrzynek pocztowych, odwracają się i mówią: „Za dużo Meksykanów”; ciche porozumienie między poszkodowanymi nieznajomymi, że to wcale nie wina upału ani zaduchu, ale naszych małych brązowych braci z południa, północy, domu obok, centrum handlowego Grove i w ogóle zewsząd w La California.

Dla czarnych „za dużo Meksykanów” jest wymówką, jakiej my – historycznie najlepiej udokumentowana siła robocza w historii – używamy, by móc brać udział w rasistowskich wiecach, na których protestuje się przeciwko nielegalnym pracownikom szukającym lepszego miejsca do życia. „Za dużo Meksykanów” to ustne uzasadnienie, dlaczego jest nam tak, jak jest. Lubimy popijać sobie herbatę i przeglądać ogłoszenia w dziale nieruchomości, rozmyślając o przeprowadzce i znalezieniu lepszego mieszkania.

– A co myślisz o Glendale, kochanie?

– Za dużo Meksykanów.

– Downey?

– Za dużo Meksykanów.

– Bellflower?

– Za dużo Meksykanów.

Za dużo Meksykanów. Banał wypowiediany przez każdego właściciela podejrzonej firmy budowlanej, który ma dość przegrywania przetargów i nie chce się przyznać, że nie ma pracy, bo robi byle jak, zatrudnia tylko znajomych i ma w internecie długą listę gównianych opinii. Meksykanów można obwiniać o wszystko. Ktoś w Kalifornii kichnie, a ty nie mówisz „Na zdrowie”, ale „Za dużo Meksykanów”. Na derbach Santa Anita twój koń w piątej gonitwie kuleje? *Za dużo Meksykanów*. W Commerce Casino jakiś nowicjusz wyciąga z talii trzecią damę? *Za dużo Meksykanów*. To stały kalifornijski refren, ale kiedy wypowiedziała go Charisma Molina, wicedyrektorka Gimnazjum imienia Komandora Uriasza P. Levy, „Plewy”, i najlepsza przyjaciółka Marpessy (mojej dziewczyny, bez względu na to, co ona o tym mówi), po raz pierwszy usłyszałem to z ust kogoś meksykańskiego pochodzenia i zarazem – choć wtedy tego nie wiedziałem – po raz pierwszy ta osoba naprawdę tak uważała. Dosłownie.

Kiedy wagarowałem, nigdy, w przeciwieństwie do klanu urwisów, nie szedłem na ryby –

szedłem do szkoły. Wykradałem się z domu, jeśli Ojciec przysnął w trakcie lekcji czarnologii, i pryskałem do Plewy, żeby przez ogrodzenie pogapić się na dzieci grające w piłkę nożną albo ręczną. Jeśli miałem szczęście, migaly mi gdzieś Marpessa, Charisma i ich ziomalki. Urzędowały przy tylnym wejściu, wyszczekane jak strażacka orkiestra dęta, kręciły hula-hoop, skandując: *Kto tak okiem strzela, misiabasia konfacela, Ungawa! Ungawaaa! To znaczy czar-na sił-aaa!... Białasy! Kutasy! A my czarne siostrasy!*

Organizowany jakieś dwa tygodnie przed wakacjami doroczny Festiwal Zawodów sprawiał, że większość dzieciaków z Plewy, zamiast wypełniać testy kwalifikacyjne czy pisać CV, dochodziła do przekonania, że będą zawodem dla swoich rodziców. Owo urządzane na dziedzińcu szkoły zebranie górników, wyplataczy koszyków, kopaczy rowów, intrologatorów, zbieraczy piłek golfowych, strauumatyzowanych strażaków oraz ostatniego astronauty świata nigdy nie działało zbyt inspirująco. Co roku to samo. Gadaliśmy, że nasza praca jest satysfakcjonująca i niezbędna, ale nikt nie miał odpowiedzi na pytania padające z ostatniego rzędu. Skoro jesteście tacy kurewsko ważni i świat nie może się bez was obejść, to dlaczego jesteście tutaj i zanudzacie nas na śmierć? Dlaczego wyglądacie na takich nieszczęśliwych? Dlaczego nie ma żadnych strażaczek? Dlaczego pielęgniarki poruszają się tak cholernie wolno? Jedynej odpowiedzi, która usatysfakcjonowała dzieci, udzielił ostatni astronauta – starszy czarny pan, tak słabiotki, że poruszał się, jakby tu, na Ziemi, znajdował się w stanie nieważkości. Jak astronauta chodzą do toalety? *No cóż, nie wiem, jak jest teraz, ale za moich czasów przyklejali ci do dupy plastikową torbę.*

Nikt nie chce być farmerem, ale jakiś miesiąc po obchodach urodzin Sorga Charisma poprosiła mnie, żebym zajął się czymś innym. Siedzieliśmy na moim ganku, jarając blanta, a ona droczyła się ze mną, powtarzając, że ma dość patrzenia, jak Lopezowie – tudzież „meksykańskie sombreroaki z sąsiedztwa”, jak ich nazywała – w aksamitnych strojach *vaquero* i na ozdobionych kowbojskimi błyskotkami koniach upokarzają mnie co roku swoimi fikuśnymi sztuczkami z lassem.

– Nikogo nie obchodzą subtelne różnice między nawozem sztucznym i naturalnym albo jak w zrównoważony sposób zwalczać choroby dyni piżmowej. Te dzieciaki potrafią skupić się tylko na chwilę. Trzeba natychmiast przyciągnąć ich uwagę i nie odpuszczać. A rok temu twoja prezentacja była tak kurewsko nudna, że dzieciaki zaczęły rzucać w ciebie twoimi własnymi organicznymi pomidorami. Najgorzej.

– Dlatego w tym roku nie przychodzę. Nie potrzebuję beki.

Charisma przymknęła jedno oko, zajrzała do fajki i wręczyła mi ją z powrotem.

– Skończyło się.

– Chcesz więcej?

Skinęła głową.

– Chcę. I chcę też wiedzieć, jak nazywa się ten towar i dlaczego nagle wydaje mi się, że wszystko ma sens: giełda, pierdoły z podręcznika do literatury angielskiej na podyplomowych, wszystko.

– Nazywa się Epifania.

– O, proszę, jakie to dobre gówno. Wiem nawet, co znaczy słowo „epifania”, którego zresztą nigdy wcześniej nie słyszałam.

Pies zaszczekał. Kogut zapiął. Krowa zamuczała. Harbor Freeway zrobiła „ija ija o”. Charisma odgarnęła z twarzy długie czarne włosy i pociągnęła bucha, który odsłonił przed nią tajemnice internetu, *Ulisses*a, prozy Jeana Toomera⁵⁷ oraz amerykańskiej fascynacji programami

kulinarnymi.

– Marpessa tam będzie.

Nie potrzebowałem więcej trawy, żeby wiedzieć, że nigdy nie przestanę kochać tamtej kobiety.

Wydawało się, że będzie padać, bo z zachodu nadciągnęły burzowe chmury. Nic jednak nie było w stanie przeszkodzić Charismie, która za wszelką cenę zamierzała umożliwić uczniom odkrycie dziesiątek karier zawodowych, jakie we współczesnej Ameryce są dostępne ubogiej młodzieży z mniejszości etnicznych. Po wystąpieniach śmieciarzy, kuratorów sądowych, didżejów i hypemanów nadszedł czas na trochę akcji. Reprezentująca przemysł transportowy Marpessa, która przez cały dzień nawet nie spojrzała w moją stronę, wykonała pokaz jazdy kaskaderskiej, przy którym oko zbiegałoby całej serii *Szybcy i wściekli* – trzynastotonowym autobusem zrobiła profesjonalny slalom między słupkami, paliła gumy i kręciła bączki na boiskach do four-square, po czym, wjechawszy na rampę zrobioną z ławek i stolików ze szkolnej stołówki, objechała dziedziniec na dwóch kołach. Kiedy szpanerska jazda dobiegła końca, zaprosiła dzieci do środka na zwiedzanie autobusu. Wchodziły rozbrykane i uchachane, by po dziesięciu minutach wymaszerować z autobusu cichutko i w rzędku, posępnie dziękując pani Marpessie. Jeden z pedagogów, młody i biały, jedyny biały nauczyciel w całej szkole, łkał z twarzą ukrytą w dłoniach. Rzuciwszy ostatnie, pełne żalości spojrzenie na autobus, oddalił się od grupy, żeby wziąć się w garść, i usiadł na boisku. Nigdy nie sądziłem, że wyjaśnienie podwyżek cen biletów i tego, jak działa system przesiadek, może być tak dołujące. Zaczęło mżyć.

Charisma ogłosiła, że nadszedł czas na sielską część programu. Pojawił się Nestor Lopez. Lopezowie z Jalisco (wcześniej z Las Cruces) byli pierwszą meksykańską rodziną, która zintegrowała Farmy. Miałem jakieś siedem lat, kiedy się wprowadzili. Ojciec narzekał na muzykę i całe te ich walki kogutów. Pamiętam tylko jedną lekcję na temat historii stosunków amerykańsko-meksykańskich, której mi udzielił. Brzmiała: Nigdy nie bij się z Meksykaninem. Bo jeśli bijesz się z Meksykaninem, to musisz go zabić. Ale Nestor, choć był cztery lata starszy ode mnie i być może pewnego dnia musiałbym go zabić za to, że nie oddał mi resoraka czy coś w tym stylu, był zajebisty. W niedzielne popołudnia, kiedy wracał do domu z salki katechetycznej, oglądaliśmy filmy *charro* i kręcone z ręki pokazy małomiasteczkowego rodeo. Z porcelanowych filiżanek piliśmy gorące cynamonowe poncze, które robiła nam jego mama, a resztę popołudnia trzęśliśmy się przy makabrycznych filmach o takich tytułach jak *300 porrazos sangrientos*, *101 muertes del jaripeo*, *1000 litros de sangre* czy *Si chingas al toro, te llevas los cuernos*. I choć większość akcji oglądałem, zasłaniając twarz rękami, nigdy nie zapomnę tego widoku: kowboje brawurowo ujeżdżający byki bez trzymanki, bez klaunów, bez lekarzy, bez strachu i ogromne *toros destructores* zmieniające ich w pozbawione kapelusza i kręgosłupa kukielki. Wzdrygaliśmy się empatycznie, kiedy niewiarygodnie szpiczaste rogi przebijały ich aorty i cekiniaste koszule. Przybijaliśmy piątkę, kiedy byk tratował zrzuconego jeźdźca, zmieniając jego żuchwę i czaszkę w rozbryzgniętą na piasku krwawą miazgę. Z czasem, jak to przeważnie bywa z czarnymi i latynoskimi chłopakami, oddaliśmy się od siebie. Ofiary wydawanych przez więzienne gangi edyktów, z którymi nie mieliśmy nic wspólnego, ale które ustanawiały rozdział czarnuchów od meksykańców. Dziś, nie licząc imprezy na dzielni od czasu do czasu, widuję Nestora tylko na Festiwalu Zawodów, kiedy przy dźwiękach uwerturny z *Wilhelma Tella* wyskakuje zza niedziałającej szkolnej ślusarni i popisuje się woltyżerką

i ujeżdżaniem *bronco*.

Nigdy do końca nie rozumiałem, jaką ścieżkę kariery reprezentuje Nestor – „popisywanie się”, jak sądzę – ale pod koniec pokazu, przy wtórze wiwatującego tłumu, zdjął swoje sombrero z kutasikami, spojrzął na mnie z szyderym uśmiechem mówiąc „umiałbyś lepiej?” i przejechał obok, stojąc w strzemionach bez trzymanki. Kiedy Charisma przedstawiła mnie, rozległo się zbiorcze ziewnięcie, które słychać było w całym Dickens.

– Co to za dźwięk? Startuje samolot?

– Nie, to ten czarnuch farmer. Pewnie znowu mają w gimnazjum Festiwal Zawodów.

Na ogrodzone rachityczną siatką boisko do bejsbola wprowadziłem roztrzęsione brązowookie cielę. Co odważniejsze dzieci zignorowały burczenie w brzuchu i niedobór witamin, wystąpiły z szeregu i podeszły do zwierzęcia. Ostrożnie, obawiając się, że mogą złapać od cielątka jakąś chorobę albo się w nim zakochać, zaczęły je głaskać i rozmawiać między sobą, używając tej swojej piekielnej składni.

– Skóra taka miękka.

– Oczy takie słodkie, jak karmelki. Wpierdalałbym.

– Ta czarnuchokrowa oblizuje się, muczy i ślini jak twoja gupia stara.

– Pierdol się. Sam jesteś gupi.

– Wszyscy jesteście gupi. Nie wiecie, że krowa też człowiek?

Mniejsza o ironię tego, że słowo „głupi” wymawiali źle – wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę. A przynajmniej, że cielę trafiło. Charisma przyłożyła język do zębów i wypuściła powietrze głośnym, futbolowym gwizdem. Tym samym gwizdem, którym ostrzegła mnie i Marpesę, że nadchodzi Ojciec. Dwusetka dzieci natychmiast umilkła i skierowała na mnie swój deficyt uwagi.

– Cześć wszystkim – powiedziałem i splunąłem na ziemię, bo tak robią farmerzy. – Tak jak wy jestem z Dickens...

– Skąd? – krzyknęła grupka uczniów. Równie dobrze mogłem powiedzieć, że jestem z Atlantydy. Dzieciaki nie były z „żadnego Dickens”. I zaczęły pokazywać mi znaki gangów i mówić, skąd są: Cripsy z Joslyn Park w Południowej. Varrio Trescientos y Cinco. Bloodsi z Bedrock Stoner Avenue.

W odwecie rzuciłem tym, co w naszym rolniczym świątku najbardziej przypomina gest z gangu – przesunąłem ręką po gardle (uniwersalny znak na „wyłącz silnik”) i oświadczyłem:

– Cóż, ja jestem z Farm, które, tak jak wszystkie wymienione przez was miejsca, znajdują się w Dickens. Wicedyrektor Molina poprosiła mnie, żebym pokazał wam, jak wygląda normalny dzień farmera. A ponieważ dziś cielak kończy osiem tygodni, pomyślałem, że porozmawiamy o kastracji. Są trzy metody kastracji...

– Co to jest „kastacja”, maestro?

– Sposób na uniemożliwienie samcom spłodzenia dzieci.

– Nie mają jakichś krowich gumek?

– Nie jest to zły pomysł, ale krowy nie mają rąk i, podobnie jak Partia Republikańska, żadnego poszanowania dla praw reprodukcyjnych płci żeńskiej, więc musimy kontrolować pogłowie w ten sposób. Poza tym cielęta robią się od tego pokorne. Czy ktoś wie, co to znaczy „pokorne”?

Chuda dziewczynka w kolorze kredy powiedziała coś pod zasmarkanym nosem, po czym podniosła rękę tak obrzydliwie zakurzoną, białą i wysuszoną, że mogła być tylko czarna.

– Że jest jak suka – powiedziała i zgłosiła się na ochotnika. Podeszła do cielaka i pomajtała

mu oklapłymi uszami.

– Tak, pewnie można tak powiedzieć.

Na wzmiankę o „suce” albo ze względu na błędne przekonanie, że będziemy się uczyć o seksie, dzieci przesunęły się do przodu, zacieśniając krąg. Te, które nie trafiły do pierwszych dwóch rzędów, kucaly albo stawały na palcach, żeby lepiej widzieć. Kilkoro dzieci wspięło się na ogrodzenie i zerkało w dół, jak studenci medycyny w teatrze anatomicznym. Walnąłem ciele w bok i przewróciłem na ziemię, przyciskając mu kark kolanem. Pogmerałem moją nienawilżoną krowią ręką, rozłożyłem mu tylne nogi i wystawiłem małe genitalia na działanie żywiołów. Zobaczywszy, że przyciągnąłem uwagę dzieci, Charisma sprawdziła, jak się czuje jej wciąż łkający pracownik, po czym na palcach weszła do autobusu Marpessy i schowała się z tyłu.

– Jak mówiłem, są trzy metody kastracji: chirurgiczna, elastyczna i bezkrwawa. W elastycznej umieszcza się gumową opaskę o tu, żeby odciąć dopływ krwi do jąder, które z czasem uschną i odpadną. – Złapałem zwierzę za górę moszny i ścisnąłem tak, że cielak i uczniowie wzdrygnęli się równocześnie. – Przy bezkrwawej kastracji miażdży się nasieniowody tu i tu.

Dwa mocne uszczypnięcia w *ductus deferens* wprowadziły cielaka w jękliwy dygot z bólu i zawstydzenia, a uczniów w spazmy sadystycznego śmiechu. Wyciągnąłem nóż i uniosłem go wysoko, obracając go w dłoni, liczyłem bowiem na dramatyczny efekt, błysk ostrza w słońcu, ale niestety, było pochmurnie.

– Przy metodzie chirurgicznej...

– Ja chcę to zrobić.

Brązowe oczy czarnej dziewczynki, skupione na mosznie cielaka, błyszcząły naukową ciekawością.

– Myślę, że potrzebowalbym pisemnej zgody twoich rodziców.

– Jakich rodziców? Mieszkam w El Nido – powiedziała, mając na myśli dom dziecka w Wilmington, co na dzielnicy było równoznaczne z mówieniem „Sing Sing” w filmie z Jamesem Cagneyem.

– Jak się nazywasz?

– Sheila. Sheila Clark.

Zamieniliśmy się z Sheilą miejscami, prześlizgując się nad sobą i pod sobą, żeby nie zmniejszyć nacisku na nieszczęsnego cielaka. Kiedy dotarłem na miejsce, wręczyłem jej nóż i przypominający sekator ogrodowy emaskulator, który – jak każde porządne narzędzie – robi dokładnie to, co sugeruje jego nazwa. Po wytoczeniu litra krwi, zaskakująco zręcznym usunięciu wierzchu moszny, przemyślnym wyrzuceniu jąder w niebo, głośnym chrupnięciu miażdżonych nasieniowodów, przyprawieniu o wrzask gromadki uczniów i nauczycieli oraz doprowadzeniu jednego cielaka do permanentnej frustracji seksualnej dokończyłem – wciąż mocując się z wyrwijającym się zwierzęciem – wykład dla Sheili Clark i trojga innych gimnazjalistów, którzy byli na tyle zaintrygowani, że weszli w powiększającą się plamę krwi, żeby lepiej przyjrzeć się ranie.

– Kiedy byk leży bezbronny na boku, nazywamy to w rolnictwie „pozycją nieaktywną” i jest to dobry moment, by przeprowadzić inne bolesne procedury, jak dekornizacja, szczepienie, znakowanie, kolczykowanie...

Deszcz się nasilił. Wielkie i ciepłe krople zaczęły uderzać w twarde, wysuszone podłoże, wzbijając obłoczki kurzu. Na środku dziedzińca woźni pospiesznie opróżniali śmietnik. Rzucali na kupę połamane biurka, pęknięte tablice, kawałki przeżartego przez termyty parkietu boiska, po czym zaczęli wtykać w szpary zmięte gazety. Zazwyczaj Festiwal Zawodów kończył się wielkim

pieczeniem cukrowych pianek. Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Wydawało mi się, że dzieci będą rozczarowane. Robiło się coraz wilgotniej, nauczyciele (z wyjątkiem tego beksy, który gapił się w sflaczałą piłkę do kosza, jakby jego świat dobiegł końca) i pozostali przedstawiciele zawodów próbowali spędzić dzieci do środka, zgarnąć je z zepsutych huśtawek, zardzewiałych drabinek i siłowni plenerowej, a Nestor galopował wokół przestraszonej trzódki, żeby odpędzić ją od bramy. Kiedy Marpessa uruchomiła autobus, Charisma wyszła z niego i w tej samej chwili cielak zaczął wracać do siebie. Spojrzałem na moją asystentkę, Sheilę Clark, ale zbyt pochłaniały ją zakrwawione jądra – trzymała je za włókniste końcówki i majtała nimi w powietrzu. Uderzały o siebie jak klik-klaki z automatu z zabawkami za dwadzieścia pięć centów.

Chwyciwszy cielę za kark, przewróciłem się na plecy i wryłem obcasami w krocze zwierzęcia, żeby nie kopnęło mnie w twarz, a tymczasem Marpessa nawróciła autobus i wyjechała południową bramą na Shenandoah Street, nawet nie machnąwszy mi na do widzenia. Pieprzyć ją. Charisma stanęła nade mną z uśmiechem, wyczytując ból z mojego spojrzenia.

– Jesteście dla siebie stworzeni.

– Możesz coś dla mnie zrobić? W torbie mam płyn antyseptyczny i słoiczek takiego paskudztwa z napisem *Fliegenschutz*.

Wicedyrektor Molina zrobiła to, co zawsze robiła, już od czasu kiedy była małą dziewczynką: ubrudziła sobie rączki. Spryskała wierzgające zwierzę odkażaczem i rozsmarowała lepki *Fliegenschutz* na ranie ziejącej tam, gdzie wcześniej były jądra.

Kiedy skończyła, biały nauczyciel, z twarzą wciąż zalaną łzami, poklepał swoją szefową po ramieniu i jak telewizyjny gliniarz oddający przełożonemu broń i odznakę uroczyście odpiął sobie z bawełnianej kamizelki nową błyszczącą przypinkę *Ucz dla Ameryki*, położył ją na otwartej dłoni Charismy i odszedł w nawałnicę.

– O co chodziło?

– Kiedy byliśmy w autobusie, twoje chude pacholę, Sheila, wstała, pokazała panu Edmundsowi znaczek MIEJSCE DLA BIAŁYCH i powiedziała mu, że może usiąść na jej miejscu. A ten idiota zgodził się i usiadł, a kiedy zorientował się, co zrobił, to mu, kurwa, odjechało.

– Czekaj, to znaczki są dalej na swoim miejscu?

– To nie wiesz?

– Czego nie wiem?

– Dużo mówisz o dzielni, a nie wiesz, co się na dzielni dzieje. Od kiedy powiesiłeś te znaczki, autobus Marpessy jest najbezpieczniejszym miejscem w mieście. Też o nich zapomniała, aż jej kierownik zmiany powiedział, że nie miała żadnych zgłoszeń od czasu imprezy urodzinowej Sorga. I zaczęła się nad tym zastanawiać. Że ludzie traktują się z szacunkiem. Mówią „dzień dobry” wchodząc, „dziękuję” wysiadając. Nie ma walk gangów. Cripsy, Bloodsi, cholo, wszyscy naciskają przycisk *Stop* raz i tylko jeden, kurwa, raz. Wiesz, gdzie dzieciaki chodzą robić lekcje? Nie do domu, nie do biblioteki, tylko do autobusu. Tak jest tam bezpiecznie!

– Przestępczość jest cykliczna.

– To te znaki. Ludzie na początku psioczyli, ale rasizm ich powstrzymuje. Pokorniej. Zaczynają rozumieć, jak daleko zaszliśmy i co ważniejsze, jak daleko jeszcze musimy zejść. W tym autobusie widmo segregacji zjednoczyło Dickens.

– A co z tym płaczkliwym belfrem?

– Pan Edmunds zna się na matematyce, ale ewidentnie nie może nauczyć dzieci niczego o nich samych, więc niech spierdala.

Cielę doszło do siebie o tyle o ile i stanęło na chybotliwych nogach. Sheila, jego mała

kastratorka, nachyliła mu się psotnie nad pyskiem, przykładając sobie jego jądra do uszu, jak kolczyki. Ostatni, pożegnalny niuch swojej męskości i cielak odmaszerował, żeby złożyć wyrazy współczucia znajdującej się obok stołówki bezużytecznej arenie do trenowania boksu, której ktoś też pourywał worki. Charisma przetarła zmęczone oczy.

– Jeśli udałoby mi się zmusić tych małych skurwieli, żeby zachowywali się w szkole tak, jak zachowują się w tym autobusie, to byłoby coś.

Nestor Lopez, galopując jak po puchar i o dziesięć długości wyprzedzając resztę grupy, powiódł kolegów Sheili przez betonowe równiny, przez mżawkę, między rzędami pokrytych strzechą i papą bungalowów, które zamiast szyb miały w oknach gazety i kolorowe kartony. Budynki znajdowały się w tak opłakanym stanie, że jednoizbowe afrykańskie szkoły, na które zbiera się późnymi wieczorami w telewizji, wyglądały przy nich jak uniwersyteckie sale wykładowe. Był to współczesny Szlak Łez⁵⁸. Dzieci ustawiono wokół stosu połamanych mebli szkolnych. Choć krople deszczu z szelestem uderzały w wielkie torby pianek i w ciemniejącą kupę drewna i mokrych gazet, dzieciakom nie mijał entuzjazm. Za nimi wznosiła się szkolna aula, której dach zapadł się podczas trzęsienia ziemi w dziewięćdziesiątym czwartym i nigdy go nie odbudowano. Charisma przesunęła ręką po dzwoneczkach przy paradnej uprzęży Nestorowego konia. Na dzyń-dzyń dzieci się uśmiechnęły. I wtedy przybiegła Sheila Clark, ze łzami w oczach pocierając ramię.

– Pani Molina, ten białas ukradł jedno z moich jaj! – zaskuczała, wskazując na latynoskiego grubaska, trzy odcienie ciemniejszego od niej, który bezskutecznie próbował kozłować jądrem o mokre boisko. Charisma łagodnie i uspokajająco pogłaskała Sheilę po zaplecionych w warkoczyki włosach. To było dla mnie coś nowego. Czarne dzieci mówiące o swoich latynoskich kolegach jako o białych. Kiedy ja byłem w ich wieku – kiedy jeszcze krzyczeliśmy „nie ja!” przed grą w ciuciubabkę i „raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”, zanim przemoc, bieda i wewnętrzne walki odebrały nam przynależne prawo własności do całego Dickens, zostawiając nam odizolowane, rozdarte wojnami gangów kwartały ulic, wszyscy w Dickens, bez względu na rasę, byli czarni i stopień czyjejś czarności określało się nie na podstawie koloru skóry czy rodzaju włosów, ale tego, czy mówił „z całym dobrodziejstwem inwentarza” czy „z całym dobrochciejstwem inwentarza”. Choć w dzieciństwie Charisma miała cerę w kolorze horchaty i kaskadę prostych czarnych włosów, które opadały jej do tyłka, Marpessa nie wiedziała, że jej przyjaciółka nie jest czarna, dopóki pewnego dnia matka Charismy nie przyjechała po córkę do szkoły. Chodziła i mówiła zupełnie inaczej niż Charisma. Zdumiona Marpessa zwróciła się do swojej najlepszej przyjaciółki: „Jesteś Meksykanka?”. Charisma zbladła, myśląc, że jej ziomalka ma jakąś jazdę, i już miała krzyknąć: „Nie jestem żadna Meksykanka”, kiedy przyjrzała się dobrze swojej matce, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu – w otoczeniu czarnych twarzy i czarnych rytmów – i krzyknęła: „O kurwa, *jestem* Meksykanką! ¡Hijo de puta!”. Było to dawno temu.

Przed rozpaleniem ogniska wicedyrektor Molina zwróciła się do swoich zastępów. Ton jej głosu oraz wyraz powagi na twarzy stanowiły wyraźny sygnał, że jest generałem na skraju wyczerpania. Pogodzonym z tym, że jej czarne i brązowe oddziały, które wysyła w świat, nie mają zbyt wielkich szans. *Cada día de carreras profesionales yo pienso la misma cosa. De estos doscientos cincuenta niños, ¿cuántos terminarán la escuela secundaria? ¿Cuarenta pinche por ciento? Órale, y de esos cien con suerte, ¿cuántos irán a la universidad? ¿online, zaocznego, cyrkowego o lo que sea? Jakaś piątka, más o menos. ¿Y cuántos graduarán? Može dwójka. Qué lástima. Estamos chingados.*

I choć, jak większość czarnych mężczyzn, którzy dorastali w Los Angeles, jestem dwujęzyczny tylko na tyle, że umiem seksualnie molestować kobietę dowolnego pochodzenia etnicznego w jej rodzimym języku, zrozumiałem meritum przekazu. Te dzieci miały przejebane.

Zaskoczyło mnie to, jak wiele dzieciaków miało zapalniczki, ale mimo wielu prób rozpalenia ogniska przemoknięte drewno nie chciało się zająć. Charisma wysłała grupkę uczniów do szopy. Wrócili z tekturowymi pudłami i wysypali ich zawartość na ziemię. Wkrótce zrobiła się z tego piramida książek, szeroka na półtora metra, wysoka na metr, która wciąż rosła.

– No i na co, kurwa, czekacie?

Nie musiała się prosić. Książki zajęły się jak podpałka i w niebo wystrzeliły słusznej wielkości płomienie. Przy ognisku uczniowie wesoło piekli pianki nabite na ołówki HB.

Odciągnąłem Charismę na bok. Nie mogłem uwierzyć w to, że pali książki.

– Myślałem, że macie niedobory pomocy szkolnych.

– To nie są książki. Foy Cheshire je przysłał. Ma cały program szkolny pod tytułem *Na stos z listą lektur!*, składający się z nowych wersji klasyki, na przykład *Apartamentu Wuja Toma* czy *Rozgrywającego w zbożu*, który próbuje przepchnąć w kuratorium. Próbowaliśmy wszystkiego – zmniejszenia klas, wydłużenia lekcji, uczenia dwujęzkowo, jednojęzkowo, podjęzkowo, czarnielskiego, metody fonetycznej, hipnotycznej, kolorów, które miały zapewniać najlepsze środowisko do nauki. Nieważne jednak, na jaki odcień pomalujesz ściany, umiarkowanie chłodny czy ciepły, ostatecznie i tak wszystko sprowadza się do białych nauczycieli omawiających białą metodologię przy białym winie i jakiegoś białego kuratora, który grozi szkole przejściem pod zarząd komisaryczny, bo zna Foya Cheshire'a. Nic nie działa. Ale prędzej dam się pokroić, niż pozwolę, by Gimnazjum P. Levy rozdawało uczniom *Żałoba przystoi Madei*.

Kopniakiem odsunąłem od ognia częściowo nadpalony egzemplarz. Okładka była osmalona, ale wciąż czytelna. *Wielki Czarnsby*, strona pierwsza:

Bez kitu. W czasach gdy byłem młody, głupi i stawał mi jak drągal, mój wszechobecny, szanujący moją matkę, w ogóle niestereotypowy afroamerykański tatuś zapodał mi radę, do której po dziś dzień wracam pamięcią, kiedy się ujaram.

Wziąłem zapalniczkę i własnoręcznie spaliłem książkę do reszty. Nad jej płonącymi kartkami piekłem nadziane na drewnianą linijkę pianki, które uprzejmie wręczyła mi Sheila. Ze skakanki zrobiła lasso i głaskała ciele po głowie, podczas gdy latynoski chłopiec próbował chirurgicznie przymocować mu jądra za pomocą spinacza i kleju biurowego, aż wreszcie Charisma chwyciła go za kark i podniosła z ziemi.

– Dobrze się bawicie na Festiwalu Zawodów, dzieci?

– Chcę być weterynarzem! – odparła Sheila.

– Ale „gejoskie”! – rzucił jej latynoski prześladowca, zonglując gonadami jednorącz.

– Żonglowanie jest „gejoskie”!

– „Gejoskie” jest nazywanie kogoś, kto nazwał cię „gejoskim”, bo nazwałeś go „gejoskim”!

– Okej, wystarczy – przerwała im Charisma. – Boże, czy jest cokolwiek, co waszym zdaniem nie jest „gejoskie”?

Grubasek zastanowił się przez chwilę.

– Wie pani co nie jest „gejoskie”? Gejstwo.

Płacząc ze śmiechu, Charisma klapnęła na plastikową beżową ławkę w chwili, gdy zabrzmiał

dzwonek o trzeciej – był to długi dzień. Przysiadłem obok niej. Chmury wreszcie się oberwały i mżawka przeszła w regularną ulewę. Uczniowie i nauczyciele pobiegli do samochodów, na przystanek autobusowy, w ramiona oczekujących rodziców, a my siedzieliśmy w strugach deszczu, jak porządni Południowokalifornijczycy: bez parasoli, słuchając syku kropli spadających na powoli gasnący ogień.

– Wymyśliłem, jak zmusić dzieciaki, żeby odnosiły się do siebie z szacunkiem i zachowywały tak jak w autobusie.

– Jak?

– Wprowadzić w szkole segregację.

W chwili gdy to powiedziałem, zrozumiałem, że to właśnie segregacja przywróci Dickens do życia. Odczuwane w autobusie poczucie wspólnoty przeniesie się na szkołę i rozszerzy na resztę miasta. Apartheid zjednoczył czarną Afrykę Południową, dlaczego nie miałby zrobić tego samego w Dickens?

– Rasową? Chcesz wprowadzić w szkole segregację według koloru skóry?

Charisma spojrzała na mnie, jakbym był jednym z jej uczniów. Nie głupim, ale bezmyślnym. Gdyby jednak ktoś mnie pytał, to w gimnazjum Plewy segregację wprowadzono już dawno, i to na dziesiątą stronę – może nie na podstawie koloru skóry, ale na pewno na podstawie zdolności czytania i problemów z zachowaniem. Uczniowie z grupy „angielski to mój drugi język” szli innym torem nauczania niż uczniowie z grupy „mówię po angielsku wtedy i tylko wtedy, kiedy mi się chce”. W trakcie Miesiąca Czarnej Historii ojciec oglądał w telewizji archiwalne filmy, na których płonęły „autobusy wolności”, a psy ujadły i warczały, i mówił wtedy: „Nie możesz wymusić integracji, chłopcze. Ludzie, którzy chcą się zintegrować, się zintegrują”. Nigdy nie doszedłem do tego, czy się z nim zgadzam czy nie, ani do jakiego stopnia, ale ta uwaga wryła mi się w mózg. Za jej sprawą uświadomiłem sobie, że dla wielu ludzi integracja to zamknięta kwestia. Tu, w Ameryce, „integracja” może być przykrywką. „Nie jestem rasistką. Mój chłopak, kuzyn, prezydent jest czarny (czy cokolwiek)”. Problem polega na tym, że nie wiemy, czy integracja jest stanem naturalnym czy nie. Czy integracja – przymusowa lub nie – to społeczna entropia czy społeczny porządek? Nikt nigdy nie zdefiniował tego pojęcia. Charisma zastanawiała się nad segregacją, obracając piankę nad ogniem. Wiedziałem, o czym myśli. Myślała o tym, że jej Alma Mater, gimnazjum Plewy, jest teraz w siedemdziesięciu pięciu procentach latynoskie, a za jej czasów było w osiemdziesięciu procentach czarne. Myślała o opowieściach swojej matki, Sally Moliny, wspomnieniach z lat czterdziestych i pięćdziesiątych o dorastaniu w objętym segregacją małym miasteczku w Arizonie. Jak musiała siadać po nagrzaną stronę kościoła, najdalej od Jezusa i wyjść awaryjnych. Chodzić do meksykańskich szkół. Pochować rodziców i małego brata na meksykańskim cmentarzu za miastem, przy szosie numer 60. Jak w 1954 roku, kiedy jej rodzina przeniosła się do Los Angeles, dyskryminacja rasowa wyglądała tam z grubsza tak samo. Z wyjątkiem tego, że w przeciwieństwie do czarnych andżelesan mogli korzystać z publicznych plaż.

– Chcesz wprowadzić w szkole segregację rasową?

– Tak jest.

– Jeśli uważasz, że ci się uda, proszę bardzo. Ale mówię ci: za dużo Meksykanów.

Nie wiem jak dzieci, ale w drodze z Festiwalu Zawodów do domu – ze świeżo wykastrowanym cielakiem na przednim siedzeniu pikapa, wystawiającym głowę za okno i łapiącym językiem krople deszczu – poczułem się jak nigdy wcześniej, nowy cel tchnął we mnie energię. Jak to powiedziała Charisma: „Widmo segregacji ponownie zjednoczyło Dickens”.

Postanowiłem dać sobie sześć miesięcy w nowym zawodzie. Pół roku jako Miejski Komisarz do spraw Przywrócenia i Segregacji. A gdyby nie wyszło, zawsze mogłem wrócić do bycia czarnym.

XII

Tamtego lata po Festiwalu Zawodów lało jak z cebra. Białasy na plaży nazywały to „sranikują”. W prognozie pogody mówiono wyłącznie o rekordowych opadach i nieustannym zachmurzeniu. Każdego dnia około dziewiętej trzydzieści u wybrzeża powstawał niż i lało do wczesnego popołudnia. Niektórzy nie surfują w deszczu, inni nawet nie wychodzą po burzy, obawiając się, że złapią żółtaczkę od tego szlamu i trującego świństwa, które spływa do Pacyfiku po każdym oberwaniu chmury. Ja akurat lubię chwycić fale w deszczu – mniej dupków w kolejce, nie ma windsurferów. Wystarczy trzymać się z daleka od *arroyo* w pobliżu Malibu i Rincon, które często niosą szambo. Tamtego lata nie martwiłem się jednak mikrobami ani odchodami. Zadręczałem się moimi satsumami i segregacją. Jak w monsunowych warunkach uprawiać cytrusy tak wrażliwe na zmiany wilgotności? Jak wprowadzić segregację rasową w szkole, w której już panuje segregacja?

Sorgo, reakcjonista rasowy, był bezużyteczny. Podobał mu się pomysł ponownego wprowadzenia segregacji szkolnej, bo sądził, że dzięki temu Dickens stanie się atrakcyjniejszym miejscem dla białych, którzy zaczną się tu znowu sprowadzać. Że Dickens znów stanie się kwitnącym białym przedmieściem z czasów jego młodości. Smukłe cadillaki. Słomkowe kapelusze i szkolne potańcówki. Episkopalia i prozione podwieczorki. Jak mówił: nastąpiłoby przeciwieństwo „ucieczki białych”⁵⁹, czyli „Ku Klux Plan (zasiedlenia)”. Kiedy jednak zapytałem go, jak to zrobić, wzruszył ramionami i niczym wyprany z jakichkolwiek pomysłów konserwatywny senator próbował zbajerować mnie opowiadaniem wyjętych z dupy klechd o starych, dobrych czasach. „Pewnego dnia, w odcinku pod tytułem *Papa Quisling*, Szalej nie chce pisać kartkówki z historii, do której się nie przygotował, więc podpala biurko, co ostatecznie prowadzi oczywiście do pożaru całej szkoły, i gang musi pisać klasówkę na wozie strażackim, bo panna Crabtree nie daje sobie lecieć w kulki”. Potem przyszło poczucie winy, że jestem segregacjonistą. Siedziałem po nocach, próbując przekonać Misia Słoneczne Serce – którego żółciutkie futerko z czasem pokryło się plamami i przybrało kolor brudu spod paznokci – że ponowne wprowadzenie segregacji będzie czymś dobrym. Że jak Paryż ma wieżę Eiffla, Saint Louis Łuk Wjazdowy, a Nowy Jork wykurwiście wielkie nierówności dochodów, tak Dickens będzie miało segregację w szkołach. W najgorszym wypadku zostanie nam fajna broszura Ministerstwa Handlu. *Witamy we wspomniałym mieście Dickens: miejskim rajem nad brzegiem rzeki Los Angeles, słynnym z powodu snujących się gangów, emerytowanego gwiazdora filmowego i segregacji w szkołach!*

Wielu ludzi twierdzi, że najlepsze pomysły przychodzą im do głowy w wodzie. Pod prysznicem. W czasie kąpieli w basenie. W oczekiwaniu na falę. To coś związanego z jonami ujemnymi, szumem białym i odizolowaniem. Można by zatem pomyśleć, że surfowanie w deszczu jest odpowiednikiem jednoosobowej burzy mózgow – ale nie w moim przypadku. Dobre pomysły przychodzą mi do głowy nie, kiedy surfuję, ale kiedy po surfingu wracam do domu. Tak oto, stojąc w korku po którejś z przyjemnych deszczowych lipcowych sesji, śmierząc ściekami i glonami, patrzyłem przez okno, jak bogate dzieciaki specjalnej troski wybiegają z letnich zajęć w Akademii Skrzyżowanie, prestiżowej, prywatnej „opoki wiedzy” z widokiem na ocean. Kiedy przebiegały przez ulicę do oczekujących limuzyn i luksusowych

samochodów, pokazywały mi shake i znaki gangu, po czym wtykały mi kudłate łby przez okno i pytały: „Stary, masz jakieś zioło? Aloha, afroamerykański surferze!”.

Mimo lejącego deszczu uczniowie nie mokli. Głównie dlatego, że lokaje i pomywaczki z parasolami w dłoniach biegali za swoimi krnąbrnymi podopiecznymi, ale niektóre dzieciaki były po prostu zbyt białe, żeby zmoknąć. Spróbujcie wyobrazić sobie Winstona Churchilla, Colina Powella, Condoleezę Rice czy Jeźdźca Znikąd przemoczonych od stóp do głów i zrozumiecie, o czym mówię.

Kiedy miałem osiem lat, Papcio przez chwilę bił się z myślami, czy nie zapisać mojego leniwego intelektualnie dupska do fikuśnej szkoły prywatnej. Stał nade mną, kiedy po kolana w błocie sadziłem ryż. Wymamrotał coś o wyborze między Żydami z Santa Monica a gojami z Holmby Hills, po czym wyrecytował wyniki badań: że czarne dzieci, które chodzą do szkoły z białymi dziećmi (jakiegokolwiek wyznania), „radzą sobie lepiej”, po czym wskazał na inne niezbyt wiarygodne wyniki, że czarnym w czasach segregacji „wiodło się lepiej”. Nie pamiętam, co znaczyło „wieść się lepiej” i dlaczego nie poszedłem do Skrzyżowania albo Akademii Haverford-Meadowbrook. Może chodziło o dojazd. Może było za drogo. Ale gdy patrzyłem, jak te dzieciaki, synowie i córki magnatów przemysłu filmowego i muzycznego, wychodzą z tego supernowoczesnego budynku, olśniło mnie, że jako uczeń Szkoły Domowej Tatusia (zakres edukacji: od przedszkola po wieczność) zostałem beneficjentem szkolnictwa, w którym panowała najściślejsza możliwa segregacja – w dodatku szczęśliwie nienarażonym na luksusowe baseny, domowe foie gras i amerykański balet. I choć nie przybliżyło mnie to ani o jotę do ocalenia zbiorów satsumy, wpadłem na pomysł, jak wprowadzić segregację rasową w szkole, która – z całym dobrodziejstwem inwentarza, z Latynosami włącznie – była całkowicie czarna. Jechałem do domu, a w głowie pływał mi głos Ojca.

Kiedy dotarłem do domu, Sorgo czekał na mnie pod wielkim zielono-białym parasolem golfowym, bosymi pokrzywionymi stopami zapadnięty głęboko w mokrą trawę. Odkąd zgodziłem się wprowadzić segregację w gimnazjum, stał się znacznie lepszym pracownikiem. Nie żeby został nagle Johnem Henrym⁶⁰, co to to nie, ale jeśli coś na farmie go zainteresowało, to przynajmniej wykazywał nieco inicjatywy. Od pewnego czasu bardzo troszczył się o krzew satsumy. Potrafił stać przy nim godzinami, odganiając robale i ptaki. Satsuma przypominała mu życie towarzyskie z czasów pracy w przemyśle filmowym. Walki na kciuki z Dychaczem. Plaskacze wymierzone w kark Grubaskowi Arbuckle. Granie w „szczerłość czy odwaga?”, gdzie przegrany musiał przebiec nago przez plan zdjęciowy Flipa i Flapa. To w trakcie długich przerw między kolejnymi ujęciami na planie *Szału na kortach* Sorgo odkrył satsumę. Większość gangu siedziała już przy stole z cateringiem, żłowiąc wodę sodową z syropem. Tamtego dnia na planie pojawili się jednak jacyś właściciele kin z Południa i wytwórnia, chcąc uszanować ichniejszy system kastowy, który zakazywał pokazywania bawiących się razem białych i czarnych dzieci, poleciła Sorgowi i Grysikowi, by zjedli lunch z japońskimi statystami, których podczas akcji deportacyjnej imigrantów w trzydziestym szóstym zwerbowano do grania meksykańskich bandytów. Statyści poczęstowali gości potrzaskanym makaronem soba oraz importowanymi z Kraju Wschodzącego Słońca satsumami. Dla czarnych chłopców te owoce o doskonale wyważonym słodko-gorzkiemu smaku były jedyną rzeczą, która usuwała im z ust paskudny posmak arbuza z gagów. Ostatecznie Grysik i Sorgo zastrzegli sobie w kontraktach, że na planie mogą być tylko satsumy. Żadnych klementynek, mandarynek czy tangelo. Nic bowiem nie przywraca tak godności po całym dniu ciężkiego murzynowania, jak słodka, soczysta satsuma.

Sorgo nadal sądzi, że to dla niego doglądam krzewu. Nie wie, że zasadziłem go w dniu, kiedy

Marpessa i ja oficjalnie się rozstaliśmy. Zdałem egzaminy po pierwszym semestrze pierwszego roku studiów i pojechałem do domu, lecąc na zachód szosą CA-91, podekscytowany perspektywą gratulacyjnego pukanka, podczas gdy czekała na mnie tylko przypięta perłowym kolczykiem do ucha wieprza karteczka z napisem: *No nie, czarnuchu*.

Teatralnie uczeplił się rękawa mojej pianki.

– Massa, kazałeś mi powiedzieć, kiedy satsumy będą wielkości piłeczki pingpongowej.

Sorgo trzymał mi nad głową parasol jak wierny caddy, który nie opuszcza swojego golfisty nawet w trakcie żałośnie spapranej rundy. Wręczył mi refraktometr i zaciągnął mnie do ogrodu, gdzie przez błoto dobrnęliśmy do stojącego w wodzie krzewu.

– Proszę, panie, szybko. Boję się, że nie dadzą rady.

Większość cytrusów wymaga częstego podlewania, ale w przypadku satsumy jest odwrotnie. Wodę zmienia w szczyiny i choć przycinałem ją ile wlezie, plon zwisał z gałęzi ciężko i groźnie. Wiedziałem, że jeśli nie znajdę sposobu na zmniejszenie nawodnienia, zbiory będą gówniane, a ja zmarnuję dziesięć lat i dwadzieścia kilo importowanego z Japonii nawozu. Zerwałem owoc z najbliższego drzewa. Naciąwszy go jakieś pół centymetra nad pępkiem, wbiłem kciuk w chropowatą skórę, zdarłem ją i wycisnąłem parę kropli do refraktometru – przedrożonej japońskiej maszynki, która mierzy zawartość sacharozy w soku.

– Co mówi? – zapytał z desperacją w głosie.

– Dwa przecinek trzy.

– Ile to na skali słodkości?

– Gdzieś między Ewą Braun a południowoafrykańską kopalnią soli.

Choć zaklinałem czarnuchów, to nigdy nie zaklinałem moich roślin. Nie uważam ich za istoty rozumne, ale kiedy Sorgo poszedł do domu, rozmawiałem z tymi krzewami przez bitą godzinę. Czytałem im wiersze i śpiewałem bluesa.

XIII

Bezpośredniej dyskryminacji z powodu rasy doświadczyłem tylko raz w życiu. Pewnego dnia, jak idiota, powiedziałem ojcu, że w Ameryce nie ma rasizmu. Że istnieją równe szanse, które czarni odrzucają, bo nie chcą brać za siebie odpowiedzialności. Jeszcze tego samego dnia, w środku nocy, wyrwał mnie z łóżka i wziął na nieprzemysłaną wycieczkę w głąb kraju, do samego jądra najbielszej Ameryki. Po trzech dniach ciągłej jazdy zatrzymaliśmy się w jakimś bezimiennym miasteczku w stanie Missisipi, na które składały się pyliste skrzyżowanie, spiekota, wrony, pola bawełny i – sądząc po rysującej się na twarzy mojego ojca pełnej wyczekiwania ekscytacji – czysty, nieskażony rasizm.

– Proszę – powiedział, wskazując na zapuszczony sklepik, tak przestarzały, że automat do flippera, który wesoło migotał w oknie, przyjmował tylko dziesięciocentówki i pokazywał najwyższy wynik: oszałamiające 5637 punktów.

Rozejrzałem się za rasizmem. Przed sklepem, na drewnianych skrzynkach po coca-coli, siedziało trzech tęgich białych mężczyzn, których wieku nie sposób było odgadnąć, o spieczonych słońcem twarzach, z kurzymi łapkami wokół oczu. Głośno napierdalali o jakichś zbliżających się wyścigach samochodowych. Podjechaliśmy na stację benzynową po drugiej stronie ulicy. Zaterkotał dzwonek, który wystraszył zarówno czarnego pracownika, jak i mnie. Niechętnie oderwał się od szachów, w które grał ze swoim kolegą na podpiętej do telewizora konsoli.

– Do pełna, proszę.

– Jasna sprawa. Sprawdzić olej?

Ojciec kiwnął głową, nie spuszczać wzroku ze sklepu. Pracownik w niebieskim kombinezonie, Clyde – jeśli rzeczywiście nazywał się tak, jak miał wyszyte fikuśną czerwoną kursywą na białej łatce – zabrał się do roboty. Sprawdził olej, ciśnienie w oponach, przejechał tłustą szmatą po przedniej i tylnej szybie. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek wcześniej widział kogoś wykonującego tę pracę z uśmiechem. I nie wiem, czym spryskał okna, ale nigdy nie były tak czyste. Kiedy bak został już napełniony, Ojciec zapytał Clyde'a:

– Czy moglibyśmy se tu z chłopakiem przysiąc ździebko?

– Jasna sprawa.

Ździebko? Zwiesiłem głowę zawstydzony. Nie znoszę, kiedy ludzie zaczynają wsiurzyć przy czarnych, bo uważają się za lepszych od nich. Co jeszcze? Poszłem? Siemanko? Refren z *Who Let the Dogs Out?*

– Tato, co my tu robimy? – wymamrotałem z ustami pełnymi solonych krakersów, którymi się napychałem, od kiedy mineliśmy Memphis. Wszystko, byle zapomnieć o upale, niekończących się polach bawełny i uwolnić się od myśli, jak straszne musiało być niewolnictwo, skoro ludzie byli gotowi wmówić sobie, że Kanada wcale nie jest tak daleko. Choć nigdy o tym nie mówił, Ojciec, jak jego zbiegli z niewoli przodkowie, także uciekł do Kanady, chroniąc się przed poborem i wojną w Wietnamie. Jeśli czarni dostaną kiedyś odszkodowania za niewolnictwo, to znam masę skurwieli, którzy wiszą Kanadzie zaległe podatki i kasę za czynsz.

– Tato, co my tu robimy?

– Bezwstydnie się gapimy – powiedział, wyjmując z fikuśnego skórzanego etui ogromną

wojskową lornetkę godną generała Pattona, i spojrzął na mnie przez to wielkie czarne metalowe okropieństwo. Grube soczewki sprawiały, że miał oczy wielkości bil do snookera. – I mam na myśli naprawdę bezwstydnie!

Dzięki niezliczonym quizom mojego ojca na temat afroamerykańskiej kultury popularnej oraz książce Ishmaela Reeda⁶¹, która latami leżała koło kibla, wiedziałem, że „bezwstydne gapienie się” zachodzi wtedy, kiedy czarny mężczyzna odważy się spojrzeć na białą kobietę z Południa. I oto mój tata gapił się przez lornetkę na drzwi do sklepu niecałe dziesięć metrów od niego, a słońce Missisipi odbijało się w ogromnych soczewkach jak w dwóch halogenowych lampach. Przed sklep wyszła jakaś kobieta, na sukience w kratkę miała fartuch, w ręku trzymała wiklinową miotłę. Zaczęła zamiatać, zasłaniając oczy przed błyskiem. Biali mężczyźni, z rozłożonymi nogami i rozdziawionymi ustami, nie mogli uwierzyć w zuchwałość tego jebanego czarnucha.

– Patrz, jakie cycki! – krzyknął mój ojciec na tyle głośno, by usłyszało go całe zabite dechami hrabstwo. Wcale nie miała jakichś szczególnych, ale wyobrażam sobie, że przez kieszonkowy odpowiednik teleskopu Hubble’a jej miseczki w rozmiarze B wyglądały jak (odpowiednio) sterowiec Hindenburg i sterowiec Goodyear. – Teraz, chłopcze, teraz!

– Co teraz?

– Idź tam i zagwizdź na tę białą kobietę.

Wypchnął mnie z auta, co wzbiło oślepiający tuman żyznego czerwonego kurzu Missisipi, i przeszedłem na drugą stronę dwupasmówki, pokrytej tak grubą warstwą twardej jak skała gliny, że nie wiem, czy kiedykolwiek wylano pod nią asfalt. Posłusznie stanąłem przed panią i zacząłem gwizdać. A przynajmniej próbowałem. Ojciec nie wiedział bowiem, że gwizdać nie umiem. Gwizdania uczy się człowiek w podstawówce, razem z kilkoma innymi rzeczami, a mnie uczono w domu, więc spędzałem przerwy, stojąc na poletku bawełny za domem i wymieniając z pamięci nazwiska wszystkich Murzynów zasiadających w Kongresie w epoce Rekonstrukcji: Blanche Bruce, Hiram Rhodes, John R. Lynch, Josiah T. Walls... Choć więc wydaje się to proste, naprawdę nie wiem, jak odpowiednio złożyć wargi i dmuchnąć. Nie umiem też zrobić wolkańskiego salutu, wybekać alfabetu na zawołanie i pokazać faka bez składania nieobrazających palców drugą ręką. Na pewno też nie pomogło, że miałem pełne usta – i skutek był taki, że nierytmicznie wyplułem na wpeł pogryzione krakersy prosto na ładny różowy fartuch kobiety.

– Co ten wariat wyrabia? – zaczęli się dopytywać biali mężczyźni w przerwach między przewracaniem oczami a spluwaniem tytoniem.

Najcichszy członek tria wstał i wygładził dłońmi koszulkę z napisem *Żadnych czarnuchów w NASCAR*. Powoli wyjął wykałaczkę z ust i powiedział:

– To *Boléro*. Mały czarnuch gwizdże *Boléro*.

Podskoczyłem z radości i przybiłem mu piątkę. Miał rację, oczywiście, próbowałem odtworzyć arcydzieło Ravela. Może i nie umiem gwizdać, ale zawsze potrafię zanucić melodię.

– Co, *Boléro*? Ty głupi skurwielu!

To był Papcio. Wyskoczył z auta i ruszył w moją stronę tak szybko, że wzniecony przezeń tuman wzniecił swój własny tuman. Nie był zadowolony, bo ewidentnie nie tylko nie wiedziałem, jak gwizdać, ale też nie wiedziałem, co gwizdać.

– Powinieneś gwizdać na nią, nie do niej! O tak...

Złożył usta i cały czas gapiąc się bezwstydnie na białą kobietę, zagwizdał na nią tak lubieżnie i obleśnie, że aż zwinęły się jej ładnie wypedikiurowane palce stóp i oklapła wpięta w blond

włosy gustowna czerwona kokarda. Teraz była jej kolej. Kiedy mój ojciec stał tak przed nią, pożądlivy i czarny, kobieta nie tylko gapiała się bezwstydnie na *niego*, lecz także bezwstydnie zaczęła macać go przez spodnie po kutasie. Ugniatała mu krocze, jakby z całych sił wyrabiała ciasto na pizzę.

Tata szybko powiedział jej coś na ucho, wręczył mi pięciodolarowy banknot, powiedział „zaraz wracam” i pędem odjechali jakąś piaszczystą dróżką. Zostawiając mnie, żebym został zlinczowany za jego zbrodnie.

– Czy stąd do Natchez jest jakiś czarny koleś, co by się z nim Rebecca nie grzmociła?

– No, przynajmniej wie dziolcha, co lubi. Twój głupi kutas dalej nie wie, czy lubi facetów czy nie.

– Jestem biseksualny. Jedno i drugie lubie.

– Nie ma czegoś takiego. Jesteś taki albo śmaki. „To tylko taka faza na Dale’a Earnhardta”. Jasssne, kurwa.

Kiedy chłopaki sprzeczały się na temat istoty ludzkiej seksualności oraz jej przejawów, ja – dziękując Bogu, że uszedłem z życiem – wszedłem do sklepu po coś do picia. Mieli tylko jeden napój w jednej wersji – coca-colę w klasycznej butelce dwieście mililitrów. Otwarłem kapsel i patrzyłem, jak w promieniach słońca musują bąbelki dwutlenku węgla. Nie umiem opisać wam, jak pyszna była ta cola, ale jest taki stary dowcip, który zrozumiałem dopiero, kiedy wlałem sobie do gardła ten kojący gazowany brązowy nektar.

Wsiur Bubba, czarnuch i Meksykanin siedzą na przystanku autobusowym, kiedy nagle BUM!, dym i ni stąd, ni zowąd pojawia się dżin. „Každy z was ma jedno życzenie”, mówi dżin, poprawiając turban i rubinowe pierścienie na palcach. Czarnuch mówi: „Chciałbym, żeby wszyscy czarni, moi bracia i siostry, byli w Afryce, gdzie ziemia nas wyżywi i wszyscy Afrykanie będziemy żyć w dobrobycie”. Dżin robi ruch dłonią i BUM!, wszyscy czarni znikają z Ameryki i pojawiają się w Afryce. Na to Meksykanin mówi: „Órale, to mi się podoba. Chcę, żeby wszyscy moi *compatriotas* byli w Me-hi-ko, gdzie będziemy dobrze żyli, pijąc morze wspaniałej tequili”. BUM! Wszyscy trafiają do Meksyku i znikają z Ameryki. Wtedy dżin odwraca się do wsiura Bubby i pyta: „A ty czego byś chciał, sahib? Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem”. Bubba patrzy na dżina i mówi: „Czyli że wszyscy Meksykańcy są w Meksyku, a wszystkie czarnuchy w Afryce?”.

„Tak, sahib”.

„Gorąco jest, cola raz”.

Oto jak pyszna była tamta cola.

– To będzie siedem centów. Po prostu zostaw pieniądze na ladzie, chłopcze. Nie wiadomo, kiedy wróci twoja nowa mamusia.

Dziesięć butelek i siedemdziesiąt centów później nie widać było ani mojej nowej matki, ani mojego starego ojca, a mi się okrutnie chciało sikać. Goście na stacji benzynowej dalej grali w szachy. Cursor Clyde’a migał wyczekująco w rogu, jakby od następnego ruchu zależał los świata. Jebnął koniem. „Nie zmylisz nikogo tym swoim gambitem sycylijskim. Masz kurewsko słabe przekątnie”.

Pęcherz mi pękał, więc zapytałem czarnego Kasparowa, gdzie jest łazienka.

– Toalety są tylko dla klientów.

– Ale mój tata kupił tu benzynę...

– I twój tata może sobie tutaj srać ile dusza zapragnie. Ty jednak pijesz colę białasów, jakby u nich lód był zimniejszy niż u nas.

Wskazałem rząd butelek w lodówce.

– Po ile?

– Dolar pięćdziesiąt.

– Ale naprzeciwko kosztują siedem centów.

– To kupuj u białych, aż się zesrasz. Dosłownie.

Czarny Bobby Fischer, współczując mi i wygrywając na punkty, wskazał majaczący w oddali stary dworzec autobusowy.

– Widzisz ten opuszczony dworzec autobusowy koło odziarniarki?

Rzuciłem się biegiem. Choć budynek był od dawna zamknięty, kulki przędzy wciąż unosiły się na wietrze niczym drapiące płatki śniegu. Dobiłem na tył, minawszy odziarniarę, stos pustych palet, zardzewiały wózek widłowy i ducha Eliego Whitneya⁶². Brudna klitka z jednym sedesem roiła się od much. Podłoga i deska lepily się jak lep na te muchy. Cztery pokolenia pijących w pracy chłoptasiów o bezdennych pęcherzach, którzy wysikiwali tu niezliczone litry czystego moczu, sprawiły, że muszla przybrała matowożółte zabarwienie. Ostry smród niespuszczonego rasizmu i niespuszczonego gówna wżarł mi się w twarz i przyprawił o gęsią skórę. Powoli się wycofałem. Pod wyblakłym TYLKO DLA BIAŁYCH, wymalowanym od szablonu na upaprzanych drzwiach sanitariatu, napisałem palcem na brudzie BOGU DZIĘKI, po czym wysikałem się na mrowisko. Bo najwyraźniej reszta planety była „Tylko dla kolorowych”.

XIV

Na pierwszy rzut oka Dony, pagórkowata dzielnica jakieś piętnaście kilometrów na północ od Dickens, dokąd przeniosła się Marpessa po ślubie z MC Polotem, wygląda jak każda zamożna afroamerykańska enklawa. Kręte trzypasmowe ulice. Domy z nieskazitelnymi ogrodami w stylu japońskim. Wietrzyk, który jakimś sposobem wygrywa piosenki Steviego Wondera. Z dumą prezentowane na trawniku amerykańskie flagi i plakaty wyborcze skorumpowanych polityków. Kiedy jeszcze się spotykaliśmy, czasami po randce jeździliśmy z Marpessą do tej dzielni, kręciliśmy się pikapem Tatusia po ulicach noszących hiszpańskie nazwy: Don Lugo, Don Marino, Don Felipe. Nowoczesne, choć małe domy z basenami, kamiennymi fasadami, oknami do podłogi, loggiami z widokiem na centrum Los Angeles. Nazywaliśmy je „domami z *The Brady Bunch*”, na przykład: „Przyszli ci jebani Wilcoxowie, stary. Czarnuchy czilują się w jednym z tych brady bunchów przy Don Kichot”. Chcieliśmy pewnego dnia zamieszkać w takim domu i mieć gromadkę dzieci. Nie miało nas spotkać nic gorszego niż to, że fałszywie oskarżymy naszego pierworodnego o palenie papierosów, ewentualnie że nasza córka dostanie piłką w nos albo że nasza troszkę puszczalska pomoc domowa znowu spróbuje uwieść listonosza. A później mieliśmy umrzeć i – jak wszystkie porządne amerykańskie rodziny – trafić do międzynarodowej dystrybucji.

Od kiedy rozstaliśmy się dziesięć lat temu, od czasu do czasu parkowałem przed jej chatą, czekałem, aż zgasną światła, i przez lornetkę oraz szparę między zasłonami okna w salonie obserwowałem życie, które powinno było być moim życiem: sushi, scrabble, dzieci odrabiające lekcje w salonie i bawiące się z psem. Kiedy dzieci szły do łóżka, oglądałem z Marpessą *Nosferatu* i *Metropolis*, płacząc jak dziecko, bo Paulette Goddard i Charlie Chaplin w *Dzisiejszych czasach*, krążący wokół siebie jak dwa psy w rui, przypominali mi nas. Czasami zakradałem się na ganek i wtykałem w przesuwne drzwi zdjęcie rosnącego krzewu satsumy, podpisane z tyłu: *Pozdrowienia od naszego syna, Kazuo*.

Niewiele można zdziałać w kwestii wprowadzenia segregacji, kiedy szkoła ma wakacje, więc tamtego lata pod jej domem spędziłem więcej czasu, niż byłbym gotów to przyznać ze względów prawnych, aż wreszcie do porzucenia mojej stalkerskiej rutyny zmusił mnie dwunastometrowy autobus miejski, który pewnej ciepłej sierpniowej nocy zaparkował na podjeździe Marpessy. Nie jest niczym niezwykłym, że czarne niebieskie kołnierzyki, tak jak białe kołnierzyki, czasem zabierają pracę do domu. Bez względu na to, jakie się ma dochody, wciąż sprawdza się stare powiedzenie, że w pracy trzeba być dwa razy lepszym od białego, w połowie tak dobrym jak Chińczyk i czterokrotnie lepszym od ostatniego Murzyna, którego szef zatrudnił. Tak czy inaczej, byłem cholernie zaskoczony widokiem stodwudziestki na podjeździe Marpessy – tył autobusu tarasował chodnik, a opony z prawej strony niszczyły idealny niegdyś trawnik.

Ze zdjęciem krzewu w ręce przekradłem się za gardeniami i tabliczką firmy ochroniarskiej. Wspiąłem się na palce i osłaniając oczy przed światłem, zajrzałem przez boczne okno. Nawet w chłodnym nocnym powietrzu pojazd był wciąż gorący, pachniał benzyną i potem klasy robotniczej. Minęły cztery miesiące od imprezy urodzinowej Sorga, a napisy MIEJSCA ZAREZERWOWANE DLA OSÓB STARSZYCH, NIEPEŁNOSPRAWNYCH I BIAŁYCH wciąż wisiały. Ciekawe, jak jej to uszło na sucho, powiedziałem na głos.

– Mówi, że to projekt artystyczny, czarnuchu.

Wbijająca mi się w policzek krótkolufowa trzydziestkaósemka była zimna i bezosobowa, ale głos za nią stanowił jej dokładne przeciwieństwo: był ciepły i przyjacielski.

– Stary, gdybym nie poznał tego smrodu krowiego łajna, byłbyś martwy jak dobra czarna muzyka.

Stevie Dawson, młodszy brat Marpessy, obrócił mnie i z bronią w ręku zrobił ze mną miśka. Za nim stał wstawiony Kuz z głupawym uśmiechem na pysku. Jego Stevie wyszedł z paki. Też się ucieszyłem: kopę lat. No, co najmniej dziesięć. Stevie cieszył się renomą jeszcze nikkczemniejszego niż Kuz. Nie należał do żadnego gangu tylko dlatego, że dla Cripsów był zbyt szalony, a dla Bloodsów zbyt wredny. Nie znosił ksywek, bo uważał, że prawdziwe skurwiele ich nie potrzebują. I choć jest kilku twardzieli, którzy reagują na swoje imiona z metryki, kiedy czarnuchy mówią „Stevie”, jest to jak chiński homofon. Lokals od razu wie, o kim mowa. W Kalifornii – jak w bejsbolu – masz trzy próby. Jeśli zostałeś skazany za dwa przestępstwa, następny wyrok skazujący, choćby za głupotę, może oznaczać dożywocie. Gdzieś po drodze łapacz musiał przepuścić trzecie uderzenie Stewiego, bo system wysłał go z powrotem na boisko.

– Jak wyszedłeś?

– Polot go wyciągnął – odpowiedział Kuz, proponując mi łyka dżinu Tanqueray, smakującego równie obrzydliwie, co popitka: dietetyczna oranżada o smaku grejpfrutowym.

– Niby jak? Grał jeden z tych swoich gównianych koncertów charytatywnych i wywiózł cię w głośniku?

– Potęga pióra. Przez ten swój policyjny serial i reklamy piwa Polot zna kilka białych szych. Napisano parę listów i oto jestem. Zwolniony warunkowo jak skurwysyn.

– Jakie to warunki?

– Takie, że mam się nie dać złapać. Niby jakie inne?

Zaczął szczekać pies. Rozsunęły się stopy w kuchni, na podjazd padło światło. Wzdrygnąłem się, mimo że nie byliśmy na widoku.

– Bez obaw, Polota nie ma.

– Wiem. Nigdy go tu nie ma.

– A skąd wiesz? Znowu stalkujesz moją siostrę?

– Kto tam? – Marpessa ocaliła mnie od dalszej kompromitacji. Bezgłośnie powiedziałem Stewiemu, że mnie tu nie ma.

– Tylko ja i Kuz.

– Zbierajcie dupy do środka, zanim coś się stanie.

– Dobra, będziemy za chwilę.

Kiedy pierwszy raz spotkałem Stewiego – dawno temu, mieszkali wtedy razem z siostrą jeszcze w Dickens – przed ich domem stała limuzyna. Te zaś, poza studniówkami, raczej nie pojawiają się w getcie. Czarna limuzyna, cadillac – od minibaru po tylne okna wyładowana twardzielami, jasnymi i ciemnymi, niskimi, wysokimi, bystrymi i głupimi – woziła chłopaków Stewiego. Chłopaków, którzy z czasem zaczęli znikać: pojedynczo, parami, a w szczególnie krwawe dni nawet trójkami. Skoki na banki. Napady na food trucki. Zabójstwa. Ostatecznie zostało tylko dwóch ziomek: Polot i Kuzyn Król. A poza tym, że Stevie i Polot naprawdę się lubili, była to relacja korzystna dla obu stron. Z Polota żaden gangsta, ale dzięki Stewiemu uwiarygodnił się na raperskiej scenie, dla Stewiego zaś sukces Polota stanowił dowód, że wszystko jest w życiu możliwe, jeśli tylko ma się po swojej stronie odpowiednich białych. W tamtych czasach Polot robił z siebie alfonsa. Jasne, miał kobiety, które robiły dla niego to

i owo, ale jaki czarnuch ich nie ma? Pamiętam, jak Polot rapował w salonie kawalek, który miał stać się jego pierwszym hitem, i równocześnie obczajał Marpessę. Stevie był jego didżejem.

Trzecia po południu, mormoni u drzwi
Obiecując zbawienie czarnuchowi znaczy mi
Potrzebują nowych laczków i czują się źle
A Brigham Young to chuj, napruty PCP.

Gdyby Stevie miał jakieś motto po łacinie, brzmiałoby ono *Cogito, ergo Boogieum*. Myślę, więc fristajluję.

– Czemu autobus Marpessy tu stoi? – spytałem.

– Dlaczego ty tu stoisz, czarnuchu? – odszczeknął się.

– Chciałem zostawić to dla twojej siostry.

Kiedy pokazałem mu zdjęcie krzewu satsumy, wyrwał mi je z ręki. Chciałem zapytać, czy dostawał te wszystkie owoce, które latami mu posyłałem: papaje, kiwi, jabłka, jagody, ale po jędrności skóry, bieli oczu, lśniącym kucyku i tym, jak bez spiny opierał się o moje ramię, wiedziałem, że dostawał.

– Mówiła mi, że zostawiasz jej te zdjęcia.

– Jest zła?

Stevie wzruszył ramionami i dalej gapił się na polaroid.

– Autobus tu stoi, bo stracili autobus Rosy Parks.

– Kto stracił autobus Rosy Parks?

– Biali. A niby, kurwa, kto? Podobno co roku, w lutym, kiedy dzieciaki odwiedzają Muzeum Rosy Parks, czy gdzie tam, kurwa, stoi ten autobus, pokazują im autobus, w którym narodził się ruch praw obywatelskich. Ale to ściema, jakiś zwykły stary autobus z Birmingham, który znaleźli na wysypisku czy gdzieś. Tak przynajmniej mówiła moja siostra.

– No nie wiem.

Kuz pociągnął dwa głębokie łyki dżinu.

– Co to niby znaczy, że nie wiesz? Myślisz, że kiedy Rosa Parks strzeliła z liścia białej Ameryce, te białe wsiury starały się zachować oryginalny autobus? To jakby w Boston Garden Celtics wieszali na belkach koszulkę Magica Johnsona. Mowy nie ma.

– Tak czy inaczej, uważa, że to, co zrobiłeś z autobusem, naklejki i tak dalej, jest bardzo spoko. Zmusza czarnuchów do myślenia. Na swój sposób jest z ciebie dumna.

– Serio?

Popatrzyłem na autobus. Próbowałem spojrzeć na niego inaczej. Jak na coś więcej niż na ilustrujące podstawowe prawa człowieka dwanaście metrów blachy, z których kapie na podjazd płyn do wspomagania. Próbowałem wyobrazić go sobie zawieszono pod dachem Instytutu Smithsona, podczas gdy przewodnik mówi, wskazując palcem: „To właśnie ten autobus, w którym Sorgo Jenkins, ostatni z klanu urwisów, dowiódł, że prawa Afroamerykanów nie są ani dane przez Boga, ani zawarte w Konstytucji, ale nieumocowane”.

Stevie podsunął sobie zdjęcie pod nos, wziął głęboki oddech i zapytał:

– Kiedy dojrzają te pomarańcze?

Chciałem pokazać palcem na zielonkawo-pomarańczowe owoce i pochwalić się swoim

pomysłem – że jeśli przykryję ziemię wokół krzewu białą wodoodporną warstwą, to nie tylko wilgoć przestanie wsiąkać w glebę, lecz także biel zacznie odbijać światło słoneczne w stronę krzewu i poprawi kolor owoców. Ale zdobyłem się tylko na:

– Wkrótce. Wkrótce dojrzeją.

Stevie powąchał zdjęcie po raz ostatni, po czym podetknął je pod przepastne nozdrza Kuzyna Króla.

– Czujesz te cytrusy, czarnuchu? Tak pachnie wolność.

Po czym wziął mnie za bary.

– O co chodzi z tymi czarnymi chińskimi knajpami?

XV

Przyciągnął je zapach. Około szóstej rano znalazłem pierwszego chłopca – zwinięty na podjeździe, oddychał ciężko, wciskając nos pod bramę jak pies w czasie rui. Wyglądał na szczęśliwego. Nie przeszkadzał mi, więc zostawiłem go i poszedłem wydoić krowy. Z tajemniczych przyczyn Los Angeles jest pełne autystycznych dzieci, więc sądziłem, że to jedno z nich. Później jednak pojawił się kolejny, a koło południa na moim podwórku tłoczyły się już chyba wszystkie dzieciaki z okolicy. Ostatni dzień wakacji spędziły, grając w uno na trawie i w „kto walnie najslabiej”. Wyskubywały igły z kaktusów i wbijały sobie nawzajem w tyłki, pozrywały moje róże i solą kamienną wyskrobały swoje imiona na podjeździe. Nawet mieszkające po sąsiedzku dzieci Lopeza, Lori, Dori, Jerry i Charlie, które miały do zabawy prawie hektar nieskazitelnego ogródka i słusznych rozmiarów basen, tłoczyły się wokół najmłodszego Lopeza, Billy’ego, śmiejąc się do rozpuku z tego, jak pałaszuje kanapkę z masłem orzechowym. Wtedy jakaś dziewczynka, której nie kojarzyłem, chwiejnym krokiem doczłapała się do wiązu i utopiła w rzygach kolumnę mrówek.

– Dobra, co jest, kurwa?

– Odór – powiedział Billy, przełknąwszy wielki kęs kanapki z masłem orzechowym i (sądząc po owadzych nóżkach, które miał na języku) muchami.

Nie czułem niczego, więc Billy zaciągnął mnie na ulicę. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego dziewczyna dostała cofki, smród był obezwładniający. Odór nadszedł w nocy i osiadł nad dzielnicą niczym jakiś niebiański pierd. Jezu. Czemu wcześniej tego nie zauważyłem? Stałem pośrodku Bernard Avenue, dzieci machały na mnie gorączkowo jak żołnierze z pierwszej wojny światowej, którzy zachęcają swojego rannego towarzysza do tego, by wydostał się z chmury gazu musztardowego i schronił we względnie bezpiecznym okopie. Kiedy dotarłem do krawężnika, uderzyła mnie odświeżająca cierpkość cytrusów. Nic dziwnego, że dzieciaki nie chciały wynieść się z mojej posesji – krzew satsumy perfumował teren jak trzymetrowy odświeżacz powietrza.

Billy szarpnął mnie za nogawkę.

– Te pomarańcze to kiedy będą dojrzałe?

Chciałem powiedzieć mu „jutro”, ale byłem zbyt zajęty odpychaniem dziewczynki, żeby samemu rzygnąć na wiąz – mdliło mnie nie z powodu zapachu, ale dlatego, że Billy’emu między zębami utknęła para muszych oczu.

Następnego ranka, pierwszego dnia szkoły, pod moją bramą zebrały się dzieci z sąsiedztwa wraz z rodzicami. Młode, czyściutkie i odstawione w kupionych do szkoły nowiutkich ciuchach tłoczyły się przy drewnianym ogrodzeniu, starając się dostrzec przez sztachety jakieś zwierzęta. Dorośli, niektórzy jeszcze w piżamach, ziewali, patrząc na zegarki, poprawiali paski od szlafroków i wręczali dzieciom pieniądze na mleko – dwadzieścia pięć centów za pół litra mojego niepasteryzowanego. Współczułem rodzicom, bo też byłem zmęczony – spędziłem całą noc w resztkach Odoru, budując w wyobraźni szkołę tylko dla białych.

Trudno powiedzieć, kiedy satsumy są dojrzałe. Kolor nie jest zbyt dobrą wskazówką. Chropowatość skórki też nie. Zapach owszem, ale najlepiej jest po prostu ich skosztować. Mimo to bardziej niż moim kubkom smakowym ufam refraktometrowi.

- Jaki wynik, massa?
- Szesnaście przecinek osiem.
- Czy to dobrze?

Rzuciłem Sorgowi cytrusa. Kiedy satsumy są gotowe do jedzenia, skórka jest tak miękka, że obiera się prawie sama. Wsadził cząstkę do ust i udał, że pada trupem – co zagrał tak dobrze, że kogut przestał piąć, przekonany, że starzec naprawdę umarł.

– O kurwa.

Dzieci myślały, że coś mu się stało. Ja też, dopóki nie wyszczerzył się od ucha do ucha, uśmiechem tak wesołym i ciepłym jak wschodzące słońce.

– Tak jest, massa. Dobre żarło!

Wstał sztywno jak mim, po czym, stepując i robiąc salta, doskoczył do ogrodzenia, demonstrując, że wciąż zostało w nim coś ze starego artysty wodewilowego i etatowego „czarnucha”.

– Widzę białych ludzi! – zakrzyknął, udając przerażenie.

– Wpuść ich, Sorgo.

Uchylił bramę, jakby wyglądał przez kurtynę w jakimś wodewilowym teatrzyku.

– Czarny chłopiec obserwuje w kuchni matkę, która przygotowuje pieczonego kurczaka. Widzi mąkę, obsypuje sobie nią twarz. „Patrz, mamuska – mówi – jestem biały!” „Coś ty powiedział?”, pyta mama, a chłopiec na to: „Patrz, jestem biały!”. JEB! Mama wybija mu ten idiotyzm ze łba. „Nigdy więcej tego nie mów!”, mówi, po czym każe mu iść do ojca i przyznać się, co powiedział. Chłopiec ryczy jak ranny łoś, idzie do ojca. „Co się stało, synu?” „Ma... ma... mama mnie zabiła!” „Czemu, synu?”, pyta ojciec. „Bo... bo... bo powiedziałem, że jestem biały”. „Co? PIERDUT! Ojciec przywała mu nawet mocniej niż matka. „Teraz idź do babci i powiedz jej, co zrobiłeś! Ona ci pokaże!” Chłopiec beczy, trzęsie się, nie wie, o co chodzi. Idzie do babci. „Co się stało, kochanie?”, pyta, a chłopiec odpowiada: „Przy... przy... przywalili mi”. „Dlaczego, kochanie? Czemu to zrobili?” Opowiada jej całą historię i kiedy dociera do końca, SRU! Babunia przypieprza mu tak mocno, że prawie pada na ziemię. „Nigdy więcej tego nie mów”, oświadcza. „Czego się nauczyłeś?” Chłopiec masuje obolały policzek i mówi: „Że jestem biały dopiero od dziesięciu minut i już was nienawidzę, pieprzone czarnuchy!”.

Dzieciaki nie wiedziały, czy Sorgo żartuje, czy po prostu złorzeczy, ale śmiały się tak czy siak. Każde z nich coś bawiło: mina, gest, dysonans poznawczy z powodu słowa „czarnuch”, padającego z ust człowieka równie starego, co samo wyzwisko. Większość z nich nigdy nie widziała go w żadnej roli. Wiedzieli tylko, że jest gwiazdą. Oto piękno minstrelstwa – jego ponadczasowość. Kojąca wieczność powolnych ruchów pana Bojangles’a⁶³, rytm juby, subtelna głębia harlemskiego slangu, kiedy Sorgo wprowadzał dzieci na farmę, ponownie opowiadając swój dowcip (tym razem po hiszpańsku) obojętnej widowni, która z kubkami i termosami w rękach mijała go biegiem, płosząc cholerne kurczaki.

Un negrito está en la cocina mirando a su mamá freír un poco de pollo... ¡Aprendí que he sido blanco por solo diez minutos y ya los odio a ustedes mayates!

Mówi się, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia i dla niektórych dzieci może to być jedyny posiłek, więc poza mlekiem poczęstowałem wszystkich, dzieci i dorosłych, świeżymi mandarynkami satsuma. W pierwszy dzień szkoły zazwyczaj rozdawałem lizaki i pozwalałem jeździć na kucyku. Sadzałem na siodle trójkę i wiozłem gówniarzerię do szkoły. Już tego nie robię. Nie, odkąd kiedy dwa lata temu szóstoklasista Cipriano „Cukiereczek” Martínez, pół czarny, pół salwadorski chłopiec, który mieszkał przy Prescott Place, próbował wyrwać się

z toksycznej rodziny i odjechał w siną dal jak Zorro na Tornadzie, swym wiernym rumaku. Kierując się tropem parującego końskiego gówna, musiałem pojechać po niego aż do Panorama City.

Chwyciłem za łokcie dwoje dzieci, które stały przy stajniach, i uniosłem je w powietrze.

– Odsuńcie się od koni, kurwa!

– Co z drzewem pomarańczowym, psze pana?

Nie mogąc oprzeć się kuszącemu zapachowi satsumy i poczekać z jedzeniem na dużą przerwę albo przynajmniej przerwę reklamową w telenoweli, moi klienci tłoczyli się pod krzewem mandarynki – stali wśród obranych skórek, z poczuciem winy na twarzy i ustami lepкими od fruktozy.

– Weźcie sobie, ile chcecie – powiedziałem.

Ojciec zwykł mawiać: „Daj czarnuchowi grzędę, powie: wyżej siędę”. Nigdy nie wiedziałem dokładnie, po co czarnuchowi grzędę i co to dokładnie znaczy, ale w tym przypadku oznaczało ogołocenie do cna mojej cennej satsumy. Podszedł Sorgo, obejmując brzuch obiema rękami, bo był w piątym miesiącu i nosił pod sercem dwadzieścia pięć cytrusowych bobasów.

– Massa, te zachłanne czarnuchy zeżrą wszystkie pomarańcze!

– Nie szkodzi. Potrzebuję tylko kilku.

I jakby na dowód tego, że mam rację, dojrzała satsuma najwyższej jakości, która z całych sił próbowała uciec przed szalem obżarstwa, potoczyła mi się prosto pod nogi.

Tryskający energią Sorgo, z twarzą oświetloną słońcem i ze słodkim smakiem mandarynek na różowiułkim języku minstrela, powiódł dzieci ku zagładzie niczym Szczurołap z Hameln. Za pociechami podążyli nadopiekuńczy rodzice i ja, zamykający pochód największy szczur. Kristina Davis, wysoka dziewczynka o patykowatych kościach i białych zębach, które zawdzięczały swoją siłę wieloletniej konsumpcji mojego niepasteryzowanego mleka, podeszła do mnie ukradkiem i solidnym uściskiem złapała mnie za rękę.

– Gdzie jest twoja matka? – zapytałem.

Kristina przyłożyła palce do ust i zrobiła wdech.

W czasach kiedy rodzice nie wtykali sobie jeszcze w kanały uszne tajniackich słuchawek, które śledzą każdy ruch dziecka, w dzielnicy takiej jak Dickens człowiek więcej uczył się po drodze do i ze szkoły niż w samej szkole. Mój ojciec zdawał sobie z tego sprawę, aby więc poszerzyć moją pozaprogramową edukację, od czasu do czasu wywoził mnie do jakiejś obcej dzielnicy i tam zostawiał, żebym samodzielnie udał się do miejscowej placówki edukacyjnej. Był to społeczny bieg na orientację, tylko że nie miałem ani mapy, ani kompasu, ani menażki, ani słownika slangowo-slangowego. Chwała Bogu w hrabstwie Los Angeles zazwyczaj da się ocenić poziom zagrożenia po kolorze znaków drogowych. W Los Angeles właściwym znaki są puste w środku i metaliczno-granatowe. Jeśli w środku było ptasie gniazdo uwite z sosnowych igieł, to oznaczało, że w pobliżu są drzewa iglaste, a zatem i pole golfowe. Głównie białe, chodzące do publicznych szkół dzieciaki, których rodzice żyją ponad stan w dzielnicach wyższej klasy średniej: Cheviot Hills, Silver Lake, Palisades. Dziury po kulach i wbity w słup kradziony samochód oznaczały dzieciaki nieróżniące się ode mnie rodzajem włosów, wysokością kieszonkowego i sposobem ubierania się: dzielnice takie jak Watts, Boyle Heights, Highland Park. Niebieskie jak niebo oznaczały imprezowe sypialnie miasta: Santa Monica, Rancho Palos Verdes, Manhattan Beach. Wyluzowani kolesie podróżujący do szkoły deskorolkami, lotniami,

czym popadnie, jeszcze ze śladem szminki na policzku po pożegnalnym buziaku od matek, „żon-trofeów”. Carson, Hawthorne, Culver City, South Gate i Torrance wyznacza kaktusowozielony kolor klasy robotniczej. Małe ziomki są tam niezależne, przyjacielskie i wielojęzyczne. Znają znaki gangów latynoskich, czarnych i samońskich. W Hermosa Beach, La Mirada i Duarte znaki drogowe mają nijaki brązowy odcień taniej whiskey. Chłopcy i dziewczęta, depresyjni i zmuleni, snują się do szkoły, mijając rzędy identycznych domów w stylu kolonialnym. Lśniące białe znaki oznaczają oczywiście Beverly Hills. Przesadnie szerokie ulice pełne bogatych białych dzieciaków, które nie czuły się zagrożone moją obecnością. Zakładały, że skoro już tam jestem, to jestem u siebie. Pytały mnie o naciąg mojej rakiety do tenisa. Nauczyłem się od nich wiele o bluesie, historii hip-hopu, rastafarianizmie, Kościele koptojskim, jazzie, gospel oraz poznałem tysiące sposobów na przygotowanie batatów.

Chciałem wypuścić Kristinę gdzieś w dziczy. Zachęcić ją, żeby wybrała tak okrężną drogę do szkoły, jak to tylko możliwe. Pozwolić jej, by biegła bez opieki pod kruczoczarnymi znakami Dickens i odebrała pierwszorzędną lekcję gry w słoneczko. By zapisała się na seminarium i obserwowała, jak kolega wchodzi do Bob's Big Boya i kradnie z lady przedpołudniowe napiwki. By przeprowadziła niezależne badania nad poetyką tęczy w ogrodowych zraszaczach oraz nad okrzykiem godowym prostytutek różowocekinowych, które bladym świtem nawołują fagasów na Long Beach Boulevard. Miałem puścić Kristinę wolno, ale kiedy dotarliśmy do szkoły, wybiła dziewiąta i rozległ się dzwonek na lekcję.

– Szybko, bo się spóźnisz.

– Wszyscy są już spóźnieni – powiedziała i pobiegła do kolegów i koleżanek.

Wszyscy byli spóźnieni. Uczniowie, nauczyciele, woźni, rodzice, opiekunowie prawni, nie bacząc na dzwonek, zgromadzili się przed Gimnazjum P. Levy i taksowali wzrokiem nowo wystawiony po przeciwnej stronie ulicy budynek konkurencji z drugiej strony miasta.

Prywatno-Publiczna Akademia Sztuk Pięknych, Nauk, Biznesu, Mody oraz Tego i Owego dla Dzieci Wybitnie Uzdolnionych Ziarno była smukłym, ultranowoczesnym budynkiem ze szkła, który wyglądał bardziej jak Gwiazda Śmierci niż jak placówka edukacyjna. Tamtejsi uczniowie byli biali i cudowni. Wszystko to było, rzecz jasna, nieprawdziwe, bo budowa Akademii Ziarno była ściemą. Ot, pusta działka, ogrodzona płotem z pomalowanej na niebiesko sklejki z małymi kwadratowymi otworami, by przechodnie mogli oglądać budowę, która nigdy nie miała ruszyć. Szkoła była tylko wizualizacją Centrum Oceanografii Uniwersytetu Wschodniego Maine, którą ściągnąłem z sieci, powiększyłem, olaminowałem i przymocowałem do zamkniętej na łańcuch bramy. Uczniów – tancerzy baletowych, nurków, skrzypaczki, szermierzy, siatkarki, garncarzy – wzięłem z czarno-białych zdjęć, ściągniętych ze stron Akademii Skrzyżowanie i Haverford-Meadowbrook. Powiększyłem je i nakleiłem na ogrodzenie. Gdyby ktoś się dobrze przyjrzał, ani chybi by się zorientował, że prawdziwa Akademia Ziarno musiałaby być dziesięciokrotnie większa niż działka, na której rzekomo powstawała. Jeśli jednak wierzyć czerwonym literom, namalowanym od szablonu pod nazwą szkoły, otwarcie Akademii Ziarno miało nastąpić „Lada chwila!”.

Rzecz jasna „chwila” to było jednak zbyt długo dla Dickens, gdzie przejęci, ale i podejrzliwi rodzice pragnęli, by ich pociechy natychmiast zasilili szeregi gigantycznych anglosaskich dzieci z metalowymi aparatami na zębach, które rozświeślały nie tylko ich niemożliwie białe uśmiechy, ale też całą ich przyszłość. Jakaś nadgorliwa matka, wskazując dobitnie pilne dziecko i uważnego nauczyciela analizujących wyniki wymierzonego w gwiazdy spektrografu, zadała Charismie pytanie, które nasuwało się wszystkim:

– Pani wicedyrektor, co muszą zrobić moje dzieci, żeby dostać się do tamtej szkoły? Zaliczyć test?

– Poniekąd.

– Co to znaczy?

– Co mają wspólnego wszyscy uczniowie na zdjęciu?

– Są biali.

– Oto i pani odpowiedź. Jeśli pani dziecko zaliczy ten test, to je przyjmą. Ale ja tego nie powiedziałam. Dobra, pokaz skończony. Kto chce się uczyć, proszę za mną, bo zamykam drzwi na klucz. *Vámonos*, ludzie.

Kiedy o dziewiątej czterdzieści dziewięć w duszącej, ale punktualnej chmurze spalin na róg Rosecrans i Long Beach podjechał autobus, tłumek zdążył się już rozejść. Siedziałem na przystanku obok Sorga, paląc skręta i hołubiąc moje dwie satsumy. Marpessa otworzyła drzwi i na jej twarzy pojawiła się złowroga mina, coś między lekceważeniem a obrzydzeniem – jak halloweenowa maska przedstawiająca „wściekłą Murzynkę”. Mina ta mogła odstraszać współpracowników i stojących na rogu ulicy czarnuchów, ale nie mnie. Rzuciłem jej mandarynki, a ona odjechała bez słowa podziękowania.

Po jakichś stu pięćdziesięciu metrach stowudziestkapiątka zahamowała z rozdzierającym uszy piskiem (wszystkie hamulce były zdarte jak buty menela), cofnęła i zrobiła ostry skręt w prawo. Jedyna prawdziwa awantura, jaką mieliśmy z Marpessą, dotyczyła tego, czy trzy skręty w prawo są tym samym co jeden skręt w lewo. Jej zdaniem tak. Ja uważałem, że po trzech bezsensownych skrętach w prawo człowiek wprawdzie kieruje się w lewo, ale znajduje się jedną przecznicę przed punktem wyjścia. Kiedy autobus podjechał do nas ponownie – udowodniwszy przynajmniej, że dzięki kilku nieprzepisowym nawrotkom trafiasz dokładnie tam, gdzie zacząłeś – z dziewiątej czterdzieści dziewięć zrobiła się dziewiąta pięćdziesiąt siedem.

Otworzyły się drzwi, za kółkiem nadal siedziała Marpessa. Tym razem na jej upapranej sokiem z satsumy twarzy widniał niepowstrzymany uśmiech. Zawsze lubiłem odgłos odpinanych pasów bezpieczeństwa. Wyzwalający klik i świst pasa, który zwija się na swoje miejsce, nieodmiennie sprawiają mi przyjemność. Marpessa strzepnęła z kolan obrane skórki i wyszła z autobusu.

– Dobra, Drops, wygrałeś – powiedziała.

Wyjęła mi z ust jointa i kręcąc swoim idealnie pulchnym tyłkiem, wmaszerowała z powrotem do autobusu, gdzie przeprosiła za opóźnienie, ale nie za zapach. Zapięła pasy i ruszyła na trasę, wydmuchując dym przez wąskie okienko kierowcy. Jej różowe paznokcie luzacko strzepywały popiół na ulicę. Nie wiedziała, że pali Afazję. A ja wiedziałem, że to, co było między nami złego, minie. Albo – jak to mawiamy w Dickens – „Tak to już czasem jest...” *Is exsisto amo ut interdum...*

XVI

Jeszcze tego samego dnia, jak każdy porządny piroman społeczny wart zużytej podpałki, wróciłem na miejsce zbrodni. Jedyнным śledczym, który badał pożar, był Foy Cheshire. Pierwszy raz od dwudziestu kilku lat widziałem, by postawił stopę na Dickensowej *terra firma* poza Pączkarnią Pif-Paf. I oto stał przed niebieskim ogrodzeniem przyszłej Akademii Ziarno. Zaparkowawszy merca na chodniku, robił zdjęcia wyglądającym na drogi aparatem. A ja, po stronie Plewy, przypatrywałem się z siodła, jak robi zdjęcia, po czym zapisuje coś w notatniku. Nade mną, na drugim piętrze, jakaś uczennica otworzyła okno, podniosła wzrok znad szkolnego mikroskopu – tak starego, że nawet Leeuwenhoek nazwałby go anachronicznym – i wystawiła głowę na zewnątrz, żeby popatrzeć na wielkiego jak Godzilla geniuszka z Akademii Ziarno, który przykładał oko do elektronowego mikroskopu, tak nowoczesnego, że mogliby go pozazdrościć w Caltechu.

Foy zauważył mnie z drugiej strony ulicy. Przyłożył ręce do ust i krzyknął. Auta głośno pędziły w tę i we w tę Rosecrans Avenue, co chwila blokując mi wizję i fonię, tak że musieliśmy z Foyem grać w „a ku ku!”.

– Widzisz to kurewstwo, Sprzedawczyku?! Wiesz, kto to zrobił?!

– Tak, wiem!

– Oczywiście, że wiesz. Tylko siły zła umieściłyby szkołę jedynie dla białych pośrodku getta.

– Niby kto, Korea Północna i tacy tam?

– Dlaczego Korea Północna miałaby się interesować Foyem Cheshire’em? Nie ma cienia wątpliwości, że to spisek CIA, a może nawet coś jeszcze poważniejszego, na przykład film dokumentalny, który w tajemnicy kręci o mnie HBO! Coś złowrogiego tu się odpiędała! Gdybyś przez ostatnich kilka miesięcy pojawił się na choćby jednym spotkaniu... Wiesz, że jakiś rasistowski dupek umieścił w miejskim autobusie znaczek...

Swego czasu, kiedy jakieś debile miały robić przelotówę, za wystarczające ostrzeżenie uznawano zwolnienie auta bez wyraźnego powodu. Gardłowe beknięcia silnika V-6 przy zmniejszaniu obrotów i wchodzeniu na pierwszy bieg było miejskim odpowiednikiem nadeptnięcia przez myśliwego na gałązkę i spłoszenia zwierzyny. Teraz jednak ludzie jeżdżą tymi nowymi, energooszczędnymi, hybrydowymi cichobiegami i ni chuja nic nie słycać. Zanim człowiek zorientuje się, o co chodzi, już ma kulkę z tyłu karoserii merca (kolor srebrny metalik), a napastnicy odjeżdżają, paląc pięć litrów na sto kilometrów i wrzeszcząc: „Zabieraj swoje czarne dupsko z powrotem do białej Ameryki, czarnuchu!”. Wydawało mi się, że rozpoznałem śmiech chudej czarnej ręki trzymającej znajomo wyglądający rewolwer, bardzo podobny do gnata, który dwa tygodnie wcześniej przyłożył mi do głowy brat Marpessy, Stevie. A bezszelestna gangsterka „na przelot” wozem elektrycznym nosiła wszelkie znaki rozpoznawcze taktyki bitewnej Kuza. Kiedy przeszedłem na drugą stronę, żeby zobaczyć, czy Foyowi nic nie jest, od razu rozpoznałem zapach pomarańczy, którą jeden z napastników rzucił Foyowi w głowę – była to jedna z moich satsum.

– Wszystko okej, Foy?

– Nie dotykaj mnie! To jest wojna i wiem, po której jesteś stronie!

Odsunąłem się, a Foy otrząpał się z kurzu i mamroczał coś o spiskach, dumnym krokiem

odmaszerował do swojego auta, jakby opuszczał oblegane Filipiny. Podniósł otwierane do góry drzwi i zanim wszedł, założył ray-bany, po czym ogłosił tonem generała Czarnuchasa MacArthura:

– Wrócę tutaj, skurwielu. Możesz mi wierzyć!

Za nami uczennica zamknęła okno na drugim piętrze i wróciła do mikroskopu. Zamrugawszy gwałtownie, próbując dostosować ostrość, przesunęła szkiełko i nagryzmoła uwagi w notatniku. W przeciwieństwie do Foya i mnie była pogodzona ze swoim losem, bo wiedziała, że w Dickens tak to już czasem jest, nawet jeśli tak być nie musi.

JABŁKA I POMARAŃCZE

XVII

Jestem oziębły. Nie w takim znaczeniu, że w ogóle nie odczuwam popędu seksualnego, ale w takim, jakiego w czasach wolnej miłości, w latach siedemdziesiątych, używali ci ohydni mężczyźni, którzy projektowali własne seksualne niedociągnięcia na kobiety i określali je mianem „oziębłych” albo „zimnych ryb”. Ja jestem najzimniejszą z ryb. Rucham się jak wzdęty zewłok gupika. Porcja wczorajszego sashimi ma więcej życia niż ja. Kiedy zatem w dzień samochodowej strzelaniny i pomarańczaniny Marpessa wsunęła mi do ust język (podejrzanie cierpki od satsumowej goryczki) i otarła się sromem o moją kość miednicową, dalej leżałem na łóżku bez ruchu. Rękami zasłaniałem twarz ze wstydu, bo ruchać się ze mną, to jak ruchać się z sarkofagiem Tutenchamona. Jeśli moja seksualna nieudolność była jakimś problemem, to Marpessa nigdy nie dała mi tego poznać. Po prostu waliła mnie z całej siły po uszach i ujeżdżała mój przypominający wyrzuconego na brzeg wieloryba zewłok, tarmosząc mnie jak zapaśnik odpłacający się wieloletniemu rywalowi, a ja chciałem, żeby to trwało wiecznie.

– Czy to znaczy, że znowu jesteśmy razem?

– To znaczy, że o tym myślę.

– Czy mogłabyś myśleć o tym ciut szybciej i może odrobinę w prawo? O taaak, właśnie.

Marpessa jest jedyną osobą, która mnie w życiu zdiagnozowała. Nawet Ojciec nie potrafił mnie rozgryźć. Kiedy się myliłem, na przykład brałem Mary McLeod Bethune za Gwendolyn Brooks, słyszałem: „Czarnuchu jebany, pojęcia nie mam, co z tobą!”, po czym w stronę mojej głowy leciały wszystkie 943 strony *BDSM IV (Bambusowej Diagnostyki i Statystyki Mentalnych Zaburzeń, wydanie czwarte)*.

Ale Marpessa mnie rozgryzła. Miałem osiemnaście lat. Dwa tygodnie wcześniej skończyłem pierwszy semestr na uczelni. Byliśmy w akademiku. Ona – kartkowała poplamiony krwią *BDSM IV*. Ja – we właściwej sobie postkoitalnej pozycji, zwinięty w kulkę jak przestraszony nastoletni pancernik, bez żadnego powodu zalewałem się łzami.

– Masz, wreszcie doszłam do tego, co jest z tobą nie tak – powiedziała, przytulając się. – Oto co ci jest. Reaktywne utrudnienie nawiązywania relacji społecznych w dzieciństwie.

Dlaczego ludzie zawsze pukają palcem w stronę, kiedy wiedzą, że mają rację? Wystarczyłoby przeczytać na głos. Nie trzeba się znęcać tym wyższościowym popukiwaniem palcem.

– Utrudnienie nawiązywania relacji społecznych. Wyraźnie zaburzone i nieprawidłowe rozwojowo nawiązywanie kontaktów w większości kontekstów, sytuacji i wydarzeń. Zaczyna się przed piątym rokiem życia i trwa w wieku dojrzałym, jak pokazują przykład pierwszy i / lub drugi:

1. *Uporczywa niezdolność do nawiązania albo podjęcia we właściwy rozwojowo sposób większości relacji społecznych (np. dziecko albo dorosły reaguje na próbę pocieszenia ze strony opiekuna albo czarnego partnera seksualnego płci dowolnej w sposób niejednoznaczny: zbliża się, ale też unika spotkania, prezentuje upór. Może wykazywać apatyczną ostrożność)*. Tłumaczenie dla laików: czarnuch rzuca się jak oparzony, kiedy próbujesz go dotknąć. Miota się jak w gorączce, od prawej do lewej, nie ma żadnych przyjaciół. A jak nie gapi się na ciebie, jakbyś właśnie spadła z księżycy, to skuczy jak

suka.

2. *Różnicuje nawiązywanie relacji, co objawia się nieprzemyślaną socjalizacją i niezdolnością okazywania odpowiedniego, selektywnego przywiązania do czarnych osób i właściwych czarnym rzeczy (np. nadmierna familiarność wobec obcych albo brak selektywności przywiązania).* Tłumaczenie dla laików: czarnuch rucha białe zdziry w kampusie UC w Riverside.

Cud prawdziwy, że wytrwaliśmy tak długo.

Gapilem się na jej zamazaną sylwetkę przez dłuższą chwilę, aż wysunęła głowę zza prysznicowej zasłonki w czarno-białą szachownicę. Zapomniałem, że Marpessa była tak brązowa. Z mokrymi włosami przyklejonymi z jednej strony twarzy wyglądała świetnie. Czasami najkrótsze pocałunki są najśodsze. O wygolonej do gołego cipce porozmawiamy później.

– Jaki mamy przedział czasowy, Drops?

– Ty i ja: od teraz do. Jeśli chodzi o segregację, to chciałbym załatwić sprawę przed Dniem Dzielni. Czyli mam jeszcze sześć miesięcy.

Marpessa wciągnęła mnie pod prysznic i wręczyła tubkę brzoskwiniowego peelingu, której nikt nie otwierał od czasu, kiedy kąpała się tu po raz ostatni. Wmasowałem go jej w plecy i ziarnistymi, podobno zmiękczającymi skórę ruchami napisałem jej wiadomość. Zawsze potrafiła mnie odczytać.

– Bo przy tym czarnuchu Foyu to gówno wróci do ciebie prędzej czy później. Zapomnij o segregacji rasowej, wiesz dobrze, że te skurwiele nie przejmowały się Dickens, nawet kiedy jeszcze istniało.

– Byłaś dziś w aucie, prawda?

– Kurwa, kiedy Kuz i mój brat odebrali mnie z pracy i pojechaliśmy tutaj, kiedy tylko przekroczyliśmy tę białą linię, którą namalowałeś, zrobiło się... no wiesz, jak kiedy wbijasz na zajebistą domówkę i wszystko baunsuje, i zaczyna ci walić w piersi, i myślisz sobie, że gdybyś umarł tu i teraz, tobyś się ni chuja nie przejął. To było coś takiego. Przekroczenie granicy.

– To ty rzuciłaś tą jebaną pomarańczą. Wiedziałem.

– Trafiłam tego głupiego skurwiela prosto w pysk.

Marpessa przycisnęła do mojego krocza rowek swojego kształtnego tyłka. Musiała wracać do dzieci, więc nie mieliśmy zbyt wiele czasu – a znając mnie, nie potrzebowaliśmy go zbyt wiele.

Mimo tego pierwszego wyłomu w siedemnastu latach jej małżeńskiej nudy Marpessa uparła się, żebyśmy zaczęli powoli. Jako że w weekendy pracowała i brała nadgodziny, musieliśmy spotykać się w poniedziałki i wtorki. Nocne wychodzenie na miasto składało się z wypraw do galerii handlowych, na wieczorki poetyckie po kawiarniach i – co mnie najbardziej mierzilo – na „otwarty mikrofon” w Klubie Komediiowym Multum. Marpessie strasznie nie podobał się mój segregacjonistyczny żart Plewy kontra Ziarno; uparła się, że muszę popracować nad swoim poczuciem humoru i nauczyć się opowiadać dowcipy. Kiedy protestowałem, mówiła:

– Słuchaj, nie jesteś jedynym czarnym facetem na świecie, który nie potrafi się ruchać, ale nie będę się prowadziła z jedynym, który za chuja nie ma poczucia humoru.

W głowie się nie mieści, jak bardzo posegregowane rasowo jest Los Angeles – od klubów przez areszty po fakt, że food trucki z koreańskim taco da się znaleźć tylko w białych dzielnicach. Epicentrum społecznego apartheidu stanowi scena stand-upu. Miasto Dickens dokłada swoją mamą cegiełkę do wieloletniej tradycji czarnych śmieszków w postaci

sponsorowanej przez Intelktualistów Pączków Pif-Paf nocy „otwartego mikrofonu”. W każdy drugi wtorek miesiąca knajpa zmienia się w liczący dwadzieścia stolików klub o nazwie Forum Komediove na rzecz Swobody Afroamerykańskiej Ironii i Manieryzmów Demonstrujących Multum Afroamerykańskich Humorystów, dla Których... jest tego więcej, ale nigdy nie doczytałem do końca tymczasowego szyldu wywieszanego ponad górującym nad parkingiem wielkim pączkiem. Nazywam to miejsce skrótowo „Multum”, bo choć Marpessa upiera się, że nie mam poczucia humoru, jest tam zawsze multum nieśmiesznych czarnych gości, którzy – jak każdy starający się brzmieć inteligentnie czarny komentator sportowy – przy każdej okazji używali, nadużywali i błędnie używali słowa „multum”.

Na przykład:

P: Ilu białasów potrzeba, żeby wkręcić żarówkę?

O: Multum! Bo ukradli ją czarnemu! Lewisowi Latimerowi, czarnemu wynalazcy, który skonstruował żarówkę i wymyślił multum innych wykurwiście mądrych rzeczy!

Możecie mi wierzyć, po każdym takim dowcipie multum widzów bije brawo. Każdy czarny facet, bez względu na to, jaki ma odcień i jakie zapatrywania polityczne, w głębi duszy uważa, że jedną z tych trzech rzeczy robi lepiej niż ktokolwiek inny: gra w koszykówkę, rapuje, opowiada dowcipy.

Jeśli Marpessa uważa, że nie jestem zabawny, to musiała nigdy nie słyszeć mojego ojca. Dawno temu, w czasach świetności stand-upu, też ciągnął mnie na wtorkowe „otwarte mikrofony”. W dziejach Afroamerykanów było tylko dwóch facetów, którzy za nic w świecie nie umieli żartować: Martin Luther King Jr. i mój ojciec. Nawet w Multum „komicy” bywali czasem śmieszni w niezamierzony sposób. „Ubiegam się o rolę w najnowszym filmie Toma Cruise’a. Tom Cruise gra przygłupiego sędziego...”. Problem z „otwartym mikrofonem” w Multum polega na braku jakiegokolwiek ograniczenia czasowego, bo „czas” jest wymysłem białych – dobrze się składało, bo problem z występami ojca polegał na braku wycucia czasu. Przynajmniej Doktor King miał na tyle rozumu, że nigdy nie próbował żartować. Tatusz opowiadał dowcipy dokładnie tak, jak zamawiał pizzę, pisał wiersze i swoją rozprawę doktorską – w formacie ATP. Zgodnie z wytycznymi Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego gramolił się na scenę i zaczynał ustnym odpowiednikiem „Strony Tytułowej”. Podawał swoje imię, nazwisko i tytuł dowcipu. Tak, jego dowcipy miały tytuły. „Ten dowcip nosi tytuł *Rasowe i religijne różnice w uczęszczaniu do przybytków konsumpcji napojów wysokoprocentowych*”. Następnie recytował „Abstrakt” dowcipu. Zamiast po prostu powiedzieć: „Do baru wchodzi rabin, ksiądz i czarny facet”, mówił: „Bohaterami dowcipu są trzej mężczyźni, z których dwóch jest duchownymi: jeden wiary mojżeszowej, a drugi wyświęconym księdzem katolickim. Religia Afroamerykanina nie jest określona, podobnie jak poziom jego wykształcenia. Dowcip umiejscowiony jest w licencjonowanym przybytku spożycia alkoholu. A nie, przepraszam, w samolocie. Przepraszam, mój błąd. Będą wykonywać skoki spadochronowe”. Wreszcie odkasływał, stawał zbyt blisko mikrofonu i przedstawiał to, co zwykł nazywać „Częścią zasadniczą dowcipu”. Komizm jest jak wojna. Kiedy występ komika jest dobry, mówi się, że był „zabójczy”. Kiedy reagują na niego obojętnie, mówi się, że „zdechł”. Mój ojciec nie poległ na scenie: poniósł śmierć męczeńską za tego nieznanego, drugiego zupełnie nieśmieszego czarnego gościa, który, jak życie pozaziemskie, *gdzieś* musi istnieć. Widziałem samospalenia zabawniejsze niż występ mojego ojca, ale nie było żadnego gongu ani

gigantycznej laski, którą dałoby się go ściągnąć ze sceny. Nie zwracając uwagi na buczenie, przechodził płynnie od puenty do „Zakończenia”. „Rezultatem” dowcipu było pokaskływanie. Obserwowano również wyraźną werbalizację niezadowolenia i multum ziewania. Dowcip kończył „Przypisami”:

- Jolson Al (1918), *Bambo i Mammy gotowi do startu z pasa numer 5*, rewia Ziegfelda.
- Williams Bert (1917), *Gdyby czarnuchy mogły latać*, tournée na Południu.
- Anonimowy minstrel (około 1899), *Te białasowe hójki z wodywilu zajebały, co moje*, Loża Szybkich Wolnomularzy, Cleveland, Ohio.
- I nie zapomnijcie zostawić napiwku kelnerce.

Choć Marpessa była wykończona całym dniem wożenia tłumów, zadbała, byśmy przyjechali wcześniej, ponieważ – o czym nie wiedziałem – wpisała moje nazwisko na górę listy ochotników. Nie jestem w stanie opisać wam grozy, jaką wzbudziła we mnie zapowiedź prowadzącego. „A teraz przywitajmy oklaskami Dropsa”.

Stałem na tej scenie, czując się, jakbym doświadczał wyjścia z własnego ciała. Gapiłem się na publiczność i widziałem siebie w pierwszym rzędzie, jak szykuję zepsute pomidory, jajka i starą kapustę, żeby mieć czym rzucać w pajacowatego skurwiela, który opowiada nieaktualny, zerżnięty z Richarda Pryora dowcip – jedyny, jaki pamięta z kolekcji płyt własnego ojca. Ale co wtorek Marpessa nakazywała mi wejść na scenę, zapowiadając, że będzie mi odmawiać seksu, dopóki jej nie rozbawię. Zazwyczaj, kiedy po moim pozalsięboże występie wracałem do stolika, okazywało się, że zdążyła głęboko zasnąć – trudno powiedzieć, czy ze zmęczenia pracą, czy z nudów. Pewnej nocy udało mi się wreszcie powiedzieć jakiś własny dowcip, który w hołdzie dla mojego ojca miał tytuł, choć dość długi:

Dlaczego dowcipy o babie u lekarza w ogóle nie działają w społeczności czarnych?

- Przychodzi baba do lekarza...
- Chyba twoja stara!

Marpessa wybuchnęła śmiechem, aż zwinęła się w kulkę między składanymi krzesłami, na środku tak zwanego przejścia. Od razu wiedziałem, że tej nocy seksualna posucha się skończy.

Mówią, żeby nigdy nie śmiać się z własnych żartów, ale robią to wszyscy najlepsi komicy, i kiedy tylko „otwarty mikrofon” dobiegł końca, rzuciłem się sprintem na dwór i wskoczyłem do stodwudziestkiptki, która stała zaparkowana przed wejściem do klubu, bo Marpessa, nie chcąc spuścić z oka cennego zabytku, używała jej jako pojazdu prywatnego. Zanim jeszcze przyszło jej do głowy zwolnienie ręcznego, ja już leżałem goły na tylnym siedzeniu, gotowy na szybciucha pod przyciemnianą szybą. Marpessa sięgnęła pod fotel kierowcy, wyciągnęła wielkie kartonowe pudło, przeciągnęła je przez środek autobusu i wysypała mi jego zawartość na kolana, zakopując moją bolesną erekcję w pięciu centymetrach komputerowych wydruków, kartek z ocenami i nauczycielskich notatek.

– Co to jest, kurwa? – zapytałem, odgarniając nieco papiery, żeby mój kutas mógł zaczerpnąć trochę powietrza.

– Występuję w roli posłańca od Charismy. Jest jeszcze wcześniej. Minęło dopiero sześć tygodni, ale już uważa, że segregacja w szkole zadziałała. Oceny się poprawiły, problemy z zachowaniem zmniejszyły, ale chciałyby, żebyś potwierdził te wyniki za pomocą analizy statystycznej.

– Jasna cholera, Marpessa! Zebranie tego gówna z powrotem do pudła zajmie tyle samo czasu co policzenie tego wszystkiego.

Złapała mnie za podstawę penisa i ścisnęła.

– Drops, czy ty się wstydzisz, że jestem kierowcą autobusu?

– Co? Skąd ci się to nagle wzięło?

– Znikąd.

Mogłem jej do woli amatorsko międlić ucho, ale ani nie przeszła jej smutna mina, ani nie stwardniały sutki. Znudzona moją nieudolną grą wstępną, wsunęła mi w cewkę kartkę z ocenami i przekręciła żołądź tak, że mogłem je przeczytać, jakby było to menu śniadaniowe wydrukowane z tyłu karty dań. Jakiś szóstoklasista, niejaki Michael Gallegos, chodził na lekcje, których nazw nie rozumiałem, i dostawał oceny, których nie mogłem odszyfrować. Zgodnie jednak z tym, co napisał jego nauczyciel, szło mu coraz lepiej w czymś, co nazywało się „rozumienie liczb i działań”.

– Co to, u diabła, za ocena „BI”?

– BI oznacza biegłość.

Charisma musiała intuicyjnie złapać psychologiczne subtelności mojego planu, który dla mnie zaczynał mieć sens dopiero teraz. Rozumiała, że kolorowi pragną dominującej obecności białych, reprezentowanej przez Akademię Ziarno. Wicedyrektor wiedziała bowiem, że nawet w czasach równości rasowej, kiedy pojawia się ktoś bielszy, bogatszy, czarniejszy, chińściejszy, lepszy, jakikolwiek bardziej od nas i paraduje nam przed oczami z tą swoją równością, wywołuje to w nas potrzebę zaimponowania otoczeniu, bycia grzecznym, wpuszczenia koszuli w spodnie, odrobienia lekcji, przyjscia punktualnie, zrobienia dwutaktu, udzielenia lekcji, udowodnienia własnej wartości w nadziei, że nas nie zwolnią, nie aresztują, nie wywiozą gdzieś i nie zastrzelą. Summa summarum, Akademia Ziarno mówi uczniom Charismy to, co Booker T. Washington, Wielki Edukator i założyciel Instytutu Tuskegee, powiedział kiedyś swojemu niewykształconemu ludowi: „Zaczerpnijcie wiadrami tam, gdzie jesteście”. I choć nigdy nie rozumiałem, dlaczego musiało to być akurat wiadro, dlaczego krótkowzroczny Booker T. nie mógł nam polecić, żebyśmy zajęli się książkami, laptopami czy suwakami logarytmicznymi, zgadzałem się z nim i Charismą – z potrzebą dostępnego od ręki białego panoptikonu. Możecie mi wierzyć, to nie żaden przypadek, że Jezus, szefowie NBA i NFL oraz lektorzy używający głosu GPS-om (nawet japońskim) są biali.

Nie ma lepszego antyafrodyzjaku niż rasizm i świadectwo szkolne w cewce moczowej. Kiedy półnaga Marpessa wdrapała się na mnie, i ona, i mój penis złożyli senne główki w okolicy mojego pępka. Trzymała się mojego fallusa, nawet kiedy udała się tam, gdzie udają się śnić kierowcy autobusów. Czyli pewnie do szkoły pilotów, bo w snach Marpessy autobusy mogą latać. Są zawsze punktualne i nigdy się nie psują. Tęcze są wiaduktami, chmury przystankami, a wózki inwalidzkie lecą obok, odchylając się i przekrzywiając jak myśliwce eskortujące bombowiec. Osiągnąwszy wysokość przelotową, rozpędza stado mew i czarnuchów, migrujących dożywotnio na południe, wciskając klakson, który nie trąbi, ale gra Roxy Music, Bon Iver, Sunny’ego Levine’a i *These Days* Nico. I wszyscy jej pasażerowie godziwie zarabiają. A stałym pasażerem jest Booker T. Washington, który wchodząc do autobusu, mówi Marpessie: „Kiedy widzisz się z Dropsem, Kosmicznym Sprzedawczykiem i miłością twojego życia, zdejmuj majty tam, gdzie jesteś”.

XVIII

Kiedy nadszedł listopad, jakieś sześć tygodni po strzelaninie, robiłem spore postępy z Marpessą, ale gorzej szło mi w kwestii moich dwóch pozostałych (ponieważ seks uprawiałem teraz w miarę regularnie) życiowych celów: wprowadzenia segregacji w Dickens i zebrania udanego plonu ziemniaków w Kalifornii Południowej. Wiedziałem, dlaczego ziemniaki mi nie rosną – zbyt gorący klimat. Kiedy jednak przyszło do znalezienia sposobu na rozdzielenie ras, nagle dostałem blokady rasistowskiej, a tymczasem do Dnia Dzielni pozostało już tylko kilka miesięcy. Może byłem jak wszyscy współcześni twórcy: miałem w sobie potencjał na tylko jedną dobrą książkę, tylko jedną płytę, tylko jeden odrażający akt ogromnej nienawiści do własnej mniejszości.

Byliśmy z Sorgiem na grządce, którą przeznaczyłem na bulwy. Na czworaka sprawdzałem kompost i gęstość gleby, po czym wkopywałem w ziemię kartofle odmiany Russet Burbank, podczas gdy Sorgo zasypywał mnie pomysłami na to, jak wprowadzić dyskryminację w całym mieście, i zjebywał jedyną robotę, jaką miał, to znaczy kładzenie węża ogrodowego uprzednio zrobionymi dziurami do góry.

– Panie, a gdybyśmy wszystkich, których nie lubimy, oznakowali i wysłali do obozów?

– Już tego próbowano.

– Okej, to może inaczej. Podzielmy ludzi na trzy grupy: czarnych, kolorowych i półbogów. Wprowadzimy odpowiednie prawa i ustanowimy system...

– Było, kafirze.

– To zadziała w Dickens, bo wszyscy, Meksykanie, Samończycy, czarni, są zasadniczo w jakimś odcieniu brązu.

Położył szlauch na grządce, oczywiście złą stroną, i sięgnął do kieszeni.

– A zatem na samym dole będziemy mieli Niedotykalnych. Ludzi zupełnie bezużytecznych. Gliniarzy z drogówki, kibiców Clippersów, ludzi pracujących w brudnych zawodach, stykających się z ludzkimi i zwierzęcymi odchodami, jak ty, massa.

– Jeśli zostanę Niedotykalnym, a ty jesteś moim niewolnikiem, to kim ty będziesz?

– Jako ulubieniec muz i utalentowany aktor będę braminem. Po śmierci dostąpię nirwany. Ty wrócisz dokładnie w to samo miejsce, w którym jesteś teraz: do tarzania się w krowim łajnie.

Doceniałem pomoc Sorga, ale jego pitolenie o warnach i tłumaczenie, jak można by zastosować w Dickens indyjski system kastowy, sprawiło, że zacząłem rozumieć, skąd bierze się moja blokada umysłowa. Czułem się winny. Pojąłem, że jestem Arschlochem na Konferencji w Wansee, afrykanerskim parlamentarzystą w Johannesburgu w 1948, niedorobionym hipsterem w jury Grammy, który, chcąc uczynić nagrodę jeszcze bardziej inkluzywną, wymyślił te wszystkie bełkotliwe kategorie w rodzaju „Najlepszy występ R&B z wokalem duetu albo grupy” albo „Najlepsza muzyka rockowa w wykonaniu solisty, który wie, jak programować, ale nie umie grać na żadnym instrumencie”. Byłem tym durniem, który kiedy poruszano temat przydziału wagonów kolejowych, bantustanów i muzyki alternatywnej, nie miał odwagi wstać i powiedzieć: „Naprawdę nie zdajecie sobie sprawy, skurwiele, jakie debilizmy teraz opowiadamy?”.

Zasadziwszy kartofle, rozsypawszy kompost i ułożywszy wreszcie wąż ogrodowy jak należy, postanowiłem przetestować mój amatorski system irygacyjny. Odkręciłem zawór i zobaczyłem,

jak trzydzieści metrów nieprzekłutego szlauchu nadyma się i zawijasami toruje sobie drogę przez fasolkę szparagową, hiszpańskie cebule, kapustę, aż wreszcie w niebo tryska sześć strumieni wody – wysokimi łukami, acz nie na ziemniaki – i zmienia nieurodzajne pole w pobliżu ogrodu w miniteren zalewowy. Albo dziury były za małe, albo ciśnienie zbyt wysokie, tak czy inaczej – tego roku nie zanosilo się na domowe ziemniaki. Prognoza zapowiadała na następny tydzień dwadzieścia sześć stopni. O wiele za ciepło dla jakichkolwiek warzyw korzeniowych.

– Massa, nie zakręci pan? Marnujesz wodę.

– Wiem.

– To może następnym razem posadzisz ziemniaki w tym piachu, gdzie teraz zbiera się woda.

– Nie mogę. Tam pochowałem tatę.

Skurwiele nie wierzą, kiedy mówię, że pochowałem go za domem. Ale tak właśnie zrobiłem. Kazałem swojemu prawnikowi, Hamptonowi Fiske'owi, antydatować niektóre dokumenty i zakopałem ojca pod płotem, gdzie było kiedyś zatęchłe bajorko. Nic tam nigdy nie rosło. Ani kiedy żył, ani później. Nie ma żadnego nagrobka. Zanim posadziłem satsumę Marpessy, próbowałem wyhodować jabłonkę, która pełniłaby funkcję cenotafu. Tata lubił jabłka. Jadł je bez przerwy. Ci, którzy go nie znali, sądzili, że jest bardzo zdrowy, bo rzadko widywano go bez mekintosza i puszki soku warzywnego V8. Papić uwielał cortlandy i kokszę, ale jego ulubionymi były jonagoldy. Dałbyś mu zwykłe lobo – popatrzyłby na ciebie, jakbyś mu matkę gitarą zabił. Żałuję, że nie sprawdziłem, co miał w kieszeni marynarki, kiedy zginął. Pewien jestem, że jabłko. Zawsze je miał przy sobie na pogryzkę po skończonym spotkaniu. Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że była to złota reneta, która dobrze trzyma się przez zimę. Nigdy jednak nie uprawialiśmy jabłek. Choć narzekał ile wlezie na pretensjonalnych białasów z Zachodniej, w głębi duszy lubił jeździć do Gelsona, ilekroć rzucali ambrozje po dziesięć dolarów za kilo, albo na targ, jeśli pojawiały się cortlandy. W poszukiwaniu sadzonki pojechałem aż do Santa Paula. Chciałem czegoś wyjątkowego. Od lat dziewięćdziesiątych dziesiętnastego wieku Uniwersytet Cornell hodował najlepsze jabłka na świecie. Kiedyś byli tam wyluzowani. Jeśli ładnie się poprosiło i zapłaciło za transport, wysyłali ci skrzynkę późnych jonagoldów po to tylko, żebyś szerzył dobrą nowinę. W ostatnich latach Cornell zaczął jednak sprzedawać licencję na nowe odmiany miejscowym farmerom, więc jeśli nie masz farmy na północy stanu Nowy Jork, to masz pecha i musisz sobie radzić z importowaną od czasu do czasu floriną. Uniwersyteckie sady w Geneva w stanie Nowy Jork są teraz tym dla czarnego rynku jabłek, czym kolumbijskie Medellín dla kokainy. Moim człowiekiem był Oscar Zocalo, kolega z labu w Riverside, który robił na Cornellu doktorat. Spotkaliśmy się na parkingu lotniska w trakcie pokazu samolotowego. Wieśniaki pilotowały dwupłatowce, testując możliwości myśliwców Curtiss i Sopwith Camel. Oscar nalegał, żebyśmy „załatwili sprawę” jak bandyci w filmach: nie wysiadając z aut, z okna do okna. Próbką była tak smaczna, że starłem nadmiar soku, który spływał mi po policzku, i wtarłem go w dziąsła. Nie wiem, czy to ironia losu czy nie, ale najlepsze jabłka smakują jak brzoskwinie. Wróciłem do domu z gotowym do zasadzenia drzewkiem Velvet Scrumptious, odpowiednikiem cracku w świecie jabłoni – wykurwiście wielkie zbiory, idealna skórka, w chuj witaminy C. Zasadziłem je pół metra od grobu Tatusia. Pomyślałem, że będzie mu miło mieć trochę cienia. Dwa dni później uschło. A jabłka smakowały jak mentolowe papierosy, wątróbka z cebulką i tani rum.

Stałem na grobie ojca, w błocie, spryskiwany wodą przeznaczoną dla ziemniaków. Mogłem stąd zobaczyć całą farmę, od końca do końca. Rzędy drzew owocowych. Podzielonych kolorami.

Od jasnego do ciemnego. Cytryny. Morele. Granaty. Śliwki. Satsumy. Figi. Ananasy. Awokado. Pola, gdzie uprawiam naprzemiennie zboże i kukurydzę, a czasem – jeśli chcę wybulić na wodę – japoński ryż. Pośrodku stoi szklarnia. Za nią liściaste procesje kapusty, sałaty, roślin strączkowych i ogórków. Winogrona wzdłuż południowego ogrodzenia, pomidory wzdłuż północnego, a dalej białe morze bawełny. Bawełny, której nie tykam od śmierci ojca. Jak to powiedział Sorgo, kiedy pierwszy raz zacząłem gadać o przywróceniu Dickens? *Zna pan powiedzenie: „Nie widzieć lasu zza drzew?” Teraz, panie, nie widzisz plantacji zza czarnuchów.* Kogo próbowałem oszukać? Jestem rolnikiem, a rolnicy są urodzonymi segregacjonistami. Oddzielamy ziarno od plew. Nie jestem Rudolfem Hessem, P. W. Bothą, wytwórcią Capitol Records czy dzisiejszymi St. Zjedn. Am. Te skurwiele segregują, bo chcą utrzymać się u władzy. Ja jestem rolnikiem: my segregujemy, żeby każdemu drzewu, każdej roślinie, każdemu biednemu Meksykaninowi, każdemu biednemu czarnuchowi dać szansę na równy dostęp do światła i wody. Dbamy o to, żeby każdy żywy organizm mógł oddychać.

– Sorgo!

– Tak, massa?

– Jaki mamy dziś dzień?

– Niedzielę. Wybiera się pan do Pif-Pafów?

– Tak.

– Więc zapytaj, panie, tego skurwyczarnucha dzie som moje filmy z *Klanem urwisów!*

XIX

Frekwencja była nieduża, może z dziesięć osób. Foy, nieogolony i odziany w pognieciony garnitur, stał w rogu sali, nie mogąc powstrzymać nerwowego drżenia i mrugania. Jakiś czas wcześniej mówili o nim w wiadomościach. Dorobił się tylu pozamażeńskich dzieci, że złożyły przeciw niemu pozew zbiorowy: oskarżały go o emocjonalne krzywdy, które wyrządził im wystawianiem swojej mordy do mikrofonu i kamery przy każdej możliwej okazji. Na tym etapie Intelktualistów Pif-Paf trzymała w kupie już tylko doskonała, godna płaszczyzny euklidesowej gładkość jego fryzury oraz zawartość jego wizytownika. Trudno stracić wiarę w faceta, który nawet w najgorszej dla siebie chwili potrafi mieć nienaganne uczesanie i wezwać na pomoc takich przyjaciół jak Jon McJones, czarny konserwatysta, który ostatnio dodał „Mc” do swojego niewolniczego nazwiska. McJones czytał fragmenty swojej ostatniej książki: *Wpisz „Ajrisz”*: *z getta do gaelic, podróż czarnego Irlandczyka*. Dla Foya autor był niezłym łupem i powinno przyjść więcej ludzi, zwłaszcza że serwowano darmowego bushmillsa, nie ulegało jednak wątpliwości, że Klub Intelktualistów Pączków Pif-Paf umiera. Może koncepcja kamaryli gromadzącej przygłupich czarnych myślicieli wreszcie się przeżyła. „Jestem w Sligo, małej kolonii artystów na północnym wybrzeżu Szmaragdowej Wyspy” – czytał McJones; przez to jego seplenienie i pseudobiałą wymowę miałem ochotę walnąć go w pysk. „W telewizorni wszechirlandzkie mistrzostwa w hurlingu, Kilkenny kontra Galway. Mężczyźni z kijkami gonią za białą piłeczką. Barczysty koleżka w wełnianym swetrze staje za mną i delikatnie zaczyna uderzać w dłoń końcem swojego shillelagh. Nigdy nie czułem się bardziej u siebie”.

Klapnąłem obok Kuzyna Króla, który jak zawsze obstawiał tyły, przezuwając pączka z syropem klonowym i kartkując bezpański numer „Lowridera”. Kiedy Foy Cheshire mnie zauważył, popukał w swojego patka, jakbym był ministrantem, który spóźnił się do kościoła. Coś z Foyem było nie tak. Przerywał McJonesowi bezsensownymi pytaniami.

– *Shillelagh*, powiadasz. To prawie jak Sheila, nieprawdaż?

Zobaczyłem, że Kuz nie czyta swojej „Pikawy”, więc wziąłem ją do ręki. W ciągu kwartału od czasu otwarcia Akademii Ziarno zatrudnienie w Dickens wzrosło o jedną ósmą. Ceny nieruchomości wzrosły o trzy ósme. Nawet liczba kończących szkołę była wyższa o jedną czwartą. No i wreszcie czarni wyszli finansowo z czarnej dupy. Choć eksperyment społeczny wciąż znajdował się we wczesnej fazie i grupa badawcza była relatywnie niewielka, liczby nie kłamały. Przez ostatnie trzy miesiące, odkąd ruszyła Akademia Ziarno, uczniowie Gimnazjum P. Levy radzili sobie wyraźnie lepiej. Nie żeby ktoś miał niebawem przeskakiwać klasę albo występować w *Milionerach*, niemniej wyniki egzaminów wyglądały niezłe; może nie rewelacyjnie, ale zdecydowanie obiecująco. Na tyle, na ile mogłem zrozumieć stanowe wytyczne, postęp był tak duży, że – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – szkole nie groziło już przejście pod zarząd komisaryczny, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Kiedy czytanie dobiegło końca, Foy wyszedł na środek sali, bijąc brawo jak podekscytowane dziecko na pierwszym w życiu spektaklu teatrzyku kukielkowego.

– Chciałbym podziękować panu McJonesowi za jego ubogacające wystąpienie, ale zanim przejdziemy do tematu dzisiejszego spotkania, muszę coś ogłosić. Po pierwsze, mój ostatni talk-show, *Czarny na białym*, został zdjęty z anteny. Po drugie, jak wie część z was, zaczęła się nowa

bitwa i pancernik nieprzyjaciela dotarł już do naszych brzegów, przyjmawszy postać Akademii Ziarno, całkowicie białej szkoły. Mam wprowadzić przyjaciół na odpowiednich stanowiskach i wszyscy zaprzeczają istnieniu Akademii Ziarno, ale nie lękajcie się, opracowałem tajną broń.

Wysypał na najbliższy stolik zawartość nesesera – nową książkę. Dwie osoby natychmiast wstały i wyszły. Chciałem do nich dołączyć, ale przypomniałem sobie, że jestem tu po coś, a poza tym jakaś część mnie była szalenie ciekawa, którąż to teraz klasyczną amerykańską powieść zmasakruje Foy. Przed podaniem książki dalej nieśmiało pokazał ją Jonowi McJonesowi, który rzucił okiem i powiedział: „Jesteś pewien, czarnuchu, że chcesz rozpętać tę gównoburzę?”. Kiedy dotarła na tył sali, Kuz podał mi ją, nie spojrzawszy nawet na okładkę, ale kiedy przeczytałem tytuł, nie chciałem wypuścić książki z ręki. *Przygody Wuja Toma Sawyera*. Olśniło mnie, że pisanina Foya to w istocie czarna sztuka ludowa i pewnego dnia będzie coś warta. Zacząłem żałować tego całego palenia książek i że swego czasu nie zacząłem ich kolekcjonować, bo ostatnie dziesięć lat marszczyłem swój szeroki czarny nos na widok niedostępnych dziś pierwo- i jedynodruków takich tytułów jak *Stary czarny człowiek i dmuchany basenik ogrodowy z Kubusiem Puchatkiem*, *Rozsądne nadzieje*, *Opowieść o dwóch dzielniach*. Na okładce *Wuja Toma Sawyera* widniał dobrze ubrany czarny chłopak – w mokasynach i skarpetach w szkocką kratę, odsłoniętych przez podwinięte limonkowe spodnie w wieloryby, uzbrojony w wiadro białej farby, stał odważnie przed ścianą z nabazgranym graffiti, nie zważając na groźnie zerkającą na niego bandę dresów z gangu.

Kiedy Foy wyrwał mi z ręki *Wuja Toma Sawyera*, poczułem się, jakbym puścił piłkę, od której zależał wynik meczu.

– Ta książka, nie wstydzę się tego powiedzieć, jest BME, Bronią Masowej Edukacji! – Nie potrafiąc ukryć podekscytowania, zaczął mówić o dwie oktawy wyżej i nabrał iście führerowskiego zapału. – I jak postać Wuja Toma Sawyera zainspirowała mnie, tak nakłoni ona naród do pobielenia tego płotu! Zakrycia tych straszliwych wizerunków rasowej segregacji, którą reprezentuje Akademia Ziarno. Kto jest ze mną? – Wskazał na drzwi wejściowe. – Wiem, że wspierają nas ci wielcy afroamerykańscy bohaterowie...

Z powodów prawnych nie wolno mi powiedzieć, kim przechwalał się Foy, kiedy bowiem odwróciłem głowę w stronę tego, co jak sądziłem, będzie jego niewidzialnymi zwidami, okazało się, że w drzwiach do Pączkarni Pif-Paf rzeczywiście stoi troje najsłynniejszych żyjących Afroamerykanów: znany ojciec telewizyjnej rodziny, _ i _ _ _ _ _ b _, a także murzyński dyplomaci: _ o _ _ _ _ o _ _ _ _ oraz _ _ n _ _ _ e e _ _ _ _ _ c _. Wyczuwając, że Intelktualiści Pączków Pif-Paf zdychają, Foy uruchomił wszystkie swoje kontakty i podzwonił gdzie trzeba. Trzy gwiazdy usiadły ostrożnie, cokolwiek zdziwione, że jest tak mało ludzi. Trzeba im oddać, że zamówiły kawę i pączki i brały udział w spotkaniu, które w większości polegało na tym, że Jon McJones bezmyślnie powtarzał bzdurne republikańskie liczmany, na przykład, że dziecko niewolników urodzone w 1860 roku miało większą szansę na dorastanie w pełnej rodzinie niż dziecko urodzone po wyborze pierwszego afroamerykańskiego prezydenta USA. McJones był snobistycznym Murzynem, który nienawiść do własnej rasy maskował libertarianizmem. Ja przynajmniej swoją nosiłem na wierzchu. Zaczął podawać statystyki, które – nawet jeśli były prawdziwe – nie miały żadnego znaczenia, o ile weźmie się pod uwagę prosty fakt, że niewolnicy byli niewolnikami. Że przed wojną secesyjną rodzina złożona z ojca i matki składała się nie z pary zakochanych, ale dwojga ludzi dobranych przez ich właściciela. Nie mówił, że czasami do ślubu zmuszano rodzeństwo, matkę i syna. Albo że w epoce niewolnictwa nie istniało coś takiego jak rozwód. Nie było mówienia „Wychodzę po papierosy” i niewracania

nigdy więcej. Co z matką i ojcem, którzy nie mieli dzieci, bo sprzedano je w niewolę cholera wie gdzie? Jako współczesny właściciel niewolników (ściślej: niewolnika) czułem się urażony, że nie oddano sprawiedliwości czcigodnej instytucji niewolnictwa, jej rzeczywistym okrucieństwu i brutalności.

– Co za kocopały – powiedziałem, przerywając McJonesowi i podnosząc rękę jak uczniak w klasie.

– Że niby wolałbyś urodzić się w Afryce niż tutaj? – syknął C _ _ _ n _ _ w _ _ _ tonem gościa z dzielni, który nie pasował ani do jego CV, ani do wyciętego w serek swetra.

– Co, tutaj? – Wskazałem na ziemię. – Tutaj, w Dickens?

– No może nie w takiej zabitej dechami dziurze jak Dickens – powiedział McJones, rzucając zebrany spojrzeń mowiące „Spokojnie, ja się tym zajmę”. – Nikt nie chce tutaj mieszkać, ale nie chcesz chyba powiedzieć, że wolałbyś urodzić się w Afryce niż gdziekolwiek indziej w Ameryce.

Wolisz chyba być tu niż w Afryce. Karta, którą grają wszyscy ograniczeni natywiści. Jasne, że gdyby mi przyłożyli do twarzy muffina, to wolałbym być tutaj niż gdzieś w Afryce, choć słyszałem, że Johannesburg nie jest wcale taki zły, a na Wyspach Zielonego Przylądka znakomicie się surfuje. Nie jestem jednak takim samolubem, by uważać, że moje względne szczęście – na które składają się również (choć nie wyłącznie): dostępność chilli burgerów dwadzieścia cztery godziny na dobę, płyty Blue-ray i krzesła biurowe Aeron – warte jest cierpienia wielu pokoleń. Szczerze wątpię, by jakaś praprzodkini na statku niewolniczym, stojąc po kolana we własnych odchodach, w przerwie między gwałtem a chłostą tłumaczyła sobie, że wszystko to ma sens – pokolenia mordów, niebywałego bólu i cierpienia, psychicznego znęcania się, szalejących chorób – bo kiedyś tam jej prapraprapraprawnuk będzie miał wi-fi, mniejsza już o to, że wolne i zawodne.

Nie powiedziałem ani słowa i pozwoliłem Kuzynowi Królowi walczyć za mnie. Przez dwadzieścia lat spotkań najrozsądniejszą rzeczą, którą powiedział, było zwrócenie uwagi, że mrożona herbata mogłaby być ciut słodsza, a teraz, proszę – oto stawiał czoła człowiekowi mającemu cztery doktoraty i mówiącemu dziesięcioma językami, choć żadnym czarnym (z wyjątkiem francuskiego).

– Nie pozwolę ci lżyć Dickens, czarnuchu! – powiedział ostro Kuz, wstał i świeżo wymanikiurowanym palcem wskazał McJonesa. – To jest miasto, a nie zabita dechami dziura!

Lżyć? Może dwadzieścia lat retoryki Pączkarni Pif-Paf nie poszło całkiem na marne. Trzeba przyznać, że McJones, mimo tonu i rozmiarów Kuza, nie ustąpił.

– Może źle się wyraziłem. Muszę się jednak nie zgodzić z pańską sugestią, że Dickens jest miastem, albowiem ewidentnie jest to jedynie miejsce dzisiejszego spotkania, amerykańskie slumsy i nic ponadto. Jeśli pan woli: postczarny, postrasowy, postsoulowy relikwiarz czasów romantyzowanej czarnej nieświadomości...

– Ej, słuchaj, ćwoku, wciskaj te postsoulowe, postczarne kocopały komuś, kogo obchodzi to gównie, bo akurat *ja* wiem, że jestem *przedczarny*. W Dickens urodzony i wychowany. *Homo sapiens* i prawdziwy gangsta Crip z pierwotnego no to kurwa siup, czarnuchu.

Przemowa Kuza musiała zrobić wrażenie na pannie R _ _ _, bo zdjęła nogę z nogi i rozłożyła uda w sam raz na tyle, żeby odsłonić trochę wewnętrznej strony swojego prawicowego uda, po czym popukała mnie po ramieniu.

– Ten wielki skurwiel grywa w futbol?

– Trochę biegał w liceum.

– Мои трусики мокрые – powiedziała soczyście po rosyjsku.

Żaden ze mnie lingwista, ale jeśli miałbym zgadywać, znaczyło to, że Kuz może spenetrować jej linię obrony, kiedy tylko zechce. Stary *veterano* wystąpił na środek pączkarni, a gumowe podeszwy jego tramppek skrzypiały przy każdym kroku.

– To jest Dickens, ty dumnie lamerski skurwiele. – I do bitu, który słyszał tylko on, wykonał skomplikowany gangusowy krok znany jako chód Cripsów. Ani na chwilę nie odwracając się plecami do publiczności, balansował na piętach i śródstopiu. Z kolanami przy sobie i wolnymi rękami okrążył salę, zataczając ciasne koła, które naprzemiennie zwęzły się i rozszerzały. Jakby podłoga była rozgrzana, zbyt gorąca, by mógł zatrzymać się w jakimś miejscu dłużej niż na sekundę. Kuzyn Król debatował z McJonesem, najlepiej jak potrafił, cytując Snoop Dogga:

Chcesz coś, to po prostu bierz, skoroś skurwielem, to nie pytaj i se weź...

Velis aliquam, acquiris aliquam, caninus satis, capis aliquam.

Kiedy skromna widownia zgromadziła się wokół dwóch rywali, zrobiłem to, po co tam przyjechałem. Zdjąłem ze ściany zdjęcie Tatusia i wziąłem je pod pachę. Segregowanie miasta pod jego fotografią to jak uprawianie seksu z rodzicami za ścianą. Nie możesz się skupić. Nie możesz być tak głośno, jak byś chciał. Na paluszkach wyszedłem, kiedy Kuzyn Król uczył McJonesa, „l C y’ o, n P i patrzącą się na niego rozmarzonym wzrokiem o n d z z e, jak wykonywać chód Cripsów. Od razu załapali. Szli szpanerskim krokiem niczym banda oldskulowych gangusów. Co pasowało, bo chód Cripsów to starożytny taniec wojenny, odziedziczony po Masajach i podpierdolony Czirokezom ze starych westernów. Celem jest *danseur noble* w workowatych spodniach. To taniec, który mówi: „Proszę strzelać, kiedy będzie pan gotów, Gridley”⁶⁴. Bo każdy czarnuch w świetle reflektorów, nawet te konserwatywne ściemniacze, wiedzą, jak to jest mieć tarczę na środku pleców.

Odwiązywałem konia, kiedy Foy w ojcowskim geście objął mnie ramieniem. Spięty, nerwowo zerknąłem na jego bródkę, której nigdy wcześniej nie widziałem. Szyję miał pokrytą pyłem, uderzył mnie przenikliwy smród ludzkiego ciała.

– Odjeżdżasz w stronę zachodzącego słońca, Sprzedawczyku?

– Odjeżdżam.

– Ciężki dzień.

– Te bzdury, że w czasach niewolnictwa było lepiej, to za dużo nawet jak na ciebie, Foy, co nie?

– McJonesowi przynajmniej zależy.

– Daj spokój, zależy mu na czarnych jak dwumetrowemu dryblasowi na koszykówce. Musi mu zależeć, bo w czym innym będzie dobry?

Wiedząc, że nigdy więcej nie wrócę do Intelktualistów Pączków Pif-Paf, Foy spojrzał na mnie tym samym smutnym wzrokiem, którym misjonarze musieli patrzeć na bezbożników z dżungli. Spojrzeniem mówiącym: Nie szkodzi, że jesteście za głupi, żeby pojąć miłość Bożą. On kocha was mimo wszystko, tylko oddajcie nam kobiety, długodystansowców i surowce naturalne.

– Nie martwi cię ta biała szkoła?

– Neeee, białe dzieciaki też muszą się uczyć.

– Ale białe dzieciaki nie będą kupować moich książek. Co mi przypomina... – I wręczył mi

egzemplarz *Wuja Toma Sawyera*, złożywszy na nim autograf, o który wcale nie prosiłem.

– Foy, czy mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Wiem, że to pewnie miejska legenda, ale czy to prawda, że to ty masz te najbardziej rasistowskie odcinki *Klanu urwisów*? Bo jeśli tak, to mam dla ciebie propozycję.

Ewidentnie poruszyłem drażliwy temat. Foy potrząsnął głową, palcem wskazał swoją książkę i poczłapał z powrotem. Kiedy otwarły się przeszklone drzwi, usłyszałem Kuza, najbogatszego czarnego mężczyznę w kraju, oraz dwoje słynnych murzyńskich ministrów pełnomocnych, jak ile sił w płucach rapują kawałek N.W.A., *Jebać policję*. Zanim włożyłem *Wuja Toma Sawyera* do sakwy przy siodle, przeczytałem dedykację, która okazała się zawoalowaną groźbą.

Sprzedawczykowi,

jaki ojciec, taki syn...

Foy Cheshire

Pierdolić go. Ruszyłem galopem do domu. Popędziłem konia przez Guthrie Boulevard, po drodze wynajdując „dresaż gettowy”, bo zignorowałem drogówkę i popędziłem, kręcąc ósemki wokół ustawionych na zamkniętym dla ruchu pasie pomarańczowych pacholków. Na Chariton Drive pozwoliłem się podczepić zmęczonej lasce na deskorolce – jedną ręką trzymałem lejce, a drugą ciągnąłem dziewczynę jak deskokabriolet, od Airdrome do Sawyer, aż pchnąłem ją w ostry zakręt na Burnside. Nie wiem, czego się spodziewałem po przywróceniu Dickens do dawnej chwały, której zresztą nigdy nie było. Nawet jeśli pewnego dnia Dickens zostanie oficjalnie uznane, nie będzie żadnych fanfar ani fajerwerków. Nikt nigdy nie uprze się, żeby postawić mój pomnik w parku mojego imienia ani nie nazwie moim nazwiskiem szkoły podstawowej. Nie będzie podekscytowania, które musieli czuć Jean Baptiste Point du Sable i William Overton, kiedy wbijali flagi w miejscach, gdzie stanęły Chicago i Portland. W końcu niczego nie odnajdę ani nie odkryję. Po prostu odkurzę pędzelkiem pył z eksponatu, który nigdy nie został należycie zakopany. Kiedy dotarłem do domu, podekscytowany Sorgo rozkulbaczył konia. Bardzo chciał mi pokazać, co znalazł w internetowej encyklopedii: precyzujący wpis, który wyszedł spod pióra jakiegoś anonimowego uczonego:

Dickens to miasto w południowo-zachodniej części hrabstwa Los Angeles. Kiedyś było całkiem czarne, a teraz jest tam w pizdu Meksykanów. Choć niegdyś znano je jako światową stolicę morderstw, nie jest już tak chujowo, ale czeba być ostrożnym.

Tak, wszystko wskazuje na to, że jeśli Dickens kiedykolwiek stanie się znowu prawdziwym miejscem, to jedyną nagrodą, jaką dostanę, będzie szeroki uśmiech Sorga.

XX

Zachowajcie to dla siebie, ale przez kilka kolejnych miesięcy resegrowanie Dickens było nawet fajne. W przeciwieństwie do Sorga nigdy nie miałem prawdziwej pracy i choć nie dostałem za to ani centa, jeżdżenie po mieście w roli niegodziwego naukowca społecznego z Sorgiem jako moim afroamerykańskim Igorem w pewnym stopniu dawało mi poczucie siły, mimo że kpiliśmy sobie z poczucia bezsilności. Od poniedziałku do piątku punktualnie o pierwszej stawał przed domem, obok auta.

– Gotowy do segregowania, Sorgo?

– Tak, panie.

Zaczęliśmy skromnie, a sława i uwielbienie, jakimi cieszył się na dzielni Sorgo, okazały się bezcenne. Wchodził do środka, stepując, wykonując szaleńczo wyrefinowany układ taneczno-muzyczny z dawnych wodewilowych teatrzyków, tak że czarne twarze braci Nicholas, Honiego Colesa, Bucka i Bubblesa zzieleniałyby z zazdrości.

A że włos mam kędzierzawy,
A że uśmiech – pereł sznur,
Zawszem skory do zabawy,
Najmodniejszy noszę strój,

A że życiem się raduję
Śmiechem witam smutków rój,
Że na mojej skórze burej
Nic nie poznasz – to dlatego
„Błysk” mnie zowią, mój kolego!

Po czym, jakby była to część układu, naklejał na witrynę sklepu albo zakładu kosmetycznego znaczek TYLKO DLA KOLOROWYCH. Nikt ich nigdy nie odkleił, a przynajmniej nie przy nas: Sorgo za bardzo się starał.

Czasami, kiedy Sorgo miał przerwę na lunch albo drzemał w pikapie, w hołdzie mojemu Ojcu wkładałem jego biały kitel laboratoryjny i brałem do ręki kołonotatnik. Wręczałem właścicielowi moją wizytówkę i wyjaśniałem, że pracuję dla Federalnego Departamentu Nierówności Rasowych, przeprowadzam miesięczne badanie wpływu „rasowej segregacji na zachowania normatywne osób żyjących w rasowo posegregowanych społecznościach”. Za stałą cenę pięćdziesięciu dolarów mogli wybrać jeden z trzech znaków: TYLKO CZARNI, AZJACI I LATYNOSI, TYLKO LATYNOSI, AZJACI I CZARNI oraz BIAŁYM WSTĘP WZBRONIONY. Byłem zaskoczony, jak wielu drobnych przedsiębiorców chciało mi zapłacić za możliwość wystawienia znaku BIAŁYM WSTĘP WZBRONIONY. Jak to często bywa w przypadku eksperymentów społecznych, nie przychodziłem po raz drugi na zapowiedziane badanie kontrolne, ale po miesiącu zacząłem odbierać telefony od właścicieli sklepików, którzy chcieli rozmawiać z doktorem Dropsem i dopytywali się, czy mogą zatrzymać naklejki, bo klienci czują

się przez nie wyjątkowo. „Kupujący je uwielbiają. Czują się tak, jakby należeli do prywatnego klubu, który jest publicznie otwarty!”

Szybko udało się przekonać kierownika Meralty, jedyne kina w mieście, że liczba skarg spadnie mu o połowę, jeśli podzieli salę: na parterze TYLKO BIALI I NIEGADAJĄCY, a na balkonie CZARNI, LATYNOSI I NIEDOSŁYSZĄCY. Nie zawsze pytaliśmy o zgodę: farbą i pędzlem zmieniliśmy godziny otwarcia Biblioteki Publicznej imienia Wandy Coleman z „nd.–wt.: zamknięte, śr.–sob.: 10:00–17:30” na „nd.–wt.: tylko biali, śr.–sob.: tylko kolorowi”. Kiedy rozniosła się wieść o sukcesach, jakie w Gimnazjum P. Levy odnosi Charisma, zaczęła od czasu do czasu dzwonić jakaś organizacja, prosząc o pomoc w zaprowadzeniu małej spersonalizowanej segregacji. Chcąc zmniejszyć przestępczość wśród młodzieży w dzielnicy, miejscowy oddział Un Millar de Muchachos Mexicanos (inaczej Los Emes) postanowił urządzić zamiast zwyczajowej „Nocy koszykówki” „coś trochę bardziej przyjaznego wzrostowi Meksykanów i Rdzennych Amerykanów”, wydarzenie sportowe, które nie potrzebowałoby wiele przestrzeni i pozwoliłoby dzieciakom rywalizować na równej stopie. Nie zmienili zdania, choć rzucałem nazwiskami takich tuzów kosza jak Eduardo Nájera, Tahnee Robinson, Earl Watson, Shoni Schimmel czy Orlando Méndez-Valdez.

Spotkanie było krótkie, składało się tylko z dwóch moich pytań:

Pierwsze:

- Czy macie jakieś pieniądze?
- Mamy sto tysięcy grantu z Fundacji Mam Marzenie.

Drugie:

- Wydawało mi się, że oni spełniają życzenia tylko umierających dzieci?
- Dokładnie.

W szczytowym okresie wcielania w życie przez rząd federalny antydyskryminacyjnych przepisów ustawy o prawach obywatelskich⁶⁵ niektóre miejscowości wołały zasypać miejskie baseny, niż pozwolić niebiałym dzieciom na perwersyjną przyjemność sikania do wody. W natchnionym akcie resegregacji użyliśmy tych pieniędzy do zatrudnienia ratownika, który miał udawać bezdomnego, i zbudowania ogrodzonego siatką basenu opatrzonego napisem *Tylko dla białych*. Dzieciaki uwielbiały ją przeskakiwać, żeby móc grać w wodnego berka i bawić się we wstrzymywanie oddechu pod wodą, ilekroć przejeżdżał obok radiowóz.

Kiedy Charisma uznała, że jej uczniowie potrzebują przeciwwagi dla zalewu nieszczerej dumy oraz sprofilowanego marketingu, które niósł Miesiąc Czarnej Historii i Miesiąc Latynoskiego Dziedzictwa, zaproponowałem zorganizowanie jednorazowego Tygodnia Białasa. Wbrew nazwie Tydzień Białasa był w rzeczywistości półgodzinnym fetowaniem cudownych dzieł tajemniczej rasy kaukaskiej oraz jej wkładu w świat rekreacji. Chwilą oddechu dla dzieci, które zmusza się na lekcjach do odtwarzania historii imigracji (zarobkowej i nielegalnej) oraz handlu niewolnikami. Zmęczonych włączaną im na siłę bzdurą, że jeśli ktoś z twoich pobratymców coś zrobił, to zrobiliście to wszyscy. Przerobienie dawno nieużywanej myjni samochodowej przy Robertson Boulevard w „tunel białości” zabrało mi jakieś dwa dni. Zmieniliśmy znaki, żeby dzieci z Dickens mogły ustawić się w kolejce i wybrać jedną z kilku opcji czystości rasowej:

Zwykła białość: Kredyt zaufania.
 Wyższa średnia długość życia.
 Niższa składka ubezpieczenia zdrowotnego.

Białość deluxe: Zwykła białość plus:

Policja poucza, a nie zatrzymuje.
Przyzwoite miejsca na koncertach i wydarzeniach sportowych.
Świat kręci się wokół ciebie i twoich problemów.

Białość
superdeluxe: Białość deluxe plus:
Coroczne premie w pracy.
Służba wojskowa jest dla przegrywów.
Gwarantowany wstęp na każdy uniwersytet.
Terapeuci, którzy słuchają.
Łódki, których nigdy się nie używa.
Wszystkie wady i występki nazywa się „fazami”.
Zero odpowiedzialność za zadrapania, wgniecenia i obiekty pozostawione
w podświadomości.

Przy dźwiękach najbielszej muzyki, jaka nam przyszła do głowy (Madonna, The Clash, Hootie & The Blowfish), dzieciaki w strojach kąpielowych albo koszulkach bez rękawów tańczyły i chichrały się w gorącej wodzie i mydlinach. Nie zważając na pomarańczowe światło alarmowe, wbiegały pod wodospad wcale nie tak gorącego wosku karnauba. Wręczaliśmy im cukierki i napoje i pozwalaliśmy stać, ile chciały, przed dmuchawami wiejącymi im w twarz ciepłym powietrzem. Przypominając im, że tak właśnie czują się biali i bogaci. Że dla nielicznych szczęśliwców życie to jazda na przednim siedzeniu kabrioletu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Być może nie zostawiliśmy na deser tego, co najlepsze, ale zanim nadszedł Dzień Dzielni, zdążyliśmy z Sorgiem zaprowadzić segregację (w takiej czy innej formie) niemal w każdej części i w niemal każdej instytucji publicznej w Dickens – z wyjątkiem Szpitala imienia Martina Luthera „Krwawego” Kinga, Jr., który paradoksalnie znajduje się w Polynesian Gardens. Polynesian Gardens, inaczej P.G., to dzielnia zamieszкана w większości przez Latynosów, znana jako miejsce wrogie Afroamerykanom. Miejscowa legenda mówi, że obrażenia, jakie odnoszą w P. G. czarni dickensjanie w drodze do szpitala, są często poważniejsze niż to, z czym jadą do placówki medycznej. Gangi i policja sprawiają, że jazda ulicami Los Angeles, zwłaszcza po dzielni, której się nie zna, może być niebezpieczna. Nigdy nie wiesz, kiedy ktoś postanowi spuścić ci wpierdol za to, że jesteś niewłaściwego koloru albo nosisz ciuchy w niewłaściwym kolorze. Sam nigdy nie miałem żadnych kłopotów w Polynesian Gardens, ale uczciwie muszę przyznać, że nigdy nie byłem tam nocą. W wieczór poprzedzający naszą szpitalną akcję doszło do strzelaniny między Varrios a Barrios, gangami od dawna toczącymi krwawy spór o pisownię i wymowę. Chcąc mieć pewność, że nasze dupska będą bezpieczne, przymocowałem do przednich błotników złoto-fioletowe proporczyki, a do dachu flagę Lakersów wielkości flagi z Iwo Jimy. Wszyscy w Los Angeles uwielbiają Lakersów, naprawdę wszyscy. Jechanie Centennial Avenue z łopoczącą majestatycznie na nocnym wietrze flagą Lakersów – nawet za wlokącymi się lowriderami, które nie przekraczają piętnastu kilometrów na godzinę – dało pikapowi ambadorski sznyt i tymczasową przepustkę dyplomatyczną.

Dyrektor Szpitala im. Martina Luthera „Krwawego” Kinga, Jr., doktor Wilberforce Mingo, był starym znajomym mojego ojca i kiedy wyjaśniłem mu, że to ja namalowałem granice, postawiłem znaki i wymyśliłem Akademię Ziarno, pozwolił mi wprowadzić segregację w swojej placówce. Rozsiadł się w fotelu i oświadczył, że za kilo moich czereśni mogę posegregować jego szpital, jak tylko mi się podoba. I tak oto pod osłoną ciemności („jak w dupie u Murzyna”) na

dotychczas pustych szklanych drzwi wejścia na oddział ratunkowy namalowaliśmy z Sorgiem słowa „Centrum urazowe imienia Bessie Smith”⁶⁶, grubymi krwistoczerwonymi literami jak z afisza horroru. Następnie do środkowego słupa na podjeździe przywierciliśmy proste białe-czarne tabliczki z napisem: TYLKO DLA KARETEK NALEŻĄCYCH DO BIAŁYCH.

Nie powiem, że robiłem to bez lęku. Szpital był jedynym dużym miejscem, gdzie moje dzieło segregacji mogło zostać zauważone przez ludzi spoza Dickens. Bałem się wejść do środka i poprosiłem Sorga, żeby dał mi jedną z marchewek, które zebraliśmy poprzedniej nocy.

– Co jest, doktorku? – zażartowałem, pogryzając koniuszek marchwi.

– Wiesz, massa. Królik Bugs to po prostu Brat Królik⁶⁷, który miał lepszego agenta.

– Czy lis kiedykolwiek złapał Brata Królika? Bo jestem pewien, że po tym, co dziś robimy, białasy nas w końcu dopadną.

Sorgo wygładził naklejony na boku pikapa napis USŁUGI BUDOWLANE SAMMY’EGO SŁONECZKO, po czym wyjął z bagażnika dwie puszki farby i dwa pędzle.

– Panie, jeśli biali przyjdą tu i zobaczą to gówno, pomyślą to samo co zawsze: „Popierdolone czarnuchy!”, po czym zajmą się swoimi sprawami.

Kilka lat temu, jeszcze przed internetem, hip-hopem, slamami poetyckimi, wycinankami Kary Walker, gotów byłbym się z nim zgodzić. Ale bycie czarnym nie jest już tym samym, czym było kiedyś. Kiedyś wiązało się z mnóstwem debilizmów, ale przynajmniej mieliśmy trochę prywatności. Nasz slang i upadające wyczucie stylu trafiały do mainstreamu dopiero po wielu latach. Mieliśmy nawet nasze własne supertajne techniki seksualne. Murzyńską kamasutrę, którą poznawaliśmy w piaskownicy, na werandzie, od pijanych rodziców, celowo zostawiających ociupinę uchylone drzwi, żeby „małe czarnuchy się czegoś nauczyły”. Powszechność czarnej pornografii w internecie dała jednak każdemu, kto za dwadzieścia pięć dolarów kupił miesięczny dostęp albo ma w głębokim poważaniu cudzą własność intelektualną, dostęp do seksualnych osobliwości, które kiedyś były wyłącznie nasze. I dziś nie tylko białe kobiety, ale kobiety wszystkich wyznań, kolorów i orientacji seksualnych muszą znosić to, że ich partnerzy posuwają je w tempie sto kilometrów na godzinę i wrzeszczą: „Kto jest panem cipki?!”. I choć nigdy nie doceniliśmy Basquiata, Kathleen Battle i Patricia Ewinga – i wciąż nie odkryliśmy *Killer of Sheep*⁶⁸, Lee Morgana, talku, Fran Ross i Johnny’ego Otisa – w dzisiejszych czasach mainstreamowa Ameryka nieustannie wtyka nos w nasze sprawy. A ja wiedziałem, że ostatecznie skończę w jebanym więzieniu.

Sorgo pchnął mnie przez drzwi automatyczne.

– Panie, wszyscy tak długo mają dzielnię w dupie, aż wreszcie jej tam już nie mają.

W szpitalach nie ma już tęczy albo kolorowych linii, które kiedyś pomagały odnaleźć właściwą drogę. Kiedy przyjmowano cię do szpitala w czasach specjalistycznych plasterków, nierozpuszczalnych szwów i pielęgniarek bez akcentu, siostra oddziałowa wręczała ci teczkę i szedłeś: czerwoną linią na radiologię, pomarańczową na onkologię, fioletową na pediatrię. Tymczasem w „Krwawym” Kingu pacjent na izbie przyjęć, zmęczony czekaniem na system, który ma go gdzieś, znużony trzymaniem plastikowego kubeczka z odciętym palcem pływającym w dawno roztopionym lodzie albo tamowaniem krwotoku kuchenną gąbką, a czasami ze zwykłej nudy, doślizgnie się czasem do szklanego przepierzenia i zapyta pielęgniarkę odpowiedzialną za segregowanie chorych: „Dokąd prowadzi ta linia w kolorze błota?”. A siostra wzruszy ramionami. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, pójdzie za linią,

której namalowanie zabrało nam z Sorgiem całą noc oraz pół następnego dnia, spędzonego przez nas na dbaniu, żeby wszyscy uważali na kartki ŚWIEŻO MALOWANE. Ta linia to dla pacjentów „droga wybrukowana żółtą kostką” – lepsza nigdy się im nie trafi.

Choć ma w sobie nutę cieniściego chabrowego, Pantone 426C to dziwny, tajemniczy kolor. Wybrałem go, ponieważ w zależności od światła, wzrostu i nastroju patrzącego wydaje się albo czarny, albo brązowy. Jeśli opuścisz salę przyjęć i pójdziesz wzdłuż siedmioipółcentymetrowej linii, z trzaskiem przebijesz się przez dwie pary ciężkich podwójnych drzwi, wykonasz kilka gwałtownych skrętów w płataninie usianych pacjentami korytarzy, to w końcu brudną, zaniedbaną klatką schodową zejdziesz trzema ciągami schodów na obskurny, oświetlony jedynie słabą czerwoną żarówką dziedziniec. Tam linia rozgałęzia się na trzy: każda odnoga prowadzi na próg identycznych nieoznakowanych dwuskrzydłowych drzwi. Pierwsze wiodą na uliczkę za szpitalem, drugie do kostnicy, trzecie do zagłębia automatów z napojami i śmieciowym żarciem. Nie rozwiązało to problemów rasowych ani klasowych, z którymi boryka się opieka zdrowotna, ale słyszałem, że pacjenci podążający czarnobrązową drogą są bardziej proaktywni. Kiedy wreszcie wyczytuje się ich nazwisko, pierwsze, co mówią lekarzowi prowadzącemu, to: „Panie doktorze, na początek chciałbym się czegoś dowiedzieć: czy pan mnie ma w dupie, czy jednak nie? To znaczy tak serio: nie ma mnie pan w dupie?”.

XXI

Kiedyś Kuzyn Król i jego najnowsza ekipa, Colosseum Blvd et Tu, Brutale Okrutne, lecz Hojne Gangsta Cripsy-Śmipsy, świętowali każdy Dzień Dzielni, najeżdżając teren swoich zaprzysięgłych wrogów, Plażowych Ziomków z Venice – ze słońcem świecącym w plecy tarabanili się w dół Broadway Street w cztery wozy i dwudziestu durniów i szukali akcji. Większość z nich tylko ten jeden jedyny raz w roku opuszczała dzielnicę (chyba że odwożono ich do aresztu). Od czasu wprowadzenia kredytów o zmiennej stopie procentowej ceny wzrosły i większość PZV nie podołała finansowo: musieli ustąpić miejsca winotekom, centrom medycyny holistycznej i hipsterskim gwiazdom filmowym, które pobudowały sobie czterometrowe płyty z drewna wiśniowego, zmieniając tysiącmetrowe bungalowy w posiadłości za dwa miliony dolarów. Teraz, ilekroć Plażowe Ziomki z Venice chcą zrobić, co do nich należy, i bronić swojego terenu, muszą dojeżdżać z dalekich miejsc, jak Palmdale czy Moreno Valley. A co to za zabawa, kiedy twój wróg nie chce walczyć. Nie z braku odwagi albo amunicji, ale ze zmęczenia. Zmęczenia tym, że zanim pociągnie za spust, musi najpierw spędzić trzy godziny na objazdach albo w korkach na autostradzie. Teraz te dwie niegdyś wrogie sobie dzielnice spędzają Dzień Dzielni na własnej wersji historycznych rekonstrukcji wojny secesyjnej: spotykają się na polach wielkich bitew przeszłości, strzelają do siebie ślepakami i petardami, a niewinni klienci kawiarnianych ogródków uciekają w poszukiwaniu schronienia. Nieprawi synowie Zachodniej wyskakują ławą ze swoich bryk i gruchotów, po czym – jak studenciaki rozgrywające w błocie ostry mecz futbolu – gonią się w tę i we w tę po promenadzie Venice Beach w hołdzie niegdysiejszym ustawkom. „Klepią się”, sprzedają sobie prawe sierpowe, odtwarzają słynne walki gangów, które zmieniły bieg historii: bitwę na Shenandoah Street, potyczkę przy Lincoln Boulevard, niesławną masakrę w parku Los Amigos. A potem wszyscy spotykają się z przyjaciółmi i rodzinami w ośrodku sportowym, zdemilitaryzowanym boisku Małej Ligi Bejsbola pośrodku miasta, gdzie utrwalają pokój przy piwie i grillu.

W przeciwieństwie do policji, która każdy, najmniejszy choćby spadek przestępczości od razu przedstawia jako dowód na skuteczność polityki „zero tolerancji”, nie twierdzę, że za względny spokój, jakiego tamtej wiosny doświadczyło Dickens, odpowiadała wyłącznie moja półroczna kampania na rzecz miejscowego apartheidu, ale nie da się ukryć, że tamtego roku Dzień Dzielni był inny. Marpessa, Sorgo, Stevie i ja siedzieliśmy na ławkach gości i serwowaliśmy nasz towar, ale owoce skończyły nam się szybciej niż zwykle. Ludzie przepłacali za działki trawy. Zazwyczaj każdy gang, każda dzielnia używały parku w wyznaczony dzień, żeby reprezentować swoją „dzielnię”. Na przykład Miejsca Snajperzy z Szesiątej Cze rezerwują sobie park na 3 czerwca, bo czerwiec jest szóstym miesiącem roku, a „cze” znaczy „trzeciej”. Los Osos Negros Doce y Ocho zaklepują park wcale nie na 8 grudnia, jak moglibyście sądzić, ale na 12 sierpnia, bo wbrew powszechnemu przekonaniu w grudniu jest w Kalifornii zimno jak skurwysyn. A ja byłem w ośrodku sportowym w ten łagodny poranek 15 marca, ponieważ dla Cripsów z gangu Colosseum Blvd et Tu, Brutale Dzień Dzielni wypadał w idy marcowe. No bo kiedy indziej?

W latach osiemdziesiątych, jeszcze zanim słowo „dzielnia” zostało zawłaszczzone na określenie absolutnie każdej okolicy, od zamożnych enklaw w Calabasas Hills, Shaker Heights czy na Upper East Side, po studenckie zoo na stanowym uniwerku, kiedy jakiś andżelesanin

mówił o dzielni (jak w zdaniach: „Na twoim miejscu uważałbym na tego skurwiela. On jest z dzielni!” albo „Wiem, że nie odwiedziłam *abueli* Silvii na łożu śmierci, ale czego chcesz? Mieszkała w dzielni!”), miał na myśli jedno i tylko jedno miejsce – Dickens. W ośrodku sportowym, na boisku do bejsbola, pod transparentem *Dzień Dzielni* rozwieszonym nad ławkami gospodarzy, zebrali się gangi i rodziny wszystkich kolorów tęczy. Dickens, niegdyś jednolite, które od czasu zamieszek zdążyło się zbałkanizować i podzielić na niezliczone „dzielnie”, zmieniało się teraz jak odwrotność Jugosławii. Kuzyn Król i Polot, niegdysiejsi Tito i Slobodan Milošević miasta, świętowali zjednoczenie – w okularach Oakleya i trwałych godnych Doris Day, z lokami objającymi się o szerokie bary paradowali po zrobionej naprędce scenie i rapowali do bitu.

Nie widziałem Polota od lat. Nie wiedziałem, czy wie, że Marpessa i ja sypiamy ze sobą. Nigdy nie pytałem go o zgodę, ale kiedy zobaczyłem, jak wykonuje popisowy numer swoją Lulu Belle – powtarzalną dwunastką, odpowiednikiem gitary B.B. Kinga – niczym czirliderka w ciele bandziora, która podrzuca giwerę, łapie, przeładowuje ją i rozwala rzucony w górę kołpak, wszystko jedną ręką – pomyślałem, że może jednak trzeba było zapytać. Kuz wrzasnął do mikrofonu: „Wiem, że co najmniej jeden z was, czarnuchy, miał przynieść chińskie żarcie!”.

Na linii pierwszej bazy, tuż obok miejsca, gdzie odbywała się uroczystość, z założonymi na piersi rękami stało dwóch gości, których policjanci oraz każdy o Ilorazie Ulicznej Inteligencji wyższym niż pięćdziesiąt nazwaliby „podejrzanie wyglądającymi mężczyznami pochodzenia latynoskiego”. Choć wyglądali z grubsza jak wszyscy inni w parku, z daleka obserwowali ludzi z taką pogardą, że trudno było powiedzieć, czy są z Dickens. Byli jak naziści na wiecu Ku Klux Klanu: pasowali ideologicznie, ale nie pod względem kultury organizacyjnej. Wieść głosiła, że są z Polynesian Gardens. Kiedy jednak dotarł do nich kuszący zapach grilla na podpałce z hikory i ogarnęła ich chmura dobrej trawy, zaczęli się zbliżać do środka boiska. Dotarli do pola rozgrzewki pałkarza, gdy Stevie, zajęty krojeniem maczetą ananasów, zapytał: „Znacie tych czarnuchów?”. Nie odwrócił wzroku od obu ziomków, którzy zeszli po schodkach do ławek rezerwowych. Obaj mieli na sobie workowate beżowe spodnie, opadające na tak kurewsko nowe najki cortex, że gdyby któryś zdjął but z nogi i przyłożył go do ucha jak muszlę, to usłyszałby ryk taniej chińskiej siły roboczej zza oceanu. Stevie wymienił więzienne spojrzenia z gościem w koszulce bejsbolowej i wędkarskim kapelusiku, z wytatuowanym na szczęce napisem *Rębacz*. Na kwadracie mężczyźni nie noszą sportowych ubrań, bo są fanami tej czy innej drużyny. Kolor, logo, numer na koszulce – wszystko to dotyczy gangu.

Kiedy wychodzisz z pierdła, wszystko łączy ci się z rasą. To nie tak, że u Cripsów i Bloodsów, w większości czarnych, nie ma Meksykanów albo że nie ma czarnych w bandach latynoskich. Ostatecznie na ulicy wszystko zależy od sąsiedztwa i bliskości. Trzymasz się z ziomkami i z dzielnią, mniejsza o rasę. Ale w więzieniu coś się dzieje z polityką tożsamości. Może to tak jak w filmach: biali przeciwko czarnym przeciwko Meksykanom przeciwko białym, żadnych jeśli, ale, przecież, a ja to słyszałem opowieści o jakichś niezauważających rasy hardkorach, którzy przychodzą do pierdła i trzymają się z tymi czarnymi albo tymi vatos, którzy o nich dbają. *Fuck La Raza. Czarna siła, chinga tu madre. Matka tego czarnucha karmiła mnie, kiedy byłem głodny, więc spadowa z tymi idiotyzmami.*

Głupek w śnieżnobiałym T-shircie i z napisem *Pajacyk* wytatuowanym pionowo na grdyce skinął głową jako pierwszy.

– ¿*Qué te pasa, pelón?*

My, łysi, nie podzielamy tych wszystkich uprzedzeń rasowych. Pogodziliśmy się z tym, że bez

względu na rasę wszystkie noworodki wyglądają na meksykańskie, a wszyscy łysi na czarnych. Mniej więcej. Zaproponowałem gościowi bucha mojego blanta. Jego uszy przybrały kolor purpury, a oczy rozbliły mu jak japońska laka.

– Co to, kurwa, jest, stary? – zakaszłał Pajacyk.

– Nazwałem to „Kanał nadgarstka”. No, dawaj, zaciśnij dłoń w pięść.

Pajacyk spróbował zwinąć dłoń, ale bez skutku. Kopacz spojrział na niego jak na wariata, po czym gniewnym ruchem wyrwał mi jointa z ręki. Nie potrzebowałem dragów, żeby się zorientować, że wbrew pozorom Rębacz i Pajacyk nie byli po tej samej stronie. Kopacz zaciągnął się głęboko, po czym spróbował wykręcać palce, robić najróżniejsze wymagające zręczności znaki gangu, ale mimo kolejnych prób nie mógł złożyć pięści tak, jakby miał spuścić komuś wpierdol. Wyjął zza pasa niklowanego gnata. Ledwo mógł utrzymać broń, a co dopiero pociągnąć za spust. Stevie tak się śmiał, że zaraz wkoło leżało pełno zimnych plastrów ananasa. Ziomale skosztowali owoców, a nieoczekiwana fala słodczy z lekko miętowym posmakiem sprawiła, że zamrugali, po czym zaczęli się chichrać jak dzieci. I nie zważając na surowy wzrok innych oprychów, pomaszzerowali na środek boiska, obżerając się ananasem i wspólnie paląc resztkę marihuany.

– Wiesz, że ZC na karku Johnny’ego Unitasa⁶⁹ nie oznacza wcale „Ziomuś, czil!”?

– Wiem, co znaczy.

– Znaczy „Zabójca czarnuchów”. Te czarnuchy są z dwóch ekip z P. G., ale Barrio i Varrio normalnie nie czilują ze sobą w ten sposób.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z Sorgiem. Może znaki, które w drodze do domu ze szpitala powiesiliśmy w Polynesian Gardens, zadziałały? Zrobiliśmy dwa. Przybiliśmy je do słupów telefonicznych po obu stronach Baker Street, która zardzewiałymi torami kolejowymi dzieliła P. G. na rejony Varrio i Barrio. Umieściliśmy je w taki sposób, że jeśli goście z jednej strony chcieli się dowiedzieć, co mówi znak po drugiej stronie, musieli przejść przez tory. Musieli zapuścić się na teren nieprzyjaciela, żeby tam odkryć, że znak po północnej stronie jest dokładnie taki sam jak ten po południowej: na obu widniał napis WŁAŚCIWA STRONA TORÓW.

Marpessa wyciągnęła mnie z ławki i poprowadziła w stronę środka boiska. Kuz stał z delegacją zbirów podstarzałych oraz zbirów aspirujących na stanowiskach pałkarzy, obżerając się żeberkami i ananasami. Polot wygryzał swój kawałek ananasa aż do skórki, opowiadając przy tym historie o życiu muzyka w trasie, kiedy Marpessa weszła mu w słowo.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że rucham się z Dropsem.

Nie zważając na kolce, Polot wcisnął do ust resztkę ananasa, ze skórką i wszystkim, mlaszcząc i zlizując ostatnie krople soku. Kiedy owoc był już suchy jak bielejąca na pustyni kość, Polot podszedł do mnie, postukał mnie po kłacie lufą Lulu Belle i powiedział:

– Kurwa, gdybym co rano mógł dostawać takiego ananasa, to też bym się ruchał z tym czarnuchem.

Rozległ się wystrzał. Na polu zewnętrznym boiska leżał na plecach Kopacz, ewidentnie wciąż odczuwając skutki „Kanału nadgarstka”. Zaśmiewając się do rozpuku, trzymał nogami broń i palcami stóp strzelał w chmury. Wyglądało to na fajną zabawę, więc dołączyła do niego większość facetów oraz kilka kobiet. Wyjęli broń i paląc blanty, z butami na jednej nodze, skakali po piaszczystym polu wewnętrznym w nadziei, że wystrzelą kilka serii, zanim przyjedzie policja.

XXII

Czarni wymiatają. „Wymiatać” to w hollywoodzkim slangu określenie na to, że kamera kogoś kocha, prawie aż za bardzo. Sorgo mówi, że właśnie dlatego tak rzadko kręci się dziś filmy o dwóch kumplach, z których jeden byłby czarny, a drugi biały. Większa gwiazda zostaje rozjechana. Tony Curtis, Nick Nolte czy Ethan Hawke występują w filmie z jakimś Afroamerykaninem i wtedy okazuje się, kto jest naprawdę *Niewidzialnym człowiekiem*⁷⁰. A był kiedyś film o dwóch kumpelach, gdzie jedna byłaby czarna? Iskrzyło na ekranie tylko między Gene’em Wilderem a Spankym McFarlandem. Cała reszta – Tommy Lee Jones, Mark Wahlberg, Tim Robbins – tylko trzyma się grzywy zbiegłego mustanga.

Kiedy oglądałem Sorga na Festiwalu Kina Zakazanego i Bezwstydnie Rasistowskiej Animacji w Los Angeles, jak na wielkim ekranie Nuart Theatre wymienia riposty z Prymusem, zrozumiałem, dlaczego w tamtych czasach wszyscy sądzili, że to on będzie następnym słynnym „Murzyniątkiem”. Roziskrzona oczy i błysk policzków cherubinka były iście magnetyczne. Włosy miał tak suche i poskręcane, jakby miały zaraz samoistnie zapłonąć. Nie sposób było oderwać od niego wzroku. Ten szczył w obszarpanym kombinezonie i o dziesięć numerów za dużych czarnych converse’ach był obiektem nieustannych żartów. Nikt nie potrafił znieść tyle co Sorgo. Zdumiało mnie, jak wytrzymywał nawet nieocenzurowanych i niewybaczalnych dowcipasów o arbusach i tatusiu w więzieniu. Każdą obelgę znosił z serdecznością i gardłowym „Jupikajej!”. Trudno powiedzieć, czy atakowany okazywał w ten sposób tchórzostwo czy wielkoduszność, bo do perfekcji opracował minę, która do dziś uchodzi za szczyt maestrii czarnego aktorstwa: wytrzeszczone oczy, rozwarte usta, wyraz zdumienia na twarzy. Obecnie jednak czarny artysta musi zrobić tę minę najwyżej raz, dwa razy na film. Biedny Sorgo musiał odstawiać „czarnucha” trzy razy na rolę taśmy, i w dodatku zawsze na wyjątkowo bliskim ujęciu.

Włączono światła, prowadzący ogłosił, że na sali jest ostatni żyjący członek klanu urwisów, i zaprosił Sorga na scenę. Kiedy ucichła burza oklasków, Sorgo otarł łzy i odpowiedział na kilka pytań. Ilekroć ma opowiadać o Lucernie i gangu, robi się zaskakująco kumaty. Wyjaśnił, jak wyglądało kręcenie odcinków. Jak starsi opiekowali się młodszymi. Kto się z kim dogadywał. Kto był na planie najzabawniejszy. Kto najbardziej wredny. Biadał, że nikt nie zauważa skali emocji Grysika, i zachwycał się tym, jak bardzo poprawiły się dykcja i kunszt aktorski jego mentora w trakcie kariery w MGM. Trzymałem kciuki, żeby nikt nie zapytał o Darłę i żeby nie musiał znowu wysłuchiwać, jak w czasie pięciominutowej przerwy na planie *Futbolowego Romea* zrobiła mu dobrze na jeźdźca na trybunach.

– Mamy czas na jeszcze jedno pytanie.

Z tyłu, dokładnie po przekątnej ode mnie, wstała równocześnie grupka studentek z twarzami uczernionymi jak śpiewak jazzbandu. Odziane w wiktoriańskie reformy i halki, z greckimi literami B M B wyszytymi na piersi, z włosami niechlujnie związanymi w warkocze spięte drewnianymi żabkami do suszenia bielizny, kobiety z Beta My Beta wyglądały jak sprzedawane na aukcjach lalki. Unisono spróbowały zadać pytanie.

– Chciałybyśmy się dowiedzieć...

Zagłuszyły je buczenie, grad papierowych kubków i kubelków po popcornie. Sorgo uciszył

widownię. Sala zamilkła i kiedy skierowała swoją świętoszkowatą uwagę z powrotem na niego, zauważyłem, że stojąca najbliżej mnie kobieta to Afroamerykanka – maleńkość uszu zdradzała jej pochodzenie etniczne. To było coś: w niedzielne popołudnie natknąć się na prawdziwą „czarnuszkę”, czarną jak funk lat siedemdziesiątych, czarną jak trója plus z chemii organicznej, czarną jak ja.

– W czym problem? – zapytał Sorgo tłumy.

Siedzący kilka rzędów przede mną wysoki, brodaty biały w fedorze wstał i wskazał palcem grupkę Topsycho-trzpiotek⁷¹.

– One mają uczernione twarze, ale nie ironicznie – powiedział stanowczo. – To nie jest cool.

Sorgo zasłonił oczy dłonią i rozglądając się ślepo po widowni, zapytał:

– Uczernione twarze? Jakie uczernione twarze?

Z początku widownia wybuchnęła śmiechem, ale kiedy Sorgo nie błysnął zębami, gość popatrzył na niego tępo szeroko otwartymi oczami, w których malowało się zdumienie niewidziane od czasów Stepina Fetchita⁷² i George’a W. Busha, naszego pierwszego „Czarnuszka” w Białym Domu.

Gość uprzejmie zwrócił uwagę Sorga na pewne filmy, które obejrzelśmy chwilę wcześniej. *Bambotliwy*, w którym Prymus maże sobie twarz atramentem i udaje Sorga, żeby napisać za swojego ciemnego kolegę dyktando, od czego zależy, czy Sorgo pojedzie z resztą bandy na szkolną wycieczkę do wesołego miasteczka. *Czarny szubrawiec*, gdzie Lucerna umurzynia się, żeby wziąć udział w castingu – chce bowiem grać na bandžo w zespole złożonym z samych Murzynów. *A kuku, Bambuku!*, gdzie Żabol odplaca się duchowi – rozbiera się do majtek i caluteńki tarza w sadzy z kominka, wykrzykując „Uga buga bu!”. Sorgo pokiwał głową, zatknął kciuki za szelki i odchylił się na piętach. Udał, że zapala niewidzialne cygare, zaciąga się nim, przesuwając z jednego kącika ust w drugi.

– Ach, nie nazywaliśmy tego uczernianiem twarzy. Nazywaliśmy to aktorstwem.

Widownia znowu zaczęła jeść mu z ręki. Uważali, że jest zabawny, choć był śmiertelnie poważny. Dla Sorga uczernianie twarzy nie jest rasizmem, ale aktem zdrowego rozsądku. Czarna skóra wygląda lepiej. Wygląda zdrowiej. Wygląda ładniej. Wygląda na silną. Dlatego kulturyści i uczestnicy zawodów tańca latynoamerykańskiego przyciemniają sobie skórę. Dlatego berlińczycy, nowojorczy, biznesmeni, naziści, gliniarze, nurkowie, Czarne Pantery, zbiry, *kuroko* w teatrze kabuki noszą się na czarno. Bo jeśli naśladownictwo jest rzeczywiście najwyższą formą pochlebstwa, to białe minstrelstwo jest komplementem, ostrożnym przyznaniem, że jeśli nie jesteś prawdziwie czarny, bycie „czarnym” pozwala chociaż zbliżyć się do prawdziwej wolności. Zapytajcie Ala Jolsona albo jednego z całej masy azjatyckich komików, którzy zarabiają na życie, grając „czarnych”. Zapytajcie tych studentek z B M B, które rozwalają się właśnie na krzesłach, zostawiając jedyną czarną spośród siebie, żeby broniła się sama.

– Panie Sorgo, czy to prawda? Czy Foy Cheshire rzeczywiście ma prawa do naprawę rasistowskich odcinków *Klanu urwisów*?

Kurwa, żeby tylko ten czarnuch nie zaczął znowu pierdolić na temat Foya Cheshire’a.

Gapilem się na czarną kobietę z uczernioną twarzą, zastanawiając się, czy ona też gra, czy czuje się wolna. Czy zdaje sobie sprawę, że naturalny kolor jej skóry jest czarniejszy niż to, czym uczerniła sobie twarz. Co oznaczało, że technicznie rzecz biorąc, miała twarz nie uczernioną, ale ucośjaśniejszegoniżczernioną. Sorgo wskazał na mnie w tłumie i kiedy przedstawił mnie jako swojego „pana”, kilka głów zwróciło się, żeby zobaczyć, jak wygląda

prawdziwy właściciel niewolników. Kusilo mnie, żeby powiedzieć im, że Sorgo chciał powiedzieć „pan kierownik”, a nie „pan”, ale uświadomiłem sobie, że w Hollywood oznacza to dokładnie to samo.

– Wierzę, że tak jest. I wierzę, że mój pan odzyska je dla mnie i któregoś dnia świat ujrzy wreszcie moje najlepsze, najpodlejsze i najbardziej poniżające kawałki.

Całe szczęście, że światła przygasły. Zaczęły się rasistowskie kreskówki.

Lubię Betty Boop. Ma ładne ciało, jest wolnym duchem, kocha jazz i ewidentnie musi też uwielbiać opium, bo w psychodelicznej kreskówce z czasu wielkiego kryzysu, *Wzloty i upadki*, Księżyc wystawia na aukcji Ziemię, o którą licytują się inne planety. Saturn – stary chciwy żydowski glob w okularach (pełen zestaw, z zepsutymi zębami i silnym akcentem jidysz włącznie) wygrywa i zaciera ręce z radości. „Mam go. Mam te cały świat. *Mein Gott!*”, triumfuje i wyciąga z jądra Ziemi magnes grawitacyjny. Był rok 1932 i metaforyczny Żyd Maksa Fleischera pogarsza i tak już chaotyczną sytuację globalną. Nie żeby Betty się tym przejmowała, bo w świecie, gdzie koty i krowy latają, a deszcz pada w górę, kwestią priorytetową jest zadbanie o to, by nie uniosła się jej spódniczka i nie odsłoniła dopasowanych majteczek. I kto powie, że panna Boop nie jest ziomalką? Przez następne sześćdziesiąt minut kilku pijanych Indian w oklapniętych pióropuszcach goniło za królikiem wytwórni Warner Bros, ale ani go nie złapali, ani – tym bardziej – nie zasymilowali. Meksykańska mysz próbowała przechytrzyć kota gringo, przesliznąć się przez granicę i ukraść *queso*. Niekończący się strumień afroamerykańskich kotów, wron, ropuch, pokojówek, graczy w kości, zbieraczy bawełny i kanibali, którzy przy dźwiękach *Swanee River* czy *Jungle Nights in Harlem* Duke’a Ellingtona odgrywali schrypłogłosych głupków ze *Zwariowanych melodii*. Czasami wystrzał fuzji albo eksplozja dynamitu zamieniała białą postać, jak Prosiaka Porky, w osmalonego prochem minstrela. Tym samym otrzymał on status honorowego czarnucha, który pozwalał mu w trakcie napisów końcowych śpiewać bezkarnie wesołe piosenki w rodzaju *Camptown Races*²³ z refrenem „Doo-dah! Doo-dah!”. Program kończył się filmami z Popeye’em i Królikiem Bugsem, w których na zmianę samodzielnie wygrywali drugą wojnę światową, za pomocą wielkich młotów i przebrania gejszy wystrychując na dudka bełkoczących japońskich żołnierzy o wystających zębach i okularach jak denka od butelek. W końcu, kiedy przy dźwięku gongów i aplauzie widowni Superman startł na proch cesarską marynarkę wojenną i całkowicie pokonał Japończyków, światła znowu się zapaliły. Po dwóch godzinach siedzenia w ciemności i śmiania się z niczym nieopohamowanego rasizmu na sali robi się jasno, a ciebie dopada poczucie winy. Wszyscy widzą twoją twarz, a ty czujesz się, jakby własna matka przyłapała cię na masturbacji.

Trzy rzędy przede mną kilku facetów – czarny, biały i żółty – szykuje się do wyjścia, wkładają kurtki i próbują otrząsnąć się z nienawiści, która się na nich wylała. Czarny chłopak, wciąż schowany za peleryną Supermana, zawstydzony tym, jak upokorzono i wyśmiano go w klasycznej kreskówce *Królewna Asfaltka i Siedmiu Czarnoludków*, żartobliwie atakuje swojego azjatyckiego ziomka. Krzyczy: „Łap Patricka! To wróg!”, a Patrick podnosi ręce i protestuje: „Nie jestem wrogiem. Jestem Chińczykiem!”. W uszach wciąż rozbrzmiewają ci rasistowskie wyzwiska Królika Bugsa pod adresem *małpich, skośnookich Japońców*. Biały chłopak, który wyszedł z potyczki niewzruszony i bez uszczerbku, śmieje się i wkłada do ust papierosa. Kto bogatemu zabroni. Niezwykłe, jak szybko wieczorny pokaz *Klanu urwisów* oraz kresówek w technicolorze, czasem bez mała stuletnich, potrafi wzbudzić wstyd i rasowe antypatie. Z trudem mogłem sobie wyobrazić coś bardziej rasistowskiego niż „rozrywka”, której właśnie byłem świadkiem, i dlatego wiedziałem, że plotki na temat Foya i odcinków *Klanu*

urwisów nie mogą być prawdą. Cóż mogłoby być *bardziej* rasistowskie niż to, co właśnie zobaczyliśmy?

Znalazłem Sorga w lobby; podpisywał pamiątki, które w większości nie miały nic wspólnego z *Klanem urwisów*. Stare plakaty, figurki z wujem Remusem, pamiątki po Jackiem Robinsonie – nadawało się wszystko sprzed roku 1960. Czasami zapominam, jak zabawny potrafi być Sorgo. Dawniej, żeby uniknąć pułapek zastawianych przez białych, czarni musieli ciągle patrzeć pod nogi. Musiałeś mieć zawsze w zanadrzu ciętą ripostę albo kumpelski frazes, który by rozbroił albo zawstydził białego prowokatora. Jeśli twoje poczucie humoru przypomniało mu, że pod tym afro kryje się coś na kształt człowieczeństwa, mogłeś uniknąć pobicia albo dostać część zaległej pensji. Jeden dzień bycia czarnym w latach czterdziestych równy był trzystu latom prób w klubach komediowych Second City i Groundlings. Wystarczy kwadrans sobotnich programów satyrycznych, żeby się zorientować, że nie zostało już zbyt wielu zabawnych czarnych i że jawny rasizm nie jest już tym, czym był kiedyś.

Sorgo pozował do zdjęcia z uczernionymi dziewczynami ze studenckiego siostrzeństwa Beta My Beta.

– Czy kucyk pasuje do bobra? – powiedział oschle, po czym wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. Tylko prawdziwa Murzynka w grupie zrozumiała dowcip i choć starała się z całych sił, nie potrafiła przestać się uśmiechać. Przysunąłem się do niej. Odpowiedziała na moje pytania, zanim zdążyłem je zadać.

– Chcę się dostać na akademię medyczną. A dlaczego? Bo te białe suki mają kontakty, oto dlaczego. Dzisiaj dziewczynska mafia też istnieje, mówię, kurwa, serio. Jeśli kogoś nie możesz pokonać, to się do niego przyłącz. Tak powtarzała mi mama, bo rasizm jest wszędzie.

– Nie może być wszędzie – odparłem stanowczo.

Przysła doktor Topsy zastanowiła się chwilę, nawijając na palce jeden z warkoczyków.

– Wiesz, jakie jest jedyne miejsce, gdzie nie ma rasizmu? – Rozejrzała się, czy nie ma w pobliżu jednej z sióstr, i wyszeptła: – Pamięta pan te zdjęcia, na których pierwszy czarny prezydent i jego rodzina idą przez trawnik do Białego Domu, trzymając się za ręce? W tym kadrze, w tej chwili i tylko, kurwa, w tej, nie ma rasizmu.

W foyer kina rasizmu było jednak aż nadto, by dało się go obejść. Jakiś przygarbiony biały szpaner obrócił bejsbolówkę daszkiem na prawy bok, objął ramieniem Sorga, cmoknął go w policzek i praktycznie do niego przywarł. Brakowało tylko, żeby zaczęli nazywać się nawzajem Tambo i Bones⁷⁴.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ci wszyscy raperzy napieprzający o tym, że są „ostatnimi prawdziwymi czarnuchami”, nie mają do ciebie startu, bo ty, stary, jesteś czymś więcej niż ostatnim członkiem klanu urwisów. Jesteś ostatnim prawdziwym czarnuchem. I mam na myśli „czarrnuchem” z wibrującym „r”.

– No cóż, dziękuję, biały człowieku.

– A wiesz pan, dlaczego nie ma więcej czarnuchów?

– Nie, proszę pana, nie wiem.

– Bo biali są nowymi czarnuchami. Jesteśmy tylko zbyt zadufani w sobie, żeby to zauważyć.

– „Nowymi czarnuchami”, powiada pan?

– Tak jest, ty i ja, czarnuchy do samego końca. Równi sobie, pozbawieni praw, gotowi walczyć z tym jebanym systemem.

– Tylko że wy dostajecie o połowę niższe wyroki.

Topsy czekała na nas przed kinem na parkingu, wciąż w kostiumie i makijażu, ale teraz

również w designerskich okularach słonecznych. Podeksytowana szukała czegoś w torbie. Próbowałem ponaglić Sorga, żeby wsiadł do pikapa, zanim dziewczyna nas zauważy, ale stanęła nam na drodze.

– Panie Jenkins, chciałabym coś panu pokazać. – Wyciągnęła wielki segregator i rozłożyła go na masce pikapa. – To są kopie książek rachunkowych wszystkich filmów *Klanu urwisów*, które nakręciły Hal Roach Studios i MGM.

– Jasna cholera.

Zanim Sorgo mógł na nie spojrzeć, chwyciłem notes i przyjrzałem się tabelom. Było tam wszystko. Tytuł, data zdjęć, obsada, ekipa, grafik dni zdjęciowych, pełne koszty, bilans zysków i strat – wszystko dla dwustu dwudziestu siedmiu filmów. Chwila, dwustu dwudziestu siedmiu?

– Myślałem, że było ich tylko dwieście dwadzieścia jeden.

Topsy uśmiechnęła się i przewróciła na przedostatnią stronę. Sześć następujących po sobie wpisów, dotyczących filmów nakręconych pod koniec 1944 roku, było całkowicie zaczernionych. Co oznaczało, że mogą gdzieś istnieć dwie godziny gówniarskiej frajdy, których nigdy nie widziałem. Czuję się jak jakiś supertajniak z FBI czytający raport na temat zabójstwa Kennedy’ego. Otwarłem zapięcie segregatora i uniosłem kartkę pod słońce, próbując zobaczyć, co kryje się pod czernią i w przeszłości.

– Kto to zrobił? – zapytałem.

Topsy wyjęła z torby inne ksero. Była to lista wszystkich, którzy wypożyczyli księgę rachunkową po 1963 roku. Znajdowały się na niej cztery nazwiska: Mason Reese, Leonard Maltin, Foy Cheshire i Butterfly Davis, czyli zapewne Topsy pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Zanim oderwałem wzrok od kartki, Sorgo i Butterfly siedzieli już w taksówce. Obejmował ją ramieniem i opierał się o klakson.

– Ten czarnuch ma moje filmy! Jedziemy!

Z zachodniego L.A. do domostwa Foya w Hollywood Hills jechaliśmy dłużej, niż powinniśmy. Kiedy Ojciec zmuszał mnie, żebym jeździł z nim do Foya na ich pogaduchy czarnych mądrali, nikt nie słyszał o żadnym skrótce z doliny na wzgórze. Crescent Heights i Rossmore były łatwo przejezdnymi uliczkami – teraz są dwupasmowymi przelotówkami, na których stoi się zderzak w zderzak. Chryste, kiedy oni dyskutowali o polityce i rasie, ja pływałem sobie w basenie. Ojciec ani razu nie okazał nawet cienia goryczy, że Cheshire zapłacił za swoją rezydencję pieniędzmi zarobionymi na *Czarnych fistaszkach*, których oryginalny storyboard wisiał na ścianie mojego pokoju. „Wycieraj się, skurwielu!”, mówił Tata. „Kapiesz na jego podłogę z drewna egzotycznego!”

Większość drogi Butterfly i Sorgo spędzili, oglądając zdjęcia, na których Topsy z siostrami oddawały się świętowaniu radości multikulturalizmu. Uwłączając jednej grupie etnicznej Los Angeles za drugą, dzielnicą po dzielnicy. Siedziała mu na kolanach z niezapiętymi pasami, łamiąc wszystkie przepisy drogowe i społeczne tabu.

– To ja na Sąsiedzkim Grillu w Compton... Jestem trzecią „laską z getta” po prawej.

Rzuciłem okiem na fotkę. Dziewczyny z chłopakami, uczernione twarze, na głowach peruki afro. Z butelkami i piłkami do kosza w rękach palili blanty. W ustach złote zęby i udka kurczaka. Poczuję się urażony nie tyle rasistowskimi kpinami, co brakiem wyobraźni. Gdzie były „muziny”? „Mamki”? Muzycy jazzowi? Woźni? Futbolowi rozgrywający? Weekendowe pogodynki? Recepcjonistki, które witają cię w każdej wytwórni filmowej i agencji talentów tego miasta? *Pan Witherspoon zaraz do pana zejdzie. Czy mogę panu podać szklankę wody?* Oto jaki jest problem z dzisiejszą młodzieżą: nie znają historii.

– To było *Bingo sin Gringos*, które urządziliśmy na Cinco de Mayo...

W przeciwieństwie do Sąsiedzkiego Grilla w Compton nietrudno było zauważyć Butterfly: tym razem siedziała obok jakiejś Azjatki. Jak wszystkie siostry miała na sobie wielkie ponczo, sombrero, *bandoleras* na ramieniu, a pod nosem zwisały jej długie wąsiska Pancho Villi. Popijały tequilę i zaznaczały swoje tekturki: *Be-ocho...* ;*Bingo!* Butterfly przeszła do dalszych zdjęć. Nazwa każdej imprezy sugerowała odpowiedni *dress code*: Das Bunker: Czystość Rasowa, Czystość w Basenie. Czing Czong Ping Pong Piżama Party! Szlak Łez – Jazda po Bandzie i Jazda na Peyotlu.

Dom Foya na grani obok Mulholland Drive, z widokiem na San Fernando Valley, był większy, niż go zapamiętałem. Ogromna posiadłość w stylu Tudorów, z kolistym podjazdem, wyglądała bardziej jak angielska szkoła z internatem niż czyjś dom – mimo przybitego do bramy wielkiego znaku *Licytacja zadłużonej nieruchomości*. Wysypaliśmy się z auta. Górskie powietrze było czyste i rześkie. Zrobiłem głęboki wdech i nie wypuszczałem powietrza, dopóki Sorgo i Butterfly spacerowym krokiem nie podeszli do bramy.

– Czuję tu moje filmy.

– Sorgo, ten dom jest pusty.

– Są tutaj. Wiem to.

– I co, zamierzasz przekopać mu ogród jak w *Nieoczekiwanych bogactwach?* – zapytałem, odnosząc się do łabędziego śpiewu Prymusa w *Klanie urwisów*.

Sorgo potrząsnął ogrodzeniem. I wtedy przypomniałem sobie kod – tak jak człowiek przypomina sobie numer telefonu najlepszemu przyjacielowi z dzieciństwa. Wcisnąłem na panelu 1-8-6-5. Zabzyczało, łańcuch rolkowy zaczął się zwijać i powoli otworzył bramę. 1865. Czarni są tak kurewsko przewidywalni.

– Idziesz, massa?

– Nie, dacie sobie radę.

Po drugiej stronie Mulholland rozpościerał się piękny widok.

Ustawiłem sobie czas i sprintem przebiegłem na północną stronę między pędzącym maserati a dwoma nastolatkami w bmw kabrio. Żwirowa ścieżka wiła się w dół zbocza, potem jakieś półtora kilometra przez chaparral, aż wreszcie docierała do jakiejś bocznej uliczki i parku Crystalwater Canyon, małej, ale utrzymanej w dziewiczym stanie strefy rekreacyjnej z kilkoma stołami piknikowymi, paroma drzewami dla ochłody i boiskiem do koszykówki. Usiadłem pod grubym pniem jodły, nie zważając na ściekającą z niego żywicę. Gracze rozciągali się, chcąc przed zachodem słońca rozegrać jeszcze jedną lub dwie partie. Pośrodku boiska chodził czarny facet, trzydziestoparoletni, o jasnym odcieniu skóry, bez koszulki. Był jednym z tych umiarkowanie utalentowanych hopsterów, którzy kręcili się po białych boiskach w bogatych dzielnicach, jak Brentwood czy Laguna, wyglądając porządnej gry, okazji do zdominowania kogoś, a może nawet, kto wie, oferty pracy.

– Każdy czarnuch, który szuka uwagi, wypierdalać z boiska! – wrzasnął brat ku uciesze białasów.

Piłkę podał profesor filozofii na urlopie dla poratowania zdrowia. Prawnik specjalizujący się w odszkodowaniach trafił do kosza z rogu boiska. Gruby farmaceuta zaskakująco dobrze wyminął pediatrę, ale spieprzył dwutakt. Makler rzucił niedolota, piłka opuściła plac gry i potoczyła się na parking. Nawet w Los Angeles, gdzie luksusowe auta otaczają cię wszędzie jak wózki w supermarkecie, Foyowa 300SL-ka z 1956 była jedyna w swoim rodzaju. Została ich na ziemi pewnie nie więcej niż setka. Foy siedział na ogrodowym krzeselku przy przednim

blotniku. W samych bokserkach i T-shircie gadał przez telefon i pisał coś na komputerze niemal równie starym co auto. Koszule i spodnie suszyły się na wieszakach zwisających z drzwi samochodu, uniesionych do oporu, jak skrzydła srebrnego smoka. Musiałem go zapytać. Wstałem i przeszedłem przez boisko, na którym toczyła się gra. Minąłem dwóch graczy, którzy wywalili się i walczyli o piłkę w parterze. Mocowali się, aż stanęli na nogach.

– Czyja to? – zapytał mnie gracz w znoszonych trampkach, rozkładając ręce w niemym geście błagalnym. Rozpoznałem gościa. Wąsaty detektyw z dawno już skasowanego, ale wciąż tu i ówdzie nadawanego serialu policyjnego (hit na Ukrainie).

– Tego gościa z włochatą klatą.

Gwiazdor filmowy nie uwierzył, ale tak właśnie było.

Foy spojrzął na mnie ze swojego krzeselka, ale nie przestał rozmawiać i stukać w klawiaturę. W słuchawkę płynął wartki potok niezrozumiałej logorei; nie miała większego sensu, coś o kolejach wysokich prędkości i powrocie konduktorów w wagonach sypialnych. Opony w jego mercedesie – pirelli z białym paskiem – były zupełnie łyse. Z popękanych skórzanych siedzeń niczym sącząca się ropa wychodziła żółta pianka. Foy był prawdopodobnie bezdomny, ale nie chciał zlicytować ani zegarka, ani auta, które – nawet w tym chujowym stanie – warte były kilkaset tysięcy dolarów. Musiałem zapytać.

– Co piszesz?

Cheshire zsunął telefon na ramię.

– Powieść erotyczną pod tytułem *Pięćdziesiąt twarzy białych*.

– Foy, kiedy ostatnio miałeś jakiś swój własny pomysł?

Zupełnie niewzruszony zastanowił się chwilkę, po czym odparł:

– Chyba ani razu, odkąd umarł twój tata.

Po czym wrócił do rozmowy telefonicznej.

Wróciłem do byłego domu Foya, gdzie Sorgo i Butterfly pływali nago w basenie, nieco zaskoczeni, że żadni wścibscy sąsiedzi nie wezwali jeszcze policji. Cóż, pewnie każdy stary Murzyn wygląda dla nich tak samo. Zapadł zmrok, podwodne oświetlenie włączyło się cicho i automatycznie. Podświetlony nocą miękki błękit basenu to mój ulubiony kolor. Sorgo był w najgłębszej części basenu i udając, że nie umie pływać, z całych sił trzymał się solidnie nadmuchanego sprzętu Butterfly. Nie znalazł tego, czego szukał – swoich filmów – ale na razie chyba wystarczyło mu to, co wpadło mu w ręce. Zdjąłem ubranie i wśliznąłem się do wody. Nic dziwnego, że Foy był splukany – woda miała co najmniej trzydzieści stopni.

Dryfując na plecach, za obłokiem unoszącej się nad wodą pary zobaczyłem migoczącą Gwiazdę Polarną, wskazującą mi drogę do wolności; nawet sobie nie uświadamiałem, że jej potrzebuję. Pomyślałem o Ojcu, bo to za jego pomysły kupiono tę należącą teraz do banku posiadłość. Obróciłem się „na topielca”, próbując ułożyć ciało w pozycji, w jakiej znaleziono Ojca na ulicy. Jakie były ostatnie słowa taty, zanim go zastrzelili? *Nie wiecie, kim jest mój syn*. Cała ta robota, Dickens, segregacja, Marpessa, rolnictwo, a wciąż nawet nie wiem, kim jestem.

Musisz sobie zadać dwa pytania. Kim jestem? I jak mogę stać się sobą?

Czułem się tak samo zagubiony jak zawsze. Na poważnie rozważałem, czy nie wykopać na farmie dziury, nie wyrwać plonów i nie sprzedać zwierząt, żeby pierdolnąć sobie wielki w chuj basen ze sztucznymi falami. Bo czy nie byłoby zajebiście surfować we własnym ogródku?

XXIII

Jakieś dwa tygodnie po poszukiwaniach Zaginionego Filmu Wzgórz Hollywoodu wszystko wyszło na jaw. W „nowym” czasopiśmie „New Republic”, które nie miało dziecka na okładce od czasu porwania dziecka Lindberghów, pojawił się artykuł; pod nagłówkiem *Nowy Jim Crow*⁷⁵: *Czy szkolnictwo publiczne podcięło skrzydła białym dzieciom?* widniało zdjęcie białego dwunastolatka w roli niepozornego symbolu odwróconego rasizmu. Nowy Jim Crow stał na schodach gimnazjum Plewy z ciężkim złotym łańcuchem na szyi. Rozczochrane strąki włosów w kolorze brudny blond wystawały spod do-raga i drogich słuchawek z funkcją zagłuszania szumów. W jednej ręce trzymał podręcznik do czarngielskiego, a w drugiej piłkę do kosza. Wykrzywione w uśmiechu usta odsłaniały nakryte złotym zderzakiem zęby. Na T-shircie w rozmiarze XXXL miał napis *Energia = masa rzeźba*².

Dawno temu ojciec nauczył mnie, że ilekroć w nagłówku pojawia się pytanie, to odpowiedź zawsze brzmi „nie”, bo wydawcy wiedzą, że pytania z odpowiedziami „tak” odstraszą czytelników – podobnie jak obleśne zdjęcia na pudełkach papierosów czy zbliżenia na genitalia, z których sący się ropa, wcale nie zniechęcają do palenia i seksu bez zabezpieczeń. Zagładasz do tabloidów, a tam: *O. J. Simpson i rasa: czy wyrok podzieli Amerykę?* Nie. *Czy telewizja posuwa się za daleko?* Nie. *Czy antysemityzm znowu podnosi głowę?* Nie, bo nigdy jej nie schował. *Czy szkolnictwo publiczne podcięło skrzydła białym dzieciom?* Nie, bo tydzień po tym, jak numer trafił do kiosków, piątka białych dzieciaków z tornistrami pełnymi książek, gwizdkami alarmowymi i gazem pieprzowym wskoczyła do wynajętego autobusu szkolnego i podjęła próbę zintegrowania Gimnazjum P. Levy. Wicedyrektor Charisma Molina stanęła w drzwiach i zabroniła im wstępu do podległej sobie instytucji, w której panowała quasi-segregacja.

Charisma liczyła na zainteresowanie mediów, a to dlatego, że gdyby wyniki miały poprawiać się w takim tempie, w następnym roku Plewy trafią na czwarte miejsce w ogólnokrajowym rankingu szkół publicznych. Powinna była jednak wiedzieć, że to nie jest temat na pierwszą stronę. Dwieście pięćdziesięcioro kolorowych dzieciaków pobierających gorszej jakości edukację to żaden news, ale wzbronienie wstępu do przyzwoitej szkoły jednemu białemu uczniowi wywołuje w mediach gównoburzę. Nikt jednak nie przewidział zawiązania się koalicji zirytowanych białych rodziców, którzy usłuchawszy rad Foya Cheshire’a, wypisali swoje dzieci z kiepskich szkół publicznych i zbyt drogich prywatnych, a następnie zaczęli domagać się powrotu przymusowego dowożenia dzieci do zintegrowanych szkół⁷⁶, przeciw czemu pokolenie wcześniej tak zawzięcie protestowali ich rodzice.

Stan Kalifornia, zbyt splukany i zażenowany, by zapewnić zbrojną eskortę, biernie przyglądał się, jak kozły ofiarne desegregacji – Suzy Holland, Hannah Nater, Robby Haley, Keagan Goodrich i Melonie Vandeweghe – wyszły z autobusu, chronione nie przez Gwardię Narodową, ale magię telewizyjnej transmisji na żywo i niewyparzoną gębę Foya Cheshire’a. Minęło kilka tygodni, odkąd widziałem go mieszkającego w samochodzie, i z tego co słyszałem, na ostatnim spotkaniu pifpafowców nie pojawił się nikt, mimo że miał przemawiać znany działacz społeczny, __ r __ _ O _ _ _ _.

Przygarbiona, zasłaniająca twarz dłońmi i szykująca się na kanonadę kamieni i butelek Piątka

z Dickens (bo takie określenie przyłgnęło do tego kwintetu) przeszła przez ścieżkę zdrowia i do historii. W przeciwieństwie do Little Rock w Arkansas i wydarzeń z 3 września 1957 roku^{ZZ} miasto Dickens nie opluło dzieci i nie obsypało ich rasistowskimi epitetami, ale błagało je o autografy i dopytywało się, czy mają już z kim iść na bal gimnazjalny. Kiedy przyszli uczniowie dotarli na szczyt schodów, stała tam wicedyrektor Molina, jak najlepiej odgrywając gubernatora Faubusa, nieugięta, sztywno oparta ramionami o framugę drzwi. Hannah, najwyższa z grupy, próbowała ją wyminąć, ale Charisma nie ustąpiła ani o krok.

– Dla *Anglos* wstęp wzbroniony.

Sorgo i ja byliśmy po drugiej stronie potyczki. Staliśmy za Charismą i – jak wszyscy w Centralnym Liceum w Little Rock czy na Uniwersytecie Missisipi w roku 1962 (z wyjątkiem pracowników technicznych i pracowników stołówki) – po niewłaściwej stronie historii. Sorgo był tego dnia w szkole, żeby zaopiekować się Jimem Crowem. Charisma wezwała mnie, żeby przeczytać mi list, który dostała pocztą razem z najnowszym wielokulturowym dziełem Foya Cheshire’a, *Na Daleki Wschód od Edenu*, nową wersją słynnej książki Steinbecka – umieszczoną w dziewiętnastowiecznej Ameryce, wśród chińskich robotników budujących koleje. Książka była kalką oryginalnego tekstu, pozbawioną znaków interpunkcyjnych i z wszystkimi L i R pozamienianymi miejscami. „A teraz ciedy już nie musisz być dokonara mozieś bić dobla”. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego po ponad pięćdziesięciu latach Charliego Chana i jego Syna Numer Jeden, tego gościa ze Smashing Pumpkins, zajebistych producentów muzycznych, skateboardzistów i posłusznych azjatyckich żon białych gości z reklam sklepów dla majsterkowiczów ludzie tacy jak Foy Cheshire nadal uważają, że jen to waluta Chin, a Amerykanie azjatyckiego pochodzenia nie potrafią wymawiać L. W pospiesznie nabazgranej wiadomości było jednak coś niepokojącego:

Drogi Pionku Liberalnego Mainstreamu,

wiem, że nie wprowadzisz na listę lektur tego porażającego swą mądrością dzieła, ale Twoja strata. Książka ta zapewnia mi miejsce wśród znanych samouków, takich jak Virginia Woolf, Kawabata, Mishima, Majakowski, David Foster Wallace. Do zobaczenia w ten poniedziałek, w pierwszy dzień szkoły. Lekturę może i odbywają się na *Twoim* kampusie, ale będziesz wolną słuchaczką *mojego* świata. Weź ze sobą papier, długopis i tego sprzedawczyka, Zaklinacza Czarnuchów.

Twój

Foy „Czy wiedziałaś, że Gandhi bił żonę?” Cheshire

Kiedy Charisma zapytała mnie, dlaczego wymieniłem właśnie tych autorów, odparłem, że nie wiem, ale Foy zapomniał dodać, że lista składa się wyłącznie z twórców, którzy odebrali sobie życie. Trudno powiedzieć, czy notka była jakąś samobójczą fantazją, ale nigdy nie należy tracić nadziei. W dzisiejszych czasach nie zostało zbyt wiele możliwości dla „pierwszych czarnych, którzy”, ale Foy byłby dobrym kandydatem na stanowisko „pierwszego czarnego pisarza, który sam się załatwił”. Musiałem być na to gotów. Jeśli rzeczywiście był samoukiem, to nie ma cienia wątpliwości, że miał najgówniańszego nauczyciela pod słońcem.

Wysforowawszy się na czoło grupy, żeby przejąć negocjacje, wyczarował nagle stosik wyników badań DNA. Zaczął machać nimi nie przed twarzą Charisimy, ale prosto do obiektywu najbliższej kamery telewizyjnej.

– Trzymam w ręku wyniki pokazujące, że każde z tych dzieci może wywieść swój rodowód

w linii żeńskiej tysiące lat wstecz, do Wielkiej Doliny Ryftowej w Kenii.

– Po czyjej stronie stoisz, czarnuchu?

Z cholernego holu szkoły nie mogłem dostrzec, czyj to głos, ale było to dobre pytanie, a z ciszy, która nastąpiła, jasno wynikało, że Foy nie znał na nie odpowiedzi. Nie żebym ja wiedział, po której stronie stoję. Wiedziałem tylko, że po mojej stronie na pewno nie są Biblia, „świadomi raperzy” i Foy Cheshire. Tymczasem Charisma doskonale wiedziała, gdzie stoi, i przyłożywszy obie ręce do klaty Foya, spychała w dół schodów jego i dzieciaki jak kręgle. Rozejrzałem się po twarzach z mojej strony progę: Sorgo, nauczyciele, Sheila Clark, wszyscy trochę wystraszeni, ale zdeterminowani. Kto wie, kurwa, może mimo wszystko byłem po właściwej stronie historii.

– Jeśli naprawdę tak wam zależy na chodzeniu do szkoły w Dickens, proponuję poczekać, aż otworzy się placówka naprzeciwko.

Aspirujące do zostania uczniami białe dzieci pozbierały się, odwróciły i spojrzały na swoich poprzedników, dumnych pionierów mitycznej Akademii Ziarno. Lśniący nowością wystrój, utalentowani nauczyciele, zielony kampus, wszystko to sprawiało, że Ziarno po prostu musiało wydawać się atrakcyjnym miejscem, więc siłą grawitacji zaczęło przyciągać młodych do swojego edukacyjnego rajy – byli niczym anioły kuszone dźwiękami lutni i przyzwoitym żarciem na stołówce – kiedy drogę zagroził im Foy.

– Nie dajcie się zwieść Złotemu Cielcowi! – wrzasnął. – Ta szkoła jest źródłem wszelkiego zła. To policzek wymierzony każdemu, kto kiedykolwiek walczył o równość i sprawiedliwość. To rasistowska kpina z ciężko pracujących ludzi tej i innych dzielnic, marchewka na patyku dyndająca przed nosem starego konia, który jest zbyt zmęczony, by rzucić się pędem. A poza wszystkim ta szkoła nie istnieje.

– Ale wygląda tak prawdziwie.

– Bo najlepsze marzenia wydają się prawdziwe.

Rozczarowani, ale nie załamani uczniowie stanęli na trawie obok masztu. Był to wielokulturowy meksykański pat: czarny jak dupa Murzyna Foy i białe dzieciaki w środku, a po bokach Charisma i utopijne widmo Akademii Ziarno.

Mówią, że kiedy Tiger Woods był dzieckiem, w trakcie weekendowych treningów ojciec starał się go idiotycznie rozpraszać – syn próbował wbić piłkę do dołka z odległości dwóch metrów, a stary wkładał rękę do kieszeni i brzęczał drobnymi. W efekcie wyszedł matolek, który jednak rzadko kiedy tracił koncentrację. Ja z kolei tracę ją łatwo. Ciągle jestem roztargniony, bo mój ojciec grywał ze mną w grę, którą nazywał „Po fakcie”. Ilekroć byłem czymś zajęty, Tata pokazywał mi znane z historii zdjęcie i pytał: „Co się wydarzyło potem?”. Oglądaliśmy mecz i w trakcie ważnej dogrywki machał mi przed nosem zdjęciem odcisku stopy Neila Armstronga w księżycowym pyłe. Co się wydarzyło potem? Wzruszałem ramionami.

– Nie wiem. Wystąpił w tych wszystkich telewizyjnych reklamach Chryslera.

– Źle. Został alkoholikiem.

– Tato, to chyba Buzz Aldrin...

– Prawda jest taka, że zdaniem wielu historyków był kompletnie napierdolony, kiedy stawiał pierwszy krok na Księżycu. „To mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”. Co to w ogóle ma, kurwa, znaczyć?

Kiedy na meczu Małej Ligi Bejsbola po raz pierwszy stałem na pozycji pałkarza, Mark Torres – tyczkowany miotacz, twardy jak erekcja nastolatka i nadnaturalnie szybki jak pierwszy stosunek – rzucił mi tak szybką piłkę, że nie zauważyliśmy jej ani ja, ani sędzia i tylko

założyliśmy, że zapierdalała jak meteor, bo poczułem jedynie gorący powiew na czole. Mój ojciec zeskoczył z ławki trenera. Nie żeby udzielić mi jakiejś technicznej rady, ale by wręczyć mi słynną fotografię, na której amerykańscy i radzieccy żołnierze spotykają się nad Elbą, ściskają sobie dłonie i świętują faktyczny koniec działań na europejskim teatrze drugiej wojny światowej. Co się wydarzyło potem?

– Ameryka i Związek Radziecki zaczęły zimną wojnę. Trwała prawie pięćdziesiąt lat i zmusiła oba kraje do wydania bilionów dolarów na zbrojenia w ramach piramidy finansowej, którą Dwight D. Eisenhower określił mianem „kompleksu militarno-przemysłowego”.

– Pół punktu. Stalin kazał zastrzelić wszystkich rosyjskich żołnierzy z tego zdjęcia za bratanie się z wrogiem.

W zależności od tego, jakim jesteś geekiem science fiction, *Imperium kontratakuje* to albo druga część *Gwiezdnych wojen*, albo piąta. Mniejsza o to. W połowie pojedynku na miecze świetlne między Darthem Vaderem a Lukiem Skywalkerem, tuż po tym, jak Mroczny Lord odciął Luke’owi dłoń, Ojciec wyrwał latarkę z ręki kierownikowi sali i walnął mnie w klatkę czarno-białym zdjęciem. Co się wydarzyło potem? W niewyraźnym kręgu światła widniała młoda czarna kobieta w nienagannie wyprasowanej białej bluzce i kraciastej spódnicy. Zasłaniała się segregatorem, przyciskając go do wciąż rozwijających się piersi i psyche. Miała grube okulary przeciwsłoneczne, ale patrzyła wzrokiem przesywającym na wskroś i mnie, i stojące za jej plecami wrzeszczące, atakujące ją białe kobiety.

– To jedna z Dziewiątki z Little Rock. Przysłano wojska federalne. Poszła do szkoły. I żyli długo i szczęśliwie.

– Rok później gubernator wolał zamknąć wszystkie szkoły w mieście, niż dostosować się do obowiązującego prawa i skończyć z segregacją w szkolnictwie. Skoro czarnuchy chcą się uczyć, to nikt się nie będzie uczył. A skoro o nauczaniu mowa, zauważ, że tego cię w szkole nie uczą.

Nie powiedziałem, że w tym przypadku „oni”, nauczyciele, to właśnie mój ojciec. Pamiętam tylko, że zastanawiałem się, dlaczego Luke Skywalker rzuca się bez żadnego powodu w rozświetloną otchłań.

Czasami marzę o tym, żeby to Darth Vader był moim ojcem. Wyszłoby mi to na dobre. Nie miałbym wprawdzie prawej dłoni, ale nie spoczywałby też na mnie ciężar bycia czarnym i nieustannego zastanawiania się, czy i na ile mnie to obchodzi. Poza tym i tak jestem leworęczny.

Tak oto wszyscy – uparci jak płamy z trawy – czekali, aż ktoś zainterweniuje. Rząd. Bóg. Chroniący kolory wybielacz. Moc. Ktokolwiek.

Wykończona Charisma spojrzała na mnie.

– Czy to cholera się kiedyś kończy?

– Nie – mruknąłem i wyszedłem prosto w tę wietrzną doskonałość, jaką są wiosenne poranki w Kalifornii. Foy przygotował swoje oddziały i stworzył pompatyczny chór śpiewający *We Shall Overcome*²⁸. Wzięli się pod ramię i kołyszac, mruzcili do bitu. Większość ludzi sądzi, że prawa autorskie do *We Shall Overcome* są w domenie publicznej. Że dzięki ofiarności walki czarnych ten krzepiący refren pieśni można śpiewać, kiedy się chce, że – tak jak być powinno – może go śpiewać każdy, kto czuje się ofiarą niesprawiedliwości i zaprzaństwa. Ale jeśli stanąłbyś przed Biurem Patentowym i zaczął śpiewać *We Shall Overcome*, protestując w ten sposób przeciwko ludziom, którzy czerpią z cudzych praw autorskich, za każde wykonanie wisiałbyś Pete’owi Seegerowi pięć centów. I choć Foy, śpiewając z całych sił, uznał za stosowne zmienić tekst – z przejmującego „kiedyś” na wrzaskliwe „w tej chwili!” – to na wszelki wypadek rzuciłem na

chodnik dziesięć centów.

Foy uniósł ręce nad głowę, sweter zwinął mu się na pękatym brzuchu, odsłaniając uchwyt pistoletu wetkniętego za pasek z włoskiej skóry. To tłumaczyło zmianę słów, jego niecierpliwość, list, desperację w oczach i – dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej – brak kanciastości w jego zazwyczaj nienagannie symetrycznym tupeciku.

– Charisma, wezwij policję.

Z wyjątkiem studentów hipisów, śpiewaków występujących na murzyńskich rocznicach, fanów Cubsów i innych idealistów nikt nie zna więcej niż kilku wersów *We Shall Overcome*. Kiedy jego trzódka zaczęła plątać się przy kolejnej zwrotce, Foy wyciągnął broń i pomachał nią jak teleprompterem kalibru 0,45 cala. Napominając swój chór w trudnych momentach (mimo że śpiewający stali do Foya plecami), próbował przebiec obok mnie i Sorga do wejścia – zamkniętego, bo Charisma zatrzasnęła za sobą drzwi.

W Dickens ludzie nie odpuszczają łatwo. Podobnie jak miejscowe media, przyzwyczajone do krwawych porachunków między gangami czy niekończącego się pochodów psychopatycznych morderców. Kiedy więc Foy oddał dwa strzały w tył swojego mercedesa, zaparkowanego krzywo przy Rosecrans, tłum rozstał się tylko tyle, by zrobić przejście, którym białe dzieciaki mogły dotrzeć do względnie bezpiecznego gimbusa. Tam skuliły się na swoich miejscach. Desegregacja nigdy nie jest łatwa (w żadną stronę) i kiedy Foy wystrzelił w stronę ich ruchu na rzecz praw obywatelskich dwa kolejne naboje, postępowo zwolnił jeszcze bardziej, bo Autobus Wolności miał teraz kaptcie zamiast opon.

Foy wpakował kolejną kulę w logo Mercedesa. Tym razem bagażnik otworzył się powoli i majestatycznie, jak potrafią to tylko bagażniki mercedesów. Cheshire wyjął z niego stare wiadro białej farby. Zanim jednak ja albo ktokolwiek inny zdołaliśmy go osiągnąć, obrócił się, odstrasżając nas gnatem i fałszowaniem. Znowu zmienił tekst. Tym razem spersonalizował pieśń, zastępując „my” słowem „ja”. *I shall overcome*. Jak to zawsze mówią jurorzy w tych telewizyjnych konkursach? Rządysz, stary, ta piosenka jest naprawdę twoja.

Pyknięcie puszką z farbą to zawsze bardzo przyjemny dźwięk. Niebezpiecznie zadowolony z siebie i swoich kluczyków do auta Foy wstał z klęczek i stojąc tyłem do ulicy oraz nadal śpiewając co sił w płucach, wymierzył pistolet prosto w moją pierś.

„Widziałem to miliony razy”, mawiał mój ojciec. „Czarnuch profesjonalista, w którym coś pęka, kiedy kończy się ta cała szarada”. Czarność, która ich pochłaniała, nagle znika jak zmyty przez deszcz brud na oknie. Zostaje tylko przejrzysta kondycja ludzka i oto wszyscy mogą przejrzeć cię na wylot. Wychodzi na jaw kłamstwo z CV. Okazuje się, czemu piesz sprawozdania tak długo – winna nie jest drobiazgowość, ale dysleksja. Potwierdzają się podejrzenia, że ten kolorowy gość, co siedzi w rogu, koło toalety, w butelce z płynem do płukania ust, która zawsze stoi u niego na biurku, wcale nie ma „płynu usuwającego przyczyny nieświeżego oddechu i zapewniającego dwudziestoczterogodziną ochronę przed bakteriami powodującymi choroby i zapalenie dziąseł”, ale miętowego sznapsa. „Miliony razy”, mówił. „Na Wschodnim Wybrzeżu czarnuchy mają przynajmniej Martha’s Vineyard i Sag Harbor. A my co mamy? Las Vegas i jebane El Pollo Loco”. Jeśli o mnie chodzi, to uwielbiam El Pollo i choć nie sądziłem, żeby Foy stanowił niebezpieczeństwo dla mnie czy kogokolwiek innego, to powiedziałem sobie, że jeśli wyjdę z tego żywy, pierwsze, co zrobię, to pojadę do Pollo na rogu Vermont i Pięćdziesiątej Ósmej. Zamówię sobie trzyczęściowe combo – kurczaka z ciemną skórką, opiekana na grillu kukurydzę i purée ziemniaczane – oraz szklankę jednego z tych pysznych ponczów owocowych, które smakują jak kinderbal ośmiolatka.

Dźwięk syren dobiegał z drugiej strony miasta. Nawet w czasach, kiedy za sprawą podatków z przeliczanych domów władze hrabstwa tonęły w zyskach, Dickens nigdy nie dostawało uczciwej części miejskich usług. Za sprawą korupcji i cięć budżetowych na reakcję czeka się teraz wieki, a w dyspozytorni siedzą ci sami ludzie, którzy odbierali zgłoszenia w sprawie Holocaustu, Rwandy, Wounded Knee oraz Pompejów. Foy odsunął broń od mojej klaty i uniósł ją do ucha, po czym wolną ręką wylał sobie na głowę wiaderko niezamieszanej, na wpół zastygłej farby. Zbrylonymi strumieniami ściekała mu po lewej stronie twarzy i dalej po tej stronie ciała, aż jego oko, nozdrze, rękaw, nogawka i zegarek Patek Philippe zrobiły się całkowicie białe. Foy nie był Drzewem Wiadomości Dobrego i Złego, co najwyżej Krzakiem Opinii na Każdy Temat, ale tak czy siak było jasne, że umiera od środka, bez względu na to, czy to chwyt reklamowy czy nie. Spojrzałem na jego korzenie. Jeden brązowy but spryskany mlecznobiałym wodospadem, który ściekał mu z bródki i spływał z policzka. Tym razem nie było już wątpliwości, że mu odjechało, jeśli bowiem istnieje coś, co czarny człowiek sukcesu pokroju Foya kocha bardziej niż Boga, ojczyznę i swoją z grubą ciosaną mamuszkę, to właśnie buty.

Podszedłem do niego. Ręce miałem w górze, dłonie – puste. Foy jeszcze mocniej przycisnął lufę do swojego niekształtnego afro, biorąc samego siebie na zakładnika. Samobójstwo przy pomocy policjanta czy samozaoranie przez ucieczkę, nieszczególnie mnie to obchodziło, ale ucieszyłem się, że wreszcie przestał śpiewać.

– Foy – powiedziałem, brzmiąc zaskakująco podobnie do Ojca – musisz zadać sobie dwa pytania. Kim jestem? I jak mogę stać się sobą?

Czekałem na spodziewane „Tyram i tyram dla was, czarnuchy, i oto jakie dostaję podziękowanie”, a następnie diatribę o tym, że nikt nie kupuje jego książek. Że choć jest producentem, reżyserem, wydawcą, opiekunem i gwiazdą telewizji (pokazywaną na dwóch kontynentach), która dziesiątkom domów w sześciu krajach przyniosła groteskowo ugrzecznioną i ujednoliconą wersję czarnego intelektualisty, to ani o jotę nie zmienił się sposób, w jaki widzi nas świat, nie mówiąc już o nas samych. Że to jemu osobiście zawdzięczamy wybór pierwszego czarnego prezydenta, a i tak nic się nie zmieniło. Że w zeszłym tygodniu jakiś czarnuch wygrał siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów w nastoletniej edycji *Va banque* i nic się nie zmieniło. Że w istocie jeszcze się pogorszyło. A skąd wiesz, że się pogorszyło? Bo „bieda” zniknęła z naszego słownika i z naszej świadomości. Bo białasy pracują w myjniach samochodowych. Bo kobiety w pornosach nigdy nie wyglądały lepiej, a przystojni geje są teraz „hetero za kasę”. Bo słynni aktorzy występują w reklamach, zachwalając cnoty operatorów telefonicznych i armii Stanów Zjednoczonych. Wiesz, skąd wiadomo, że wszystko jest zjebane? Bo komuś się wydaje, że dalej mamy lata pięćdziesiąte, i próbuje na nowo wprowadzić segregację do amerykańskiego etosu. Tym kimś nie jesteś chyba ty, Sprzedawczyku, co? Rozstawianie znaków? Budowanie fałszywych szkół, jak gdyby getto było jakąś atrapą Paryża, którą wzniesiono w czasie pierwszej wojny światowej, żeby zmylić niemieckie bombowce, włącznie z dworcami, Łukiem Triumfalnym i wieżą Eiffla. Jak Niemcy, którzy z kolei podczas następnej wojny zbudowali w Theresienstadt fałszywe sklepy, kina i parki, żeby okpić Czerwony Krzyż i przekonać ich, że nie dochodzi do żadnych okrucieństw, gdy tymczasem cała wojna była jedną wielką serią okrucieństw – nabój po naboju, bezprawne zatrzymanie po bezprawnym zatrzymaniu, sterylizacja po sterylizacji, jedna bomba atomowa po drugiej. Mnie nie oszukasz. Nie jestem Luftwaffe ani Czerwonym Krzyżem. Nie wychowałem się w tej dziurze... Jaki ojciec, taki syn...

Kiedy przez palce przeciekają ci strumienie własnej krwi, możesz opisać je tylko jako „obfite”. Wijąc się w ryszotoku i ściskając w rękę bebechy, poczułem coś w rodzaju domknięcia. Nie słyszałem wystrzału, ale po raz pierwszy w życiu miałem coś wspólnego z własnym ojcem – obaj zostaliśmy postrzeleni w brzuch przez brzuchatych skurwieli. I była w tym jakaś satysfakcja. Zupełnie jakbym wreszcie spłacił dług wobec niego i jego popierdolonych wizji na temat tego, co to znaczy być czarnym i być dzieckiem. Tatuś nigdy nie wierzył w domknięcie. Uważał, że to fałszywa koncepcja psychologiczna. Coś wymyślonego przez terapeutów, żeby łagodzić poczucie winy białego Zachodu. Przez całą karierę naukową, najpierw jako student, potem jako praktyk, nigdy nie słyszał o niebiałym pacjencie, który potrzebowałby „domknięcia”. Potrzebowali zemsty. Potrzebowali dystansu. Być może także wybaczenia i dobrego prawnika, ale nigdy domknięcia. Mówił, że ludzie błędnie biorą za *domknięcie* samobójstwo, morderstwo, operację zmniejszania żołądka, międzyrasowe małżeństwo i wyjątkowo hojny napiwek, podczas gdy w rzeczywistości osiągają tylko *zniknięcie*.

Problem z domknięciem polega na tym, że jeśli raz go posmakujesz, zaczynasz pragnąć go w każdym, choćby najdrobniejszym aspekcie życia. Zwłaszcza kiedy wykrwawiasz się na śmierć, a twój niewolnik, podniósłszy bunt na całego, wrzeszczy: „Oddaj mi mój *Klan urwisów*, skurwielu!” i z taką furią okłada pięściami tego, który cię zaatakował, że musi go odciągać połowa pracowników biura szeryfa hrabstwa Los Angeles, a ty próbujesz w tym czasie zatamować krwotok przemoczonym, wrzuconym przez kogoś do ryszotoka egzemplarzem magazynu „Vibe” i nagle wszystko w nim cię interesuje. Kanye West ogłosił: „Rap to ja!”. Jay-Z uważa się za Picassa. A życie, kurwa, ucieka.

– Karetka już jedzie, synu.

Tymczasem wszystko się uspokoiło. Sorgo, nie mogąc przestać płakać, zdjął koszulkę, zrobił z niej poduszkę i ułożył mi głowę na swoich kolanach. Zastępczyni szeryfa kucnęła nade mną i rączką latarki trąciła lekko moją ranę.

– To bardzo, kurwa, odważne, co zrobiłeś, Zaklinaczu Czarnuchów. Mogę ci tymczasem coś dać?

– Domknięcie.

– Chyba obejdziesz się bez szwów. To nie wygląda na postrzał w brzuch, raczej trafił cię w boczek. Rana powierzchowna, serio.

Jeśli ktoś opisuje ranę od kuli jako powierzchowną, to nigdy nie został postrzelony. Ale nie zamierzałem pozwolić, by czyjeś braki w empatii stanęły mi na drodze do pełnego domknięcia.

– Krzyczenie „pali się!” w zatłoczonym kinie jest nielegalne, prawda?

– Prawda.

– No cóż, a ja tylko wyszeptalem „rasizm” w postrasowym świecie.

Opowiedziałem jej o moich wysiłkach na rzecz przywrócenia Dickens i jak doszedłem do wniosku, że zbudowanie szkoły da miastu poczucie tożsamości. Pogłaskała mnie współczująco po ramieniu i odezwała się przez radio do przełożonego. Kiedy pielęgniarze składali mnie do kupy, we troje spieraliśmy się, jak poważne przestępstwo popełniłem. Hrabstwo chciało oskarżyć mnie jedynie o zniszczenie mienia stanowego, ale próbowałem ich przekonać, że nawet jeśli przestępczość spadła, od kiedy wzniosłem Akademię Ziarno, to mój czyn i tak stanowił pogwałcenie pierwszej poprawki, ustaw o prawach obywatelskich i – o ile nie podpisano zawieszenia broni w walce z biedą – przynajmniej czterech artykułów konwencji genewskiej.

Przyjechało pogotowie. Kiedy mój stan ustabilizowano – gazą i zyczliwym słowem – sanitariuszka zaczęła wypełniać standardowy formularz.

– Rodzina?

Kiedy umierałem (no może nie dokładnie umierałem, ale prawie), pomyślałem o Marpessie. Jeśli położenie słońca na prześlicznie błękitnym niebie było jakąś wskazówką, w tej właśnie chwili znajdowała się na drugim końcu tej samej ulicy i jadła lunch. Autobus zaparkowała przodem do oceanu. Z bosymi stopami na desce rozdzielczej, nosem w Camusie, słuchała *This Must Be the Place Talking Heads*.

– Mam dziewczynę, ale ona ma męża.

– A co z tym tutaj? – zapytała, wskazując długopisem na Sorga, który z nagim torsem stał z boku i składał oświadczenie zastępczyni szeryfa, notującej i kiwającej z niedowierzaniem głową. – Czy on jest członkiem rodziny?

– Rodziny? – Sorgo usłyszał sanitariuszkę, nieco urażony wytarł T-shirtem pomarszczone ramię i podszedł, żeby zobaczyć, jak się mam. – Atoli jestem bliższy niż rodzina.

– Mówi, że jest jego niewolnikiem – wtrąciła się zastępczyni szeryfa, czytając z notatek. – Ten leniwy skurwiel twierdzi, że pracuje dla gościa od czterystu lat.

Sanitariuszka skinęła i dłońmi w pudrowanych lateksowych rękawiczkach przesunęła wzdłuż wychudzonych pleców Sorga.

– Skąd ma pan te ślady?

– Chłostano mnie. Skund inaczej taki gnuśny czarnuch jak ja miałby ślady bata na plecach, co?

Zastępczyni szeryfa przykuła mnie do noszy. Wreszcie miała coś, o co mogła mnie oskarżyć, choć nadal nie mogliśmy się zgodzić z jakiego paragrafu. Przez tłum zanieśli mnie w stronę karetki.

– Handel ludźmi?

– Neeee, nigdy nikt go nie sprzedał ani nie kupił. Może przymuszanie kogoś do służby?

– Może, ale przecież to nie tak, że zmuszałeś go do pracy.

– To nie tak, że pracował.

– Naprawdę go chłostałeś?

– Nie osobiście. Płaciłem odpowiednim ludziom... To długa historia.

Jedna z sanitariuszek musiała zawiązać sobie buty. Kiedy dziewczyna mocowała się ze sznurowadłami, położyli mnie na drewnianej ławce przystanku autobusowego. Znajoma twarz z plakatu na oparciu – kojący uśmiech, symbolizujący władzę czerwony krawat – dodała mi otuchy.

– Masz dobrego prawnika? – zapytała zastępczyni szeryfa.

– Po prostu zadzwońcie po tego czarnucha tutaj. – Puknąłem w reklamę. Brzmiała:

Mecenas Hampton Fiske

Pamiętaj o czterech krokach do uniewinnienia:

1. Nic nie mów, do cholery! 2. Nie uciekaj! 3. Nie utrudniaj aresztowania! 4. Nic nie mów, do cholery!

1-800-WOLNOSC *Se Habla Español*

Hampton spóźnił się na posiedzenie wielkiej ławy przysięgłych, ale jego usługi warte są każdego centa. Powiedziałem mu, że nie mogę sobie pozwolić na areszt. Zbliżały się zbiory, a za jakieś dwa dni miała się żrebić jedna z kłaczy. Uzbrojony w tę wiedzę wmaszerował na przesłuchanie, strzepując liście z marynarki, a gałązki z trwałej ondulacji, w ręku trzymając zaś miskę

z owocami.

– Mój klient jako farmer jest niezastąpionym członkiem mniejszościowej społeczności, która jak doskonale wiemy i co potwierdzają fakty, często cierpiała głód i niedobory żywności. Nigdy nie opuścił stanu Kalifornia, posiada dwudziestoletniego pikapa, który jeździ na jebanym etanolu, a tego w mieście zdobyć nie sposób, zatem nie ma ryzyka, że ucieknie...

Prokurator generalna Kalifornii, przyleciawszy z Sacramento specjalnie, żeby poprowadzić moją sprawę, zerwała się na równe nogi, obute w prądę⁷⁹.

– Sprzeciw! Swoimi odrażającymi czynami oskarżony, ten geniusz zła, zdołał równocześnie poddać dyskryminacji każdą możliwą rasę, nie wspominając już o tym, że bezwstydnie zaprowadził niewolnictwo. Stan Kalifornia uważa, że jest aż nadto dowodów na to, że oskarżony nikczemnie złamał ustawy o prawach obywatelskich z roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego, tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego i tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, ustawę o równych prawach z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, poprawki trzynastą i czternastą, a do tego co najmniej sześć z cholernych dziesięciu przykazań. Gdybym miała taką możliwość, oskarżyłabym go o zbrodnie przeciw ludzkości!

– Oto przykład głębokiej troski mojego klienta o ludzkość – odparował spokojnie Hampton, delikatnie położył miskę z owocami na ławie sędziego, po czym odsunął się, składając głęboki ukłon. – Świeżo zerwane z farmy mojego klienta, Wysoki Sądzie.

Sędzia Nguyen przetarł zmęczone oczy. Wziął z koszyka nektarynkę i obracając ją w dłoni, przemówił.

– Nie umyka mi ironia tej sytuacji. Oto siedzimy tutaj na sali: prokurator generalna, kobieta pochodzenia czarnego i indyjskiego, czarny oskarżony, czarny obrońca, latynoska urzędniczka sądowa i ja, sędzia okręgowy pochodzenia wietnamskiego. Ustalamy zakres sprawy, która w istocie dotyczy adekwatności, skali, a wreszcie samego istnienia supremacji białych w naszym systemie prawnym. I choć nikt z obecnych na sali nie podważyłby zasadniczej koncepcji „praw obywatelskich”, możemy się w nieskończoność spierać na temat tego, co znaczy „równość wobec prawa” zapisana w tych artykułach Konstytucji, których złamanie zarzuca się oskarżonemu. Próbował odbudować swoją wspólnotę poprzez wprowadzenie na nowo zasad, to jest segregacji i niewolnictwa, które zważywszy na historię kulturową, wciąż definiują jego wspólnotę, mimo że obie są jakoby niekonstytucjonalne i nie istnieją. Wskazał tym samym na fundamentalną wadę w sposobie, w jaki my, Amerykanie, postrzegamy równość. „Nieważne, czy jesteś czarny, biały, brązowy, żółty, czerwony, zielony czy różowy”. Wszyscy to mówimy. Używamy tego jako dowodu na to, że nie jesteśmy uprzedzeni, ale jeśli ktoś pomalowałby nas na różowo albo zielono, bylibyśmy wściekli jak cholera. A to właśnie robi oskarżony. Przemalowuje wszystkich, przemalowuje swoją wspólnotę na różowo i zielono, żeby sprawdzić, kto jeszcze wierzy w równość. Nie wiem, czy to, co zrobił, jest legalne czy nie, ale jedyne prawo obywatelskie, jakie mogę zagwarantować oskarżonemu, to prawo do szybkiego i uczciwego procesu. Zbierzemy się jutro rano, o dziewiątej. Ale zapnijcie pasy, ludzie, bo bez względu na wyrok, winny czy niewinny, sprawa trafi do Sądu Najwyższego, więc mam nadzieję, że nie macie żadnych planów na następne pięć lat. Wyznaczam kaucję... – sędzia Nguyen ugryzł wielki kęs nektarynki, po czym ucałował swój krucyfiks – ...która wynosi jedną kantalupe i dwa kumkwaty.

NIEZŁAGODZONA
CZARNOŚĆ

XXIV

Spodziewałem się, że klimatyzacja w Sądzie Najwyższym będzie gówniana, jak zresztą we wszystkich dobrych filmach prawniczych, *Dwunastu gniewnych ludziach* czy *Zabić drozda*. Na filmach procesy zawsze toczą się w dusznych salach, w środku lata, bo w książkach psychologicznych pisze się, że w czasie upałów rośnie przestępczość. Puszczają nerwy. Spoceni świadkowie i prawnicy zaczynają na siebie wrzeszczeć. Przysięgli wachlują się, potem otwierają drewniane okna, pragnąc uciec i zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. O tej porze roku Waszyngton bywa duszny, ale na sali sądowej jest łagodnie, niemal, cholera, zimno. Mimo wszystko muszę otworzyć okno – żeby wywietrzyć dym i pięć lat frustracji systemu sądownictwa.

– Nie radzisz sobie z trawą! – krzyczę na Freda Manne’a, kinomaniaka i rysownika sądowego pierwszej klasy.

Nadeszła przerwa na lunch w najdłuższej sprawie w historii Sądu Najwyższego. Siedzieliśmy w nienazwanym przedśionku, przepuszczając przez palce czas i popiół z blantów, zarzynając finał *Ludzi honoru*, którzy nie są wielkim filmem, ale pogarda Jacka Nicholsona dla innych aktorów i dla scenariusza, a także sposób, w jaki wygłasza ostatni monolog, dają radę.

– Czy wydał pan „czerwony rozkaz”?

– Być może. Jestem teraz tak upalony...

– Czy wydał pan „czerwony rozkaz”?

– A żebyś pan wiedział, że wydałem! I zrobiłbym to ponownie, bo ten towar jest zajekurwabisty.

Fred wychodzi na chwilę z roli.

– Jak się to nazywa?

To, czyli joint, którego trzyma w dłoni.

– Nie mam jeszcze nazwy, ale Czerwony Rozkaz brzmi nieźle.

Fred rysował wszystkie ważne sprawy: małżeństwa jednopłciowe, koniec ustawy o prawie do głosowania, zniesienie akcji afirmatywnej na uniwersytetach i w konsekwencji wszędzie indziej. Mówi, że po raz pierwszy w ciągu trzydziestu lat jego kariery artystycznej sąd zarządza przerwę obiadową. Po raz pierwszy sędziowie podnoszą na siebie głos i mierzą się wzrokiem. Pokazuje mi rysunek z dzisiejszych obrad. Sędzia Konserwatywny Katolik, udając, że drapie się po policzku, pokazuje faka Sędzi Liberalnej Katoliczce z Bronksu.

– Co znaczy *coño*?

– Co?

– To właśnie wyszeptła pod nosem, a potem dodała *Chupa mi verga, cabrón*.

Na wykonanej kredkami karykaturze wyglądam okropnie. Jestem w dolnym lewym rogu rysunku. Nie mogę pochwalić Sądu, że pozwolił korporacjom na nieuregulowane dotowanie kampanii wyborczych i zgodził się na palenie amerykańskiej flagi, ale najlepsza decyzja, jaką podjął, to wprowadzenie zakazu używania aparatów fotograficznych na sali rozpraw, bo najwyraźniej jestem wyjątkowo paskudnym skurwielem. Mój kulfoniasty nochal i gigantyczne uszy wystają z łysej głowy w kształcie góry Fuji jak cielesne wiatromierze. Szczere żółte zęby i gapię się na Sędzię Młodsza Żydówkę, jakbym prześwietlał wzrokiem jej toę. Fred mówi, że

zakaz robienia zdjęć nie ma nic wspólnego z utrzymaniem powagi i *decorum*. Chodzi o ochronę kraju przed tym, co żyje pod głazem, na którym stanęli Pielgrzymi z Mayflower. Bo Sąd Najwyższy to miejsce, gdzie ojczyzna wyciąga na wierzch fiuta i cycki, by zdecydować, kto zostanie wyruchany, a kto posmakuje matczyne mleko. To konstytucyjna pornografia, a co powiedział sędzia Potter Stewart na temat sprośności? Jak już ją widzę, to ją rozpoznaję.

– Fred, czy sądzisz, że mógłbyś przynajmniej zmniejszyć mi zakola? Wyglądam jak jebany wampir Blacula.

– *Blacula*. Niedoceniony film.

Fred odpina od smyczy dziennikarski identyfikator i metalowym klipsem przytrzymuje resztkę blanta, żeby dokończyć go jednym potężnym buchem. A kiedy tak zaciska oczy i nozdrza, pytam go, czy mogę pożyczyć ołówek. Potwierdza skinieniem głowy, a ja korzystam z okazji i wydaję mu z fikuśnego pudełka wszystkie brązowe kredki. Za chuja nie przejdę do historii jako najbrzydszy człowiek występujący przed Sądem Najwyższym.

Na lekcjach socjologii, które w pensum Ojca nosiły nazwę Sztuczki i Fortele Niemordowanych Białasów, Tata przestrzegał mnie przed słuchaniem rapu albo bluesa w towarzystwie białych nieznajomych. Kiedy byłem starszy, napominał mnie, bym także nie grał z nimi w Monopoly, nie palił trawy i nie pił więcej niż dwóch piw. Takie zachowanie może bowiem stwarzać fałszywe poczucie zażyłości. A nie ma nic groźniejszego – z głodną panterą i afrykańskim promem włącznie – niż biały, który ma poczucie, że jest na przyjacielskiej stopie. Kiedy Fred wraca, wydmuchawszy wielki kłęb dymu w waszyngtońską noc, ma w oczach błysk, który mówi: „Czyż nie jestem czarnym bracholem, ziom?”.

– Coś ci powiem, stary. Widziałem tu ich wszystkich. Sprawy dotyczące rasowego profilowania, małżeństw międzyrasowych, mowy nienawiści, dyskryminacji ze względu na rasę. I wiesz, co różni twoich ludzi od moich? Wszyscy chcemy miejsca przy „stoliku”, ale kiedy się już tam dostaniemy, wy nie macie żadnego planu ewakuacji. A *my*? *My* jesteśmy gotowi do ucieczki w każdej chwili. Nigdy nie wchodzę do restauracji, kregielni czy na orgię, nie zadając sobie pytania, jak zamierzam stąd spierdolić, gdyby to właśnie tu postanowili mnie dopaść. Zabrało nam to jedno pokolenie, ale odrobiliśmy tę kurewską lekcję. *Wam* mówią: „Skończyła, nie macie już żadnych lekcji do odrobienia”, a wy, głupie chujki, im wierzycie. Zastanów się. Gdyby zaczęli wam właśnie łomotać do drzwi kolbami, to co byście zrobili? Jaka jest wasza strategia ewakuacyjna?

Pukanie do drzwi. To urzędniczka sądowa przełykająca ostatnią rolkę sklepowego futomaki z pikantnym tuńczykiem. Zastanawia się, dlaczego jedną nogą majtam za oknem. Fred tylko potrząsa głową. Patrzę w dół. Nawet gdybym przeżył upadek z drugiego piętra, zostałbym uwięziony na pretensjonalnym marmurowym dziecińcu. Otoczony dziesięcioma metrami bombastycznej architektury w stylu kolonialnym. Głowy lwów, łodygi bambusów, czerwone orchidee, zamulona fontanna. Kiedy wychodzimy, Fred wskazuje roślinę w donicy i znajdujące się za nią drzwiczki w rozmiarze hobbicim, które zapewne prowadzą do ziemi obiecanej.

Wracam na salę rozpraw, a na moim miejscu siedzi jakiś blady białas. Wydaje się, że czekał do ostatniej kwarty meczu, żeby zejść z galerii, prześliznąć się obok woźnych i zająć miejsce zwolnione przez fana, który wyszedł wcześniej, chcąc uniknąć korków. Przypomniał mi się obiegowy żart z czarnych stand-upów na temat białych gości, którzy wracają i okazuje się, że „na ich miejscach siedzą czarnuchy”, więc ciągną losy, żeby ustalić, kto będzie prosił ich, żeby się ruszyli.

– Siedzisz na moim miejscu, koleś.

– Hej, chciałem tylko powiedzieć, że czuję się tak, jakby zdecydowano teraz także o mojej konstytucyjności. A w swojej części sali nie masz zbyt wielu fanów.

Pomachał w górze niewidzialnymi pomponami. *Ricka-rocka! Ricka-rocka! Sis! Bum! Ba!*

– Dziękuję za wsparcie. Doceniam je. A teraz spadaj.

Sędziowie wchodzą gęsiego z powrotem. Nikt nie wspomina o moim nowym sparingpartnerze. Męczący dzień. Zrobiły im się wory pod oczami. Togi się wygniotły i straciły blask. Toga Sędziego Murzyna jest chyba poplamiona sosem barbecue. Tylko dwie osoby na sali wyglądają świeżo – jeffersoński Prezes Sądu i Hampton Fiske, odstawiony jak stróż w Boże Ciało, obaj w nienagannie ułożonej fryzurze, bez najmniejszego śladu zmęczenia. Hampton ma jednak tę przewagę nad Prezesem Sądu, że zmienił strój. Olśniewa teraz gniotącym jaja limonkowym kombinezonem z rozszerzonymi nogawkami. Zdejmuje homburg i pelerynę, odkłada laseczkę z rękojeścią z kości słoniowej, drapie się po kroczu i staje obok, kiedy Prezes Sądu zaczyna wygłaszać oświadczenie.

– Wiem, że to ciężki dzień. Wiem, że w tej kulturze szczególnie trudno jest mówić o „rasie”, czujemy bowiem potrzebę ustąpienia...

Biały chłopak obok mnie zasłonił usta dłonią i zakaszłał „dupek”. A ja cicho zapytałem skurwiela, jak się nazywa, bo człowiek ma prawo wiedzieć, kto siedzi obok niego w trenczu.

– Adam Y___.

– Brawo, stary.

Jestem napruty jak meserszmit, ale nie aż tak, by nie wiedzieć, że o rasie jest szczególnie „trudno mówić”, bo trudno o niej mówić. Trudno też mówić o powszechnym maltretowaniu dzieci w tym kraju, ale jakoś nikt nigdy na to nie narzeka. Po prostu się o tym nie mówi. Albo kiedy ostatnio prowadziliście spokojną, wyważoną dyskusję na temat zalet dobrowolnego kazirodztwa? Na niektóre tematy po prostu trudno dyskutować, ale mam wrażenie, że jeśli chodzi o poruszanie tematu rasy, to ten kraj daje radę. A kiedy ktoś pyta: „Dlaczego nie możemy mówić o rasie uczciwiej?”, tak naprawdę chce powiedzieć: „Dlaczego wy, czarnuchy, nie możecie być racjonalni?” albo „Pierdol się, białasie. Gdybym powiedział to, co naprawdę chcę powiedzieć, to zwolniliby mnie szybciej, niż ty byś mnie zwolnił, gdyby o rasie mówiło się łatwiej”. I kiedy mówicie „rasa”, macie na myśli „czarnuchy”, bo każdy, bez względu na proveniencję etniczną, bez trudu sypie mądrościami z dupy na temat rdzennych Amerykanów, Latynosów, Azjatów czy najnowszej rasy Ameryki – Celebrytów.

Czarni nawet nie mówią o rasie. W ogóle nic już się nie łączy z kolorem skóry. To wszystko „okoliczności łagodzące”. Jedyńi ludzie, którzy odważnie i wnikliwie dyskutują na temat „rasy”, to hałaśliwi biali goście w średnim wieku, którzy idealizują Kennedy’ego i Motown, czytane, otwarte białe dzieciaki pokroju tego hipisowatego gostka, który siedzi obok w T-shircie z napisem *Wolny Tybet! Wolny Boba Fett!*, kilku dziennikarzy freelancerów z Detroit oraz amerykańscy hikikomori, którzy przesiadują w piwnicach i walą w klawiatury, komponując wyważone i przemyślane odpowiedzi na niekończący się zalew rasistowskich komentarzy w internecie. Bogu dzięki za MSNBC, Ricka Rubina, Czarnego Gościa z „The Atlantic”, Brown University oraz piękną Sędzię z Upper West Side, która swobodnie nachyla się do mikrofonu i zadaje pierwsze pytanie z sensem:

– Sądzę, że szukamy tu odpowiedzi na pewien prawny problemat: czy złamanie praw obywatelskich, które przyniosło to, co rzeczone prawa miały promować, lecz czego nie przyniosły, stanowi w istocie złamanie praw obywatelskich. Nie możemy zapominać, że zasada „równi, lecz oddzielni” została obalona nie na gruncie moralnym, ale dlatego, że według

orzeczenia tego Sądu oddzielne nigdy nie może być równe. Tymczasem w tej sprawie musimy zadać sobie pytanie, czy oddzielne było w istocie równe, ale raczej jak podejść do „oddzielne i niezupełnie równe, ale nieskończenie lepsze niż kiedykolwiek wcześniej”. Sprawa *Ja kontra Stany Zjednoczone Ameryki* wymaga znacznie głębszej analizy tego, co dla nas oznacza „oddzielny”, co „równy”, co „czarny”. Przejdźmy zatem do samego sedna: co mamy na myśli, kiedy mówimy „czarny”?

Najlepsze w Hamptonie Fiske’u (jeśli nie liczyć odmowy przyjęcia do wiadomości, że moda lat siedemdziesiątych umarła) jest to, że zawsze stawia się przygotowany. Wygląda kłapy marynarki, które obsiadły jego klatę jak wielkie namioty, po czym odchrząkuje: przemyślany gest, który ma na celu zirytowanie części ludzi. A chce, żeby widownia była na granicy wytrzymałości, bo wtedy przynajmniej słucha.

– Czym zatem jest czarność, Wysoki Sądzie? To dobre pytanie. Dokładnie takie samo zadał wybitny francuski pisarz Jean Genet, kiedy aktor poprosił go o napisanie sztuki, w której obsada byłaby wyłącznie czarna, kiedy zastanawiał się nie tylko „czym jest czarny?”, ale postawił pytanie jeszcze bardziej fundamentalne: „Zacznijmy od tego, jaki jest jego kolor?”.

Prawnicy z kancelarii Hamptona pociągają za sznurki i kotary zasłaniają okna, a Fiske podchodzi do włącznika światła i spowija salę w zupełnej ciemności.

– Oprócz Geneta wypowiedziało się na ten temat wielu raperów i czarnych myślicieli. Wczesnorapowy kwintet białych chłopięcych pozerów znany jako Young Black Teenagers zapewniał, że „czarność to stan umysłu”. Ojciec mojego klienta, znany afroamerykański psycholog, pan Ja, czworga imion P. R. D. L. (niech genialny skurwiel spoczywa w pokoju), postawił hipotezę, że czarna tożsamość tworzy się fazowo. Zgodnie z jego Teorią Klasycznej Czarności faza pierwsza to Murzyn neofita. Czarna osoba funkcjonuje w stanie przedświadomości. Tak jak wiele dzieci obawia się całkowitej ciemności, takiej, w jakiej znajdujemy się teraz, Murzyn neofita obawia się swojej czarności. Czarności, która jawi mu się jako nieunikniona, nieskończona, niecała.

Hampton pstryka palcami i na czterech ścianach sali wyświetla się wielkie zdjęcie Michaela Jordana stręczącego dla Nike, ale szybko zastępują je inne. Colin Powell, który tuż przed składkową imprezą, czyli inwazją na Irak, dzieli się ze Zgromadzeniem Ogólnym ONZ swoim przepisem na uranowe „żółte ciasto”. Condoleezza Rice łączy jak pies przez szparę między zębami. To Afroamerykanie, którzy mają udowodnić jego tezę. Dowody na to, jak nienawiść do samych siebie sprawia, że od samoakceptacji i moralności bardziej zależy im na byciu zaakceptowanym przez mainstream. Pojawiają się fotografie Cuby Goodinga, Coral z *The Real World*, Morgana Freemana. Odnosząc się do dawno zapomnianych ikon popu, Hampton zdradza swój wiek, ale nie przerywa wywodu:

– On lub ona pragnie być wszystkim, byle nie czarnym. Ma niską samoocenę i niezdrowo popielatą cerę.

Na ścianie pojawia się zdjęcie Sędziego Murzyna: paląc cygaro, próbuje wbić piłeczkę golfową do znajdującego się trzy metry dalej dołka. Wszyscy, z Sędzią włącznie, wybuchają gromkim śmiechem.

– Murzyni w fazie pierwszej oglądają powtórki *Przyjaciół*, nie zważając na to, że jeśli w sitcomie biały bohater umawia się z czarną dziewczyną, to zawsze jest to najmniej atrakcyjny członek grupy, nad którym po prostu zlitowała się czarna siostra. To zawsze jakiś Turtle, Skreech, David Schwimmer, George Costanza...

Prezes Sądu nieśmiało podnosi rękę.

– Przepraszam, panie Fiske, mam pytanie...

– Nie teraz, skurwielu, rozkręcam się!

Ja też. Wyciągam zwijarkę i napełniam ją, najlepiej jak umiem w tych ciemnościach, wilgotnym towarem. Mogą mnie oskarżyć o obrazę sądu, *le mépris* dla wszystkiego, ale nie muszę się dowiadywać, na czym polega faza druga. To „Czarny przez wielkie C”. Znam to cholerstwo. Wbijano mi je do głowy, od kiedy stałem się wystarczająco duży, by grać w „jedna z tych rzeczy nie pasuje do pozostałych”, a Ojciec kazał mi wskazać na zdjęciu drużyny Lakersów białego gościa wsadzonego tam na pokaz. Marku Landsbergerze, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

– Cechą charakterystyczną fazy drugiej jest wzmożona świadomość rasy. Nadal wszystko koncentruje się wokół kwestii rasy, ale na sposób bardziej pozytywny. Czarność staje się zasadniczym elementem czyjegoś doświadczenia i ram conceptualnych. Czarność jest idealizowana, a białość pogardzana. Osobnikami targają emocje: od rozgoryczenia, złości i autoagresji po falę euforii związaną ze wszystkim, co czarne, i ideę czarnej supremacji...

Chowam się pod stołem, żeby nikt mnie nie przyłapał, ale blant nie kopie jak trzeba. Nie mogę się zaciągnąć. W mojej nowej kryjówce próbuję podtrzymać żar i z nietypowej perspektywy widzę zdjęcia Foya Cheshire’a, Jessego Jacksona, Sojourner Truth, Mamci Mabley, Kim Kardashian i mojego ojca. Nigdy nie ucieknę od mojego ojca. Miał rację, nie ma czegoś takiego jak domknięcie. Może trawa jest zbyt lepka, żeby się dobrze palić. Może za ciasno ją zwinąłem. Może w ogóle nie mam tam trawy i jestem tak upalony, że od pięciu minut próbuję ćmić własny palec.

– Faza trzecia czarności to rasowy transcendentalizm. Zbiorowa świadomość, która walczy z uciskiem i poszukuje spokoju.

Pierdolić to, spadam stąd. Jestem duchem. Postanawiam wydostać się tak cicho, jak to tylko możliwe, żeby nie zawstydzić Hamptona, który w tej ciągnącej się w nieskończoność sprawie odgrywa rolę orędownika sprawiedliwości.

– Czarni w fazie trzeciej to na przykład Rosa Parks, Harriet Tubman, Siedzący Byk, César Chávez, Ichirō Suzuki.

Po omacku zakrywam twarz, a moja sylwetka pojawia się na tle kadru z *Wejścia smoka*; Bruce Lee spina się, żeby skopać komuś dupę. Dzięki Fredowi, rysownikowi sądowemu, mam plan ucieczki i znam drogę w ciemności.

– Czarni w fazie trzeciej to kobieta po waszej lewej, mężczyzna po waszej prawej. To ludzie, którzy wierzą w piękno dla samego piękna.

Jak większość miast Waszyngton jest ładniejszy nocą. Siedząc na schodach Sądu Najwyższego, robiąc fajkę z puszki po pepsi i gapiąc się na podświetlony jak witryna butiku Biały Dom, próbuję rozkminić, czym wyróżnia się nasza stolica.

Buch z aluminiowej puszki to nie ideał, ale ujdzie. Wydmuchuję dym w niebo. Powinna istnieć też faza czwarta czarnej tożsamości – niezłagodzona czarność, bez znieczulenia i bez okoliczności łagodzących. Nie jestem pewien, czym jest, ale czymkolwiek by była, ludzie jej nie kupują. Z zewnątrz niezłagodzona czarność jest pozorną niechęcią do osiągnięcia sukcesu. To Donald Goines, Chester Himes, Abbey Lincoln, Marcus Garvey, Alfre Woodard i ten poważny czarny aktor. To cygaretki, flaki wieprzowe, noc w kiciu. To nasze „zważywszy na” i „rzeczy tego rodzaju”. To nasze piękne dłonie i zjebane stopy. Niezłagodzona czarność to zdolność posiadania wszystkiego w dupie. Clarence Cooper, Charlie Parker, Richard Pryor, Maya Deren, Sun Ra, Mizoguchi, Frida Kahlo, czarno-biały Godard, Céline, Gong Li, David Hammons,

Björk, Wu-Tang Clan i ich rozmaite zakapturzone kombinacje. Niezłagodzona czarność to esej udający prozę. To uświadomienie sobie, że absoluty nie istnieją – chyba że istnieją. To zaakceptowanie, że sprzeczność nie jest żadnym grzechem ani zbrodnią, ale częścią ludzkiej niedoskonałości, jak rozdwojone końcówki i libertarianizm. Niezłagodzona czarność to dojście do wniosku, że choć wszystko jest popierdalone i bezsensowne, czasem to właśnie nihilizm sprawia, że warto żyć.

Siedząc tu, na stopniach Sądu Najwyższego, paląc trawę pod napisem RÓWNOŚĆ W OBLICZU PRAWA, gapiąc się w gwiazdy, wreszcie uświadomiłem sobie, co jest nie tak z Waszyngtonem: wszystkie budynki są mniej więcej tej samej wysokości i nie ma żadnego skajlajnu, nie licząc pomnika Waszyngtona, który dotyka nocnego nieba niczym pokazywany światu wielki środkowy palec.

XXV

Dowcip polega na tym, że od decyzji Sądu Najwyższego zależy, czy moja impreza powitalna będzie zarazem moją imprezą pożegnalną przed pójściem do więzienia, więc napis nad kuchennymi drzwiami brzmi KONSTITUCJA ALBO EGZEKUCJA – TO SIĘ OKAŻE. Marpessa zaprosiła tylko wąskie grono przyjaciół oraz Lopezów z domu obok. Wszyscy siedzą w mojej norze, oglądają zaginione filmy *Klanu urwisów*, skupieni wokół Sorga, prawdziwego bohatera wieczoru.

Foya uniewinniono z zarzutu usiłowania morderstwa z powodu tymczasowej niepoczytalności, ale wygrałem sprawę cywilną, którą mu założyłem. Nie żebym był zaskoczony, ale rzekome bogactwo Foya Cheshire'a – jak bogactwo znacznej większości amerykańskich celebrytów – okazało się właśnie takie: rzekome. Kiedy sprzedał samochód, żeby opłacić prawników, została mu tylko jedna cenna rzecz, której chciałem – filmy *Klanu urwisów*. Zaopatrzeni w arbuzy, gin, lemoniadę i projektor filmów 16 mm szykowaliśmy się na przyjemny wieczór ziarnistego, czarno-białego, starodawnego rasizmu spod znaku „tia, psze pana”, niewidzianego od czasu *Narodzin narodu* oraz tego, co leci teraz na kanale ESPN. Po dwóch godzinach wciąż nie możemy dojść, czym Foy się tak zamartwiał. Choć Sorgo jest zachwycony własną obecnością na ekranie, skarbczyk składa się głównie z niewyemitowanych filmów nakręconych za czasów MGM. W połowie lat czterdziestych seria dawno już była wyzbytym pomysłów żywym trupem, ale te krótkie metraże są kosmicznie złe. Późna odsłona klanu się nie zmieniła: Żaból, Mickey, Grysik, mało znana Janet i rzecz jasna Sorgo w różnych drugoplanowych rolach. Te powojenne filmy są strasznie poważne. W *Super Duper Nazi* gang odkrywa, że pediatra jest w rzeczywistości ukrywającym się niemieckim zbrodniarzem wojennym. Herr doktora Jonesa demaskuje rasizm – kiedy Sorgo dostaje gorączki i idzie do lekarza, wita go drwiące: „Mein Gott, a więc nie fszystkich was kaputt f czasie wojny? Niech weźmie tabletkę z arsenik i zobaczymy, ja?”. W *Aspóiecznym motylu* Sorgo nietypowo zostaje gwiazdą. Zasypia w lesie na tak długo, że motyl monarcha zakłada w jego włosach oprzęd. Spanikowany chłopiec wkłada kapelusz i biegnie do panny Crabtree. Nauczycielka z entuzjazmem wyrokuje, że ma „poczwarkę”, z której wykluje się „imago”. Gang, ciekawski jak zawsze, podsłuchuje rozmowę i przekonany, że Sorgo ma „lumbago”, próbuje go wysłać do szpitala. Znalazło się też kilka prawdziwych skarbów. Próbując ożywić zdrętwiałą serię, wytwórnia nakręciła parę skróconych wystawień sztuk teatralnych, które klan urwisów odegrał na poważnie. Wielka szkoda, że świat nie ujrzał sztuki O'Neill'a z Grysikiem w roli tytułowego Cesarza Jonesa i Żabolem jako oślizgłym Smithersem. Do grupy wraca Darla i mistrzowsko odgrywa nieprzejednaną Antygone. Równie przekonujący jest Lucerna jako doświadczony przez los Leo w *Raju utraconym* Clifforda Odetsa. W archiwach Foya nie trafiliśmy jednak na nic, co tłumaczyłoby, dlaczego tak wytrwale starał się ukryć filmy przed widzami. Są oczywiście straszliwie rasistowskie, jak zawsze, ale nie bardziej niż jednodniowa wycieczka do legislatury stanowej Arizony.

– Ile zostało taśmy, Sorgo?

– Jakieś piętnaście minut, panie.

Na ekranie, na tle jutowej sakwy, pojawiają się słowa *Kupowanie czarnucha w worku* – ujęcie

nr 1. Mijają dwie, trzy sekundy. Bam! Z worka wychyla się kudłata czarna główka ozdobiona promiennym uśmiechem. „Czarnolud!”, woła i trzepocze rozkosznie swoimi długimi, żyrafimi rzęsami.

– Sorgo, czy to ty?

– Chciałbym! Ten chłopak ma naturalny talent!

Nagle zza kadru słyhać wrzask reżysera: „Mamy worek, ale potrzebujemy więcej czarnucha! No dalej, Foy. Wiem, że masz dopiero pięć lat, ale bambo, koleżko, tym razem się postaraj”. Ujęcie nr 2 jest równie spektakularne, ale po nim zaczyna się krótkometrażowy film *Asfaltowi magnaci naftowi!* z Grysikiem, Sorgiem i dotychczas nieznanym członkiem gangu, dzieciakiem podpisanym jako Mały Foy Cheshire vel Czarnolud. Od razu zyskuje rangę klasyki i jest – wedle tego, co wiem – ostatnią odsłoną serii *Klan urwisów*.

– Pamiętam to! Chryste, pamiętam to!

– Sorgo, przestań podskakiwać. Zasłaniasz nam.

W *Asfaltowych magnatach naftowych* nasi bohaterowie potajemnie spotykają się w bocznej uliczce z tyczkowatym kowbojem w wysokim kapeluszu, który przyjechał limuzyną z szoferem. Następnie widzimy, jak spokojnymi ulicami Greenville pchają wypełnioną pieniędzmi taczkę. Trzech bogatych czarnuchów, teraz już zawsze w cylindrach i frakach, bez przerwy zaprasza pozostałych członków gangu a to do kina, a to na słodycze. Magnaci nawet kupują biednemu Mickeyowi drogi strój do bejsbola, który podziwiał przez sklepową witrynę. Gang robi się podejrzliwy, dopytuje o pochodzenie tej fortuny, nie kupuje wyjaśnień Grysika („Żem znalazł czterolistową kończynę i żem wygrał na irlandzkiej loterii”) i zaczyna wałkować rozmaite teorie. Oszukują w kartach. Grają na wyścigach. Hattie McDaniel umarła, zapisawszy im cały swój majątek. W końcu gang grozi Grysikowi wydaleniem z grupy, jeśli nie przyzna się, skąd pochodzą pieniądze. „Spszedajemy ropę!” Nadal nieufny klan, nie mogąc znaleźć szybu naftowego, śledzi Sorga i trafia do ukrytej hali, gdzie odkrywają prawdę. Nikczemne asfalty założyły wszystkim dzieciakom z Czarnuchowa wenflony i płacąc im po pięć centów za pół litra, wypełniają puszki po farbie, jedna czarna kropla za drugą. Na końcu pokazuje się Foy w pieluszce i mamle: „Czarnolud!”, po czym, przy dźwiękach głównego motywu muzycznego *Klanu urwisów*, kamera litościwie gaśnie.

Kuzyn Król przerywa ciszę.

– Teraz wiem, dlaczego ten idiota, Foy, ocipiał. Też bym zwariował, gdybym miał na sumieniu coś takiego. A zarabiam na życie strzelaniem do skurwieli bez powodu.

Steviemu, gangusowi ostremu i bezwzględnemu jak wolny rynek oraz wypranemu z emocji jak Wulkanin z aspergerem, cieknie po policzku łza. Unosi puszkę piwa i wznosi toast za Sorga.

– Nie wiem do końca, jak to ująć, ale: „Zdrowie Sorga. Jesteś lepszym człowiekiem niż ja”. Słowo daję, że powinni dać Oscara za całokształt twórczości czarnemu aktorowi, bo mieliście naprawdę ciężko.

– Wciąż mamy – powiedział Polot. Nawet nie wiedziałem, że jest na imprezie, pewnie musiał przyjechać z całodniowej pracy na planie *Hiphopowego gliniarza*. – Wiem, przez co przechodził Sorgo. Spotkałem w życiu reżyserów, którzy mówili: „Potrzebujemy więcej czarności. Możesz to trochę przyczernić?”. Odpowiadasz na to: „Pierdol się, rasistowski jebańcu!”, a oni: „O właśnie! Utrzymaj tę intensywność!”.

Nestor Lopez gwałtownie wstaje, kołysze się chwilę, kiedy wódka i trawa uderzają mu do głowy.

– Wy przynajmniej macie jakąś historię w Hollywood, a my? Speedy Gonzales, kobita

z bananami na głowie, *Skarb Sierra Madre* i kilka filmów więziennych!

– Ale niektóre filmy więzienne są świetne, ziom!

– Do klanu urwisów należeli przynajmniej jacyś czarni. A gdzie, kurwa, jakiś Chorizo czy Bok Choy?

Choć Nestor ma rację, że nie było żadnego Chorizo, nie wspominam o Ding Dongu i Edwardzie Soo Hoo, dwójce azjatyckich urwisów. Żadną miarą nie byli gwiazdami, ale radzili sobie lepiej niż wielu zasmarkańców, których wytwórnice stawiały przed kamerą. Idę do obory zobaczyć, jak się mają dopiero co kupione szwedzkie owce. Jagniątko Roslag kulą się pod persymonem. To ich pierwsza noc w getcie i boją się, że kozy i świnię spuszczą im łomot. Jedna z owiec jest brudnobiała, druga szara, w cętki. Dygoczą. Przytulam je i całuję w pyszczki.

Nie zauważyłem, że stoi za mną Sorgo, który – jak mała małpuzka to, co widzi – składa na moich ustach spierzchnięty pocałunek o smaku wątróbki.

– Co jest, kurwa, Sorgo?

– Rzucam to.

– Co takiego?

– Niewolnictwo. Rano pogadamy o odszkodowaniu.

Owce wciąż trzęsą się ze strachu. *Vara modig*, szepczę im do drżących uszu. Nie wiem, co to znaczy, ale w broszurze napisano, by w pierwszym tygodniu mówić im to co najmniej trzy razy dziennie. Nie powinienem był ich kupować, bo są na liście gatunków chronionych, ale stary profesor hodowli zobaczył mnie w wiadomościach i pomyślał, że się nimi dobrze zaopiekuję. Też się boję. Co będzie, jeśli pójdę do więzienia? Kto się nimi zajmie? Mówi się, że jeśli nie uwalą mnie pierwszą, trzynastą i czternastą poprawką, skierują sprawę do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości i oskarżą mnie o apartheid. Ani jednego Południowego Afrykanina nigdy nie skazano za apartheid, ale chcą oskarżyć *mnie*? Nieszkodliwego Afroamerykanina z południowego Los Angeles? *Amandla awethu!*⁸⁰

– Chodź do środka, jak już tam skończysz – woła z sypialni Marpessa.

Po jej głosie słyhać, że sprawa jest pilna. Rozumiem, że chodzi o *teraz*. Odkładam butelkę, nakarmię jagnięta później. W stojącym na komodzie telewizorze leci kanał informacyjny. Moja – od pięciu już lat – dziewczyna leży na łóżku, na brzuchu, rękoma podpira swoją ładną głowę, ogląda prognozę pogody. Obok siedzi Charisma. Opiera się o zagłówek, skrzyżowane nogi w pończochach leżą na tyłku Marpessy. Na materacu nie ma zbyt wiele miejsca, ale znajduję sobie jakiś wolny kawałek i wspinam się po moje wymarzone *ménage à trois*.

– Marpessa, co się stanie, jeśli będę musiał pójść do więzienia?

– Zamknij się i oglądaj telewizję.

– Hampton słusznie zauważył w sądzie, że jeśli „służba” Sorga była zniewoleniem, to amerykańskie korporacje powinny szykować się na zalew pozwów, które złożą całe pokolenia nieopłacanych stażystów.

– Przystaniesz wreszcie gadać? Zaraz przegapisz.

– Ale co, jeśli pójdę do więzienia?

– Wtedy będę musiała sobie znaleźć jakiegoś innego czarnucha, z którym będę mogła uprawiać niewymyślny seks.

Pozostali goście stłoczyli się w drzwiach do sypialni. Gapią się na nas. Marpessa łapie mnie za podbródek i siłą obraca mi głowę w stronę telewizora.

– Patrz.

Pogodynka Chantal Mattingly macha rękami nad mapą kotliny Los Angeles. Jest upalnie.

Z południa nadciąga fala wilgoci. W dolinie Santa Clarita i dolinach hrabstwa Ventura wciąż obowiązuje stan alarmowy z powodu ekstremalnych temperatur. W pozostałych rejonach spodziewane są temperatury właściwe dla tej pory roku, około północy nadejdzie ochłodzenie. Niebo będzie przeważnie bezchmurne, ewentualnie wystąpi drobne zachmurzenie, temperatury od średnich do umiarkowanych [co to w ogóle znaczy?] na wybrzeżu, od Santa Barbara do hrabstwa Orange, w głębi lądu znacznie cieplej. A teraz prognoza lokalna. Nie spodziewamy się większych zmian od teraz aż do późnego wieczora. Zawsze lubiłem mapy pogodowe. Efekt 3D mapy topograficznej wybrzeża obracającej się i zmieniającej, kiedy pogodynka przechodzi do opowiadania o interiorze albo południu kotliny. Gradacja kolorów łańcuchów górskich i położonych nisko równin nie przestaje mnie zachwycać. Obecne temperatury...

Palmdale 39°/31°... Oxnard 25°/21°... Santa Clarita 42°/41°... Thousand Oaks 25°/21°...
Santa Monica 26°/19°... Van Nuys 40°/27°... Glendale 35°/26°... Dickens 31°/23°... Long
Beach 28°/24°...

– Chwila, czy ona powiedziała „Dickens”?

Marpessa śmieje się jak szalona. Przepychem się przez tłum ziomali i dzieci Marpessy, których imion nie zamierzam podawać. Wybiegam na dwór. Wiszący na ogrodowym ganku termometr w kształcie żabki pokazuje dokładnie trzydzieści jeden stopni Celsjusza. Nie mogę przestać płakać. Dickens wróciło na mapę.

XXVI

Pewnej nocy, w rocznicę śmierci mojego ojca, pojechaliśmy z Marpessą do Pączkarni Pif-Paf na „otwarty mikrofon” w klubie komediowym. Zajęliśmy nasze zwyczajowe miejsca, daleko od sceny, blisko łazienki i gaśnic, skąpane w czerwonej poświacie napisu WYJŚCIE. Na wszelki wypadek znalazłem wzrokiem pozostałe wyjścia i wskazałem je Marpessie.

– Na wszelki wypadek czego? Jakimś cudem ktoś opowie naprawdę zabawny żart i będziemy musieli biec na zewnątrz, żeby wykopać Richarda Pryora i Dave’a Chappelle’a i sprawdzić, czy ich ciała są wciąż w ziemi i czy nie nadeszła jakaś pierdolona czarna Wielkanoc? Chce mi się rzygać na myśl o tych dzisiejszych mikromurzyńskich komikach. Nie bez powodu nie hasa tu żaden czarny Jonathan Winters, John Candy, W. C. Fields, John Belushi, Jacki Gleason ani Roseanne Barr, bo naprawdę zabawny gruby czarnuch sprawiłby, że Ameryka zesrałaby się ze strachu.

– Grubych białych komików też nie ma dziś tak wielu. A Dave Chappelle wcale nie umarł.

– W kwestii Dave’a wierzysz w to, w co chcesz wierzyć. Czarnuch nie żyje. Musieli go zabić.

Pewnego razu ktoś w klubie sprawił, że się roześmiałem. Przyszliśmy wtedy razem z Ojcem. Na scenie pojawił się nowy prowadzący, przysadzisty Murzyn. Był ciemny jak odcięcie prądu przez elektrownię i wyglądał jak szalona ropucha. Oczy wystawały mu z głowy, jakby próbowały uciec przed gnieźdzącym się w środku szaleństwem. I jak się nad tym zastanowić, był dość gruby. Siedzieliśmy na naszych stałych miejscach. Zazwyczaj – jeśli nie liczyć chwil, kiedy na scenę wkraczał tata – czytałem sobie książkę, a seksualne żarty i zwyczajowe kawały o białych i czarnych traktowałem jak szum w tle. Człowiek ropuch zaczął jednak dowcipem, który mnie rozwalił.

– Twoja stara jest na zasiłku tak długo – ryknął, trzymając beztrudnie srebrny mikrofon, jakby go nie potrzebował i miał w ręce tylko dlatego, że ktoś mu go wręczył za kulisami. – Twoja stara jest na zasiłku tak długo, że jej imieniem nazwano ośrodek pomocy społecznej!

Ktoś, kto potrafił sprawić, że odłożyłem *Paragraf 22*, musiał być zabawny. Później to już ja ciągnąłem Papę na „otwarty mikrofon”. Chcąc zająć nasze stałe miejsca, musieliśmy przyjeżdżać coraz wcześniej, bo w czarnym Los Angeles zaczęła krążyć wieść, że wieczory w klubie komediowym prowadzi jakiś zabawny skurwiel. Od dwudziestej pączkarnia wypełniała się głębokim czarnym śmiechem – dopóty, dopóki.

Ten uliczny błazen nie tylko opowiadał dowcipy, robił coś więcej: wyciągał na wierzch swoją podświadomość i walił nią bez litości – aż do chwili kiedy nie tyle własna matka by cię nie poznała, ile mogłeś poznać samego siebie. Pewnej nocy, dwie godziny po rozpoczęciu wieczoru, do klubu zawitała jakaś biała para. Siedli z przodu, pośrodku, i przyłączyli się do zabawy. Czasem śmiali się na głos. Czasem parskali, jakby całe życie byli czarni. Nie wiem, co zwróciło jego uwagę. Jego doskonale okrągła głowa spływała potem od światła reflektorów. Może śmiali się zbyt piskliwie. Hihiszkowali zamiast hahaszkować. Może siedzieli zbyt blisko sceny. Może gdyby biali nie chcieli za każdym kurewskim razem siadać z przodu, nigdy by do tego nie doszło.

– Z czego się, kurwa, cieszyacie, biały? – wrzasnął.

Chichot na sali. Biała para ryczała najgłośniejsze. Ze śmiechu walili rękami w stół. Ucieszeni, że

ich zauważono. Ucieszeni, że ich zaakceptowano.

– Ja nie żartuję. Z czego się śmiejecie, nieproszone skurwiele? Wypierdalać!

W nerwowym śmiechu nie ma wesołości. Rozchodzi się po sali w wymuszony sposób, pulsując niczym zły jazz na „jazzowym lunchu”. Czarni goście i okrągły stolik Latynosek, które wybrały się na miasto, wiedzieli, kiedy przestać się śmiać. Para nie. Reszta z nas cichaczem sączyła z puszek piwo i colę, za wszelką cenę chcąc trzymać się z daleka od scysji. Śmiali się sami, bo to na pewno część występu, nie?

– Czy ja, kurwa, wyglądam, jakbym żartował? To nie dla was. Zrozumiano? Wypierdalać mi stąd! To jest *nasze*!

Śmiech zamarł, zostało tylko usprawiedliwianie się, daremne proszenie wzrokiem o pomoc, cichy chrobot dwóch krzeseł, odsuwanych jak najciszej od stolika. Powiew zimnego grudniowego powietrza i odgłosy ulicy. Zostało po nich tylko niedokończone zamówienie minimalne: dwa napoje i trzy pączki, jedyny dowód na to, że ci biali kiedykolwiek tu byli.

– Gdzie ja, kurwa, byłem, zanim mi tak niegrzecznie przerwano? A właśnie, twoja stara, ta łysa...

Kiedy myślę o tej nocy, o czarnym komiku wyganiającym parę białych, którzy z podkulonymi ogonami uciekają w noc, zabierając ze sobą swoje przywłaszczone opowieści, nie myślę o złu i dobru. Nie, kiedy wracam myślami do tego wieczora, myślę o swoim milczeniu. Milczenie może być wyrazem protestu albo zgody, ale zazwyczaj bierze się ze strachu. Przypuszczam, że właśnie dlatego jestem tak cichy i tak dobrze szepczę – i jako kochanek, i jako Zaklinacz Czarnuchów. Bo zawsze się boję. Boję tego, co mogę powiedzieć. Gróźb, jakie mogę rzucić, i obietnic, jakie mogę złożyć – a potem będę musiał dotrzymać. Choć nie zgadzałem się z tym facetem, podobało mi się, kiedy powiedział: „Wypierdalać mi stąd! To jest *nasze*!”. Szanowałem go za to, że miał wszystko w dupie, ale żałowałem, że byłem zbyt wystraszony, by wstać i zaprotestować. Nie żeby go skarcić albo wstawić się za rozżalonymi białymi. W końcu mogli sami się postawić, wezwać policję czy swojego boga i zdyscyplinować wszystkich obecnych. Chciałem jednak móc wstać i zadać facetowi pytanie: „To co dokładnie jest *nasze*?”.

Domknięcie

Pamiętam dzień po inauguracji prezydenckiej czarnego gościa. Foy Cheshire, dumny jak paw, woził się po mieście swoim coupé, trąbił klaksonem i machał amerykańską flagą. Nie on jeden świętował. Nastrój w dzielni nie był może taki, jak wtedy kiedy uniewinniono O. J. Simpsona albo kiedy Lakersi zdobyli mistrzostwo w 2002 roku, ale prawie. Foy przejechał obok mojej chaty, kiedy akurat siedziałem na ganku i obierałem kukurydzę.

– Czemu machasz tą flagą? – zapytałem. – Dlaczego teraz? Nigdy dotąd nie widziałem, żebyś nią machał.

Odparkł, że czuje się, jakby ten kraj, Stany Zjednoczone Ameryki, spłacił wreszcie swój dług.

– A co z Indianami? Co z Chińczykami, Japończykami, Meksykanami, biednymi, lasami, wodą, powietrzem, pieprzonym kondorem kalifornijskim? Kiedy oni odbiorą swój dług? – zapytałem go.

Pokręcił tylko głową. Powiedział coś o tym, że mój ojciec przewraca się w grobie i że nigdy niczego nie zrozumie. I ma rację. Nigdy nie zrozumie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Sarah Chalfant, Jin Auh i Colinowi Dickermanowi.

Specjalne podziękowania dla Kemi Ilesanmi i Creative Capital. Ta książka nie powstałaby, gdyby nie wasza wiara i wsparcie.

Wielkie uściski dla Lou Asekoffa, Sheili Maldonado i Lydii Offord.

Propsy dla mojej rodziny: Ma, Anny, Sharon, Ainki. Kocham was bardzo.

Wyrazy szacunku i wdzięczności za inspirację składam Williamowi E. Crossowi Jr. Jego przełomową pracę na temat rozwoju czarnej tożsamości (zwłaszcza artykuł *Od „Murzyna” do „czarnego”: doświadczenie przejścia*, „Black World” nr 20, z lipca 1971 roku) przeczytałem na studiach magisterskich i została ze mną po dziś dzień.

-
- 1 Kaukaski, rasa kaukaska (*Caucasian*) – używane w Stanach Zjednoczonych określenie białych. Kojarzy się oficjalnie z terminologią naukową, medyczną, policyjną („podejrzany rasy kaukaskiej”), ale wbrew powszechnemu przekonaniu nie jest to określenie „politycznie poprawne”, lecz relikw rasowych (i rasistowskich) teorii antropologicznych, wedle których istnieją trzy rasy: kaukazydzy (biała), negroidzi (czarna) i mongoloidzi (żółta). Dziś już odchodzi się od jego używania, zastępując neutralnym określeniem „biały” albo „europejski”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
 - 2 Na początku XIX wieku prezes Sądu Najwyższego wręczał występującym w trybunale prawnikom gęsie pióra, którymi mogli sporządzać notatki z obrad. Dziś, na pamiątkę tamtego zwyczaju, woźni Sądu Najwyższego codziennie umieszczają w sali rozpraw dwadzieścia gęsich piór, które prawnicy mogą zabrać jako pamiątkę.
 - 3 W 1925 roku zdominowana przez chrześcijańskich fundamentalistów legislatura stanowa Tennessee zakazała nauczania w szkołach teorii ewolucji. Kiedy prawo to złamał (celowo) młody nauczyciel, John T. Scopes, doszło do widowiskowego, powszechnie relacjonowanego procesu. Scopes został wprawdzie uznany za winnego, ale proces spopularyzował teorię Darwina.
 - 4 Dziewięciu czarnych chłopców ze Scottsboro w stanie Alabama, których w 1931 roku fałszywie oskarżono o zgwałcenie w pociągu dwóch białych kobiet. Uniknąwszy linczu, zostali skazani na śmierć, mimo że lekarz nie stwierdził śladów gwałtu. Po serii odwołań sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który nakazał powtórzenie procesu. Złożona wyłącznie z białych ława przysięgłych znów uznała ich za winnych, ale w 1935 roku Sąd Najwyższy ponownie nakazał powtórzenie procesu, tym razem z udziałem także czarnych ławników. Ostatecznie czterech oskarżonych uniewinniono, pięciu skazano, ale po kilku latach zwolniono warunkowo.
 - 5 W 1857 roku Sąd Najwyższy wydał wyrok w sprawie *Dred Scott kontra Stanford*. Stosunkiem głosów 7 do 2 uznał, że Dred Scott, czarny niewolnik, nie jest obywatelem, a zatem nie ma prawa szukać sprawiedliwości przed sądem.
 - 6 W 1890 roku legislatura stanowa Luizjany nakazała wprowadzenie oddzielnych wagonów dla białych i niebiałych. Kiedy dwa lata później Homer Plessy, w jednej ósmej czarnoskóry, został wyproszony z tramwaju dla białych, zwrócił się do sądu. W 1896 roku jego sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który stwierdził, że segregacja nie łamie czternastej poprawki do Konstytucji, która nakazuje „równą ochronę prawną” wszystkim obywateli. Orzeczenie w sprawie *Plessy kontra Ferguson* stało się podstawą prawną, na której wprowadzono segregację rasową na całym Południu.
 - 7 Domino i gra w kości są głęboko osadzone w kulturze Afroamerykanów.
 - 8 W 1989 roku hiphopowa grupa 2 Live Crew, do której należał Campbell, sparodiowała piosenkę Roya Orbisona *Pretty Woman* bez zgody właściciela praw, wytwórni płytowej Acuff-Rose Music. Sprawa trafiła przed Sąd Najwyższy, który w roku 1994 jednogłośnie uznał, że parodia nie łamie prawa autorskiego i mieści się w granicach dopuszczalnego użytku.
 - 9 W Stanach Zjednoczonych są dwa określenia na centrum miasta. W przeciwieństwie do *downtown*, oznaczającego centrum biznesowe, *inner-city* (dosłownie „wewnętrzne miasto”) jest określeniem nacechowanym negatywnie, oznacza ubogie dzielnice zamieszkałe głównie przez ludność czarną i latynoską. Czasem używa się zamiast niego synonimu „getto”.
 - 10 *Blackface* – uczernianie przez białego twarzy szuwaksem albo przypalonym korkiem i granie roli Murzyna, a raczej „Murzyna”, jego przerysowanej, stereotypowej wersji: wiecznie uśmiechniętego, dziecinnego, łatwowiernego prostaczka, który spędza czas na jedzeniu arbuzów, grze w kości, tańcach i śpiewaniu. Najsłynniejszym przykładem *blackface* jest pierwszy film dźwiękowy w historii kina, *Śpiewak jazzbandu* z 1927 roku. Współcześnie uczernianie twarzy i granie „Murzyna” uważane jest za rasistowskie.
 - 11 W 1955 roku na pierwsze miejsce listy przebojów trafiła nie oryginalna wersja *Ain't That a Shame* czarnoskórego Antoine'a „Fatsa” Domino, ale cover tej piosenki, nagrany w tym samym roku przez białego piosenkarza Pata Boone'a – „białą” wersję częściej puszczano w radiu.
 - 12 W 1787 roku na Konwencji Konstytucyjnej został przyjęty kompromis między stanami południowymi i północnymi. Choć niewolnicy nie mieli praw obywatelskich, Południu zależało, by wliczać ich do

ogólnej liczby ludności, na podstawie której obliczano udział danego stanu w podatkach bezpośrednich oraz liczbę jego reprezentantów w Kongresie. Północ, gdzie niewolników było niewiele, była temu przeciwna. Ostatecznie w artykule 1 Konstytucji zapisano, że każdy niewolnik liczy się jak trzy piąte białego obywatela. Zasadę tę zniosła czternasta poprawka w 1868 roku.

- 13 Pieczony kurczak to jeden ze stereotypowych rekwizytów „Murzyna” z rasistowskich karykatur. Niewolnicy na Południu rzeczywiście jadali pieczonego kurczaka, jedną z tradycyjnych potraw kuchni afroamerykańskiej, ale skojarzenie to ugruntował klasyczny film D. W. Griffitha *Narodziny narodu* z 1915 roku – dziś jednoznacznie uważany za rasistowski i gloryfikujący Ku Klux Klan. W jednej ze scen czarni członkowie legislatury stanowej Karoliny Południowej (grani częściowo przez białych z uczernionymi twarzami) zachowują się wulgarnie na sali obrad, trzymają nogi na stołach, piją alkohol i – właśnie – obżerają się pieczonym kurczakiem.
- 14 Po przyjęciu przez Kongres ustawy o prawach obywatelskich (1964), zakazującej dyskryminacji rasowej we wszystkich obiektach użyteczności publicznej, pastor Martin Luther King postanowił przeprowadzić masową akcję wpisywania czarnych na listy wyborców. W Selmie w stanie Alabama prawem głosu dysponował mniej niż 1% Afroamerykanów i właśnie to miasto wybrał King na miejsce pokojowych marszów protestacyjnych. 7 marca 1965 roku maszerujący zostali zaatakowani przez stanową policję, użyto przeciw nim gazu łzawiącego i oddziałów konnych. W odpowiedzi prezydent Lyndon Johnson potępił brutalność policji, wysłał do Selmy Gwardię Narodową i zapowiedział przyjęcie ustawy o prawach wyborczych, zabraniającej dyskryminacji przy rejestrowaniu się w spisie wyborców, znoszącej egzaminy i inne formy ograniczania praw obywatelskich. King poprowadził jeszcze dwa marsze na stolicę stanu, Montgomery, a 15 marca Kongres przyjął ustawę.
- 15 28 sierpnia 1963 roku ponad 200 tysięcy Amerykanów, czarnych i białych, przemarszerowało przez Waszyngton pod pomnik Lincolna, domagając się przyznania Afroamerykanom pełni praw obywatelskich, a Martin Luther King wygłosił słynne przemówienie „Marzę, że pewnego dnia...”.
- 16 Wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego, o których mowa w książce, mają rzeczywiste odpowiedniki. Czarny Sędzia to Clarence Thomas, obecnie jedyny (i zaledwie drugi w historii) czarnoskóry członek Sądu Najwyższego. Mianowany na to stanowisko w 1991 roku przez George’a Busha seniora, Thomas należy do najbardziej konserwatywnych sędziów trybunału. Jego kandydatura była kontrowersyjna – kwestionowano jego kwalifikacje, został oskarżony o molestowanie seksualne przez byłą podwładną, Anitę Hill – ale ostatecznie Senat zatwierdził go na stanowisku sędziego Sądu Najwyższego. Thomas znany jest z tego, że nie udziela wywiadów, nie zabiera głosu podczas obrad i niezwykle rzadko zadaje jakiegokolwiek pytania.
- 17 Dickens jest fikcyjnym miejscem, ale pod wieloma względami stanowi odpowiednik Compton, miasta leżącego w samym środku hrabstwa Los Angeles, na południe od centrum miasta Los Angeles. W Compton, jak w Dickens, znajdują się tereny rolnicze i to Compton uznaje się za jedną ze stolic gangsterskiego rapu. Kiedyś zamieszkane w przeważającej większości przez czarnych, dziś Compton jest w 65% latynoskie, Afroamerykanie zaś stanowią tylko około jednej trzeciej mieszkańców.
- 18 Debiutancki album słynnej hiphopowej grupy Wu-Tang Clan nosił tytuł *Enter the Wu-Tang (36 Chambers)*. Z jednej strony było to nawiązanie do filmu kung-fu *36. komnata Shaolin*, z drugiej do ogólnej liczby jam serca (ang. *chambers*) wszystkich członków zespołu.
- 19 Harriet Tubman (ok. 1822–1913) – urodzona jako niewolnica w Marylandzie, zbiegła na Północ, gdzie współorganizowała słynną Kolej Podziemną, sieć pomocy uciekającym niewolnikom. Tubman kilkanaście razy wyprawiała się na Południe, żeby osobiście przeprowadzać zbiegów na Północ.
- 20 W 1895 roku jeden z czołowych przywódców Afroamerykanów przełomu XIX i XX wieku, Booker T. Washington (1856–1915), wygłosił przemówienie na wystawie międzynarodowej w Atlancie. „Zaczerpnijcie swoimi wiadrami tam, gdzie jesteście” skierowane było zarówno do białych, jak i do czarnych mieszkańców Południa. Biali mieli dać pracę miejscowym czarnym, ci zaś pogodzić się z segregacją i ciężko pracować. Przemówienie stało się podstawą tzw. kompromisu z Atlanty: w zamian za podstawową edukację czarni nie będą domagać się prawa głosu i zmiany *status quo*. Ugodową postawę Washingtona krytykował drugi przywódca Afroamerykanów tamtej epoki, W. E. B. Du Bois (1868–1963).

- 21 Mowa o zamieszkach w Los Angeles z kwietnia i maja 1992 roku, kiedy rada przysięgłych uniewinniła policjantów, którzy brutalnie potraktowali czarnoskórego Rodneya Kinga. Uznawszy wyrok za niesprawiedliwy, czarni mieszkańcy wyszli na ulice, a protesty przekształciły się w największe rasowe zamieszki od lat 60.: w ciągu sześciu dni zginęły 63 osoby, wiele budynków spłonęło.
- 22 Ostry sos to również stereotypowa „czarna” potrawa.
- 23 Pod koniec wojny secesyjnej, na początku 1865 roku, przywódcy Północy omawiali kwestię reformy rolnej na Południu i między innymi padła propozycja podzielenia ziemi skonfiskowanej konfederatom między czarnych. Choć rzeczywiście niektórzy otrzymali działki, ostatecznie zrezygnowano z całościowego planu reformy, wśród Afroamerykanów rozpowszechnił się jednak mit „czterdziestu akrów [szesnastu hektarów] i muła”, które jakoby obiecano każdemu byłemu niewolnikowi.
- 24 Cripsowie i Bloodsi to dwa zwalczające się gangi pochodzące z Los Angeles, ale dziś funkcjonujące także w innych miastach Ameryki, a nawet Europy. Rywalizacja między nimi trwa od lat 60. Kolorem Cripsów jest niebieski, Bloodsów czerwony, a członkowie danego gangu nigdy nie noszą barw przeciwnika.
- 25 George Washington Carver (ok. 1860–1943) – urodzony jako niewolnik w Missouri, był słynnym afroamerykańskim botanikiem, który spopularyzował na Południu uprawę orzeszków ziemnych i zyskał międzynarodową sławę.
- 26 Arbuzy, jak pieczony kurczak, są kolejnym stereotypowym pożywieniem Afroamerykanów. W XIX wieku rozpowszechnił się przedstawiany na pocztówkach, w piosenkach, filmach rasistowski wizerunek Murzyna, dla którego największym szczęściem jest objadanie się arbuzami.
- 27 Popularna wśród afroamerykańskich dzieci gra uliczna, polegająca na przeskakiwaniu nad dwiema skakankami.
- 28 *Klan urwisów (Our gang, The Little Rascals)* był serią krótkometrażowych filmów produkowanych przez Wytwórnę Hala Roacha w latach 1922–1944, początkowo niemych, potem dźwiękowych. Opowiadały o przygodach grupki biednych, ale rezolutnych dzieci, granych przez naturszczyków. Kiedy dziecięcy aktorzy dorastali, wytwórnia znajdowała na ich miejsce nowych bohaterów. Filmy o klanie urwisów były jednymi z pierwszych, w których obok białych aktorów występowali czarni (dlatego nie były pokazywane na Południu), choć dziś wyraźnie widać, że sposób, w jaki pokazywano czarnych, był stereotypowy i rasistowski.
- 29 Postać z opowieści afroamerykańskiego folkloru, zebranych i opublikowanych przez Joela Chandlera Harrisa pod koniec XIX wieku. Wuj Remus jest starym dobrotliwym wyzwoleniec opowiadającym dzieciom pouczające historyjki, których głównym bohaterem jest Brat Królik (B’rer Rabbit), przechera, który wystrychuje na dudka Brata Lisa i Brata Niedźwiedzia. Dziś kontrowersje budzi język użyty przez Harrisa, mający imitować sposób mówienia „prostych” czarnych z Południa.
- 30 Dzieciaki z klanu urwisów popełniają trzy błędy: cytują winien brzmieć „Oto są czasy, kiedy dusze ludzi zostają wystawione na próbę”; jego autorem jest Thomas Paine, a nie Nathan Hale; nazwisko Hale nie pisze się „Hail”. Hale jest autorem innego słynnego cytatu z okresu wojny o niepodległość: „Żałuję jedynie, że mam tylko jedno życie, które mogę poświęcić dla mojego kraju”.
- 31 *Dzieciaki Bebe (Bebe’s Kids)* to film animowany z 1992 roku, oparty na popularnym stand-upie. Opowiada historię pary, która musi zająć się trójką niesfornych dzieci swojej zabawowej znajomej, Bebe. Dzieciaki mają powiedzonko: „My nie umieramy, my się mnożymy!” (*We don’t die, we multiply!*).
- 32 Gazowany napój alkoholowy, którego egzotycznie (dla Amerykanów) brzmiącą nazwę zaczerpnięto z języków słowiańskich. W latach 90. równie szybko zyskał, co stracił popularność, zaczął bowiem być postrzegany jako napój „niemęskich” mężczyzn.
- 33 „Chłopak”, „chłopiec” nie ma nic wspólnego z wiekiem – jest reliktem epoki, w której biali Południowcy do wszystkich czarnych zwracali się protekcjonalnie „chłopcze” (*boy*).
- 34 Jeden z afrykańskich tańców, popularny na Południu, częsty element występów *blackface*.
- 35 Minstrelstwo, występy minstrelskie (*minstrelsy, minstrel show*) były charakterystyczną dla Stanów Zjednoczonych formą rozrywki, która narodziła się w latach 30. i 40. XIX wieku. Biali wykonawcy uczerniali twarze (*blackface*) i odgrywali na scenie stereotypowych „Murzynów”. Nazwa pochodzi od Virginia Minstrels (Minstrelowie z Wirginii), jednego z pierwszych zespołów występujących z takimi

- przedstawieniami, i szybko przeniosła się na cały gatunek. „Murzyni” w widowiskach minstrelnych nosili zbyt duże ubrania i buty, fraki, wysokie cylindry. Grali na instrumentach (banjo, tamburynie, skrzypcach i *bones*, kościanych kastanietach), tańczyli, śpiewali, opowiadali dowcipy w niegramatycznym, pełnym błędów „murzyńskim” języku. Z czasem minstrelami zaczęli zostawać także czarni wykonawcy, nadal jednak odgrywający na scenie przerysowanego „czarnuszka”.
- 36 *Lawn jockey* – popularna na Południu ozdoba, odpowiednik krasnala ogrodowego; figura czarnego mężczyzny w stroju dżokeja, który unosi rękę i trzyma w niej metalowe kółko albo latarenkę. Występuje w jednym z opowiadań Flannery O’Connor pt. *Sztuczny murzyn* (przeł. Maria Skibniewska).
- 37 *Carnival coon* – jarmarczna zabawa polegająca na rzucaniu piłką do celu, który uruchamia zapadnię. Pierwowzorem, popularnym w drugiej połowie XIX wieku, była gra w „walnij czarnucha” (*Hit the Coon*), polegająca na trafieniu piłką albo innym przedmiotem w wychylającego się zza kurtyny czarnego mężczyznę (albo białego z uczernioną twarzą).
- 38 Od hiszpańskiego *sureño*, południowiec. Jeden z meksykańskich gangów w Los Angeles, powiązany z meksykańską mafią.
- 39 „Kalifornijski stop” to zwolnienie przed światłami na skrzyżowaniu, zamiast zatrzymania się.
- 40 Rejon w północno-wschodnim Los Angeles, gdzie wiele ulic nosi nazwę alei (po hiszpańsku *avenida*). Stamtąd wywodzi się także meksykański gang Avenidas (The Avenues).
- 41 „Dżungla” nazywa się dzielnicę Baldwin Village w centralnym Los Angeles. Pierwotnie nazywano ją tak z powodu licznie rosnących tam tropikalnych drzew i krzewów, ale z czasem ważniejsze stało się skojarzenie z wysoką przestępczością. Z kolei „Fruit Town” (albo „Fruittown”) to północne Compton, gdzie ulice noszą nazwy owoców.
- 42 Dwie słynne propozycje poprawek do konstytucji stanu Kalifornia, przyjęte w drodze referendum. W 1994 roku prawie 60% Kalifornijczyków zagłosowało za Propozycją 187, która zakazywała nieudokumentowanym imigrantom korzystania z wszelkich usług publicznych, a władzom stanu nakazywała sprawdzenie statusu wszystkich osób (dzieci i dorosłych) korzystających z kalifornijskich szkół, szpitali itd. Prawo to nigdy nie weszło w życie, jego legalność bowiem została zakwestionowana przez sądy. Uważa się, że to właśnie poparcie kalifornijskich republikanów dla Propozycji 187 doprowadziło do tego, że latynoscscy wyborcy zaczęli masowo popierać Partię Demokratyczną. Z kolei Propozycja 8, przyjęta w listopadzie 2008 roku, delegalizowała małżeństwa jedнопłciowe, których udzielano w tym stanie od maja tego samego roku. Szacuje się, że Afroamerykanie – w przeważającej większości głosujący na demokratów – w 70% poparli republikańską Propozycję 8. W 2013 roku została zniesiona wyrokiem Sądu Apelacyjnego.
- 43 Produkowane przez firmę Nabisco popularne ciasteczko oreo składa się z dwóch czekoladowych biszkoptów przełożonych waniliowym kremem. Jest to zarazem wyzwisko, którego używają Afroamerykanie wobec tych czarnych, którzy wyrzekają się swojej kultury i „udają białych”, przyjmując ich zwyczaje, sposób mówienia itd., a zatem są czarni tylko na zewnątrz, ale wewnątrz biali.
- 44 Z kolei Cripsowie starają się nie używać litery B albo zastępować słowa na B słowami na C.
- 45 Główny bohater *Korzeni*, powieści Alexa Haleya, i opartego na niej bardzo popularnego serialu z lat 70. XX wieku. Kunta Kinte jest Afrykaninem porwanym przez handlarzy niewolników i sprzedanym na plantację w Wirginii.
- 46 Miara odległości wymyślona w 1958 roku przez studentów Massachusetts Institute of Technology, równa wzrostowi jednego z nich, Olivera Smoota, czyli 1,7 metra albo 5 stóp i 7 cali.
- 47 Przenikliwy wiatr wiejący w Chicago znad jeziora Michigan. Nazwę tę nadali najprawdopodobniej Afroamerykanie.
- 48 Opium zmieszane z haszyszem.
- 49 Jeff Spicoli, grany przez Seana Penna wyluzowany surfer, główny bohater filmu *Bez troskie lata w Ridgemont High* (1982).
- 50 Aż do wojny amerykańsko-meksykańskiej i traktatu z Guadalupe Hidalgo w 1848 roku czterdziesty drugi równoleżnik był granicą między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, dlatego dziś wyznacza północną granicę Kalifornii, Nevady i Utah.
- 51 Czarny taksówkarz z Los Angeles, pobity przez policjantów w marcu 1991 roku. Ich uniewinnienie stało

- się bezpośrednim powodem wybuchu zamieszek w roku 1992.
- 52 Najsłynniejsza ofiara zamieszek z 1992 roku. Biały kierowca ciężarówki, wyciągnięty z wozu na skrzyżowaniu i brutalnie pobity przez czarnych napastników. Atak na niego relacjonował na żywo helikopter telewizyjny, co sprawiło, że przed śmiercią uratował go inny Afroamerykanin, który pomógł mu uciec i zawiózł go do szpitala.
- 53 W 1961 roku mieszane grupy czarnych i białych działaczy Kongresu Równości Rasowej (Congress for Racial Equality) ruszyły na Południe, by sprawdzać, jak stany realizują nakazaną przez Sąd Najwyższy desegregację komunikacji publicznej, autobusów i pociągów. „Rajdy wolności” spotkały się z wrogim nastawieniem miejscowych – „jeźdźców wolności” często atakowano, jeden z autobusów spalono – co jednak zwróciło uwagę całego kraju na problem praw Afroamerykanów.
- 54 11 czerwca 1963 roku gubernator stanu, George Wallace (1919–1998), stanął w drzwiach, zagradzając drogę dwojgu czarnym studentom, którzy chcieli zapisać się na Uniwersytet Alabamy. Kiedy apele zastępcy prokuratora generalnego nie przyniosły skutku, prezydent Kennedy nakazał interweniować wojsku. Wallace ostatecznie ustąpił, ale zyskał sławę, stając się jednym z najbardziej znanych i prominentnych obrońców segregacji.
- 55 Do-rag albo doo-rag, nakrycie głowy noszone czasem przez Afroamerykanów, kiedyś robione z pończoch, dziś zazwyczaj nylonowe.
- 56 Frederick Douglass (1818–1895) – urodzony jako niewolnik, zbiegł na Północ, gdzie został słynnym mówcą, pisarzem, działaczem społecznym, jednym z przywódców ruchu abolicjonistycznego.
- 57 Jean Toomer (1894–1967) – afroamerykański pisarz nurtu „renesans Harlemu”.
- 58 W 1830 roku prezydent Andrew Jackson podpisał ustawę o wysiedleniu Indian. Tysiące Indian siłą przepędzono z ich ziem. Choć na Północy nie stawiali większego oporu, na Południu próbowali dochodzić swoich praw w sądzie. Wprowadzie Sąd Najwyższy stanął po stronie Indian, ale rząd federalny nie zrobił nic. W 1835 roku Czirokezi ustąpili, zrzekli się swoich ziem na północy Georgii i w 1838 roku udali się na zachód, na „Ziemie Indian” w dzisiejszej Oklahomie. Swoją wędrówkę, w trakcie której zmarły tysiące, Czirokezi nazwali Szlakiem Łez.
- 59 *White flight*, zjawisko demograficzne, które rozpoczęło się w latach 40. XX wieku. Wraz ze wzrostem liczby samochodów, budową nowych dróg i kolejną falą migracji czarnych z Południa do miast Północy biała klasa średnia zaczęła wyprowadzać się na przedmieścia. Powodem były lepsze warunki mieszkaniowe na przedmieściach, ale w grę wchodziły także kwestie rasowe – chęć utrzymania segregacji.
- 60 Czarny robotnik o ogromnej sile i wielkiej pracowitości, bohater amerykańskiego folkloru, jeden z symboli ruchu robotniczego i ruchu na rzecz praw obywatelskich.
- 61 W 1986 roku Ishmael Reed (1938–) opublikował powieść *Bezwstydne gapienie się (Reckless Eyeballing)*.
- 62 Wynalazca mechanicznej odziarniarki (rok 1793), która zrewolucjonizowała uprawę bawełny i uczyniła z niej ważny towar eksportowy Południa.
- 63 Bill „Bojangles” Robinson (1878–1949) – najsłynniejszy czarny aktor i tancerz pierwszej połowy XX wieku, krytykowany wszakże przez część Afroamerykanów za utwierdzanie rasistowskich stereotypów i zgrywanie „Wuja Toma”.
- 64 Słowa, które wypowiedział komandor George Dewey do kapitana Charlesa Gridleya w 1898 roku, dając sygnał do rozpoczęcia bitwy morskiej w Zatoce Manilskiej, która przyniosła absolutne zwycięstwo Amerykanom (jedyna ofiara zmarła na zawał serca) i całkowitą klęskę Hiszpanom.
- 65 Z 1964 roku, zakazującej segregacji i dyskryminacji w miejscach publicznych.
- 66 Bessie Smith (1894–1937) – czarna śpiewaczka, „Cesarzowa bluesa”, która w 1937 roku została śmiertelnie ranna w wypadku samochodowym. Popularna, choć apokryficzna opowieść głosi, że zmarła, ponieważ odmówiono jej wstępu do szpitala tylko dla białych. Tę wersję upowszechniła sztuka teatralna *The Death of Bessie Smith* Edwarda Albeego (1960), późniejszego twórcy *Kto się boi Virginii Woolf*.
- 67 Bohater opowieści Wujka Remusa.
- 68 Film w reżyserii Charlesa Burnetta z 1977 roku, opowiadający o życiu Afroamerykanów z Watts, dzielnicy Los Angeles leżącej na północ od Compton, na którym wzorowane jest Dickens.

- 69 Jeden z najsłynniejszych i najbardziej nagradzanych graczy futbolu amerykańskiego.
- 70 *Niewidzialny człowiek* – powieść Ralpa Ellisona z 1952 roku, której główny bohater, bezimienny czarny mężczyzna, z powodu koloru skóry nie jest traktowany podmiotowo przez amerykańskie społeczeństwo.
- 71 Topsy to młoda niewolnica, jedna z bohaterek *Chaty Wuja Toma*. Początkowo krnąbrna, pod wpływem miłości panienci Ewy zmienia się, staje się głęboko wierząca, pracowita chrześcijanka.
- 72 Lincoln Perry (1902–1985), pseudonim artystyczny Stepin Fetchit (z ang. *Step and fetch it* – „Skocz i przynieś”, polecenia wydawanego niewolnikom) – pierwszy czarny aktor, który został milionerem. Znany ze swojej scenicznej osobowości leniwego, przygłupiego Murzyna, którą z czasem zaczęli krytykować sami Afroamerykanie.
- 73 Znana z kreskówek piosenka z charakterystycznym refrenem powstała w 1850 roku jako piosenka minstrelska.
- 74 Mr. Tambo i Mr. Bones to postaci z występu minstrelskiego, ich nazwiska pochodziły od używanych instrumentów: Tambo grał na tamburynie, a Bones na kościanych kastanietach (*bones*).
- 75 Jim Crow to tytułowy bohater minstrelskiej piosenki z 1828 roku, tak popularnej, że „Jim Crow” stało się w XIX wieku jednym z określeń na Afroamerykanów. Kiedy pod koniec XIX wieku południowe stany zaczęły ograniczać prawa wyborcze czarnych i wprowadzać segregację rasową, dyskryminacyjne przepisy zyskały nazwę „praw Jima Crowa”.
- 76 W 1954 roku Sąd Najwyższy orzekł w sprawie *Brown kontra Kuratorium Oświaty Topeka w Kansas*, stwierdzając, że segregacja w szkolnictwie jest nielegalna. Ponieważ południowe stany nie robiły prawie nic, by zde segregować szkoły, a i na Północy przebiegała ona powoli, Sąd Najwyższy wydał kolejne wyroki – w 1971 roku w sprawie *Swann kontra Kuratorium Oświaty Charlotte-Mecklenburg* postanowił, że władze miast muszą zapewnić przewożenie uczniów autobusami do zintegrowanych szkół (ang. *busing*). W praktyce oznaczało to, że uczniów z „białych” dzielnic wożono do „czarnych” szkół i odwrotnie. *Busing* budził ogromne kontrowersje w latach 70. i 80. i protesty białej klasy średniej w miastach Północy, przyspieszył też ucieczkę białych na przedmieścia, leżące *de iure* poza granicami miasta objętego desegregacją.
- 77 Po wyroku Sądu Najwyższego z 1954 roku dziewięć czarnych uczniów z Little Rock, stolicy Arkansas, spróbowało zapisać się do miejscowego liceum. Tłum białych zaatakował ich werbalnie i fizycznie, a gubernator Orval Faubus nakazał Gwardii Narodowej zagrodzić drogę do budynku. Ostatecznie prezydent Eisenhower przejął kontrolę nad Gwardią i wysłał do Little Rock wojsko, które umożliwiło Dziewiątce z Little Rock zapisanie się do szkoły. Ponieważ czarni uczniowie spotykali się z przemocą ze strony białych, żołnierze zostali w liceum do końca roku szkolnego.
- 78 Pieśń, która w latach 60. stała się hymnem ruchu praw obywatelskich. Pierwsza, najsłynniejsza zwrotka brzmi: *We shall overcome; We shall overcome; We shall overcome, some day* („Zwycięzimy, zwycięzimy, zwycięzimy kiedyś”).
- 79 Postać wzorowana na Kamali Harris, prokurator generalnej stanu w latach 2011–2017, od 2017 roku reprezentującej Kalifornię w Senacie.
- 80 Zawołanie południowoafrykańskiego ruchu przeciwko apartheidowi. Lider woła *Amandla!* (Władza/Siła!), a tłum odpowiada *Awethu!* (Dla nas / Dla ludu!).